

KAREN ROBAROS

Po tej stronie nieba

Dla Douga, Petera i Christophera - moich trzech miłości

1

Dziób długiej łodzi przypadkiem zawadził o oszalowanie nabrzeża. Załadowane przy rufie beczki z cukrem i melasą zakolebały się z hukiem, a razem z nimi cała łódź.

- Uważajcie! - warknął na wioślarzy kapitan Rowse.

Stał na rufie, a naprzeciw niego, niemal na samym środku, siedziała Caroline. Musiała złapać się krawędzi ławki, by utrzymać równowagę, gdy obute w trzewiki stopy zsunęły jej się z wielkiego skórzanego kufra; miała trzy takie kufry i nie było dla nich innego miejsca. Kosz z pokrywą, który trzymała na kolanach, niebezpiecznie się przechylił. Zdażyła go jednak chwycić i ustawić w pozycji pionowej -jeszcze sekunda, a bezcenna zawartość wpadłaby do wód zatoki. Na powrót postawiła stopy na kufrze, jedną dłoń położyła na pokrywie kosza, a drugą zacisnęła na szerokim uchwycie tak mocno, aż jej kłykcie zbieleły. Była to jedyna zewnętrzna oznaka świadcząca o zdenerwowaniu dziewczyny, od którego żołądek podchodził jej do gardła i z trudem panowała nad sobą, aby nie zwymiotować śniadania. Gdyby wiedziała, jak bardzo ta dłoń ją zdradza, puściłaby uchwyt.

Czułaby się upokorzona, gdyby otaczający ją milczący mężczyźni zorientowali się, jak bardzo zależy jej na ich opinii. Starannie unikając ich wzroku, siedziała w pozie wyrażającej zarówno samotność, jak i dumę, i ponad głowami strudzonych żeglarzy spoglądała ku obcej ziemi, która miała stać się jej nowym domem.

Z oczu Caroline nic nie można było wyczytać; już dawno nauczyła się, że tak jest najlepiej. Nie okazała więc przerażenia, jakie ją ogarnęło, gdy ujrzała posepne szare wybrzeże z umocnieniami ziemnymi oraz brzydkie zabudowania doków. Za dokami sto może akrów porośniętej trawą ziemi wydarto zielonej puszczy, widniejącej na horyzon-

cie. Łąkę znaczyły rzędy maleńkich, podobnych do pudełek szop. Cóż to może być? Chaty rybaków? Bez wątpienia były za małe i zbyt nieliczne, by stanowić miasteczko, które -jak przypuszczała Caroline -znajdowało się tuż nad zatoką.

Świeże poranne powietrze niesione przez wiatr od morza silnie pachniało solą i rybami. Fala rozprysnęła się, pokrywając policzek i pelerynę Caroline lodowatą wodą. Uniosła białą dłoń o długich palcach i starła kropelki wilgoci z twarzy. Była wczesna wiosna roku 1684, w Anglii o tej porze jest zimno i mglisto. Tutaj wszakże marcowe powietrze było jedynie zimne, a słońce świeciło z niezwykle wręcz intensywnością.

Caroline przypomniała sobie ponuro, że to nie Anglia. I mało prawdopodobne, aby kiedykolwiek jeszcze Anglię ujrzała.

Nie tak wyobrażała sobie Saybrook. Listy od Elizabeth, przyrodniej siostry, zawierały promienne opisy domu w Connecticut Colony. Podczas minionych trudnych lat Caroline z tych opisów tworzyła obraz zielonego raj, który mogła oglądać, gdy tylko zamykała oczy, a teraz nasza ją paraliżująca obawa, że każde uderzenie wioseł zbliżają do upokarzającego rozczarowania.

Rzeczywistość jak zwykle daleko odbiegała od fantazji. Zapewne nadzieja na serdeczne powitanie ze strony Elizabeth także okaże się bezpodstawna, choć biorąc pod uwagę okoliczności, trudno byłoby ją winić, gdyby nie okazała zachwyty na widok młodszej siostry, którą musiała słabo pamiętać.

- Ahoj! Danielu Mathieson!

Donośny krzyk kapitana Rowse'a tuż nad uchem sprawił, że Caroline podskoczyła. Obiema dłońmi chwyciła mocno koszyk i zacisnęła usta, by powstrzymać szorstkie słowa, cisnące się jej na usta. Lecz obojętna maska, za jaką nauczyła się ukrywać emocje, pozostała nienaruszona; Caroline obrzuciła tylko pogardliwym spojrzeniem kapitana „Gołębiczy”, machającego do kogoś na brzegu. Z brzmienia nazwiska zorientowała się, że to ktoś z rodziny jej siostry. Serce jej waliło, lecz wyraz twarzy nie uległ zmianie. Caroline doskonale wiedziała, że wyniosła duma jest o wiele skuteczniejsza od pokornych przeprosin.

Dziób barkasa znowu otarł się o nabrzeże i tym razem jeden z żeglarzy wyskoczył na stały ląd, by złapać cumę i przywiązać łódź. Caroline zacisnęła zęby. Nadchodziła chwila prawdy.

- Wsiadasz, panienko. - Kapitan Rowse ujął Caroline za łokieć i bez wysiłku postawił na nogi. - Homer, podaj pannie Wetherby rękę. Hej, Danielu Mathieson!

Mrużąc oczy od dudniącego wrzasku, Caroline zignorowała wyciągniętą rękę żeglarza i samodzielnie wygramoliła się na nabrzeże. Nagle jednak drewniane deski zakołysały się jej pod stopami; Caroline się zatoczyła. Męska dłoń złapała ją za ramię, pomagając odzyskać równowagę.

- Trzeba uważać, panienko, jeszcze nie umiesz chodzić po stałym lądzie - ostrzegł szorstki głos.

Caroline oswobodziła się z uchwytu. Żeglarz wzruszył ramionami i wrócił do swoich obowiązków, z gwarne go tłumu zaś, który zebrał się, by oglądać wyładunek towarów, wystąpił mężczyzna w czarnym kapeluszu z szerokim rondem. Kapitan Rowse wyskoczył na nabrzeże obok Caroline i powitał przybysza jowialnymi klepnięciami w ramię. Inne łodzie także przybiły do brzegu i rozpoczął się wyładunek towarów i pasażerów.

- Czego sobie życzysz, Tobiasie? - zwrócił się uprzejmie do kapitana Daniel Mathieson.

Wysoki, rudowłosy i ogorzały, był atrakcyjnym mężczyzną pomimo surowego stroju i krótko obciętych włosów, które świadczyły, że należy do Okrągłych Główn. Jego niebieskie oczy z ciekawością spoczęły na Caroline. Odpowiedziała lodowatym spojrzeniem. Za nic w świecie nie pozwoliłaby mu dostrzec swego niepokoju, obecnie tak dotkliwego, że musiała zaciskać zęby, by nie zwymiotować.

- Jest Matt w porcie?

- Nie, został w domu. Powiedział, że niczego się nie spodziewa i ma za wiele pracy, żeby marnować czas na tak bezużyteczne zajęcia jak gapienie się na wyładunek.

- Rzeczywiście, jakbym słyszał Matta - odparł kapitan ze śmiechem, zaraz jednak spoważniał i spojrzał na Caroline. - A ja w istocie coś dla niego mam. Tę młodą... damę, mówiąc ściśle.

- Co? - Daniel zmierzył Caroline niedowierzającym wzrokiem.

Wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia.

- To prawda. Ponoć to jego szwagierka. Powiada, że przybyła, żeby u niego zamieszkać.

- Pierwszy raz to słyszę!

Nim Daniel miał okazję szerzej wyrazić swoje zaskoczenie, Caroline przemówiła z lodowatą godnością. Nie jest małym dzieckiem ani nie-dojdą, by mówiono o niej, jakby jej przy tym nie było!

- Nazywam się Caroline Wetherby. Ephraim Mathieson to mąż mojej siostry Elizabeth. Z pańskiego nazwiska wnoszę, iż z panem także jest spowinowacana. Czy byłby więc pan tak uprzejmy, żeby mnie do niej zaprowadzić?

- Niechaj Bóg ma nas w swej opiece! - wykrzyknął ze zdumieniem Daniel.

Ignorując przemowę Caroline, przyjrzał się jej badawczo. Zmrużyła oczy, gdy oceniał ją, zapewne uznając za pozbawioną zalet, aczkolwiek

niewiele właściwie mógł zobaczyć. Poza twarzą o delikatnych rysach i wielkich migdałowych oczach, tak złotobrazowych, że niemal bursztynowych, oraz pasmem błyszczących czarnych włosów - do tej pory żaden mężczyzna nie uważał ich za nieładne - szeroka peleryna z kapturem skutecznie zakrywała resztę jej osoby. Sama peleryna wszakże, uszyta z welwetu barwy głębokiej czerwieni w okresie, gdy ojcu dobrze się wiodło, i służąca Caroline przez kolejne chude lata, wystarczyła już chyba, by wzbudzić w tym człowieku niesmak. Sądząc z brunatnych, szarych i czarnych samodziłów, w jakie odziewali się tutejsi mieszkańcy, jaskrawy kolor musiał budzić dezaprobatę. Istotnie, krzątający się wokół ludzie rzucali dziewczynie krytyczne spojrzenia. Najsurowszymi obdarzali ją pasażerowie „Gołębicy”, którzy w ów tajemniczy sposób, w jaki rozchodzą się wieści w małych społecznościach, dowiedzieli się o trudnym położeniu Caroline. Historia wkrótce obiegnie całe Saybrook, uświadomiła sobie, obserwując nowo przybyłych, witających się z przyjaciółmi i znajomymi. Już dostrzegła kilkoro ludzi, szepczących coś z głowami nachylonymi ku sobie i co chwila zerkających na nią. Zesztywniała, choć w żaden inny sposób nie dała po sobie poznać, że świadoma jest tego, iż o niej właśnie plotkują.

- A jeszcze nie słyszałeś najgorszego. - Kapitan Rowse, któremu perspektywa szybkiego pozbycia się niechcianej podróżniczki bez wątpienia przyniosła ulgę, nie krył ponurego rozbawienia. - Panna Wetherby jest mi winna pieniądze za podróż. Większą część rejsu spędziła, zapewniając mnie, że szwagier za nią zapłaci.

- Jakże to? - zapytał Daniel.

- Ta młoda... dama... weszła na pokład późno i namówiła pierwszego oficera, by przyjął biżuterię zamiast żywej gotówki. Okazało się jednak, że kamienie są fałszywe. Na jej nieszczęście podróżował z nami jubiler, w przeciwnym razie odkrylibyśmy podstęp dopiero wtedy, gdybyśmy chcieli zamienić je na gotówkę. A tak to sobie zaplanowała, w co nie wątpię.

- Powtarzałam panu sto razy: nie miałam o tym najmniejszego pojęcia! Brosza należała do mojej matki. Myślałam, że to prawdziwy klejnot. - Pełne oburzenia słowa wymknęły się Caroline z ust, nim zdążyła się powstrzymać, zaraz jednak zamilkła, odzyskując spokój. Z uniesioną

wysoko głową stawiała czoło niepewności Mathiesona i oczywistemu niedowierzaniu kapitana Rowse'a.

- Ile? - W głosie Daniela pobrzmiwała głucha nuta. Słyszając odpowiedź kapitana „Gołębicy”, otworzył szeroko oczy i cicho gwizdnął. - Mattowi to się nie spodoba.

- Tak przypuszczałem. Ale co robić? Chyba że zaprowadzę ją przed oblicze rady...

- Nie, nie. - Daniel pokręcił głową. - Jeśli naprawdę jest powinowatą Matta...

- Czy z łaski swej moglibyście przestać mówić, jakby mnie tu nie było, i zaprowadzić mnie wreszcie do siostry? Jestem pewna, że ona w każdym razie uraduje się na mój widok. - Caroline wcale nie odczuwała takiej pewności, jaka brzmiała w jej głosie, na szczęście nikt poza nią nie wiedział o nieprzyjemnym ucisku w żołądku i wilgotnych dłoniach. Daniel spojrział zmartwionym wzrokiem na kapitana, ten zaś wzruszył ramionami.

- Na twoim miejscu zostawiłbym tę sprawę do wyjaśnienia Mattowi.

- Tak. - Daniel podjął już decyzję; kiwnął głową i sięgnął po koszyk Caroline. - Chyba najlepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną, panienko. Jestem bratem Matta, to znaczy Ephraima. Ale on nie przepada za tym imieniem.

- Sama poniosę koszyk, dziękuję - odparła Caroline chłodno. - Jeśli pan tak uprzejmy, to proszę zająć się moimi kuframi.

- Kuframi? - powtórzył Daniel, podczas gdy dziewczyna ruszyła przed siebie z wysoko uniesioną głową.

- Trzy - wyjaśnił kapitan, z krzywym uśmiechem wskazując bagaż, który jego ludzie wyładowali na brzeg. - Wielka dama, co? Ciekawe, co Matt na to wszystko powie?

Daniel pokręcił głową, schylając się po kufer.

- Nie będzie zadowolony, tyle mogę ci rzec.

2

Polna droga, po której za Danielem i kapitanem Rowse'em podążała Caroline, prowadziła przez skupisko zabudowań widocznych z łośdzi. Okazało się, że to istotnie małe chaty, które zbudowano z desek wciąż wyglądających na świeże. Żółte kwadraty papieru, a może skóry, zakrywały okna. Z niemal każdego komina unosił się dym. Małe dzieci pod opieką znużonej starszej siostry biegały od jednego domu do drugiego, śmiechem witając przybyłych i komentując dziwny strój Caroline. Z ganku jednej z chat pomachała do nich ubrana w samodzielną suknię kobieta z niemowlęciem na rękach. Włosy miała skromnie schowane pod białym płóciennym czepkiem. Na jej twarzy malowała się ciekawość.

- Dzień dobry, Mary! - zawołał Daniel, unosząc dłoń.

- Pani Mathieson! - zawtórował kapitan Rowse, uchylając kapelusza.

Caroline wywnioskowała, że młoda kobieta także należy do rodziny jej siostry. Może jest jej szwagierką? Ucieszyła się, gdy Daniel nie zwolnił, lecz szybkim krokiem zdążył ku obrzeżom wioski.

Chaty w nieco chaotyczny sposób otaczały porośnięte trawą pole, zapewne należące do wspólnoty. Pośrodku wznosił się wielki prostokątny budynek z prawdziwymi szklanymi oknami. Widząc iglicę na dachu oraz niewielki cmentarz po lewej stronie, Caroline odgadła, że to kościół. Jej przypuszczenia potwierdziły się, gdy na schodach stanął duchowny w czarnym stroju i białej peruce.

Przypatrywał się im bez uśmiechu, choć w odpowiedzi na pozdrowienie Daniela uniósł rękę.

- Wielebny Miller wygląda, jakby zjadł dzisiaj coś kwaśnego - zauważył kapitan „Gołębicy”, kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od kościoła.

Daniel chrząknął.

- Pokłócili się z Mattem i teraz pastor niezbyt nas lubi. Uważa Matta za bezbożnika.

- Nie przypuszczam, żeby powiedział mu to prosto w oczy. - Kapitan się uśmiechnął.

Daniel potrząsnął głową.

- Aż tak szalony nie jest. Chociaż nie wątpię, że za dzień lub dwa przyjdzie do nas, żeby dowiedzieć się czegoś o niej. - Ruchem głowy wskazał Caroline.

Choć uznała to za obraźliwe, nie zareagowała. Po prawdzie, im bliżej byli miejsca przeznaczenia, tym większy ogarniał ją niepokój. Zbyt się denerwowała, by jeszcze wdawać się w kłótnie z towarzyszami. Czy Elizabeth serdecznie ją powita? A jeśli nie, co wówczas pocznie? Caroline zadarła podbródek, nie pozwalając sobie na dalsze spekulacje. Zostawili za sobą łąkę i teraz szli przez szerokie pola, wydarte dziewiczej puszczy, która mroczna i chłodna rozciągała się w odległości mniej więcej mili po obu stronach ścieżki. W cywilizowanej Anglii wsie były schludne i uporządkowane, łąki i dostatnie farmy otaczały niskie kamienne murki lub przycięte starannie żywopłoty. Zaskoczenie wywołane odkryciem, że drewniane szopy to w istocie domy, było niczym w porównaniu z szokiem, jaki przeżyła Caroline, kiedy sobie uświadomiła, że owo niewielkie skupisko podobnych do pudełek budynków oraz kościół to Saybrook. Całe Saybrook. Poza farmami nie było tu nic więcej.

Napotkali mężczyznę w skórzanej kurcie, który prowadził okulałego konia ku miasteczku. Daniel i kapitan Rowse wymienili z idącym słowa powitania, lecz nie przystanęli, by porozmawiać, mimo że nieznamy z ciekawością zerkał na Caroline i bez wątpienia chciał czegoś się o niej dowiedzieć. I znowu Caroline poczuła wdzięczność do swej eskorty za okazaną powściągliwość. W jaskrawoczerwonej pelerynie, która w Anglii niewarta była drugiego spojrzenia, tu wyróżniała się jak purpurowy kardynał w stadzie wróbli. Z trudem powstrzymała chęć, by naciągnąć kaptur głębiej na twarz, lecz duma nie pozwalała jej się kryć. - Tędy. - Daniel, który szedł przodem z kuframi na każdym ramieniu, skręcił z drogi na ścieżkę prowadzącą do lasu. Caroline, choć puszcza napawała ją strachem, nie miała wyboru. Podążyła za mężczyznami, kurczowo ściskając koszyk i z uwagą stawiając drobne kroki na wąskim szlaku.

Gdy ostrożnie weszła w las, ogarnęły ją ponure cienie. Drzewa były tu ogromne, gęste i splecione niczym palce listowie nie przepusz

czało słońca. Chłodne pędy winorośli ocierały się o jej twarz, powietrze wydawało się żywe od szczebiotu ptactwa i głosów zwierząt. Mężczyźni szli szybko, już prawie straciła ich z oczu. Zbierając się na odwagę - bo przecie nie po to tak daleko odjechała od domu i podjęła tak wielkie ryzyko, by powstrzymać ją miał las, choćby nie wiem jak budzący grozę - pośpieszyła za nimi. Jej towarzysze nie zadawali sobie trudu, by przytrzymywać gałęzie za sobą, Caroline musiała więc schylać się i omijać konary. Gruba witka, odbita od ramienia kapitana, uderzyła ją w twarz; dziewczyna z cichym okrzykiem złapała się za obolały policzek, obrzucając gniewnym spojrzeniem sprawcę, który maszerował dalej nieświadom niczego. A potem zniknął za zakrętem i Caroline została sama. Włosy zjeżyły jej się ze strachu, gdy pomyślała o zwierzętach, które być może w tej właśnie chwili głodnym wzrokiem obserwują ją z zarośli. Czy w Connecticut Colony są niedźwiedzie albo wilki? Zadrżała i zebrawszy spódnicę w jedną dłoń, prawie biegiem pośpieszyła za mężczyznami.

Wiele przeszła, przemierzając z ojcem Anglię wszerz i wzdłuż, i rzadko kiedy opływała w luksusy. Ojciec jednakże zarabiał na utrzymanie grą w karty lub w kości, a profesję tę z samej jej natury uprawiać można jedynie w miejscach cywilizowanych. Caroline bardzo wiele wiedziała o egzystencji miejskiej, za to niewiele o życiu na wsi, a to dzikie, prymitywne miejsce całkowicie wykraczało poza jej doświadczenia. Poczula dreszcz, rozglądając się po mrocznym lesie. Narastające od tygodni przekonanie, że postąpiła bardzo nierozważnie, decydując się na tę podróż, teraz przejęło władzę nad jej myślami. Cóż jednak innego jej pozostało? Pozbawiona środków do życia, do kogo miała się zwrócić o pomoc, dokąd pójść? W Anglii utrzymać się mogła w jeden tylko sposób - sprzedając swoje wdzięki, a na to nigdy by się nie zgodziła.

Daniel zatrzymał się na brzegu przesieki, kapitan Rowse już go doganiał. Caroline, przypominając sobie o niewieściej skromności, wypuściła z dłoni rąbek spódnicy i wyłoniła się spomiędzy drzew.

- Jesteśmy na miejscu. Bagaż zostawimy tu - Daniel pozbył się ciężaru z widoczną ulgą - aż Matt zdecyduje, co dalej robić.

- Rozsądna decyzja - oznajmił kapitan z aprobatą, stawiając niesiony przez siebie kufer obok dwóch pozostałych.

Z ich decyzji, by już tutaj zostawić bagaż, Caroline wywnioskowała, że obawiają się, iż całkiem niedługo będą musieli wędrować z nim tą samą drogą, którą przyszli. Znowu ścisnęło ją w dołku; uznali, że nikt nie powita jej z radością, i być może mieli rację. Lecz przecie Elizabeth na pewno ucieszy się na widok siostry, choć nie widziały się, odkąd Caroline skończyła siedem lat... czy to naprawdę minęło już piętnaście lat?

Caroline została krok czy dwa za mężczyznami, aby starannie poprawić kaptur i otrzepać się z liści i gałązek. Po raz pierwszy mogła spojrzeć na cel swej podróży, a widok ten przynajmniej w części dodawał otuchy. Chaty we wsi wydawały się niewiele lepsze od szop, ta farma natomiast wyglądała na wygodną i dostatnią.

Dom był piętrowy, miał wysokie i wąskie okna z szybkami oprawnymi w ołów oraz masywne drzwi. Szersze od parteru piętro zgodnie z intencją budowniczego chroniło dół przed złą pogodą. Służyło też zapewne jako punkt obserwacyjny i w razie potrzeby stanowiło idealne miejsce do ostrzelania intruzów, co w tak niespokojnym kraju zdarzało się chyba aż nazbyt często. Dom zbudowano z surowych belek, dwa wielkie kominy zaś, wznoszące się na obu końcach dachu, były z kamienia. Za domem znajdowała się stodoła z pomieszczeniem dla inwentarza. Mały chłopiec w koszuli z krótkimi rękawami karmił tam kury, dwaj mężczyźni pracowali na rozciągającym się dalej polu, a drugi, trochę starszy chłopiec mieszał coś w saganie wiszącym nad ogniskiem. U jego stóp leżał ogromny czarno-biały kundel, który na widok nowo przybyłych zerwał się na nogi z gwałtownym ujadaniem.

- Matt jest tam, na polu - wyjaśnił Daniel, machając do chłopca przy ognisku i ruszając we wskazanym kierunku. Caroline i kapitan Rowse poszli za nim.

- Uspokój się, Raleigh - ostro upomniał Daniel kundla, który z ujadaniem rzucił się ku nogom kapitana. Ten odepchnął go skórzanym butem; twarz Rowse'a nie wyrażała niepokoju, jakby był przyzwyczajony do ataków psa rozmiarami dorównującego małemu kucykowi. Raleigh okrążył całą trójkę, a później, ku przerażeniu Caroline, zwrócił uwagę na nią.

Nigdy dotąd nie miała do czynienia z psami, a ten akurat, poza ogromną postacią, posiadał imponującą liczbę ostrych i lśniących zębów.

Wszystkie upiornie wyszczerzył, po czym rzucił się na Caroline.

- Och! - Mimo wysiłków nie potrafiła powstrzymać krzyku.
- Niedobrze, jeśli boisz się psów, panienko - zauważył Daniel nieco rozbawionym tonem, gdy mocniej ścisnęła koszyk i obróciła się tyłem do bestii.
- Doprawdy? - W zwykłych okolicznościach jej głos brzmiał miękko, wręcz melodyjnie. Nieraz słyszała komplementy na temat jego piękna. Jednakże w tym momencie, gdy dokładała starań, by wydać się obojętną, a pies szarpał ją za pelerynę, jej głos można by określić jako skrzek. Żaden z mężczyzn nie wykonał ruchu, by ją ratować z opresji. Wprost przeciwnie, obaj z szerokimi uśmiechami przyglądali się nierównej walce. A gdyby potwór wbił kły w jej ciało, czy dalej tak by się

cieszyli? - zastanawiała się Caroline i zaraz odpowiedziała sobie, że chyba tak. Usiłując przezwyciężyć zdenerwowanie i rosnącą panikę, ostrożnie pociągnęła za pelerynę. Nadaremnie. Obrąbek zaczął się pruć, pies szarpnął mocniej - i wydarzyła się rzecz nie do pomyślenia, której Caroline obawiała się przez cały ranek. Kłapa koszyka, zamknięta na byle jaki skobel, uchylila się i ze środka wyrzwała pokryta czarnym futrem główka. Caroline wiedziała, co zaraz się stanie, i próbowała przytrzymać kotkę, lecz było za późno. Millicent w ułamku sekundy oceniła sytuację i miaucząc przeraźliwie, wyskoczyła z koszyka.

- Do licha, a cóż to...?

Jeśli nawet Daniel krzyknął coś jeszcze, Caroline tego nie słyszała. Raleigh na moment zastygł zaskoczony, zaraz jednak puścił pelerynę i rzucił się w pogoń za kotem. Gorączkowe ujadanie zmieszało się z krzykiem dziewczyny, gdy jej ulubienica cudem uniknęła psich kłów. Porzucając wszelkie myśli o godności i osobistym bezpieczeństwie, Caroline upuściła koszyk, uniosła spódnicę i pobiegła na odsiecz kotce. Millicent jednak wcale nie zamierzała czekać. Umknęła pod ogrodzeniem koło stodoły, Raleigh zaś przeskoczył nad nim.

- Millicent, stój!

Kotka zignorowała wołanie Caroline. Gdaczące kury rozpierzchły się na wszystkie strony przed dwójką zwierząt, które zygzakiem pędziły przez podwórze. Chłopiec upuścił garnek z karmą, gdy Millicent przebiegła mu między nogami; Raleigh w ostatniej chwili skręcił, inaczej przewróciłby dzieciaka na ziemię. Chłopiec z okrzykiem przyłączył się do pościgu.

- Millicent! Och, niechże ktoś zawoła tego psa!

Caroline złapała się sztachety i przeskoczyła na podwórze, na którym działy się dantejskie sceny z udziałem kur, dziecka, psa i kota. Za jej plecami Daniel wołał Raleigha, śmiejąc się do rozpuku. Pracujący na polu mężczyźni unieśli głowy i przypatrywali się niezwykłym zdarzeniom. Jeden zawołał coś, czego Caroline nie zrozumiała.

Millicent prześlizgnęła się pod płotem po drugiej stronie podwórka. Za nią biegli Raleigh i chłopiec, pościg zamykała Caroline. Uniesiona spódnicą odslaniała białą halkę i szczupłe łydki. Chłopiec zatrzymał się przy ogrodzeniu, najwyraźniej wystarczyło mu, że wisząc na furtce, obserwuje pędzące przez łąkę zwierzaki. Zawołał coś do Caroline, kiedy

ta gramoliła się przez płot. Tak zajęta była pogonią, że sens jego słów dotarł do niej dopiero wówczas, gdy była już niemal w połowie łąki.

- Uwaga na byka! - krzyczał chłopiec. Byk?

Pod Caroline ugięły się nogi. Rozejrzała się wokół, a to, co zobaczyła, sprawiło, że stanęła jak wryta i wypuściła z rąk spódnicę. Otworzyła usta, oczy z przerażenia o mało nie wyszły jej z orbit.

Istotnie, stał tam byk.

Czarny jak szatan, potężny kolos, wpatrywał się w nią z odległości zaledwie kilkunastu kroków.

Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, Caroline i byk nie odrywali od siebie oczu. Potem, uznając słuszność porzekadła, iż odwaga powinna iść w parze z rozsądkiem, Caroline złapała spódnicę, okręciła się na pięcie i popędziła ku ogrodzeniu. Czerwona peleryna łopotiała niczym flaga.

Za nią z przerażającym rykiem zerwał się do biegu czarny potwór.

- Biegnij!

Chłopiec na płocie dodawał jej otuchy, lecz ledwo go słyszała. Była oślepiona i ogłuszona strachem. Oczy miała utkwione w płocie, w uszach jej huczało od głośnego oddechu byka.

- Szybko! Szybko!

Caroline nie potrzebowała zachęty. Tego ranka nie dorównałby jej najlepszy goniec w całym Londynie. Biegła w stronę płotu niczym chart. Za plecami słyszała ryki i głuchy tupot racic.

Krzyknęła, chłopiec na wrotach zawtórował. Z każdej strony na podwórze schodzili się mężczyźni.

Caroline wydało się, że czuje gorący oddech zwierzęcia na karku.

- Peleryna! Rzuć pelerynę! - wrzasnął Daniel, biegnąc jej na pomoc.

Jedną dłoń zacisnęła na spódnicy - potknięcie się w tych okolicznościach mogło zakończyć się tragicznie - drugą zaś rozwiązała tasiemki peleryny, która opadła zaraz na ziemię.

- Doskonale!

Przerażenie dodało jej stopom skrzydeł, była już niemal przy wrotach.

Daniel, siedząc na płocie, złapał ją za rękę i podciągnął do góry. Suknia zaczepiła się o coś, rozległ się trzask rozdieranej tkaniny, a Caroline

pofrunęła w powietrze, by z głuchym tąpnięciem spaść w błoto
pokrywające podwórze.

Kiedy tak leżała, z trudem łapiąc oddech i czując ból w całym ciele,
dosłownie znikąd pojawiła się Millicent i zaczęła ocierać się o swoją
panią. Z lasu za pastwiskiem dobiegało gorączkowe ujadanie Raleigha,
wciąż szukającego kotki, która w typowy dla swego gatunku, tajemniczy
sposób wyprowadziła go w pole. Caroline nie miała nawet sił, by jęczeć,
w przeciwieństwie do Millicent, która głośno mruczała.

3

Przez czas, który wydawał się jej wiecznością, Caroline leżała bez ruchu, słysząc kojące pomruki Millicent. Serce wciąż jej waliło, choć z wolna wracało do normalnego tempa. Upadek pozbawił ją tchu, otarte o kamyki dłonie i twarz piekły; miała wrażenie, że jest posiniaczona na całym ciele. A co gorsza, była przekonana, że kiedy otworzy oczy, ujrzy nad sobą ogromny pysk pełen potężnych zębów, czemu z uśmiechem przyglądać się będą właściciele potwora, z" których żaden najwyraźniej nie zamierzał nawet kiwnąć palcem w jej obronie.

W końcu jednak nie mogła dłużej odwlekać nieuniknionego. Przytuliła Millicent do obolałych żeber, z ociąganiem otworzyła oczy, ostrożnie przekreśliła się na bok i rozejrzała. Psa nigdzie nie było widać. Caroline odetchnęła z ulgą. Poza przyglądającym się jej z niesmakiem chłopcem, który karmił kury, nikogo nie było obok. Caroline z wysiłkiem usiadła. - Ona żyje, tatusiu - odezwał się chłopiec. Włosy, czarne i błyszczące jak jedwab, opadały mu na oczy strzępiastą grzywką, która aż prosiła się o nożyce. W spodniach na kolanie miał dziurę. Wyglądał na zaniedbanego, jego manierom wiele można by zarzucić. Ale chwalić Pana, to nie jej sprawa.

Mrużąc oczy przed słońcem, za plecami urwisa zobaczyła opartych o płot pięciu dorosłych mężczyzn i chłopca, który wcześniej gotował coś nad ogniskiem. Na pastwisku byk prychał i tupał, rozdierając rogami resztki peleryny. Mężczyźni spoglądali na zwierzę z troską, od której serce by rosło, gdyby to Caroline była jej powodem, lecz w tej sytuacji budziła tylko złość.

Na słowa chłopca wszyscy odwrócili głowy i sześć par oczu spoczęło z dezaprobatą na dziewczynie. Jej uwagę przyciągnął najstarszy z trzech mężczyzn, których jeszcze nie poznała. Jeśli domyślała się słusznie, to jego Daniel nazywał Mattem. Nie kryjąc wrogości, patrzyła, jak Ephraim Mathieson zbliża się ku niej.

Wysoki, wyższy od Daniela, obok którego stał przy płocie, miał szerokie ramiona i klatkę piersiową, wąskie biodra i muskularne nogi. Podobnie jak chłopcy nie nosił kurtki ani kamizelki. Ubrany był w białą koszulę z długimi rękawami i bez kołnierzyka, czarne spodnie, które kończyły się tuż za kolanami, pończochy z szarej wełny oraz proste skórzane trzewiki

o kwadratowych obcasach. Nie miał kapelusza, jego włosy, smoliście czarne, połyskiwały granatem w jasnym słońcu i były równie piękne i niezwykle co włosy Caroline. Podobnie jak Daniel, Matt też nosił je ostrzyżone na krótko, w stylu Okrągłych Głów, w jego przypadku jednak loki skutecznie sprze-ciwiały się skromności.

Choć Caroline jeszcze uważnie mu się nie przyjrzała, doszła do wniosku, że mąż jej siostry jest niezwykle przystojnym mężczyzną.

Dopiero kiedy podszedł bliżej, spostrzegła, że szwagier kuleje. Nie zginał lewej nogi w kolanie, tylko niezgrabnie nią powłóczył. Wzrok Caroline nieco złagodniał. Dla tak energicznego mężczyzny podobna przypadłość musi być straszna.

Zatrzymał się o kilka kroków przed nią, oparł pięści na biodrach i przypatrywał się jej ze zmarszczonym czołem. Świadoma własnych braków, mogła tylko powstrzymać grymas. Wysoka i szczupła, niegdyś miała krągłości we wszystkich tych miejscach, gdzie niewiasty winny je mieć. Trudy podróży oraz poprzedzające wyjazd z Anglii przygnębiające miesiące sprawiły, że krągłości zniknęły i Caroline była niemal boleśnie chuda. Na nieszczęście suknia - najlepsza, urocza, ze szmaragdowego jedwabiu - uszyta została w lepszych czasach. Teraz wisiała na niej jak na wieszaku, okrągły dekolt odsłaniał więcej, niż powinien, rękawy i talia opadały, spódnica była za długa. Prawdę mówiąc, wyglądała jak suknia ze starszej i postawniejszej siostry, a w dodatku była jeszcze podarta i brudna. Włosy, przedtem zwinięte w schludny węzeł na karku, teraz gęstymi czarnymi pasmami opada-ły na plecy i policzki, rozerwana spódnica odsłaniała nogi niemal do kolan - biorąc to wszystko pod uwagę, biedaczka uświadomiła sobie ze zgrozą, że musi przedstawiać doprawdy interesujący widok.

Matt z dezaprobatą spoglądał na jej gołe nogi i Caroline na nowo poczuła wrogość do niego.

- Pan Ephraim Mathieson? - zapytała lodowatym głosem.

Matt kiwnął głową. Dziewczyna, nie zważając na ból wszystkich mięśni, z wysiłkiem podniosła się na nogi, jedną ręką próbując bez większego powodzenia otrzepać suknię z błota, drugą trzymając moc

no Millicent. Kotka płonącem wzrokiem wpatrywała się w mężczyznę; Caroline ledwo zapanowała nad pragnieniem, by zrobić to samo. Starła się doprowadzić swój wygląd do porządku, gniewnie szar-piąc niesforne odzienie. Wycięty stanik sukni zsunął się jej z ramienia, odsłaniając fragment bielizny i o wiele więcej kremowej skóry, niż Caroline by chciała. Nic też nie mogła poradzić na rozdarcie spódnicy, które pokazywało światu obfite fałdy batystowej halki. A co do fryzury, to skoro Caroline w objęciach tuliła kotkę, zmuszona była zostawić włosy w nieładzie. Unosząc podbródek (usiłowała nie myśleć, że twarz ma tak samo brudną jak suknię), spojrzała szwagrowi w oczy. Nigdy w życiu nie znajdowała się w równie niekorzystnym położeniu, ale wprawdzie ją powieszają, niż to okaże!

- Możesz uważać za wielkie szczęście, panienko - przemówił Mathieson głębokim, szorstkim głosem - żeś nie uczyniła żadnej krzywdy mojemu bykowi.

Tego było aż nadto, i to po wszystkim, co musiała tu znieść! Głośno wciągnęła powietrze, na próżno starając się zapanować nad sobą.

- Ja miałabym uczynić krzywdę pańskiemu bykowi! - rzuciła z oburzeniem. - Ta bestia o mało mnie nie zabiła! Do diabła z pańskim przeklętym bykiem, tyle panu powiem!

- Powściągnij swój plugawy język, kobieto!

Dochodzący zza jej pleców donośny głos sprawił, że Caroline podskoczyła, o mało nie wypuszczając z rąk Millicent. W ostatniej chwili przytrzymała wyrywającą się na wolność kotkę i odwróciła głowę. W odległości kilku kroków od siebie ujrzała wielebnego Millera, który stanął jak wryty na dźwięk jej ostrej odpowiedzi. Jego surowe rysy wyrażały gniew, od białych loków peruki odbijała się czerwona twarz.

- A niech to! - mruknęła Caroline. Nieoczekiwane pojawienie się pastora zbiło ją z tropu. Słowa, które przed chwilą wykrzyczała, przeraziły ją niemal tak samo jak duchownego. Do tej pory sądziła, że trudy i cierpienia raz na zawsze stłumiły w niej skłonność do wybuchów złego humoru i mówienia tego, co myśli. Dlaczego zarówno pastor, jak i jej przyszła rodzina musieli być świadkami nawrotu dawnej impulsywności?

- Więc nie tylko jesteś złodziejką, ale i bluźnierczynią, nie tylko ladaczną, lecz i kłamczuchą! - grzmiał duchowny z wielkim oburzeniem. Potem przeniósł płonący gniewem wzrok na stojącego za Caroline mężczyznę. - Ephraimie Mathieson, jeśliś jeszcze nie wygnał tej bezwstydnicy, musisz uczynić to teraz, i to publicznie! Kiedy jedna owieczka z mej trzódki opowiedziała mi o jej występny zachowaniu na statku, wzdrygnąłem się i pośpieszyłem, by cię ostrzec! Jednakże przestrogi nie są potrzebne, zdradził ją własny język!

Oskarżenia wielebnego drżały w powietrzu. W oczach Caroline błysnął płomień; otworzyła usta, by bronić się słowami o wiele mocniejszymi, niż pozwalała na to przezorność. Zanim wszakże zdążyła wypowiedzieć choćby sylabę, powstrzymał ją ostrzegawczy dotyk silnej, ciepłej dłoni na ramieniu.

- Wam też życzę dobrego dnia, panie Miller.

Pozdrowienie, z jakim Matt zwrócił się do pastora, było zimne i ironiczne, lecz Caroline ledwo zwróciła na to uwagę, skupiona na nieprzyjemnym dreszczu wywołanym dotknięciem dłoni szwagra. Wyzwalając się z uścisku, zadawała sobie pytanie, czy kiedykolwiek przestanie odczuwać wstręt, czując na sobie męską rękę. Kiedy niemiły jej kontakt został zerwany, znowu mogła się skupić na wymianie zdań pomiędzy mężczyznami.

Dopiero teraz dostrzegła, że wyraz twarzy Matta jest jeszcze bardziej nieprzyjemny niż jego głos, a w oczach szwagra malowała się zimna pogarda, choć w żaden sposób nie zepsuło to mrocznego piękna jego rysów, które mogłyby zdobić klasyczne posągi. Kości policzkowe i szczęka wyszły spod dłuta mistrza, nos miał prosty, usta ładnie wykrojone, z dolną wargą nieco pełniejszą od górnej. Oczy, osadzone nisko pod prostymi i gęstymi czarnymi brwiami, mieniły się błękitem, a ich jasna barwa kontrastowała z ogorzałą cerą. Jedyne blizna, biała i poszarpana, przecinająca lewy policzek od kącika oka do ust, wprowadzała element dysharmonii. Gdyby nie ona, Caroline uznałaby go za najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego w życiu spotkała. Na szczęście Matt nieświadom był jej myśli. Całą uwagę skupił na wielebnym.

- Nakazuję ci, byś zaprowadził porządek w swoim domu, Ephraimie Mathieson, i potępił tę grzesznicę! - zagrział pastor.

Usta Matta zacisnęły się, oczy zwęziły.

- Nie będziesz mi mówił, jak mam załatwiać sprawy w moim domu, Joachimie Miller. Ani też rozkazywał, bym potępił obcą mi osobę, nie mając żadnego dowodu jej przestępstwa.

- Dowody? - powtórzył Miller gniewnie. - Dowód jej bluźnierstwa sam słyszałem na własne uszy. Co do kradzieży i kłamstwa, mam na to świadectwo pasażerów „Gołębicy"! Sam zapytaj Tobiasa, nie wątpię, że potwierdzi całą opowieść. Jeśli zaś chodzi o jej złe prowadzenie się, to przypatrz się tylko, jak pokazuje swoje wdzięki w tej ohydnej sukni. To obraza przyzwoitości! Powinno się ją odesłać z powrotem do tej sodomy, z której przybyła!

- Ufam, iż sam potrafię rozwiązywać swoje sprawy, rady nie są mi potrzebne.

- Ośmielasz się sprzeciwiać słowu Boga?

- Z chęcią wysłucham słów Boga, ale nie twej gadaniny! Zejdź mi z oczu, panie Miller, póki jeszcze możesz!

- Więc teraz posuwasz się tak daleko, by grozić duchownej osobie!

Odpowiesz za swoje czyny, Ephraimie Mathieson! - Pastor, któremu broda drżała z gniewu, odwrócił się gwałtownie. - Będiesz żałował tego dnia, przyrzekam!

Jego sutanna załopotowała, gdy pomaszerował przez podwórko, z wielkim pośpiechem kierując się ku ścieżce pomiędzy drzewami.

- Matt, to wielka nierozwaga czynić sobie wroga z wielebnego Millera - przemówił Daniel niespokojnie.

W czasie rozmowy szwagra z pastorem Caroline nie uświadamiała sobie obecności innych osób, teraz jednak zobaczyła, że półkolem otaczają ich Daniel, mężczyzna młodszy od niego i bardzo podobny, zapewne kolejny brat, trzeci mężczyzna o piaskowych włosach i niemiłym uśmiešku, oraz dwaj chłopcy. Tobias Rowse stał nieco z boku, kręcąc głową z namysłem.

- Daniel ma rację - odezwał się mężczyzna o piaskowych włosach. Matt wzruszył ramionami, ostrzeżenia najwyraźniej nie robiły na nim żadnego wrażenia. Zwrócił się ku Caroline. Błękitne oczy spotkały się z bursztynowymi.

- Zawsze sprawiasz tyle kłopotu, panienko? - zapytał po chwili.

Caroline dumnie uniosła głowę. Ephraim Mathieson bez wątpienia był równie niecywilizowany co kraj, w którym żył!

- Nie sprawiam żadnych kłopotów, jeżeli nie dokuczają mi wściekłe psy, szarżujące byki oraz nieuprzejmi ludzie - odparła ostro. Raz utraciwszy panowanie nad maską, która, jak sądziła, stała się już jej drugą naturą, nie potrafiła jakoś odzyskać nad sobą kontroli.

Matt chrząknął. Daniel chciał coś powiedzieć, ale brat uciszył go machnięciem dłoni.

- Z tego, co brat mój oraz Tobias zdążyli mi przekazać, wnoszę, iż dzisiaj rano przybyłaś z Anglii i twierdzisz, że jesteś blisko związana z naszą rodziną. Skoro już wszystkich nas oderwałaś od pracy i stałaś się powodem takiego zamieszania, które mam nadzieję, już się nie powtórzy, to może zechcesz nam wszystko wyjaśnić?

Oczy Caroline błysnęły; miała wielką ochotę pokazać, że potrafi używać ostrych słów. Zamiast tego jednak wzięła głęboki oddech, bo nagle

dotarło do niej, że zrażanie sobie człowieka, którego po-moc jest jej tak bardzo potrzebna, świadczyłoby o głupocie. Co po-cznie, jeśli mąż jej siostry każe jej się spakować? Nie mogła znieść tej myśli.

- Jestem siostrą Elizabeth - oznajmiła spokojnie. - Nazywam się Caroline Wetherby.

Podobny do Daniela młodzieniec mruknął coś zdziwiony, chłopcy otworzyli szeroko oczy. Matt wolno przesunął wzrokiem po jej twarzy.

- Dostrzegam niewielkie podobieństwo.

- Uwierz mi, mówię prawdę. Mam dokumenty potwierdzające moją tożsamość. A Elizabeth bez wątpienia mnie pozna.

- A, więc niedawno się z nią widziałaś?

- Wiesz doskonale, że nie widziałam jej od piętnastu lat - odparła Caroline z gniewem. - Od czasu, kiedy z tobą uciekła, jeśli chodzi o ścisłość.

Usta mu drgnęły, zaraz jednak znieruchomiały. Z jego twarzy nic nie mogła odczytać.

- Mówiła o tobie.

Fakt, iż szwagier potwierdził jej tożsamość, choć niewiele znaczący, gdy wziąć pod uwagę to, czego się od niego spodziewała, sprawił Caroline wielką ulgę. Do chwili, gdy dokładnie pojęła sens jego słów.

- Mówiła o mnie? - powtórzyła ostrożnie, na kręgosłupie czując dreszcz przerażenia. - Ale już tego nie czyni?

- Nie dostałaś mojego listu?

- Nie, żadnego listu nie otrzymałam.

- Napisałem go w zeszłym roku. Do ciebie i twojego ojca. Nie towarzyszy ci?

- Umarł ponad dwa miesiące temu.

- Ach, przyjmij więc moje wyrazy współczucia.

- Dziękuję.

W błękitnych oczach Matta dostrzegła czujność; sprawiał wrażenie, jakby ważył następne słowa. Jego zachowanie oraz pełne namysłu milczenie pozostałych potwierdziło najgorsze podejrzenia Caroline.

- Elizabeth nie żyje, prawda? - Mimo że czuła, jakby ogromna dłoń ścisnęła jej serce, głos miała spokojny.

Usta Matta zacisnęły się mocno; raz tylko kiwnął głową. -Tak.

- O nie. - Caroline zamknęła oczy, gwałtownie wciągając powietrze, by zwalczyć mdłości, które ogarnęły ją gwałtowną falą. - Nie! - Mężczyźni obserwowali ją w milczeniu. Po chwili uniosła powieki i spojrzała na nich wstrząśnięta. - Jak... jak umarła?

- Utopiła się - odparł Matt krótko. - W maju będą dwa lata.

- Och nie! - Caroline zabrakło słów. Dzieci, mężczyźni - twarze obecnych nagle straciły kontury i stały się zamazanymi plamami.

Kręciło się jej w głowie na myśl o długiej drodze, którą przebyła, o wielkim ryzyku, jakie podjęła. Wszystko na próżno, na próżno, powtarzała w duchu. Żołądek podszedł jej do gardła; zacisnęła zęby, zdecydowana się nie poddawać, tym razem jednak mdłości okazały się

silniejsze. Głośno wciągając powietrze, na oślep wepchnęła Millicent zaskoczonemu Ephraimowi Mathiesonowi w ramiona. Przycisnęła dłoń do ust i szybko się odwróciła, w pośpiechu szukając jakiegoś ustronnego miejsca.

W pobliżu wznosiła się stodoła; ledwo Caroline skręciła za róg, opadła na kolana i gwałtownie zwymiotowała. Potem poczołgała się w chłodny cień budynku i usiadła, opierając głowę o szorstkie drewno. Nigdy dotąd nie czuła się taka nieszczęśliwa, taka biedna, zarówno pod względem fizycznym, jak i duchowym.

Elizabeth umarła! Caroline nie miała sił oplakiwać siostry. Myślała tylko o sobie: samotna, bez środków do życia, rzucona w obcy kraj, gdzie nie ma ani jednej przyjaznej duszy. W Anglii spaliła za sobą wszystkie mosty, lecz nawet gdyby tego nie uczyniła, czym zapłaciłaby za powrót? Czy pozostało jej jakieś inne wyjście poza zdaniem się na łaskę i niełaskę nieprzyjaznego szwagra?

Aż się skuliła na tę myśl.

Zza węgła stodoły wyłonił się obiekt jej rozmyślań. Caroline patrzyła, jak się ku niej zbliżał, powłócząc lewą nogą; bez wątpienia nie mógł znieść tego kalectwa. Wreszcie stanął nad nią. Przez chwilę milczała. Powrót do terażniejszości wymagał sporego wysiłku.

- Co zrobiłeś z moją kotką? - Poza Millicent nikogo nie miała na tym świecie; dobro zwierzęcia było pierwszą kwestią, jaka przyszła jej na myśl.

- Daniel ją ma. Jest bezpieczna. - Przyjrzał się jej uważnie, a potem wyciągnął z rękawa białą szmatkę i podał Caroline. - Wytrzymaj twarz. Po krótkim wahaniu posłuchała go, a później machinalnie oddała mu zgnieciony w kulkę kawałek tkaniny. Jedynie nieznaczny grymas zdradzał niesmak, z jakim Matt przyjął szmatkę i wepchnął za pasek.

- Tak jest lepiej. - I znowu przyjrzał się jej przez zmrużone powieki. - Pamiętam twego ojca, tego szalonego rojalistę. Przypominasz go z wyglądu. Żywię nieśmiałą nadzieję, że podobieństwo nie sięga głębiej, aczkolwiek wszystko wskazuje na to, że się mylę. Tobias powiedział mi, że przybyłaś tu, by z nami zamieszkać. Dodał też, że jestem mu winien pieniądze za twój przejazd, i okrasił to historyjką, której z trudem daję wiarę. Nie mam cierpliwości do złodziei, ale nie mogę sprawiedliwie cię

potępić, wprawdzie nie wysłuchawszy tego, co masz na swoją obronę. Oto więc twoja szansa, panno Caroline Wetherby: opowiedz mi wszystko, a ja cię wysłucham. Niczego więcej nie mogę ci obiecać.

4

Nie waz się mówić źle o moim ojcu! Oczywiście Caroline płonęły, gdy broniła honoru swego rodziciela, który, musiała to przyznać, nie odznaczał się spokojnym usposobieniem i posiadał mnóstwo innych wad, ale którego mimo to gorąco kochała.

- Czyżby? Przecież to szczerza prawda, choć nie zamierzamy dyskutować o charakterze Marcellusa Wetherby'ego.

Caroline z wysiłkiem wstała i zacisnęła dłonie w pięści.

- Nie będę słuchać, jak brukasz jego pamięć. Był dobrym człowiekiem, uprzejmym i serdecznym!

- Był nieodpowiedzialnym rozpustnikiem, który związał się ze zdeprawowanym królem, a to jeszcze nie wszystkie jego wady - odparł Matt sucho.

- Piękna przemowa z ust potomka królobójców! Nie wątpię, że inaczej byś śpiewał, gdyby król Karol nie uznał za stosowne skonfiskować majątków wszystkich zdrajców!

Zgodnie z tym, co opowiadał ojciec Caroline, rodzina męża jej siostry straciła ziemię i fortunę, gdy po śmierci Cromwella na tron powrócił prawowity monarcha. Przez kilka następnych lat niegdys potężni Mathiesonowie ledwo wiązali koniec z końcem, żyjąc na farmie jednego ze swych dawnych dzierżawców. Później ojciec, zagorzały pu-rytanin, umarł, a Ephraim - lub Matt, jak go nazywano - jako nowa głowa rodu podjął decyzję o opuszczeniu kraju. Nie wiadomo, ilu członków rodziny wypłynęło razem z nim; wśród nich znalazła się też Elizabeth Wetherby, wówczas dwudziestoletnia. Czynem niezbyt taktownym było rzucanie takich wspomnień w twarz człowiekowi, którego pomocy potrzebowała, Caroline uświadomiła to sobie, nim jeszcze skończyła mówić, ale gniew zawładnął jej językiem i słowa rozbrzmiały, nim zdążyła nad sobą zapanować.

Na szczęście Matt zachował spokój.

- Królobójcy mieli rację. Król Karol tkwił w wielkim błędzie, a jego syn ulepiony jest z tej samej gliny. Nie będę jednak dyskutował o takich sprawach z dzieckiem, którego jeszcze na świecie nie było, kiedy zaczął się cały ten zamęt. Możesz mi za to wyjaśnić, co skłoniło cię do przyjazdu do Connecticut Colony. Czy w Anglii nie było nikogo, do kogo mogłabyś się zwrócić po śmierci ojca?

Caroline spoglądała na niego z gniewem, przezorność jednak kazała jej zaprzestać kłótni.

- Nie - odparła krótko.

- Piękna młoda niewiasta jak ty bez wątpienia musiała mieć przynajmniej jednego konkurenta do ręki. Nie mogłaś wyjść za mąż?

- Nie miałam chęci do małżeństwa.

- Zamiast tego wolałaś wypuścić się w niebezpieczną podróż do dzikiego kraju, żeby zamieszkać u obcych? - Matt z niedowierzaniem uniósł brwi.

- Elizabeth jest... była... moją jedyną krewną. Pragnęłam ją odnaleźć, zamieszkać z nią. Więc przyjechałam tutaj. Gdybym wiedziała... o jej śmierci, poszukałabym innego rozwiązania.

- Rozumiem. Doszliśmy więc do sedna całej sprawy. Za podróż zamierzałaś zapłacić bezwartościową błyskotką. Chciałbym teraz usłyszeć, czy wiedziałaś, że kamienie są fałszywe.

Oczy Caroline błysnęły.

- Nie.

- Mów prawdę, pamiętaj. Nie mam sympatii do kłamców.

- Nie kłamię!

Matt przyglądał się jej z namysłem.

- Tobias pokazał mi broszę. To śliczny klejnot, niezwykle. Tak niezwykle, że w istocie przywołuje pewne wspomnienie: wiele lat temu Elizabeth opowiedziała mi o broszy w kształcie pawia, takiej samej jak twoja, którą wasz ojciec oddawał w zastaw, gdy brakowało mu gotówki. Na szczęście zwykle wygrywał, mówiła Elizabeth, ponieważ kamienie były fałszywe i wasz ojciec zawisłby na szubienicy, gdyby to się wydało. Cóż za interesujący zbieg okoliczności, że obie brosze mają taki sam kształt, nie sądzisz?

Caroline miała wrażenie, że wzrok szwagra przepala ją na wylot. Musiała walczyć z pragnieniem, by zamknąć powieki przed tym przenikliwym spojrzeniem. Zamiast tego zgrzytnęła zębami i podniosła głowę.

- Doskonale. Wiedziałam - odparła szorstko. -Aha.

- A cóż to właściwie ma znaczyć?

- To znaczy, że lepiej będzie, jeśli opowiesz mi całą historię, póki jeszcze masz szansę. Nie zamierzam brać na barki odpowiedzialności za ciebie.

Już mówiłem, że nie mam serca do kłamców, a jeszcze mniej lubię złodziei.

Gorycz wykrzywiła usta Caroline.

- Chcesz usłyszeć całą historię? Więc dobrze, opowiem ci. Przez ostatnie dwa lata ojciec chorował i nie był w stanie zapewnić nam utrzymania.

Zajęłam się szyciem, co dawało niewielki doprawdy dochód i wystarczało ledwo na czynsz, na jedzenie już nam brakowało.

Musieliśmy sprzedać wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, lecz i tego było za mało. Właściciel, od którego wynajmowaliśmy pokoje, nabrał do mnie upodobania i w ostatnich miesiącach nie żądał od nas czynszu. Po śmierci ojca zaczął domagać się, bym zapłaciła. Własną... osobą.

Caroline przerwała, nie mogąc mówić dalej, bo zalała ją fala okropnych wspomnień. Dłonie Simona Denkera na jej ciele, jego usta, cuchnące i mokre, siłą wyciskające pocałunki na jej ustach. Zagryzając wargi, walczyła ze łzami. Już i tak dostatecznie się poniżyła, płakać nie będzie. Matt przyglądał się jej z namysłem.

- Nie musisz tak na mnie patrzeć! - wybuchnęła. - A co ty byś zrobił na moim miejscu? Użycie szczęśliwej broszki papy nie wydałoby ci się tak straszne, gdybyś stał przed takim wyborem jak ja!

Zdawał się rozważać jej słowa. Potem skinął głową.

- Wybrałaś mniejsze zło. Choć byłoby lepiej, gdybyś nie kłamała, gdy cię o to zapytano.

Roztrzęsiona Caroline głośno wciągnęła powietrze. Jak zawsze gdy wracały wspomnienia tamtego dnia, czuła się dziwnie słaba i chora. Zachwiała się i poszukała oparcia, kładąc dłoń na ścianie stodoły. Z urazą spoglądała na szwagra. Jakże łatwo okazywać nieprzejednaną postawę moralną, kiedy człowiek nie jest w rozpaczliwej potrzebie!

- Czy taka świętoszkowatość przychodzi ci bez trudu, czy też musisz nad nią pracować, panie Mathieson?

- Na twoim miejscu trzymałbym ten złośliwy język za zębami. -Lekkie rozbawienie rozjaśniło mu twarz. -I nie próbuj zemdleć, jeśli taką następną sztuczką zamierzałaś zdobyć moje współczucie. Już zdecydowałem, że zapłacę Tobiasowi za twoją podróż.

- Jakaż to z twej strony wielka uprzejmość. - Sarkazm nadał grzecznym słowom lodowate brzmienie. Caroline oderwała się od ściany i stanęła sztywno. Nie upadnie, nawet jeśli utrzymanie się na nogach miałoby ją zabić. - Ale doprawdy zbędna. Doszłam do wniosku, że twoja pomoc nie jest mi potrzebna.

Chłodna postawa była niczym balsam na jej zranioną duszę. Duma i gniew mogły stłumić zdrowy rozsądek, w tej chwili wszakże Caroline mówiła to, co myślała.

- Jeśli nie zapłacę Tobiasowi za podróż, on zaprowadzi cię przed oblicze rady i sprzeda jako poddaną służącą, by odzyskać poniesione przez siebie koszty.

Caroline była dumna, ale nie głupia. Spokojne słowa Matta wstrząsnęły nią do głębi.

- Przecież taka rzecz nie może być zgodna z prawem?

- Zapewniam cię, że jest.

- Oczywiście, w takim barbarzyńskim kraju! Czy wy, Okrągłe Głowy, poza niewolnictwem praktykujecie jeszcze inne grzeszne postęпки? - zapytała gorzko.

Matt przymrużył oczy.

- Dam ci radę, dziewczyno. Nie powtarzaj swoich rojalistycznych bredni na tym brzegu oceanu. Taką pustą gadaninę surowo tutaj karzemy.

- Muszę więc żyć w strachu przed ludźmi pokroju waszego skwa-szonego wielebnego?

- Dość! Nie będę dłużej tolerował takiej bezczelności, ostrzegam cię! Jeśli masz zamieszkać w mym domu, musisz zachowywać się przyzwoicie. Co oznacza, a są to warunki podstawowe: żadnych kradzieży, żadnych kłamstw, żadnych bluźnierstw i żadnych rojalistycznych herezji.

Gdyby Caroline mogła to zauważyć, dostrzegłaby żartobliwy błysk w jego oczach. Na nieszczęście nie mogła.

- Może to cię zdziwi, ale nie mam najmniejszej ochoty zamieszkać pod twym dachem! - odparła przez zaciśnięte zęby, daleko odrzucając zdrowy rozsądek. Zaskoczyło ją, jak świetnie się przy tym poczuła.

- Czy to znaczy, że wolisz zostać poddaną służącą? - Matt uniósł brwi.

- Wolę znaleźć sobie jakieś zatrudnienie. Ciężka praca nie jest mi obca.

Umiem gotować, prowadzić dom i szyć. Jeśli oddasz kapitanowi pieniądze, spłacę cię z moich zarobków tak szybko, jak tylko będę mogła. Z twojej strony będzie to jedynie pożyczka.

Matt prychnął.

- A jak przypuszczasz, kto tutaj zatrudni arogancką, dziwacznie ubraną kobietę o rojalistycznych poglądach? Umrzesz z głodu, nim cokolwiek zarobisz.

- Odznaczasz się niezwykłym brakiem dobrych manier, szanowny panie!

- Powiedziałbym, że w takim razie stanowimy dobraną parę. Jako siostrze mej zmarłej żony i ciotce mych synów gotów jestem zapewnić ci dach nad głową. Będziesz pracować, by zarobić na chleb i oddać mi pieniądze, które zapłacę Tobiasowi za podróż. Potrzebna nam jest kucharka i gospodyni. Proszę tylko o jedno: żebyś nie przysparzała nadmiernych kłopotów. Nie będę codziennie znosić tych samych głupstw, co dzisiaj rano.

- Głupstw! - I nim Caroline zdążyła powiedzieć więcej, a zamierzała sporo, z podwórka dobiegł głośny hałas. Zesztywniała, gdy zza węgła wypadła Millicent, ścigana przez ujadającego psa. Dostrzegłszy swą panią, kotka zygzakiem pobiegła ku niej, po czym wbijając pazury w suknię i drąc materiał, wdrapała się jej na ramię. Nastroszyła ogon i prychała, patrząc z góry na napastnika. - Odejdź! Sio! - zawołała Caroline, jedną ręką przytrzymując kota, drugą zaś wyciągając w desperackiej próbie powstrzymania psa.

- Raleigh, stój! - zagrział Matt, lecz było już za późno. Raleigh skoczył. Uderzył w dziewczynę z siłą rozpędzonego wozu

i powalił ją na ziemię. Caroline krzyknęła, Millicent zamiauczała i machnęła łapką z ostrymi jak brzytwa pazurkami. Raleigh zaskomlał, a Matt ryknął. Tupot zwiastował pojawienie się reszty rodziny.

Podczas gdy Caroline po raz kolejny leżała oszołomiona na ziemi, kotka wdrapała się po ścianie stodoły, nie zważając na histeryczne ujadanie Raleigha. Widzowie pokrzykiwali, śmiali się i łapali wyrywającego się psa.

Po raz drugi tego dnia rozpętało się piekło.

5

Leżeć, Raleigh! Dość już tego! - ryknął zdesperowany Matt i chwycił oszalałe zwierzę za kark.

Rozpoznając głos pana, pies ucichł i ułożył się u jego stóp. Millicent ze złośliwą satysfakcją obserwowała klęskę swego prześladowcy, a gdy nabrała pewności, że już nic jej nie grozi, usiadła i spokojnie zaczęła myć sobie pyszczek. Caroline usiadła z trudem, energicznie pocierając obolałe pośladki. Uświadamiając sobie nagle, że jest powodem niezwyklej wesołości obserwującej ją gromadki, znieruchomiła zakłopotana.

- Przeklęty kot! Powinienem któremuś z marynarzy kazać wyrzucić go za burtę! Od samego początku sprawiał same kłopoty! - Kapitan Rowse, jedyny poza Mattem mężczyzna, który nie dławił się od powstrzymanego śmiechu, podszedł do Caroline i podał jej rękę. Spojrzała na niego z irytacją, bo był niemal tak samo nieprzyjemny w kwestii przesznurowanej na pokład kotki, co bezwartościowej broszy, i zimno odrzuciła propozycję pomocy, podnosząc się na nogi o własnych siłach.

- Millicent na pokładzie nie sprawiała żadnych kłopotów! - zaprotestowała z żarem.

- Nie? A czy nie jest prawdą, że przez cztery dni tkwiliśmy w ciszy morskiej i musieliśmy machać wiosłami, omal nam się nie połamały? A czy mąka nie zapleśniała i nie trzeba było jej wyrzucić? A czy zrobiony dla Goody'ego Shoemakera fotel nie rozpadł się, kiedy przetoczyła się po nim beczka? A czy mój mat nie przeciął sobie nogi do samej kości przy czynności tak prostej jak krojenie liny na kawałki? I co, panienko?

- Przecież winą za żadne z tych zdarzeń nie można obarczać Millicent!

- Kot na pokładzie to zły omen, każdy dobrze o tym wie. A czarny kot to jeszcze gorzej. Nigdy przedtem w czasie jednego rejsu nie spadło na moją załogę tyle nieszczęść. To na pewno przez tego kota.

- Cóż to za wierutne bzdury! - wykrzyknęła Caroline z pogardą.

- Raczej przez jego panią - mruknął Matt pod nosem. Nie była pewna, czy ktokolwiek poza nią słyszał jego słowa. - Tu narobiła aż za dużo zamieszania.

Zawiązał sznur na karku Raleigha i wezwał do siebie starszego z dwóch chłopców. Podobnie jak jego młodszy brat, on też miał gęste proste

czarne włosy i niebieskie oczy. Był jednak o wiele wyższy i chudy jak patyk. O ile Caroline mogła ocenić, miał jakieś dziesięć lat.

- Zabierz go i przywiąż z tyłu domu. - Matt podał koniec sznura synowi.
-Ale, tatusiu...

- Tylko póki sprawy się tu nie ułożą. Nie stanie mu się krzywda. A teraz zrób, co ci powiedziałem.

- Dobrze, tatusiu.

Chłopiec był smutny, lecz posłuszny; opierającego się Raleigha odprowadził, stosując po części siłę, po części namowy. Caroline odetchnęła z ulgą, gdy zwierzę znikło jej z oczu.

- Nie możesz mnie winić za tamto zamieszanie! - zwróciła się Caroline z oburzeniem do Matta. - Wiesz dobrze, że to wszystko z winy tego waszego źle wychowanego potwora!

- Musisz wyzbyć się strachu przed psami - wtrącił Daniel z uśmiechem, nim Matt zdążył otworzyć usta.

- Tylko głupiec nie bałby się takiej wielkiej i złej bestii! - odparła Caroline. Daniel stał pomiędzy niezwykle do siebie podobnym bratem oraz mężczyzną o piaskowych włosach. Wszystkie trzy twarze wykrzywiały taki sam ironiczny uśmiech. Obrzuciła ich płonącym spojrzeniem.

- Zła bestia! Raleigh taki nie jest! To ty jesteś tchórzem, i tyle! -krzyknął gniewnie młodszy z chłopców.

Musiła się powstrzymać, by nie odpowiedzieć mu tym samym. Dzieciak miał nie więcej niż pięć lat; to nie w jej stylu brać odwet na takim szkrabie, co ledwo wyrósł z pieluch, z drugiej zaś strony miała już po uszy wszystkich tych aroganckich mężczyzn!

- Powściągnij swój język, Davidzie - uciszył syna Matt. - Będziesz odnosił się grzecznie do cioci albo poczujesz moją dłoń na tyłku.

- To nie jest moja ciocia! - W głosie chłopca brzmiała fascynacja pomieszana z przerażeniem.

- To twoja ciocia Caroline. Przyjechała, żeby z nami zamieszkać. -Matt zerknął na dziewczynę, którą tak samo jak chłopcem wstrząs

nęła myśl o łączącym ich pokrewieństwie, choć naturalnie była to prawda. Jeśli chłopcy są synami Elizabeth, to Caroline jest ich ciotką. Czy też przyrodnią ciotką, jako że ona i Elizabeth miały inne matki.

- Jak się miewasz, Davidzie - rzekła, zdobywając się na miły ton; w tych okolicznościach musiała pogratulować sobie rezultatu.

- Nie chcę żadnej ciotki! - wybuchnął David. - Dobrze nam, samym mężczyznom!

- Cisza! - Donośny głos Matta wcześniej przywiódł do posłuszeństwa Raleigha i tak samo podziałał na chłopca. David zamknął usta, choć wyraz jego twarzy świadczył, że wcale nie zmienił zdania.

- Mówi, że umie gotować, sprzątać i szyć, a to może nam się przydać. Poza tym należy do rodziny. Zamieszka u nas, więcej nie będę o tym mówić! - Matt, jakby spodziewając się protestów, potoczył wzrokiem po stojących półkolem trzech mężczyznach i chłopcu. Dorośli nie kryli powątpiewania, dziecko buntu. Caroline spojrzała na nich hardo. Kapitan Rowse stłumił śmiech i zaczął kaszleć, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- Znasz Daniela, ten po jego lewej ręce to nasz brat Thomas, a po prawej - Matt wskazał mężczyznę o piaskowych włosach - to Robert. Mieszkają tutaj i pracują w polu ze mną i moimi synami. John jest starszy, młodszy na imię ma David. - Zakończywszy prezentację, zwrócił się do kapitana. - Tobiasie, wejdźmy teraz do domu. Załatwimy naszą sprawę i poczęstuję cię czymś do picia.

- Brzmi zachęcająco. - Za plecami Matta kapitan uśmiechnął się do Daniela i pozostałych mężczyzn.

- Caroline, chodź z nami. Pokażę ci, gdzie trzymamy rzeczy, powiem, co i jak robimy. A wy wracajcie do pracy. Ty też, Davey. Idź po ziarno i skończ karmić kury. - Głos Matta złagodniał, gdy mówił do syna.

- A co z jej kuframi? - zapytał Daniel.

- Kuframi? - powtórzył zdziwiony Matt.

- Trzy - wyjaśnił Daniel. - Ciężkie. I jeszcze koszyk. Matt chrząknął z niedowierzaniem.

- Przynieście je. - Potrząsnął głową. - Trzy kufry!

Ruszył w stronę domu i wkrótce razem z kapitanem zniknął za węglem. Caroline, zamiast pójść za nimi, jak wyraźnie polecił jej szwagier, spojrzała w górę. Na stromym dachu siedziała kotka.

- Zejdź, Millicent - zawołała przymilnie. Ulubienica patrzyła na nią swymi złotymi oczyma.

- Millicent, chodź tu!

Kotka mrugnęła, potem wstała i przeciągnęła się leniwie. Po jej smukłym ciele przeszła fala, ogon się uniósł.

- Gdzie jesteś, kobieto? Idziesz czy nie? - rozległ się zirytowany głos Matta. Caroline podskoczyła.

- Zaraz! - odrzyknęła, po czym ponagliła kotkę, która jakby nigdy nie przechadzała się po dachu: - Millicent! Chodź tu natychmiast!

- Zostaw kota! Zejdzie, kiedy będzie miał ochotę, nie wcześniej. - Matt wrócił, a kiedy zobaczył, co zatrzymało Caroline, złapał ją za ramię i poprowadził za sobą. - Dość już straciłem czasu jak na jeden dzień. Nie zamierzam marnować go więcej na kaprysy kota.

Caroline wyrwała się z uścisku.

- Ale pies ją dopadnie!

Matt zatrzymał się, położył dłonie na biodrach i ostro oznajmił:

- Pies jest przywiązany, a poza tym i tak by jej nie zrobił krzywdy. W stodole jest pełno kotów i jakoś żyją. On po prostu lubi gonić wszystko, co mu ucieka. -I znowu chciał ująć ją pod ramię. Caroline szybko się cofnęła, by uniknąć dotyku jego dłoni.

- Zgubi się! Mam ją, odkąd była mała i... - W jej głosie brzmiało błaganie. Matt zacisnął usta, wahał się chwilę, wyraźnie niezadowolony, wreszcie westchnął.

- Jeśli sprowadzę tego piekielnego kota na dół, to czy pójdziesz do domu i dołożysz starań, żeby do końca dnia nie sprawiać nam kłopotu?

Ta propozycja, aczkolwiek złożona w mało uprzejmy sposób, zaskoczyła Caroline. Już miała się do niego uśmiechnąć, lecz zdążyła się powstrzymać.

- Przyrzekam.

- Doskonale - odrzekł Matt, po czym przez ramię zawołał: - Poczekaj chwilę, Tobiasie!

I wszedł do stodoły. Po chwili pojawił się z drabiną, którą oparł o mur. Wchodził po niej wolno, cokolwiek niezgrabnie z powodu sztywnej nogi. Millicent obserwowała czujnie, jak staje na dachu i rusza ku niej. Kiedy się schylił, by wziąć ją na ręce, syknęła, zsunęła się po okapie i skoczyła na ziemię.

- Millicent!

Kotka rzuciła się do Caroline, która podniosła ją i przytuliła. Kapitan Rowse także wrócił; teraz razem z Caroline czekał na Matta, zwijając się z tłumionego śmiechu. Caroline nie zwracała na niego uwagi.

Matt, całą swą postawą zdradzając wielką irytację, odwrócił się, by z wysokości dachu przyjrzeć się stojącej trójce, po czym zszedł na dół i odniósł drabinę do stodoły.

- Przecież mówiłem ci, co myślę o tym przeklętym zwierzęciu, prawda? - zapytał z gniewem.

I nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę domu. Kapitan Rowse nagle cudem spoważniał i podążył za przyjacielem.

Pochód zamykała Caroline z Millicent przytuloną do piersi. Matt mimo wszystko wykonał uprzejmy gest, pomyślała, z większym optymizmem patrząc w przyszłość. Może więc życie pośród Mathiesonów nie okaże się takie straszne.

6

Matt może i okazał dobroć wobec kotki, ale maniery miał nie lepsze niż Daniel czy kapitan Rowse. Caroline przekonała się o tym, gdy pchnąwszy ramieniem drzwi, pierwszy przekroczył próg, na nią nawet się nie oglądając. Czy naprawdę oczekiwała, że ją przepuści? Nie powinna, jeśli wziąć pod uwagę wszystko, co przeżyła tego ranka. Każdy mieszkaniec kolonii, którego do tej pory spotkała, od wielebnego Millera z surową twarzą do najmłodszego Mathiesona, okazał się po prostu niegrzeczny. Najwyraźniej zasady dobrego wychowania nie były w cenie w Nowym Świecie.

- Wejdziesz, Tobiasie, i napij się piwa. Zakręci ci się od niego w głowie, masz na to moje słowo. Ile winna ci jest ta panna?

- Całkiem sporo.

- Tak się domyślam. - Matt sprawiał wrażenie, jakby przygotowywał się na najgorsze. - A więc ile?

Słyszając kwotę, jęknął i rzucił mroczne spojrzenie Caroline, która właśnie przekroczyła próg. A potem, potrząsając głową, wszedł do sąsiedniej izby. Towarzyszył mu kapitan.

Caroline odebrała to jako naganę. Nie ruszając się z miejsca, powiodła wzrokiem po ciemnym wnętrzu.

Chwilę tylko trwało, by jej oczy przyzwyczyły się do mroku. A wówczas otworzyła je szeroko z niedowierzania.

Wszędzie wokół wały się różne przedmioty: siodła, buty, kapelusze i sprzęt rolniczy, kłoc drewna, z którego ktoś zamierzał zrobić zydel, otwarta skrzynia ze stertą pościeli. Na meblach leżały ubrania; czyste czy brudne, tego Caroline nie potrafiła stwierdzić. Podłogę z szerokich desek pokrywała biegnąca wokół pokoju ścieżka zeschniętego błota, znacząc drogę, którą zwykle chadzali mieszkańcy. Po lewej

stronie drzwi wąskie i strome schody prowadziły na piętro, na stopniach przy ścianie wznosiły się stosy rozmaitych rzeczy. W domu panował chłód, a wszystko pokrywała warstwa kurzu. Zapach stęchli-zny, zmieszany z odorem cebuli, zapewne stanowiącej podstawowy dodatek do posiłków, nieprzyjemnie uderzył Caroline w nozdrza. Marszcząc nos, ostrożnie zrobiła krok do przodu. Gdyby kiedykolwiek miała taki dom, byłby nieskazitelnie czysty. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak ktokolwiek, nawet barbarzyńcy, którymi niewątpliwie okazali się Mathiesonowie, mógł doprowadzić dom do takiego stanu.

Z sąsiedniej izby dochodziły przyciszone głosy Matta i kapitana Rowse'a. Caroline pewna była, że rozmawiają o niej, i nie zamierzała dopuścić, by czynili to za jej plecami. Stąpając pomiędzy przedmiotami zaścielenymi podłogę, dotarła do drzwi. Przystanąła i popatrzyła. Jak się obawiała, kuchnia przedstawiała tragiczny widok.

Śmiesznie mały ogień płonął w zajmującym pół ściany ogromnym piecu, pełnym niewybranego popiołu. Rzeczne kamienie, z których zbudowano palenisko, aż do sufitu pokrywała sadza - znak, że nikt ich regularnie nie czyścił. Przewód wymagał przepchania, o czym świadczył dym szczypiący Caroline w oczy. Nad paleniskiem wisały rzędem poczerniałe patelnie. W tym pomieszczeniu zapach dymu okazał się silniejszy od cebuli. Stół z prostych desek był wytarty do czysta, za to podłogi dawno nikt nie zmiatał, a proste drewniane miski, choć zeskrobano z nich resztki (o ile Caroline mogła to dostrzec), ustawiono w stos koło drzwi razem z cynowymi kubkami i łyżkami. Najwyraźniej ktoś zamierzał wynieść je na podwórze i tam umyć, lecz albo zapomniał, albo jakaś inna czynność przyciągnęła jego uwagę.

Matt stał, obiema rękoma opierając się o oparcie krzesła, i mówił coś do kapitana, którego twarz wyrażała zadowolenie. Właśnie podnosił się z ławy za stołem, gdy Caroline weszła do kuchni. Na jej widok zamilkli w pół słowa. Po ledwo widocznym wahaniu Rowse uniósł kubek do ust. Jeśli sądzić po jego aprobujących cmoknięciach, piwo musiało być szczególnie dobre.

- Bardzom rad, że sprawa została tak korzystnie załatwiona. -Kapitan odstawił kubek i skinął Caroline przyjaźnie. - Matt zajął się opłatą za twój

przejazd, panno Wetherby. Mam nadzieję, że między nami zapanuje zgoda.

- Naturalnie - odparła Caroline chłodno. Mocniej ścisnęła Milli-cent na myśl o tym, jak traktowano ją na pokładzie „Gołębicy”.

Kapitan Rowse nie ukrywał swej pogardy, a za jego przykładem marynarze oraz inni pasażerowie odnosili się do niej jak do wyrzutka. Czy naprawdę wystawiłby ją na sprzedaż jako służącą, gdyby nie otrzymał pieniędzy, które była mu winna? Teraz zachowywał się uprzejmie, lecz Caroline wiedziała, że gdyby Matt ją wyrzucił, kapitan nie wahałby się ani chwili. Nagle poczuła wdzięczność do szwagra. Natychmiast też odegnała od siebie to uczucie. Należało do tych, które człowieka osłabiają i czynią łatwym celem, a ona nigdy więcej nie zamierzała taka być.

- Doskonale, doskonale. - Głos kapitana był odrobinę zbyt serdeczny. Caroline spojrzała bez uśmiechu na jego potężną postać. Miejsce wcześniejszej wdzięczności zajęła przytłaczająca wręcz ulga. Była wolna od kapitana i jego statku, wolna od niepewności, co czeka ją u kresu podróży. Owa niepewność, nieustannie towarzysząca jej w ciągu minionych sześciu tygodni, teraz należała już do przeszłości.

- A, przy okazji, to należy do ciebie, jeśli chcesz.

Z woreczka u pasa kapitan wyjął broszę w kształcie pawia. Caroline wyciągnęła rękę. Kapitan zerknął szybko na Matta, a kiedy ten skinął przyzwalająco głową, wręczył jej klejnot. Zamknęła ją w dłoni. Bezwartościowa czy nie, brosza stanowiła ostatnie ogniwo łączące ją z ojcem. Serce przeszył jej ból, gdy oczyma wyobraźni ujrzała jego kochaną twarz, nic jednak po sobie nie pokazała. Także z żalobą po ojcu zamierzała się rozstać. W tym nowym kraju zacznie życie od nowa. Nie pozwoli sobie na wspomnianie Anglii oraz tego wszystkiego, co się tam wydarzyło.

Kiedy tak zaciskała palce na pawiu, Millicent miauknęła, Caroline więc postawiła ją na ziemi. W wolnej chwili schowała broszę do kufra i więcej nie będzie na nią patrzeć.

- Nie lubię zwierząt w domu - oznajmił Matt, spoglądając na kotkę, która podejrzliwie i ostrożnie obwąchiwała przewrócony skopek na mleko.

Caroline roześmiała się, choć zabrzmiało to szorstko, wciąż bowiem walczyła ze smutkiem, na który nie chciała sobie pozwolić.

- Jakąż to szkodę wyrządzić może komukolwiek moja biedna kotka? Jest o wiele czystsza niż pozostali domownicy.

Matt mocniej zmarszczył brwi, a dziewczyna ze wstrętem rozejrzała się po izbie.

Kapitan Rowse odchrząknął niepewnie.

- Cóż, skoro cała sprawa została tak pomyślnie załatwiona, mogę wracać na statek - oświadczył.

Matt skinął głową i odprowadził go do wyjścia. Caroline słyszała ich przyciszone głosy, a potem trzask otwieranych i zamykanych drzwi.

Przeszła wokół kuchni, a jej przerażenie rosło na widok gęstych pajęczyn, grubych warstw kurzu oraz wyraźnych śladów obecności myszy, które Millicent bardzo zainteresowały. Dla kobiety

lubiącej gotować taka zapuszczona kuchnia była obrazą. Cóż za ludzie tu mieszkają? Tak wiele posiadają, a tak nisko sobie to cenią.

Gdy szwagier wrócił, Caroline stała przy palenisku, z niedowierzaniem wpatrując się w garnek, którego zawartość była spalona na węgiel. Nie zważając na okazywany przez nią niesmak, Matt podszedł do przykrytej pokrywą beczki w kącie. Millicent, która na niej siedziała, postawiła ogon na sztorc.

- Tu jest kasza kukurydziana - odezwał się, uchylając pokrywę, by Caroline mogła zerknąć do środka. - Mięso i łój są w wędzarni za domem, masło i ser w strumieniu. Płynię za wędzarnią, trafisz tam bez trudu. Mąka jest tu - uniósł pokrywę kolejnej beczki - w spiżar-ni mamy też jabłka i ziemniaki. Jeśli potrzeba ci czegoś innego, zapy-taj. Gdzieś to na pewno będzie. - Przystanął i stopą odsunął z drogi jakąś część upręży. Najwyraźniej nigdy nie przyszło mu do głowy, iż rzecz ta nie powinna leżeć na podłodze w kuchni. - W porze obiadu będziemy pracować, bo straciliśmy dzisiaj dużo czasu, ale o zachodzie słońca zasiądziemy do stołu. Jest nas sześciu i z wyjątkiem Daveya mamy potężne apetyty. Liczę, że mówiłaś prawdę, chwaląc się, iż umiesz gotować. A potem, nim Caroline zdążyła zaprzeczyć lub potwierdzić, okręcił się na pięcie i ruszył do wyjścia, zostawiając ją samą.

7

Poczekaj chwilę, jeśliś taki uprzejmy! - Głos Caroline drżał od gniewu. - Przecież chyba nie spodziewasz się, że będę przygotowywać posiłek w tym... tym chlewie!

Plecy mu zeszywniały, obrócił się i obrzucił ją badawczym wzrokiem. - Jeśli nasze mieszkanie nie odpowiada twoim wymaganiom, wielmożna pani - odparł ostro - to masz moje pozwolenie na zrobienie tu porządków. Caroline roześmiała się tylko.

- Sześć kobiet musiałoby przez dwa tygodnie pracować dzień w dzień, żeby wysprzątać ten bałagan! Nie będę gotować w brudnych garnkach, nie podam posiłku w kuchni tak zapuszczonej, że nic nie widać przez okno! Resztę dnia zajmie mi tylko pobieżne posprzątanie! Jeśli mam jeszcze do zachodu słońca ugotować posiłek, to ktoś musi mi pomóc!

- A, więc jesteś leniwa? Powinienem był się tego spodziewać.

- Nie jestem wcale leniwa! - odparła Caroline przez zaciśnięte zęby.

Matt uniósł brew, zanim jednak zdążył odpowiedzieć, rozległ się trzask otwieranych drzwi wejściowych, a potem coś z głuchym stuknięciem wylądowało na podłodze. To Daniel wniósł do frontowego pokoju ostatni kufer Caroline.

- Rano przed wyjściem powiedziałaś mi, że skończyłaś stawiać zagrodę dla cieląt - odezwał się Matt szorstko.

- Tak. - Daniel wyprostował się i spojrzał na brata. -I co z tego?

- Dobrze. A ponieważ żadna pilna sprawa nie wymaga teraz twoich starań, możesz spędzić resztę dnia, pomagając naszej hrabinie

w domu. Żąda pomocnika do sprzątanania, bo jak powiada, to miejsce to istny chlew.

Daniel nie krył przerażenia.

- Sprzątać? Ale, Matt...

- Zajmij się tym.

I Matt, wyminawszy brata, opuścił izbę. Daniel długo za nim patrzył, później zwrócił na Caroline spojrzenie tak pełne lęku, że gdyby była w lepszym nastroju, na pewno musiałyby siłą powstrzymać śmiech.

- Nic nie wiem o kobiecych pracach - oznajmił ponuro.

- To widać, że żaden z was nic nie wie o kobiecych pracach - odparła Caroline.

- Mamy porę siewu - wyjaśnił Daniel nieco przepraszającym tonem. - Zwykle nie jest tu aż tak źle.

- O, czyżby? - Caroline uniosła brwi. - Będę bardzo zaskoczona, jeśli mi powiesz, że ta podłoga w ciągu ostatniego pół roku widziała miotłę. Ale nie ma sensu narzekać na to, co było. Jak zanieziesz kufry do pokoju, w którym będę spała, zabierzemy się do pracy. Zaczniemy od kuchni, bo to sprawa najpilniejsza.

- To kolejny kłopot - odrzekł. - Nie wiem, gdzie będziesz spała. Na piętrze są cztery sypialnie; w jednej śpią Davey i John, w drugiej Robert i Thomas, w trzeciej ja, a w czwartej Matt.

- W takim razie ty i Matt będziecie musieli zamieszkać razem, prawda? - Caroline uśmiechnęła się z fałszywą słodyczą. - Bo ja nie mam zamiaru spać na schodach!

- Ale w każdym pokoju jest tylko jedno łóżko. - Caroline domyśliła się już, że Daniel nie należy do ludzi, którym przychodzi z łatwością improwizowanie. - Wątpię, żeby Matt zgodził się spać ze mną w jednym łóżku. Już tak spaliśmy i powiedział wtedy, że wolałby raczej dzielić posłanie z niedźwiedziem grizzly. Ja zresztą też.

- Kto by się przejmował Mattem! - rzuciła Caroline, wiedziała jednak, że poniosła klęskę, dalsza dyskusja nie miała sensu. - Doskonale, w takim razie zanieś kufry na piętro, żeby nie zawadzały. Rozwiążemy tę kwestię, kiedy Matt wróci.

Ironicznie sparodiowała ton, jakim Daniel mówił o starszym bracie niczym o istocie wyższej, jej rozmówca wszakże albo puścił to mi-mo

uszu, albo zupełnie jej nie zrozumiał. Tak czy owak, na jego twarzy malowała się ulga, gdy z pierwszym kufrem na ramieniu ruszył po schodach.

Nim skończył, Caroline już się krzątała. Za kuchnią znalazła składzik, w którym przechowywano zapasy. Stała tam też umywalka, a nad nią wisiało małe lusterko, odbijające jej twarz tylko we fragmentach, ale to wystarczyło, by zdołała usunąć największe ślady spotkania z żywym inwentarzem farmy. Umyła twarz i ręce, upięła włosy, po czym żałując, że jej najlepszy strój uległ zniszczeniu, zabrała się do porządków w kuchni. Przynajmniej już nie musiała się martwić, że suknia poniesie większe jeszcze szkody. Gdy zatknęła za pasek rozdarty kawałek spódnicy, co kryło przed wzrokiem osób postronnych jej bieliznę, strój ten doskonale nadawał się do pracy. Naprawić już się go jednak nie da, wkrótce powędruje do worka ze szmatami.

- Co mam teraz robić? - zapytał ponuro Daniel, stając w progu. Caroline poleciła mu rozpaść ogień, następnie wynieść naczynia i sztućce do strumienia. Najpierw trzeba je było tak długo szorować, aż spod brudu wyjrzało dno, potem wypolerować piaskiem. Klęcząc obok Daniela i po łokcie nurzając ręce w lodowatej wodzie, walczyła z wrażeniem nierealności, które nawiedzało ją za każdym razem, gdy jej myśli odbiegały od wykonywanego zajęcia. Czy to naprawdę ona, Caroline Wetherby, ozdoba tak wielu zadymionych szulerskich nor, teraz zdrewniałymi od zimna palcami wykonuje tak pospolitą pracę? Jakże śmialiby się owi wszyscy mężczyźni, którzy bezskutecznie próbowali zwabić Caroline do swych łóżek, gdyby teraz mogli ją zobaczyć! A jednak odczuwała dziwną satysfakcję. Uczciwa praca nagle wydała jej się o wiele lepsza od oszustwa, jakie - musiała to przyznać, jeśli chciała być szczerą - od dawna uprawiała. Przez wiele lat była przecież współniczką ojca, błyszczącą przynętą, której używał, by zwabić i doszczętnie ograbić głupców. Ofiary Marcellusa Wetherby'ego nie odrywały pożądanego wzroku od jego pięknej córki, podczas gdy on ukradkiem chował kartę albo wyciągał z rękawa asa; dopiero gdy ich sakiewki traciły na wadze, uświadamiali sobie, że strata nie zostanie wynagrodzona im w taki sposób, w jaki sobie to wyobrażali. Bo chociaż do owej fatalnej w skutkach choroby Marcellusa Caroline niemal co noc była celem

lubieżnych spojrzeń i rozpustnych propozycji, ojciec zapewniał jej fizyczne bezpieczeństwo. Był łajdakiem, lecz nie tak zepsutym, by zezwolić na zhańbienie własnej krwi. Kiedy wszakże Caroline dorosła i stała się bardziej świadoma tego, co ci rozpustnicy o niej myślą, czuła się zbrukana. Tu, w Nowym Świecie, nie będzie musiała nigdy więcej tego znosić; owa myśl dodała jej otuchy. Nie cofnie się przed najcięższą harówką, byle tylko mogła wysoko nosić głowę.

- Tak jest dobrze? - zapytał Daniel, pokazując wyszorowany garnek.

Wyrwana gwałtownie ze swych rozmyślań, Caroline kiwnęła głową z aprobatą; cieszyła się, że znowu może skupić się na pracy.

Pomimo początkowego oporu Daniel okazał się dobrym pomocnikiem.

Kiedy skończyli myć naczynia, Caroline wysłała go, by walające

się po domu narzędzia wyniósł do stodoły, gdzie było ich miejsce, sama zaś zaczęła rozdzielać ubrania na sterty do prania, wyprasowania i czerowania. Prawie nie było rzeczy, która nie wymagałaby żadnego starania z jej strony; na widok rosnących stosów miała ochotę jęknąć. Utrzymanie w porządku odzieży sześciu mężczyzn zapowiadało się na pracę bez końca. Lecz Caroline potrafiła to zrobić, w dodatku dobrze.

Podobnie jak gotowanie i prowadzenie domu, szycie było umiejętnością, którą nabyła w dawno minionych czasach dzieciństwa. Jej matkę zmęczyły nieustanne podróże Marcellusa; gdy namiętne porywy małżeńskiej miłości ustąpić musiały obowiązkowi związanym z wychowaniem dziecka, razem z Caroline zamieszkała w niewielkiej wiosce o nazwie Bishop's Lynn. Żyły tam obie szczęśliwie do dnia, gdy matka zginęła pod kołami rozjeżdżonego wozu. Wówczas też ojciec, który nieczęsto je odwiedzał, przyjechał, by zabrać córkę ze sobą. Caroline, prawie dwunastoletniej, Marcellus ze swymi regularnymi rysami, eleganckim strojem i wytwornymi manierami wydawał się wspaniałym mężczyzną. Z chęcią wyruszyła na awanturniczy szlak i pozwoliła, by uformował z niej kobietę odpowiadającą jego wymaganiom. W ostatnich latach wszakże ich wieczna włóczęga zaczęła Caroline wydawać się pusta i męcząca; pragnęła osiedlić się, zapuścić korzenie. Ponieważ kochała ojca z całego serca, nigdy nie mówiła mu o swych odczuciach, bała się bowiem go zranić. Teraz niemal ze strachem pozwalała sobie wierzyć, że znowu będzie miała dom, w którym trzeba sprzątać i gotować posiłki dla całej gromadki. W ciągu bolesnych lat nauczyła się, jaką wartość mają dom i własne miejsce w życiu; nagle zapragnęła ich z siłą, z jaką umierający z głodu człowiek łaknie pożywienia. Choć wyczerpana przeżyciami dnia, pracowała z energią, która Daniela doprowadzała do rozpacz.

W kilka godzin później dwie izby na parterze, pozamiatane, odkurzone i wyszorowane, całkiem inaczej się prezentowały. Wciąż jeszcze sporo tam było do wypolerowania i wywoskowania, poza tym Caroline zdecydowała, że okna i pranie muszą poczekać na następny dzień, mimo to zmiana była wyraźna. Nawet Daniel, ze znużeniem krojący warzywa na kuchennym stole, był pod wrażeniem rezultatów, jakie przyniosły ich wspólne wysiłki.

- Chyba się opuściliśmy - oświadczył ponuro. - Żaden z nas nie zna się na pracach domowych, więc robiliśmy tylko tyle, żeby jakoś dało się żyć. A w okresie siewów zwykle jedynie gotujemy, i to nieregularnie. Muszę jednak przyznać, że przyjemnie jest chodzić po izbie, o nic się nie potykając.

Caroline stała przy garnku z gotującą się wodą, do którego wrzucała pokrojone w kostkę mięso. Na wieczorny posiłek zaplanowała potrawkę z królika i naleśniki; wyrobiła już ciasto na chleb i odstawiła do wyrośnięcia, będzie gotowe do upieczenia następnego dnia rano. Jedzenie było proste, ale smaczne i pożywne, nie miała zresztą czasu na nic bardziej wyszukanego. Na szczęście już dawno posiadała umiejętność przyrządzania posiłku z tego, co można złapać lub wyżebrać.

- To zrozumiałe, że sprawy domowe zaczęły utykać po śmierci Elizabeth - odrzekła teraz.

Po dość burzliwym początku jej stosunki z Danielem ułożyły się przyjaźnie. Był bardzo sympatycznym i zgodnym człowiekiem, jeśli tylko nie zmuszało się go do podjęcia decyzji, która mogła wywołać konflikt między nim a starszym bratem. Wydawało się nawet, że gotów jest tolerować Millicent, mrużącą z zadowoleniem na oparciu sofy w zasięgu jego lewej ręki. Co jakiś czas machinalnie drapał ją po głowie.

- Elizabeth nie była gospodynią. Ona... - Zerknął na Caroline, po czym zamilkł.

- Ona co? - zapytała Caroline ciekawie, odwracając się ku niemu.

- Nic. Po prostu nie bardzo lubiła sprzątać, to wszystko - wymamrotał, krojąc marchewkę tak, jakby od tego zależało jego życie.

- Danielu, jeśli mam mieszkać w tym domu, to powinnam wiedzieć o was tak dużo, jak to możliwe - odrzekła Caroline z namysłem. - Czy był jakiś powód, dla którego Elizabeth nie sprzątała? Powiedz mi, proszę.

Zakłopotany wpatrywał się w marchew, która pod jego nożem zamieniała się w wiórki. Caroline czekała na odpowiedź, nie próbując nawet ratować jarzyny, póki jeszcze nadawała się do garnka.

- Była chora, naprawdę chora, od narodzin Daveya - wyjaśnił Daniel, utkwivszy oczy w marchewce. - Rzadko wstawała z łóżka. Matt musiał przenieść się do mnie, żeby jej nie przeszkadzała. Mówiła, że przy nim nie może zasnąć.

- Więc chorowała przez długi czas. Ale przecież twój brat mówił mi, że utonęła. Jak to możliwe, jeśli była przykuta do łóżka?

- Tamtego dnia opuściła dom i poszła nad strumień. I utonęła -wyjaśnił Daniel ponuro. - Więcej nie mogę ci powiedzieć. Nie było mnie wtedy. Jak wróciłem do domu, już ją pochowano.

Coś w jego głosie zwróciło uwagę Caroline.

- Nie lubiłeś jej, Danielu?

Spojrzał na nią, ale z jego oczu nie potrafiła nic wyczytać.

- Była żoną Matta. Nie moją sprawą było lubić ją lub nie.

Z tonu Daniela odgadła, że nic więcej nie wydobędzie z niego na temat Elizabeth. Wrzuciwszy resztę mięsa do wrzątku, poszła po warzywa.

Krzywiąc się, dodała źle pokrojone kawałki do zupy.

- Kto, na Boga, dla was gotował? Bo że nie ty, to jasne. Wyraźnie uradowany, że rozmowa przestała dotyczyć Elizabeth, Daniel wzruszył ramionami.

- Rob jest niezłym kucharzem, kiedy ma ochotę. Czasami Mary, żona Jamesa, naszego brata, który mieszka w miasteczku, zaprasza nas na posiłek. Wdowa Forrester zagieła parol na Matta i ciągle przysyła nam chleb, ciasta i tak dalej, bo liczy, że w ten sposób złapie go na męża. Patience Smith ma oko na Roba i gotuje smaczną zupę. Za Thomem szaleje wiele dziewcząt i każda chce go skusić, a z konieczności i nas, swymi talentami kulinarnymi. Poza tym nieźle sobie sami radzimy. Nie głodujemy.

Caroline mieszała maślanekę i mąkę na naleśniki.

- Dziwię się, że żadnej z tych dam nie przyszło do głowy, aby zostać u was gospodynią. To nie tak pewna droga do serca mężczyzny jak przez żołądek, ale zawsze jakiś sposób.

- Matt nie cierpi kobiet kręcących się po domu. Kazał im się trzymać z daleka.

Caroline spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem.

- Dżentelmen z tego twojego brata, nie ma co - mruknęła, odstawiając ciasto, by zgęstniało. - Do kolacji mamy jeszcze godzinę. Zabieramy się do pokoi na piętrze.

Daniel jęknął, ale posłusznie podążył za nią.

8

Nie będę jadł tego, co ona gotuje! Caroline usłyszała piskliwy głos Daveya w spiżarni, dokąd poszła po garnek z konfiturą. Z opowieści Daniela wywnioskowała, że to prezent od jednej z wielbicielek jego braci. Posmakowawszy ostrożnie, stwierdziła, że konfiturę zrobiono z nieznanego jej gatunku jagód. Jednocześnie kwaśna i słodka, doskonale nadawała się do naleśników. Latem, kiedy dojrzeją owoce, Caroline zrobi własne przetwory. Skrzywiła się, gdy uświadomiła sobie, jak wielką przyjemność sprawia jej ta myśl; napomniała się ostro, że być może wtedy już jej tu nie będzie. Nic dobrego nie przyjdzie z wyobrażenia sobie, że znalazła dom. Davey jej nie lubił, pozostałych Mathiesonów także nie uszczęśliwiała jej obecność. A poza tym niewykluczone, że sama zdecyduje się wyjechać. Jedno jest pewne: nie

zamierza dłużej niż to konieczne prowadzić domu tym niemożliwym ludziom. Może wyjechać, gdzie tylko zechce - albo też oni każą jej odejść.

- Ucisz się, Davey! Jeszcze cię usłyszy! - upomniał brata John. Jego głos także był młodzieńczo wysoki.

Caroline położyła dłonie na plecach i przeciągnęła obolałe mięśnie. Boże, ależ jest zmęczona. Zbyt nawet zmęczona, by obrażać się na źle wychowane dziecko czy kogokolwiek innego. Zbyt zmęczona, by myśleć. Spocone z wysiłku włosy na skroniach i karku zwinęły jej się w loki, pod pachami na zielonej sukni widniały mokre plamy. Bolała ją głowa, bolały nogi, marzyła o łóżku.

Wtedy przypomniała sobie, że nie ma łóżka. I po raz kolejny uświadomiła sobie, że to nie jest jej dom. Była tu tylko warunkowo.

- Zjesz wszystko, co będzie na talerzu, a na razie zamknij buzię - zganił chłopca Matt, gdy Caroline weszła do kuchni.

Ojciec i syn spojrzeli na nią z takim samym niezadowoleniem. Za nimi stał John z dłońmi niezgrabnie zatkniętymi za pas oraz Thomas. Wszyscy sprawiali wrażenie tak spiętych, jak czuła się Caroline. Z sąsiedniej izby dobiegały głosy Roberta i Daniela. Oni chyba też nie chcieli mieć z nią nic wspólnego.

- Możecie umyć ręce i siadać - odezwała się Caroline szorstko. - Posiłek jest gotowy.

- Umyć ręce! - Pełne przerażenia słowa wyszły z ust Daveya, patrząc jednak na mężczyznę, Caroline nie wątpiła, że wszyscy się z nim zgadzają. Przerwała zsuwanie kolejnego naleśnika na stos, który wznosił się już na cynowym talerzu, i powiodła wzrokiem po zszokowanych twarzach.

- Jeśli chcecie jeść w tej kuchni, musicie umyć ręce i twarze, nim usiądziecie do stołu. Nie będę obsługiwać świń.

Przesunęła wierzchem dłoni po wilgotnym czole i odwróciła się w stronę pieca, by nalać ciasta na syczący tłuszcz. Wyczuwała, że za jej plecami rozstrzyga się kwestia czystości. Nie żartowała: jeśli spróbuje usiąść do stołu nieumyca, wrzuci jedzenie do ognia! A jeśli zachowanie Caroline nie będzie im odpowiadało, mogą pokazać jej drzwi! Nie zamierzała pozwolić, by fakt, iż nie ma dokąd pójść, sprowadził ją do roli bezwolnej służącej. Wcześniej też zdołała sobie poradzić, choć wszystko sprzysięgło się przeciwko niej, i jeśli zajdzie taka potrzeba, znowu to zrobi!

- Daveyu, Johnie, wasza ciotka ma rację. Natychmiast pod pompę. Idziemy wszyscy. Thomasie, zawołaj Roberta i Daniela - polecił stanowczo Matt, wywołując kolejne protesty chłopców.

- Ale, tatusiu...

- Zróbcie, jak mówię - odparł, prowadząc synów do drzwi.

Caroline poczuła ulgę, opuściła napięte ramiona. Tę rundę wygrała i to bez ponurych konsekwencji, jakie widziała już oczyma duszy. Byłoby fatalnie, gdyby nic nie powiedziała i pozwoliła im robić to, na co mają ochotę. Akurat dzisiaj wieczorem, kiedy była taka zmęczona, nic by się nie stało, gdyby usiedli brudni do posiłku. Lepiej jednak od razu dać domownikom do zrozumienia, że muszą traktować ją z szacunkiem. Chwilę później Thomas, Robert i Daniel przeszli przez kuchnię, kierując się do drzwi i z ukosa zerkając na Caroline. Zignorowała ich, zajęta

garnkami. Kiedy wrócili, w milczeniu zajęli miejsca przy stole. Twarze i dłonie mieli czyste.

Caroline ruszyła w stronę stołu z talerzami pełnymi pachnących naleśników. Jeśli nawet odczuwała triumf, starała się go nie okazać.

- W tym domu odmawiamy modlitwę. - Matt usiadł u szczytu stołu. W jego głosie brzmiało wyzwanie.

- Doskonale - odrzekła Caroline, kładąc talerze na stole i składając dłonie przed sobą. - Zaczynaj, proszę.

Mężczyźni wstali i pochylili głowy. Matt odmówił krótką modlitwę dziękczynną, po czym wszyscy na powrót usiedli, zachowując to samo co przedtem niezręczne milczenie.

Caroline rozlała chochlą potrawkę do drewnianych misek i biorąc naraz po dwie, zniosła na stół w ogłuszającej ciszy. Kiedy stołownicy mieli już jedzenie i kubki wody przed sobą, wzięła swoje nakrycie. Jedli łączywie, nikt jednak nie odezwał się ani nie spojrzął, kiedy podeszła. Oczy utkwione mieli w potrawie.

Po dłuższych bokach stołu stały ławy, zajmowane z jednej strony przez Davida i Thomasa, z drugiej przez Johna i Roberta. Przy węższych bokach siedzieli na krzesłach Matt i Daniel. Dla Caroline nie było miejsca.

Stała, czekając, aż ktoś zauważy, że przyszła. Na próżno.

- Jeśli szanownym panom to nie przeszkadza, chciałabym usiąść.

Wszyscy unieśli głowy. Matt z namysłem spojrzął na stół.

- Posuń się, Davey - polecił.

- Nie chcę, żeby siedziała koło mnie! - zawołał płaczliwie chłopiec.

- Rób, jak ci mówię, i nie ociągaj się!

- To nie w porządku - wymamrotał malec z ponurą miną. Widząc jednak spojrzenie ojca, posłusznie zrobił miejsce na ławie. Z głośnym szuraniem przysunął do siebie talerz i kubek.

- Siadaj więc. - Matt wrócił do jedzenia.

Caroline usiadła, starając się nie zauważać, że Davey przysunął się do Thomasa tak bardzo, jak tylko było to możliwe, przypuszcza!-nie dlatego by żadna część jego ciała nie była narażona na zaraźliwy dotyk.

- Jest więcej? - Thomas wytarł naleśnikiem resztki sosu z talerza, połknął i rozejrzał się, jakby oczekiwał, że jedzenie w cudowny sposób pojawi się przed nim.

- W garnku - odparła Caroline; zastygła z łyżką w połowie uniesioną do ust. Na razie nie miała możliwości jeszcze nic przełknąć.

- Dobrze - pochwalił Daniel, a Thomas podał jej swój talerz.

Tak jak bracia i bratankowie, Thomas też był przystojny i miał niebieskie oczy. Jasne włosy i blada cera ukrywały podobieństwo, które jednak stawało się wyraźne, gdy mówił czy się poruszał. Caroline uznała, że jest najmłodszy z całej czwórki. Wciąż odznaczał się tyczkowatą sylwetką typową dla młodzieńców, którzy nie przestali jeszcze rosnąć. Robert także składał się bardziej z kości niż mięśni,

w przeciwieństwie do silniej zbudowanego Daniela. Matt, najwyższy z braci, był też najbardziej muskularny. Wyglądał na silnego i twardego. Dawniej na widok takiego mężczyzny puls Caroline przyśpieszyłby gwałtownie, lecz to należało już do przeszłości. Dziewczyna, która niegdyś instynktownie zareagowałaby na męski urok Matta, teraz ukryła się gdzieś głęboko, ukryta za murem chroniącym ją przed zranieniem.

- Chcę jeszcze... proszę. - Dzięki tej niechętej uprzejmości Thomas doczekał się reakcji, na jakiej mu zależało.

Caroline odłożyła łyżkę na parujący talerz, którego zawartości jeszcze nie spróbowała, wzięła miskę Thomasa i wstała, by ją napełnić. Podziękował jej skinieniem głowy. Znowu uniosła łyżkę do ust. Tym razem zdążyła przełknąć jej zawartość i Matt zażądał dokładki. I tak było ciągle. Co kilka łyżek Caroline wstawiała, by napełnić komuś talerz. Wreszcie z westchnieniem ulgi zobaczyła, że garnek jest pusty. Może w spokoju skończyć swój posiłek!

- Chcę jeszcze - odezwał się Davey. Jadł wolniej niż pozostali, kończył dopiero pierwszą porcję.

- Przykro mi, ale już nie ma - odparła Caroline.

Sama była dopiero w połowie tego, co sobie nałożyła. Ci Mathieso-nowie muszą mieć żołądki bez dna, skoro w mgnieniu oka pochłaniają takie ilości jedzenia!

- Nie ma! - Davey wykrzywił usta, jakby zaraz miał się rozpląkać.

Pozostali patrzyli na nią z niedowierzaniem.

- Nie ma? - zapytał Matt.

- Nie, nie ma - powtórzyła Caroline stanowczo, jakby miała do czynienia z szóstką idiotów. Naprawdę, czy oni nie rozumieją po angielsku?

- Ale mówiłem ci, że jest nas sześciu i że mamy wielkie apetyty.

- Poza Davidem wszyscy zjedliście po trzy porcje! - odparła z oburzeniem, odkładając łyżkę.

- Tak, ale cały dzień ciężko pracowaliśmy w polu. Opuściliśmy południowy posiłek. Jesteśmy mężczyznami. Na przyszłość proszę, żebyś o tym pamiętała.

Jak na nagane, ta akurat była dość łagodna, mimo to Caroline bardzo się rozgniewała.

- Na przyszłość ugotuję tyle, żeby wystarczyło dla stada świń, bo wygląda na to, że właśnie świnię przyjdzie mi karmić! - Chciała skoczyć na równe nogi, lecz ława zbyt była obciążona. Przesunęła się więc na koniec i dopiero wtedy wstała.

- Nie ma powodu, żeby się złościć. Wszyscy gotowi jesteśmy iść na ustępstwa, pamiętajac, że to twój pierwszy dzień z nami. Najemy się naleśników. Są jeszcze naleśniki? - odezwał się Matt tonem, jakiego mądry człowiek używa wobec nierozsądnego.

- Nie, nie ma. Zrobiłam dwa tuziny naleśników, a wyście zjedli wszystkie do ostatniego okruszka! - Jeśli nawet w głosie Caroline brzmiała histeryczna nuta, to i tak było nic w porównaniu z tym, co czuła. Miała ochotę krzyczeć, przeklinać i tupać. Pragnęła rozgnieść tych niewdzięczników na proch. Pracować ciężko dla takiej jak ta nagrody - doprowadziło ją to do furii.

- Nie ma naleśników! - Tym razem Davey wybuchnął głośnym płaczem. Patrząc na niego, Caroline także miała ochotę szlochać. Była zmęczona i głodna, bo nawet nie dano jej szansy, by skończyła posiłek, nie miała łóżka, i jeszcze trzeba posprzątać stół i pozmywać naczynia...

Tego za wiele. Zaciśnęła usta, okręciła się na pięcie i z wystudiowaną godnością wyszła przez składzik na podwórze.

Zapadł już zmierzch, nadchodziła noc. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, od wschodu płynął sierp księżyca, zasłaniany przez chmury. Powietrze wypełniały kumkania żab i brzęczenie owadów. Gdzieś z oddali dobiegło żalosne wycie.

I właśnie to wycie przelało czarę. W Anglii nic nigdy tak nie wyło. Drżąc w chłodzie nocy, który przenikał jej cienką suknię, Caroline poszła aż do płotu ogradzającego podwórko dla kur. Położyła dłoń na furtce i przycisnęła do niej czoło.

A potem się rozplakała.

9

Mimo że stapał lekko, a Caroline odwrócona była plecami, wiedziała, że nadchodzi Matt. Coś powiedziało jej, że to on.

Wyprostowała się gniewnie i otarła łzy z policzków, zadowolona, że ciemność ukryje przed nim jej słabość - taką przynajmniej miała nadzieję. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było współczucie tego mężczyzny czy kogokolwiek innego.

- Dzięki Bogu, przestałaś się mazać. Nie znoszę płaczliwych kobiet. Na te obojętne słowa Caroline zeszywniała i odwróciła się ku niemu.

- Nie płaczę! Ja nigdy nie płaczę!

W mroku nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy. Świadoma była potężnej postaci oddalonej od niej o kilka kroków, bieli koszuli, piżmowego męskiego zapachu, lecz szczegóły sylwetki Matta kryła przed jej wzrokiem noc. Caroline miała nadzieję, że on też nie widzi jej wyraźnie.

- Wszystkie kobiety leją łzy jak dziurawe garnki, bo liczą na współczucie. Takiego zachowania nie będę tolerował pod moim dachem.

Odetchnęła głęboko.

- Najwyraźniej twoje doświadczenia z kobietami były bardzo ograniczone - zauważyła z wymuszonym spokojem.

- Byłem żonaty przez trzynaście lat.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Elizabeth była dziurawym garnkiem?

Wcale się nie dziwię, skoro poznałam ciebie, twoich synów i braci.

- Nic nie wiesz o mnie ani o mojej rodzinie.

- Uwierz mi, wiem tyle o tobie i twojej rodzinie, ile trzeba. Rano wyjeżdżam. W mieście musi się znaleźć dla mnie jakieś zajęcie.

- Nie wyjeżdżasz. - Spokojna pewność w jego głosie zbiła Caroline z tropu.

- Ależ tak! Nie możesz mnie powstrzymać! Wszyscy jesteście niechlujni, ordynarni i niewdzięczni! Wolę pracować jako... jako... robić cokolwiek, byle nie harować dla was!

- Mocne słowa, ale obawiam się, że wybór nie należy do ciebie.

- Naturalnie, że należy do mnie! Cóż to niby ma znaczyć?

- Zapomniałaś, że zapłaciłem za twoją podróż. Jesteś moją dłużniczką. Możesz odpracować tę należność jako krewna albo pójdziemy do rady i załatwimy sprawę oficjalnie. Nie mam nic przeciwko temu, żeby przyjąć cię do pracy jako poddaną służącą.

- Niewolna służąca!

- Jestem pewny, że Tobias chętnie poświadczy, że dług zaciągnęłaś u mnie.

- Nie zrobisz tego!

- Zrobię, jeśli mnie zmusisz.

Caroline zamilkła, niedowierzanie pomieszane z gniewem zamknęło jej usta. Kiedy Matt znowu przemówił, głos miał mniej ponury.

- Wolałbym jednak, żeby nie okazało się to konieczne. Najlepszym wyjściem dla wszystkich zainteresowanych będzie, jeśli spróbujemy uzgodnić warunki naszego wspólnego życia. Przyznaję, kiedy po raz pierwszy dowiedziałem się o tobie i twoich... hmm... trudnościach, nie byłem zadowolony. Ale teraz widzę, że z tej sytuacji mogą wyniknąć dla obu stron korzyści. Ty potrzebujesz domu. My zaś potrzebujemy kobiecej ręki, zwłaszcza chłopcy, którzy nie mają matczynej opieki. Jesteś ich ciotką. Kto lepiej od ciebie zajmie się nimi?

- JeśU chcesz matki dla swoich synów, to czemu się nie ożenisz?

-zapytała ostro.

- Nie zamierzam nigdy więcej się żenić. - Zimna stanowczość w jego głosie powiedziała Caroline, że Matt naprawdę tak myśli.

- Jestem złodziejką i kłamczucha, w dodatku pochodzę z rojali-stycznej rodziny, zapomniałeś? Chyba nie chcesz, żebym wsaczyła jad w niewinne umysły twoich dzieci?

- Nie obawiam się, że nauczysz moich synów kraść albo kłamać -odparł. I ledwo Caroline otrząsnęła się z zaskoczenia wywołanego tym niewątpliwym komplementem, dodał: - Zbyt głęboko mają zakorzenione nasze zasady moralne, by mogło tak się stać. Poza tym żywią zdrową obawę przed moim gniewem. Co zaś do twych rojalistycz-nych poglądów, to nie wątpię, iż nauczyłaś się ich na kolanach ojca, więc nie jest to wyłącznie twoja wina. Będziemy musieli uczyć cię na nowo.

- Spróbuj tylko!

- Może nam się uda.
- Mało prawdopodobne.
- Przekonałem się, że w życiu zdarza nam się wiele mało prawdopodobnych rzeczy. Weźmy twój przyjazd. Całe popołudnie zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że możesz być darem opatrności. Pismo mówi przecież, że niezbadane są drogi Pana. -W jego głosie dźwięczało rozbawienie. - W twoim wypadku wyznałbym, że nawet bardzo niezbadane.
- Dziękuję - odparła zimno.
- Daj spokój, żartowałem tylko. - Przerwał, by w mroku dojrzeć wyraz jej twarzy. Kiedy znowu się odezwał, głos tak mu się zmienił, że był niemal przymilny. - Od bardzo długiego czasu dzisiaj po raz pierwszy wróciliśmy do czystego domu i ugotowanej kolacji. Miło nam było, że po kuchni krząta się kobieta, chociaż uparłaś się co do mycia. Uderzyło mnie wtedy, że możesz dać chłopcom coś, czego potrzebują, a czego ja nie mogę im dać: kobiecą troskę i opiekę.
- No cóż. - Chociaż Caroline z niechęcią przyznawała się do tego sama przed sobą, odmalowany przez niego obraz sześciu mężczyzn łaknących delikatnej kobiecej ręki zmiękczył jej serce. Potrzebowali jej, to właśnie mówił Matt. Uświadomiła to sobie, i nie tylko to: jego propozycja była balsamem na jej obolałe i pełne gorczy serce; oferował jej dom i rodzinę, a przecież dzisiaj po południu pojęła, jak bardzo tego pragnie. - Chętnie uczynię dla siostrzeńców wszystko, co w mej mocy, pod warunkiem wszakże że traktować mnie będziecie z szacunkiem, a nie jak służącą, której wydaje się rozkazy.
- Przyrzekam, iż będziemy odnosić się do ciebie z wszystkimi honorami, aczkolwiek ufam, że w zamian nie będziesz tragizować z powodu każdego wypowiedzianego bez namysłu słowa czy nieprzemyślanego uczynku. Przez długi czas mieszkaliśmy sami, niewykluczone, że naszym manierom wiele można zarzucić. Tak jak ta dzisiejsza sprawa: nikt nie chciał zranić twoich uczuć. Jedzenie było dobre, prawdę mówiąc, równie smacznego posiłku nie jadłem od bardzo dawna.
- Lubię gotować. - Caroline jeszcze bardziej złagodniała. Jego przymilne słowa zaczynały odnosić skutek. A choć świadoma była, że Matt

pochlebstwami chce ją skłonić, by postąpiła zgodnie z jego wolą, to przecież nie próbowała się sprzeciwić, lecz chętnie ich słuchała.

- Ha, a skoro my lubimy jeść, to nie ulega wątpliwości, że niebiosa nam ciebie zesłały.

I uśmiechnął się do niej, powolnym, lekko krzywym uśmiechem, na który padło światło księżyca, w tej właśnie chwili wyglądającego zza chmury. Caroline poczuła, jak otwiera się w niej coś, co było zamknięte od śmierci ojca. Aż do tej chwili nie sądziła nawet, że Matt w ogóle potrafi się uśmiechać. Dzięki temu wyglądał młodziej, o wiele młodziej, niż sądziła, i wydawał się wręcz oszałamiająco przystojny. Kiedyś, och, jakże by ją kiedyś pociągał!

- Ile masz lat? - Pytanie, które pojawiło się nagle w jej myślach, bez udziału woli samo opuściło usta.

Gdy tylko je wypowiedziała, zarumieniła się po korzonki włosów. I znowu poczuła wdzięczność za nocny mrok. Wiek szwagra nie powinien jej obchodzić, pytanie to sugerowało, że Matt interesuje ją w sposób, w jaki wcale jej nie interesował!

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Przymrużył oczy i chłodno odrzekł:

- Trzydzieści trzy.

- Ale Elizabeth jest... byłaby... -Jego odpowiedź tak ją zaskoczyła, że nie potrafiła porzucić tej kwestii.

- Była o trzy lata starsza ode mnie.

- Więc miałeś zaledwie siedemnaście lat, kiedy ją poślubiłeś i opuściłeś Anglię.

- Nie zdradziła ci tego w listach? Przecież wiecznie pisała je do ciebie i waszego ojca.

W jego głosie brzmiała nuta, której Caroline nie potrafiła rozpoznać. Była to gorycz, uraza, gniew, a może mieszanina tych trzech uczuć? Czy po prostu irytacja wywołana jej pytaniami?

- Prawdę mówiąc, rzadko wspominała o tobie. - Ledwo Caroline zaniknęła usta, uświadomiła sobie, jak nietaktowna była jej odpowiedź.

- Ani, pewien jestem, o chłopcach. - Tym razem bez wątpienia była to gorycz.

- Nie. - Caroline uświadomiła sobie ów fakt ze zdumieniem.

Wcześniej nigdy nie wydawało jej się to dziwne, lecz przecież dopiero dzisiaj poznała rodzinę siostry, dotąd nie miała pojęcia o nich jak o żyjących, oddychających istotach ludzkich. Jaką musiała być kobietą, skoro nigdy nie pochwaliła się dwoma silnymi synami i niezwykle przystojnym mężem? Listy Elizabeth, na początku częste, z czasem coraz rzadsze, dotyczyły głównie piękna krajobrazu Nowego Świata i różnic dzielących go od starego. Caroline dostrzegła teraz, jak bardzo korespondencja ta pozbawiona była informacji osobistych. Elizabeth nigdy nie wspomniała o wieku Matta - czy pana Mathieso-na, jak zgodnie z konwenansami go nazywała -jego urodzie czy kalectwie. Nie pisała nic o jego braciach, którzy razem z nimi mieszkali, i niewiele o warunkach, w jakich przyszło jej żyć. Czasami mghście napomykała o dzieciach, żadnym słowem jednak nie oddała prawdziwego obrazu tych dwóch pełnych energii chłopców. Jak mogła tak ni

sko cenić sprawy, które bez wątpienia były dla niej najważniejsze? Jeśli istniała odpowiedź na to pytanie, Caroline jej nie znała.

W oddali znowu rozległo się wycie. Zza domu odpowiedział mu żalobny skowyt Raleigha. Caroline zadrżała, nagle ogarnął ją chłód. A może ten dreszcz wywołany został czymś innym?

Matt mruknął coś pod nosem.

- Najwyższy czas odwiązać Raleigha. Chodź ze mną. Skoro masz z nami mieszkać, musisz się z nim zaprzyjaźnić.

- Nie, dziękuję. - Zapraęnęła znaleźć się w domu, którego ściany zapewniały bezpieczeństwo. Kiedy wybiegała, w swym zdenerwowaniu nie dostrzegła przytłaczającej niesamowitości lasu. Teraz wydawał się bliższy i przerażający, bardziej ponury w mroku niż w świetle dnia. Coraz więcej głosów zwierzęcych dołączało się do ponurego chóru. Caroline skrzyżowała ręce na piersiach i rozejrzała się niespokojnie. - Co to jest? - Pomimo starań nie potrafiła całkowicie ukryć strachu.

Matt ujął ją pod ramię i poprowadził w kierunku domu. Caroline przez rękaw sukni czuła gorąco i siłę jego dłoni, i starała się powstrzymać to, co jak wiedziała, nieuchronnie nadchodzi. Na próżno jednak - ogarnął ją wstręt, mroząc myśli i budząc pragnienie, by odrzucić rękę Matta. Jego dotyk tym bardziej był denerwujący, że powietrze wibrowało od wycia. Niezdolna dłużej panować nad sobą, uwolniła się z uścisku. Ku jej uldze Matt nie zwrócił na to uwagi.

- To? - spytał obojętnie. - Wilki. Są daleko.

- Wilki! - powtórzyła, ze strachem spoglądając na mroczną puszcę.

Obawa przed wilkami okazała się silniejsza od wstrętu i Caroline przysunęła się do Matta. Nie dotykała go, szła tylko przy jego boku, lecz jego potężna sylwetka dodawała jej odwagi. Choć wcale nie była pewna, czy gdyby wilki rzeczywiście zaatakowały, Matt nie pozostawiłby jej na pastwę bestii. Wyglądało na to, że tak samo ceni kobiety, jak ona mężczyzn.

- Tak, ale nie martw się. Najczęściej trzymają się z dala od osiedli ludzkich. A jeśli nawet głód przywiedzie je bliżej, zwykle nie pożerają młodych dziewcząt. Wołają Jakuba i dlatego na noc zamykamy go w oborze.

- Jakuba?

- Byk. Chyba pamiętasz Jakuba z Biblii? Był niezwykle płodnym mężem, dlatego naszego byka nazwaliśmy jego imieniem. Mamy nadzieję, że też taki będzie. - W jego głosie zabrzmiała wesołość. Z ukosa zerknął na Caroline. Wiedziała, że wspomina jej upokarzające spotkanie z bykiem. Gdyby tak bardzo nie bała się istot, które mogą czaić się w mroku, odeszłaby natychmiast. W tej sytuacji jednak zadowolona się posłaniem mu ponurego spojrzenia.

- Mam nadzieję, że wilki dostaną tego twojego przeklętego Jakuba. A ja idę do domu.

Byli już blisko drzwi wejściowych, dlatego bezpiecznie mogła tak powiedzieć. Na ich widok Raleigh przestał skomleć i zaczął radośnie ujadać i podskakiwać. Caroline instynktownie schowała się za Mattem, który potrząsnął głową.

- Boi się psów, byków i wilków. Chyba sprzyja nam fortuna, skoro nie boi się mężczyzn. - Jego słowa podążały za nią, gdy biegła na ganek. A potem dodał coś, co sprawiło, że na moment przystanęła. Wydało jej się, że mruknął: - A może się boi?

Lecz kiedy się ku niemu odwróciła, zobaczyła tylko schylone plecy szwagra; odwiązywał Raleigha.

Wiedząc, że bestia za chwilę będzie wolna, Caroline podkasła spódnicę i biegiem ruszyła w stronę domu. Na wpół usłyszane słowa nie przestały jej jednak prześladować. Czy Matt naprawdę je wypowiedział, czy też był to tylko szum wiatru?

- Siadać, Raleigh!

Matt, uwolniwszy z więzi psa, o mało nie stracił równowagi, bo oszalałe z radości zwierzę rzuciło się na niego i zaczęło lizać po policzkach, mimo że próbował je powstrzymać. Kiedy pies skakał wokół niego, Matt złapał go za łapy i odepchnął. Co Raleighowi bardzo się spodobało, najwyraźniej uznał, że to jakaś nowa zabawa. Ujadając wniebogłosy, zaczął biegać zygzakiem po podwórzu.

Matt z lekkim uśmiechem patrzył na rozbrykane zwierzę. Jako pies stróżujący, do której to funkcji został przeznaczony, Raleigh odnosił wątpliwe sukcesy. Mimo że budził postrach swą potężną posturą, nigdy nikomu nie zrobił krzywdy, najbardziej nawet bezczelnej wiewiórce. Ale synowie Matta go uwielbiali, bracia lubili, a on sam odnosił się do niego z

sympatią. Teraz trzeba tylko, by nowa mieszkanka ich domu przekonała się, że rzekomy potwór w rzeczywistości wcale nie jest groźny, a Raleigh stanie się faworytem wszystkich.

Na tę myśl Matt spojrzął na tylne drzwi, za którymi kilka minut temu zniknęła Caroline. Wspominając wydarzenia dnia, skrzywił się i wzruszył ramionami. Niewykluczone, że popełnił kolejną potworną pomyłkę.

Caroline Wetherby nie była bogobojną purytanką, lecz córką szulera, rojalistką, złodziejką, kłamczucha i Bóg wie kim jeszcze. A mimo to przyjął ją pod swój dach, co więcej, poprosił, żeby otoczyła jego synów kobiecą opieką. Dlaczego? A niech to, jeśli sam wie.

Co naturalnie nie było całą prawdą. Wiedział doskonale. Zawsze łatwo padał łupem pięknej niewiasty w tarapatach. W ten właśnie sposób zawarł małżeństwo z najbardziej nieodpowiednią kobietą, co

uznałby za najgorszy błąd swego życia, gdyby nie synowie. Ale gdy umarła, nawet nie potrafił udawać, że ją oplakuje.

Podobnie jak Elizabeth, jej siostra przyrodnia także przyciągała wzrok, choć bardzo się od niej różniła. Caroline jak na kobietę była wysoka i o wiele za szczupła, dlatego, jak przypuszczał Matt, że ostatnimi czasy nie za dobrze jej się wiodło. Elizabeth była o wiele niższa i zaokrąglona, bujna i ponętna, choć słowo to niosło znaczenie, o którym Matt wolał nie myśleć. Pewne wspomnienia pozostały tak nieprzyjemne, że najlepiej wyrzucić je z pamięci.

Caroline włosy miała czarne jak skrzydło kruka i proste, Elizabeth kasztanowe i kręcone. Twarz Elizabeth była okrągła jak całe jej ciało, o cerze brzoskwiniowej, która w późniejszych latach stała się ogorzala. Twarz Caroline zaś delikatna, o drobnych rysach i cerze tak białej, że Matt pragnął jej dotknąć, przynajmniej raz, by przekonać się, czy w dotyku jest tak aksamitna, na jaką wygląda. Lecz naturalnie nigdy by tego nie zrobił. Nie był już głupim niedorostkiem, lecz mężczyzną zahartowanym w bojach życia. Nigdy więcej nie ulegnie żądzy, której nie będzie towarzyszyć miłość. Nie do naprawienia są szkody wyrządzone przez takie szaleństwo.

Lecz przecież on i jego synowie z wolna dochodzą do siebie.

Teraz trzeba im tylko pokazać, że nie wszystkie kobiety są takie jak ich matka. I chyba to, przypuszczał Matt, ostatecznie przekonało go, by pozwolić Caroline zamieszkać z nimi. Małżeństwo pozostawiło mu blizny bardziej fizyczne niż psychiczne, obawiał się jednak, że jego synowie nosić będą rany w sercach, jeśli nie podejmie jakichś kroków, by temu zaradzić. Elizabeth nie była dla nich matką, lecz źródłem wstydu i strachu. Muszą się przekonać, że są niewiasty różniące się od zmarłej. Zaniedbaniem z jego strony było to, że wcześniej o tym nie myślał. Nie pozwalały na to bolesne wspomnienia, z powodu których uznał teraz Caroline za dar opatrności. .

Tak więc jego decyzja, by przyjąć siostrę Elizabeth pod swój dach, podyktowana została ojcowską troską. W żaden sposób nie wpłynęły na nią prowokacyjnie skośne złote oczy pod czarnymi rzęsami, mówiące do niego o sprawach, które lepiej pozostawić w spokoju, ani też pełne usta, obiecujące więcej zmysłowości niż całe ciało Elizabeth.

A w każdym razie nie były to rzeczy decydujące. Matt zapytał sam siebie, czy Caroline jest rozwiązła. Przypomniał sobie, jak skurczyła się pod jego dotykiem, i z jego czoła zniknęła zmarszczka. Jakiegokolwiek wady miała Caroline Wetherby, a Matt nie wątpił, że jest ich wiele, i to najróżniejszych, rozwiązłość akurat do nich nie należała.

Na tę myśl ogarnęła go wielka ulga. Nie sądził, by potrafił ponownie stawić temu czoło.

Jego uwagę zwrócił błysk ognia w lesie. Nie jeden, lecz dwa lub trzy, nad strumieniem.

Radosne ujadanie Raleigha zmieniło się, gdy pies także dostrzegł światło. Z natury wcale nie gwałtowny, teraz wydawał odgłosy niemal wściekłości. Ludzie zapalający owe światła też tak chyba pomyśleli, bo nagle zapanowała ciemność.

Zgasili latarnie, pomyślał Matt.

Więc znowu tam byli, mroczni wyznawcy szatana, niechaj będą przekłeci! Nocami praktykowali swe obrzędy w lesie, nie mając innych świadków swych poczynań poza własnym kręgiem, aczkolwiek Matt w przeszłości znał nazwisko jednej z nich: Elizabeth Mathieson.

Ich religią była czarna magia. Kiedyś powiedziała mu o tym w sposób, w jaki mówiła mu wszystko: wyrzucając słowa jak pociski w środku gorzkiej kłótni. Wykorzystywali moce ziemi, by wzywać duchy i rzucać uroki. Przy siarkowym ognisku - by uniknąć wyśledzenia, za każdym razem wybierali inne miejsce, znacząc je inkanta-cjami zapisanymi tajemnym starożytnym pismem, tak by wtajemniczeni wiedzieli, gdzie się zebrać, gdy nadejdzie stosowna pora -Elizabeth widziała samego diabła, otoczonego wirującymi kłębami dymu.

Jej pierwszym krokiem w szaleństwo było uznanie siebie za czarownicę.

Kiedy Matt odkrył nocne wyprawy żony i ich cel, zareagował zdumieniem, wstrętem, a jeśli miał być ze sobą szczery, także strachem.

Naturalnie zabronił jej tych wycieczek, a kiedy nie chciała być mu posłuszna, uciekł się do ostateczności i zaczął zamykać ją na noc w sypialni. Elizabeth zaś, przekonawszy się, że mąż zdecydowany jest trzymać ją z dala od lasu, rzuciła na niego prawdziwe przekleństwo czarownicy, czego świadkami byli jego bracia oraz sąsiad, który przypadkiem ich odwiedził. Ubrana jedynie w koszulę nocną, z rozwi-

chryzonymi włosami spadającymi na ramiona, wychyliła się przez okno i wykrzykiwała niezrozumiałe słowa, przeraźliwym głosem wzywając szatana, by spuścił na Matta straszliwą zemstę. Po owym wydarzeniu zaczęły krążyć plotki, że Elizabeth jest czarownicą. Kiedy rzucono mu w twarz to oskarżenie, a tylko jeden czy dwóch wieśniaków zdobyło się na taką odwagę, Matt odpowiedział śmiechem i szyderstwem. Jednakże aż do dnia śmierci żony żył w ciągłym strachu, że zostanie postawiona przed sądem i oskarżona o czary. Karą za to była śmierć przez powieszenie lub spalenie na stosie, jak czynili mieszkańcy sąsiednich osad. Mimo że z czasem Matt nabrał pogardy do żony, to przecież nie życzył jej takiego końca. Dla jego synów oznaczałoby to koszmar nawiedzający ich przez całe życie. Dlatego też, choć równie dobrze mogło to świadczyć o braku łaski boskiej w jego

sercu, kiedy Elizabeth utonęła, nie próbował zbyt wnikliwie badać okoliczności tego wypadku i nie czuł niczego poza ogromną ulgą. Jeśli, jak podejrzewał, grupa mieszkańców miasteczka uznała za swój obowiązek sprawdzić prawdziwość pogłosek o czarnej magii i poddała Elizabeth próbie wody, która zakończyła się śmiercią nieszczęsnej, to w żaden sposób nie mógł przywrócić jej do życia. Dopilnował, by miała chrześcijański pochówek, resztę zaś pozostawił w spokoju.

Ale wyznawcy węża dalej nawiedzali puszcę, a samo ich istnienie było obrazą dla bogobojnych osadników. Matt zaś miał więcej powodów niż inni, by się ich bać i nienawidzić.

Mało prawdopodobne, żeby czarownice rozpierzchły się na dźwięk pojedynczego wystrzału, mimo to Matt wziął muszkiet, który trzymał przy tylnych drzwiach domu, i wypalił w kierunku świateł, choć i tak już zgasły. Żółty blask i ostry pogłos sprawiły, że poczuł się lepiej; taki sam skutek wywarło uderzenie kolby w ramię i kwaśny odór prochu.

Niezależnie od tego, jak próżny był jego wysiłek, przynajmniej coś zrobił. Przez chwilę stał, wpatrując się w mrok, lecz nic więcej nie dostrzegł.

Zaraz też Raleigh skoczył ku niemu, z wywieszonym językiem, domagając się zabawy. Dla niego incydent należał już do przeszłości.

Dla Matta zresztą też. Po śmierci Elizabeth nie miał żadnego powodu, by angażować się w mroczne poczynania w lesie. Dopóki żaden z jego domowników nie będzie w nie zamieszany, to nie jego sprawa.

Z muszkietem na ramieniu Matt odwrócił się i wszedł do domu.

10

Energiczne pianie dwóch kogutów obwieściło nadejście świtu. Caro-line przespałaby je, gdyby nie donośne dudnienie, które niemal w tym samym momencie nappełniło dom. Zaskoczona, z trudem uniosła powieki i w szarym półmroku rozejrzała się wokół zdziwiona; wówczas też uświadomiła sobie, że ów okropny hałas czyni mężczyzna śpiewający pełnym głosem. Wciąż na wpół przytomna, Caroline pomyślała, że jest w jednej z obskurnych tawern, w których razem z ojcem spędzili tak wiele nocy. A potem rozjaśniło jej się w głowie. Przypomniała sobie, gdzie jest, i pojęła, że to śpiewa Matt. Trudno było rozpoznać melodię, tak bardzo wyteżał głos, a w dodatku wybijał rytm, uderzając czymś metalowym o drzwi i ściany, przez co huk wydawał się ogłuszający. Zwinięta w kłębek

na poduszce Millicent pode-rwała się na równe nogi, strosząc sierść. Zaraz też skoczyła na podłogę i zniknęła pod łóżkiem. Caroline mogła jedynie żałować, że nie potrafi równie skutecznie gdzieś się schować.

- Wszyscy ludzie, co na Ziemi mieszkacie! - Bang! Śpiewajcie Panu radosnymi głosy! - Bang!

Jemu służcie z ochotą, Jego chwałę głoscie! - Bang!

Przyjdźcie wszyscy przed Jego oblicze! - Bang!

W odpowiedzi rozległy się chóralne pomruki uciszające śpiewaka, ten jednak zupełnie na to nie zważał. Caroline jęknęła i zakryła uszy poduszką, w nadziei, że pierze stłumi hałas. Kiedy poprzedniego dnia zakończyła pracę, ledwo mogła ustać na nogach z wyczerpania. Teraz mrok nocy rozpraszały pierwsze dopiero promienie światła, a ją już zmuszano, by wstała! To niesprawiedliwe!

- Na miłość boską, Matt, musisz tak strasznie hałasować? - Zdanie to wypowiedział Thomas lub Robert, Caroline nie była pewna.

- Czas wstawać, leniu. Nie będę tolerował próżniactwa w tym domu.

„Wszyscy ludzie, co na Ziemi mieszkacie!” - Bang!

- Tatku, czy musimy już wstawać? - z jękiem zapytał John.

- Wiesz, że tak. Davey, wyskakuj z łóżka. Nie będzie dobrze, jeśli spóźnicie się do szkoły. „Śpiewajcie Panu radosnymi głosy!” - Bang!

- A nie moglibyśmy dzisiaj zostać w domu, tatku? Większość chłopców pomaga przy siewach. Powiedziałeś, że wczoraj bardzo się przydaliśmy.

- Wczoraj nie poszliście do szkoły, bo nauczyciel miał wesele. Dzisiaj już będzie, tak samo jak wy. Szkoła jest ważna, Johnie, wiesz o tym dobrze. Ja i wasi stryjowie poradzimy sobie bez was. Wolę, żebyście uczyli się czytać, pisać i liczyć, skoro macie możliwość. „Jemu służcie z ochotą, Jego chwałę głoscie!” - Bang!

Tym razem Matt wałnął w drzwi Caroline. Podskoczyła oburzona, wystawiając głowę spod poduszki. Może ten okrutnik pójdzie sobie, jeśli go zignoruje.

- Wstawać, szanowna pani Próżniaczko! - Zza drzwi dobiegł donośny krzyk. - Rojalistyczny zwyczaj spania do południa tu się nie przyjmie! Czas na śniadanie!

Caroline już chciała odkrzyknąć, żeby lepiej wybrał się w inne miejsce, ale po namyśle zmieniła zdanie. W końcu Matt był tak uprzejmy, że wieczorem odstąpił jej swoje łóżko (aczkolwiek zaznaczył, że będzie spał z Danielem tylko do czasu, gdy dla niej znajdą inne miejsce), i tak wspaniałomyślny, że w ogóle przyjął ją pod swój dach (bez względu na to, jak egoistycznymi pobudkami się kierował). Względy te wszakże jedynie w małym stopniu skłoniły ją do powściągnięcia języka.

Najbardziej skuteczne było przeświadczenie, że jeśli odmówi, Matt wpadnie do pokoju i własnoręcznie wywlecze ją z łóżka.

Jakiś przedmiot ponownie uderzył w drzwi.

- Wstaję, wstaję! - zawołała.

- Najwyższy czas!

Jego kroki oddaliły się przy wtórze fałszywie śpiewanego psalmu oraz ogłuszających uderzeń. Caroline westchnęła i wysunęła się z pościeli.

Kwadrans później na wpół ubrana stała w kuchni, gotując owsiankę.

Włosy, związane byle jak, zdążyły się już rozpleść i teraz pasmami opadały jej na uszy i plecy. W pośpiechu pomyliła haftki i stanik sukni

dziwacznie przekrzywił się jej na piersiach. Ciągłe potykała się o zbyt długą spódnicę; marzyła o wolnej chwili, by ją upiąć. Ale wolnej chwili nie miała. Wszyscy domownicy byli już na nogach, a Matt dał jej pół godziny na przygotowanie śniadania i wyprawienie chłopców do szkoły. W domu było ciemno jak w nocy, mrok rozpraszały tylko dwie chybotałiwe świece. Daniela posłano do strumienia po mleko i masło, chłopcy myli się pod pompą na podwórzu. Matt, Thomas i Robert zerkali na zmianę w małe lusteczko, goląc się w tym samym czasie. Z pogiętej miednicy, która Mattowi służyła jako akompaniament w czasie porannego koncertu, unosiła się para - wodę mężczyźni wykorzystali do golenia. Czajnik, jak odkryła Caroline, kiedy nie znalazła go w kuchni, stał pusty i porzucony koło miednicy. Poszła więc po niego, starając się nie patrzeć na wpół ubranych mężczyzn ani ich nie dotknąć, co było trudne, jako że w składziku panowała ciasnota. Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Odwróciła się i ku swemu zaskoczeniu napotkała baczne spojrzenie Matta. Przez chwilę, nim opuścił powieki, mogła w jego głębokich kobaltowych oczach wyczytać męskie uznanie dla godnej pożądania kobiety. Urok, który sprawił, że zastygła w pół kroku, przysł; Caroline wróciła do kuchni. Była roztrzęsiona, serce biło jej mocno, gdy napełniała czajnik i wieszała nad ogniem. Minęło kilka minut, nim całkiem się uspokoiła. Nawet przed samą sobą nie chciała przyznać, jak wielki wpływ na nią miała ta krótka wymiana spojrzeń, i dokładała starań, by stać tyłem do składziku. Trudno jednak było całkowicie ignorować kilku półnagich mężczyzn. Wszyscy trzej, obnażeni do pasa, zupełnie nie zważali na obecność obcej kobiety. Ale nadmierna skromność, o czym Caroline zdążyła się już przekonać, nie była tu męską zaletą.

- Mogłabyś w południe przynieść nam posiłek na pole. Będziemy zajęci, szkoda czasu na chodzenie do domu i z powrotem. - Matt, gładko ogolony i z pozoru nieświadomy tego, co tak niedawno pomiędzy nimi zaszło, wkroczył do kuchni, wycierając mydło z twarzy lnianym ręcznikiem. Caroline starała się nie patrzeć na jego pierś pokrytą czarnymi włosami ani na napinające się mięśnie ramienia, gdy sięgał po koszulę, która wisiała na oparciu krzesła. W przeszłości, w innych okolicznościach widok takiego mężczyzny pewnie by ją oszołomił. Teraz jednak obdarzyła go zaledwie ukradkowym spojrzeniem i zabrała się do

nakładania owsianki na talerze, próbując stłumić uczucie niepokoju, jakie wzbudził w niej jego niekompletny strój.

- Cokolwiek to jest, pachnie ładnie. - Ta pochwała, wygłoszona tonem niemal pretensji, pochodziła od Thomasa.

Caroline wiedziała już, że jest zawołanym łakomczuchem; kiedy teraz wkładał koszulę, zerknęła na niego. Tors miał szczupły i muskularny, prawie nieowłosiony, czego można się było spodziewać, widząc jasną cerę młodzieńca, na Caroline jednakże Thomas nie wywarł takiego wrażenia jak bardziej masywnie zbudowany Matt. Po

dobnie było z Robertem, którego klatkę piersiową porastały kasztanowate włoski. Byli bardzo przystojni, ci mężczyźni z rodziny Mathiesonów, Caroline musiała to przyznać, ale tylko Matt sprawiał, że kobiecie brakło tchu.

To znaczy gdyby była kobietą, której na taki widok brakuje tchu.

Caroline, mieszając owsiankę z większą niż było to konieczne siłą, przekonywała siebie, że na pewno nie jest!

-Jestem głodny - oznajmił Davey, wchodząc do kuchni wraz z Johnem.

Obaj zatrzymali się tuż za progiem i wodzili za Caroline niepewnym spojrzeniem. To, jak w jej obecności zachowywali się chłopcy, a także Thomas i Robert, budziło w Caroline wrażenie, że jest jakimś dziwnym i obcym gatunkiem. Czyżby ci tutaj tak mało mieli do czynienia z kobietami, że uważali je za niebezpieczne? Matt i Daniel, bardziej dojrzały, odnosili się do niej z większą swobodą, aczkolwiek żaden nie powitał z entuzjazmem jej pojawienia się w domu.

- Posiłek będzie gotowy, jak wasz stryj wróci z mlekiem. - Caroline ostrożnie uśmiechnęła się do chłopców. Doprawdy, to wielki wstyd, że ojciec i stryjowie wychowują ich w takiej nieufności do kobiet. Choć przecież musieli zachować jakieś dobre wspomnienia o matce.

- Chcę jeść teraz!

- Bądź cierpliwy, Davey! I uprzejmy - upomniał go ojciec.

- Czy ona dzisiaj wyjeżdża? - zapytał chłopiec płaczliwie.

- Mówiłem wam, że ciocia Caroline tu zostanie.

- Nie chcę jej ! Chcę, żeby sobie poszła!

- Cisza! - krzyknął Matt, tracąc cierpliwość. David umilkł, choć wyraźnie się naburmuszył.

Caroline w duchu westchnęła. Pozyskanie przyjaźni małego zabierze trochę czasu, to nie ulegało wątpliwości.

- Nauczyłeś się lekcji na dzisiaj? - łagodniejszym tonem zwrócił się Matt do młodszego syna. Davey, wciąż nadąsany, skinął głową.

- Posłuchamy więc. - Matt usiadł przy stole.

- „Od upadki Adama wszyscyśmy grzeszni...” - Chłopiec mówił dalej, lecz Caroline zbyt była zajęta czymś innym, żeby go słuchać. Obserwując malca recytującego przed ojcem, którego był miniaturą, poczuła ukłucie w okolicach serca. Czy tego chcieli, czy nie, byli jej siostrzeńcami,

ostatnimi krewnymi, jacy jej pozostali na całym świecie. Zrobi dla nich wszystko, co w jej mocy.

Tego dnia chłopcy ubrani byli w bardzo wymięte koszule z biało--niebieskiego samodziału i sądząc po rozdarciach i plamach, te same spodnie co wczoraj. Pończochy Davida były dziurawe i nieporadnie pocerowane, pończoch Johna nikt nie próbował nawet naprawiać, tak więc przy każdym kroku widać było kościste łydki. Obaj mieli mokre włosy, przyczesane grzebieniem, i czyste twarze. Poza tym sprawiali wrażenie bardzo zaniedbanych. Caroline postanowiła, że skoro teraz jest to jej obowiązkiem, dołoży starań, by nadrobić owe braki. Każdy dzień rozpoczynać będzie od prania i cerowania ich ubrań.

Wrócił Daniel z mlekiem i masłem, a Caroline ustawiła parujące miski z owsianką na stole. Mężczyźni zabrali się do jedzenia z zapalem.

Skończyli po pięciu minutach, chłopcy wstali i ruszyli ku drzwiom.

- Co to jest? - zapytała Caroline.

Sprzątając ze stołu, znalazła małą drewnianą tabliczkę z przypiętym do niej kawałkiem cennego papieru. Na górze tabliczki wypisano alfabet, na dole Ojciec Nasz.

- Davey, zapomniałeś tabliczki! - zawołał Robert. Zabrał ją od Caroline i wybiegł za bratankami.

Drzwi pozostały otwarte, promienie wschodzącego słońca wpadły do składziku i kuchni, zalewając je ciepłym światłem.

- Będziemy na południowym polu - powiedział Matt do Caroline, razem z Danielem i Thomasem zbierając się do wyjścia. - To nie jest daleko, nie musisz się bać, że pójdiesz sama. Idź wzdłuż strumienia, a na pewno nas zauważysz. Jeśli coś się stanie, zawołaj, usłyszymy cię. Wystarczy nam zimne mięso, chleb, kilka jabłek i trochę piwa.

- Tak, panie - odparła Caroline ostro; obie ręce pełne miała naczyń.

W głowie kłębiły jej się pomysły na ulepszenie garderoby chłopców i zupełnie zapomniała, że czeka ją wiele innych zajęć. Do furii doprowadziła ją sugestia Matta, że nie ma nic lepszego do roboty niż przerywanie pracy w środku dnia, żeby zanieść jedzenie jemu i jego braciom. Poza doprowadzeniem do porządku dziecięcych ubrań były jeszcze okna do umycia, pościel do przewietrzenia, meble i podłogi do wyszorowania i wywoskowania, pranie, prasowanie, cerowanie i nie-

zliczone dodatkowe prace. Dzisiaj będzie sama; czekało ją tak wiele zajęć, że na samą myśl o nich czuła się wyczerpana. Matt jednakże zachowywał się tak, jakby jego prośba była rozsądna. I taka była, myślała Caroline, dla kogoś, kto nigdy nie prowadził domu.

- Jeśli masz jakieś zastrzeżenia, to wyraż je jasno. Nie mam czasu ani cierpliwości na kobiece fanaberie.

- Fanaberie! - Caroline wrzuciła miski do wiadra i odwróciła się ku niemu, podparta pod boki. - Chcę, żebyś wiedział, że nigdy nie miewam fanaberii, szanowny panie! To twoje niezważanie na innych tak mnie zdenerwowało!

- A, rozumiem. Więc to za wiele oczekiwać, że przyniesiesz nam w południe zimny posiłek? W takim razie wrócimy do domu na gorący.

Nie odrywali od siebie wzroku. Caroline z irytacją musiała przyznać, że Matt zapędził ją w kozi róg. Zaniesienie im jedzenia rzeczywiście przysporzy jej kłopotu, jednakże to, co zaproponował w zamian, oznaczało jeszcze więcej pracy. Od co najmniej czterech lat tęskniła za domem i rodziną z siłą, która czyniła to marzenie niemal namacalnym. Teraz, gdy ma to, czego tak pragnęła, powinna być wdzięczna, a nie zła. Ale postawa Matta sprawiała, że miała ochotę rzucić czymś w jego głowę. - Nie, przyniosę wam posiłek - odrzekła przez zaciśnięte zęby. Wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz.

A potem w żaden sposób nie okazując triumfu z wygranej, wyszedł z domu w ślad za braćmi. Caroline gotowała się ze złości. Naszła ją chęć, by kopnąć w stół i dać upust irytacji, ale odwiodła ją od tego świadomość, że jedynym przypuszczalnym rezultatem takiego działania byłby bolący palec u nogi. Doprawdy, ci Mathiesonowie są okropni, a najbardziej okropny ze wszystkich jest Matt!

Skoro nie miała na kim wyładować gniewu, pielęgnowanie go nie miało sensu. Tak więc Caroline z dna garnka wyskrobała resztę owsianki, nalała Millicent spodek mleka i usiadła do czystego stołu, by zjeść śniadanie.

Dbanie o dom pełen mężczyzn i chłopców zapowiadało się na wyczerpujące zajęcie. Nie ulegało wątpliwości, że Caroline będzie dzień po dniu harować od świtu do nocy, i to bez żadnej zapłaty. A jednak dobrze było mieć dom. Od śmierci matki nie zaznała takiej pewności, a tak długi jej brak sprawił, że teraz wydawała się jeszcze słodsza. Niezbita świadomość tego, że na każdy posiłek będzie jedzenie na stole, że noc po nocy będzie kładła głowę na tej samej poduszce, że nic ani nikt nie zrobi jej krzywdy, budziła w niej tak wielką ulgę, że dziewczyna z przyjemnością o tym myślała. Trzeba tylko dać czas obu stronom -jej i tym niewdzięcznym powinowatym - na przystosowanie się do nowej sytuacji. Na razie jednak będzie musiała polegać na swym usposobieniu.

Kilka godzin później zawinęła świeżo upieczony chleb w ścierkę i włożyła do wiadra na szynkę, której resztkę znalazła w wędzarni.

Czterech dorosłych mężczyzn zje sporo, Caroline już nieprzyjemnie przekonała się o ich apetytach. Z namysłem wzięła jeszcze jeden bochenek i kilka jabłek oraz zieloną cebulkę. Nie miała wątpliwości, że aby

dobrze ich nakarmić, będzie musiała bez przerwy gotować. Westchnęła, patrząc na dwa pozostałe na stole bochenki. Rano upiekła cztery, a po jednym tylko posiłku nie ma już połowy. Cóż, po powrocie będzie musiała zarobić ciasto i odstawić do wyrośnięcia.

Z wiadrem w jednej i dzbanem piwa w drugiej ręce Caroline wyruszyła w drogę. Powietrze było chłodne, słońce tak samo jasne jak poprzedniego dnia. Normalnie włożyłaby czepek, aby chronić cerę przed słońcem, nie miała jednak ochoty iść na piętro, by wygrzebać któryś z kufra. W końcu znalazła czas na wyszczotkowanie włosów i zwinęła je jak zwykle w prosty węzeł na karku. Suknia nosiła już ślady sprzątanania, teraz jednak Caroline przynajmniej porządnie ją za-pięła. Była to najprostsza ze wszystkich jej sukien, a mimo to zbyt wyszukana do pracy w domu. Dopasowany stanik z grubej różowej bawełny ozdobiły przy dekolcie sute falbanki z białego muślinu, przy łokciach wystawały białe muślinowe rękawy halki. Spódnica, modnie zebrana z tyłu, uszyta została z tej samej różowej bawełny co stanik, lniana podszewka zaś była brązowa w białe paski. Niegdyś ta suknia wydawała się bardzo elegancka, Caroline kupiła ją w tym samym czasie co resztę garderoby. Jej stroje miały przyciągać męski wzrok oraz podkreślać niezwykłą urodę ich właścicielki. Ojciec z wielką przyjemnością towarzyszył jej w spacerach po mieście, do którego akurat przybyli, bo ci wszyscy, którzy obejrzeli dziewczynę w świetle dziennym, tym chętniej później siadali z nim do stolika. Teraz jednakże Caroline straciła sporo na wadze, suknia była więc zbyt obszerna, a rąbek nosił ślady zużycia. Zamiast bucików na wysokim obcasie wybrała bardziej praktyczne trzewiki z jasnej skóry. W rezultacie suknia jeszcze bardziej wlokła się po ziemi, na szczęście Caroline znalazła w końcu czas, by wyjąć z kufra szpilki i podpiąć dół, by nie pętał jej nóg. Bez wątpienia nikt nie będzie się gorszył, że widać teraz trochę kostki. A zresztą kto mógłby ją zobaczyć?

Porywisty wiatr przeszył ją chłodem na wskroś i Caroline pożałowała utraconej peleryny. Innej nie miała; przed nadejściem zimy musi zdobyć sukno na nową. A może będzie mogła wykorzystać jakieś stroje pozostałe po Elizabeth? Caroline poczuła przelotny smutek z powodu śmierci siostry, choć prawie jej nie znała. Odpędziła od siebie to uczucie; upomniała się, aby nigdy więcej nie spoglądać za siebie.

Po drodze rzucała ukradkowe spojrzenia na las, teraz o wiele groźniejszy, gdy była sama. „Idź wzdłuż strumienia”, powiedział Matt. Cóż, posłucha jego rady, ale tylko dopóty, dopóki strumień będzie przecinać pole. Za żadne skarby nie zamierzała sama wkroczyć w las. Prędzej niech Mathiesonowie umrą z głodu!

Szczęściem strumień płynął po otwartym terenie. Caroline szła śpiesznie, starając się nie podskakiwać nerwowo przy każdym nieznanym dźwięku. Ramiona ją bolały, wiadro i dzban z każdym krokiem wydawały się cięższe. Pola ciągnęły się po horyzont, drzewa były wysokie niczym góry. Wszystko w tym nowym świecie przerastało rozmiarem swoje angielskie odpowiedniki! Caroline oczyma wyobraź

ni ujrzała muskularnych, potężnych Mathiesonów i w duchu dodała: nawet mężczyźni.

W lesie coś się poruszyło. Coś wielkiego podążało równoległe do ścieżki, którą szła. Kącikiem oka dostrzegła mglisty zarys jakiejś postaci.

Odwróciła głowę na lewo i bacznie przyjrzała się zaroślom. Nic nie zobaczyła, nawet gałązka nie drżała.

A mimo to Caroline była pewna, że ów ruch nie był wytworem jej wyobraźni.

Ciężar wiadra i dzbana przestał ją męczyć, przyśpieszyła kroku. Raz po raz zerknęła na las, a rezultat był ten sam: nic. Nie mogła się jednak pozbyć wrażenia, że coś lub ktoś ją obserwuje.

Strumień poprowadził ją na porośnięte trawą wzgórze. Caroline przysięgła sobie w duchu, że jeśli ze szczytu nie zobaczy mężczyzn, to wróci do domu. Wówczas jednak do głowy wpadła jej przerażająca myśl: czy tam będzie bezpieczniejsza? Cokolwiek szło jej śladem -jeśli rzeczywiście coś szło - na pewno zawróci, jeżeli ona to uczyni.

Strach narastał, gdy Caroline biegła na wzgórze. Dłonie jej zwilgotniały, w gardle wyschło. Na szczycie spojrzała za siebie - i ku swemu przerażeniu zobaczyła, że istotnie coś ją obserwuje. A raczej ktoś.

Dzikus, mający tylko przepaskę na biodrach i kilka pasów jaskrawej farby, stał pod drzewem. Jego skóra przypominała barwę glinę, długie czarne włosy spadały mu na ramiona, a twarz była napięta jak u polującego sokoła. Wpatrywał się w nią z napięciem, a gdy Caroline odkryła jego obecność, ruszył w jej stronę, stąpając szybko i z wdziękiem.

Caroline głośno odetchnęła, z całej siły pragnąc, by ta postać okazała się przywidzeniem. Kiedy wszakże dzikus zamiast rozpuścić się w powietrzu, coraz bardziej się do niej zbliżał, zaczęła się cofać. Nie zauważyła, że wiadro wysunęło się jej z dłoni i potoczyło w dół po zboczu; jego zawartość rozsypała się po drodze. W ślad za nim z głuchym dudnieniem o ziemię uderzył dzban. Wylądował na boku w wysokiej trawie, ale był zamknięty, więc piwo się z niego nie wylało.

- Uch! - Mężczyzna patrzył na nią gniewnie, gwałtownie przy tym gestykulując. Caroline nie wytrzymała. Uniosła obie dłonie do ust i zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

Zza pleców dobiegły ją wołania; wówczas z wdzięcznością uświadomiła sobie, że Mathiesonowie byli gdzieś blisko. Dzikus też ich usłyszał i przystanął niezdecydowany. Caroline raz jeszcze krzyknęła, po czym zerwała się do ucieczki. Raleigh przemknął obok niej, szczerząc wniebogłosy; kierował się wprost na mężczyznę. Ten spojrzał na ogromnego psa, okręcił się na pięcie i znikł.

- Ki diabeł? - Pomimo swego kalectwa to Matt pierwszy się przy niej znalazł.

Caroline nie wiedziała, czy był najbliżej, czy też jej przerażony głos zmusił go do nadludzkiego wysiłku. Wiedziała tylko, rzucając mu się na piersi, że jest przy niej i zapewnia jej bezpieczeństwo, że w tej chwili jest jej potrzebny. Przywarła do niego, z trudem łapiąc powietrze, niezdolna wymówić słowo. Twarz wtuliła w ciepły tors, palce schowała w miękkiej koszuli. Na piersiach czuła jego ciało, uda miała przyciśnięte do stalowych mięśni Matta. Nozdrza wypełniał jej zapach mężczyzny. A potem poczuła, że ramiona, dotąd oplatające ją instynktownym, jak sądziła, gestem, opadły. Matt ujął ją za łokcie i odepchnął od siebie. To było niepotrzebne. Gdy tylko Caroline uświadomiła sobie, do czego doprowadził ją strach, sama się cofnęła, zarumieniona po korzonki włosów. I wówczas ich spojrzenia się spotkały.

Przez chwilę patrzyli na siebie, a wspomnienie poranka drżało między nimi. Oczy Caroline rozszerzyły się na widok tego, co znowu wyczytała w jego oczach. Były niebieskie i niczym błękitne płomienie lśniły w ogorzałej twarzy, niespokojne, pełne pragnień - a potem, nim Caroline zdążyła zyskać pewność czy odpowiedzieć dreszczem wstępu, ich wyraz się zmienił. Gdy Robert, Thomas i Daniel dobiegli do nich, z błękitu zniknął ogień, stały się zimne i zamknięte. Caroline zastanawiała się, czy prawidłowo odczytała w nich błysk męskiego pożądania. Czy w swym przewrażliwieniu wyobraziła sobie głód, który pojawił się w jego oczach? - Co się stało? - zapytał Daniel.

Matt puścił jej łokcie. Wciąż roztrzęsiona i niepewna, Caroline oderwała od niego wzrok.

- Tam był dzikus - odrzekła drżącym głosem, wskazując dłonią za siebie ku miejscu, gdzie przedtem stał mężczyzna. - Wyszedł z lasu.

-I powodem całego tego zamieszania był Indianin? - zapytał ostro Robert. Caroline spojrzała na niego, nim jednak zdążyła otwo-rzyć usta, uprzedził ją Thomas, krzycząc:

- Nasze jedzenie!

Pokazywał przy tym na dół zbocza, gdzie tylko jabłka i cebulki pozostały z posiłku, tak pieczołowicie przygotowanego przez Caroline. Raleigh z najwyższym zadowoleniem pożerał chleb. A choć mężczyźni chórem wrzeszczeli na psa, połknąwszy pierwszy bochen, złapał w zęby drugi i potrząsnął nim, by wyciągnąć chleb ze ścierki.

- Zostaw! Puszczaj, ty żarłoczna bestio!

Wszyscy czterej jednocześnie zerwali się do biegu. Raleigh, wyczuwając, że zaraz wyrwą mu zdobycz, popędził w las. Thomas i Robert ruszyli w pogoń, Matt i Daniel przekonani, że to i tak nic nie da, zrezygnowali w połowie zbocza. Czując się winna - aczkolwiek nie miała pojęcia, jak ktoś może zwać na nią odpowiedzialność za to zda

rzenie - Caroline patrzyła, jak Matt, nie zaszczywszy jej nawet jednym spojrzeniem, zbiera rozrzucone jabłka i cebule. Szynka zniknęła tak samo jak chleb.

- Tam naprawdę był dzikus - powtórzyła Caroline, ulegając absurdalnej chęci, by wytłumaczyć się przed Mattem, który z jabłkami i cebulą wrócił na szczyt wzniesienia.

- Tutejsi Indianie są na ogół przyjacielsko nastawieni. Od czasu do czasu nawet z nimi handlujemy. Ten przypuszczalnie coś chciał, a ty wystraszyłaś go krzykami. - Wyraz twarzy Matta był kompletnie nieodgadniony, mimo to Caroline poczuła jeszcze większe wyrzuty sumienia.

Czuła się też głupio, zarówno z powodu swojej paniki na widok dzikusa (aczkolwiek w tamtej chwili wcale nie wydawało się to głupie), jak i wrażenia, że Matt okazał męskie zainteresowanie jej osobą. Zachowywał się chłodno i z dystansem, ale była przekonana, że to, co jej zdaniem widziała i odczytała, istniało w równym stopniu w jej głowie, jak i jego oczach.

- Przynajmniej piwo ocalało. - Daniel, jak zawsze wesoły, podniósł dzban i podszedł do nich.

- Cudownie. Zjemy obiad złożony z jabłek, cebuli i piwa - oświadczył kwaśno Robert, który wraz z Thomasem niosącym puste wiadro wrócił na wzniesienie.

- Bo ona zlekła się Indianina - dodał z ironią Thomas.

- Bo wasz niewychowany pies zjadł wszystko! - odpaliła Caroline, ujmując się pod boki.

- Nie możesz obwiniać Raleigha, skoro upuściłaś wiadro!

- O, nie mogę? Ta bestia może uważać się za szczęśliwca, jeśli nie skończy w moim garnku jako potrawka!

- Zrób mu krzywdę, a...

- Dosyć! - ryknął Matt. Caroline wzdrygnęła się, ale jego krzyk uciszył Thomasa i pozostałych braci. - Jabłka i piwo wystarczą nam do kolacji. Wiele razy mieliśmy jeszcze mniej. Choć byłoby miło, gdybyś gotując wieczorny posiłek, pamiętała, że niedużo dzisiaj jedliśmy.

Ostatnie zdanie, skierowane do Caroline, było mało subtelnym przypomnieniem braków poprzedniej kolacji.

- Och, przygotuję tyle, że wystarczy dla całej armii królewskiej, możesz być pewny!

- Raczej dla armii Cromwella - uśmiechnął się do niej Matt.

Wprawdzie lekko tylko wygiął usta, mimo to Caroline z zaskoczeniem dostrzegła, jak bardzo dzięki temu wyprzystojniała jego twarz. Nieważne, czy był Okrągłą Głową czy nie, czy doprowadzał ją do wściekłości czy nie, jedno nie ulegało wątpliwości: był wspaniałym przedstawicielem swej płci. Gdyby serca dziewczyny nie okrywała zbroja, chroniąca Caroline przed urokiem mężczyzn, w jego obecności mogłoby grozić jej poważne niebezpieczeństwo.

- Zostawię was teraz z waszym posiłkiem - mruknęła, z wysiłkiem odrywając od niego oczy.

- Raczej tym, co się uratowało - prychnął Thomas, gdy Caroline ruszyła w dół.

- Caroline! - powstrzymał ją Daniel. Spojrzała na niego pytająco przez ramię. - Jeśli boisz się wracać do domu, z przyjemnością będę ci towarzyszył.

Sądząc po wyrazie twarzy jego braci, z powodu tej propozycji Daniel stanie się źródłem kpiny i docinków. Przed oczyma Caroline pojawił się obraz dzikusa i znowu ogarnęła ją obawa, lecz Matt zapewnił, że Indianin nie zrobi jej krzywdy, a ona wierzyła Mattowi. Poza tym raczej niech wsadzą ją do wrzącego oleju, nim przed tymi wypranymi z uczuć ludźmi przyzna się do strachu!

- Dziękuję za twą uprzejmą propozycję, ale się nie boję - odrzekła tonem bardziej surowym, niż wymagały okoliczności, po czym ruszyła dalej. Zrobiła ledwo kilka kroków, gdy powstrzymał ją Matt:

- Caroline!

- O co chodzi? - Ze zdziwieniem zobaczyła, że idzie ku niej. Przecież chyba nie będzie tak rycerski, by odprowadzić ją do domu? Dziwne, jak na tę myśl przyśpieszył jej puls.

Stanął przed nią.

- Skoro już wszystkim nam dałaś rzadką okazję oglądania twoich gołych kostek... - mówił cicho, jego słowa przeznaczone były wyłącznie dla jej uszu i pobrzmiwała w nich nuta, która wzbudziła w Caroline gniew, nim zdążyły uczynić to słowa. - Dobrze by było, gdybyś to popołudnie

spędziła na przygotowaniu dla siebie bardziej przyzwoitych ubrań.

Suknia, którą miałaś wczoraj, niemal odsłaniała ci piersi.

Kiedy dotarł do niej sens tego, co mówił, Caroline zeszywniała.

Spojrzała na Matta z oburzeniem.

- Tamta suknia była za obszerna, a w tej tylko podpięłam dół, żeby móc swobodnie stawiać kroki.

- To bez znaczenia - Matt dalej się nie uśmiechał - w Connecticut Colony jesteśmy przyzwyczajeni do widoku niewiast noszących skromniejsze odzienie.

To powiedziawszy, odwrócił się i ruszył do braci, którzy zniknęli już za wzniesieniem, nie dając Caroline szansy ogłoszenia jednej z wielu gniewnych odpowiedzi, które miała w głowie.

11

Tego dnia po kolacji domownicy, z pozoru przynajmniej, sprawiali wrażenie miłych i zgodnych ludzi. Podczas gdy Caroline szorowała naczynia i podłogę, w pełni świadoma, jak śmieszną rzeczą jest czerpanie satysfakcji z równie prostego zajęcia, a mimo to zadowolona, chłopcy siedzieli przy stole i odrabiali lekcje. John podliczał słupki, Davey trudził się nad alfabetem. Daniel naprawiał uprząż, a Thomas ostrzył noże. Robert siedział przy kłocu drewna, który w dniu przyjazdu Caroline ozdabiał frontowy pokój i który też na jej polecenie Daniel od razu wyniósł do stodoły. Teraz Robert wycinał z niego krzesło; tak powiedział, choć zdaniem Caroline kłoc do niczego nie był podobny. Matt zajmował się wieczornym obrządkiem. Wyszedł natychmiast po posiłku i ani na chwilę nie pokazał się w domu. Od ich ostatniej rozmowy na wzgórzu nie zamienili ani słowa. Caroline wciąż miała na sobie suknię, którą tak surowo skrytykował. Podając jedzenie, obnosiła się z nią, jakby to był znak jej niezależności. Lecz jeśli nawet Matt to zauważył, w żaden sposób nie skomentował jej buntu. Caroline, przygotowawszy się na bitwę, poczuła coś na kształt rozczarowania.

Posypując podłogę świeżym piaskiem, obserwowała Daveya. Przygryzał mocno dolną wargę, kreśląc litery. Koło niego odwrócony dnem do góry kubek zawierał najnowszą zdobycz chłopca, małą żabkę. Co kilka sekund malec odgarniał spadającą mu na oczy przydługą grzywkę. Caroline całe popołudnie prała, cerowała i prasowała ubrania chłopców i nie mogła się doczekać, kiedy rano pójdą do szkoły w schludnej odzieży. Brakowało im tylko jednego: strzyżenia. Była zdecydowana to zmienić.

- Ojej! - westchnął Davey, odsuwając ławkę energicznym ruchem.

- Przez ciebie zrobiłem kleksa! - zawołał siedzący naprzeciw John.

- Gotowe? - zapytała Caroline wesoło. Przygotowała już sobie krzesło, nożyczki i grzebień. Jak było do przewidzenia, Davey nie zaszczyił jej ani słówkiem, ale sposób, w jaki zsunął się z ławki i pobiegł do Daniela, wystarczył za odpowiedź. - Doskonale - mówiła dalej, jakby chłopiec się odezwał. - Teraz mamy czas, żeby przed pójściem spać przystrzyc ci włosy. I naturalnie Johnowi też.

Głowy obu chłopców zwróciły się ku niej, jakby pociągnięte za niewidzialne sznurki.

- Co? - zapytał John, Davey zaś, spostrzegłszy nożyce i krzesło, zareagował bardziej gwałtownie.
- Nie chcę strzyc włosów! - krzyknął i na wszelki wypadek schował się za Danielem.
- Będziesz wyglądał bardzo przystojnie, kiedy włosy przestaną zasłaniać ci twarz. I lepiej będziesz widział - namawiała Caroline, przysuwając się do chłopca ukradkiem, jak myśliwy podchodzący królika.
- Nie!
- Davey... - powiedział Daniel cicho.
- O co chodzi? - zapytał Robert, zaglądając do kuchni z pokoju, gdzie pracował.
- Będzie lepiej, jak zostawisz chłopca w spokoju - odezwał się z otwartą wrogością Thomas, stając obok Roberta w progu. Davey, wyczuwając, który stryj okaże się najlepszym sojusznikiem, okrążył łukiem Daniela i pobiegł ku Thomasowi.
- Thom, wcale nie ułatwiasz sprawy - wtrącił Daniel.
- Bo nie uważam, że chłopca trzeba ostrzyc, skoro on tego nie chce - odparował Thomas.
- Caroline, zgrzytając zębami, starała się zachować miły ton.
- Davey, na pewno nie boisz się takiego drobiazgu jak obcięcie włosów! Przecież nie stanie ci się żadna krzywda.
- Davey objął Thomasa w pasie i przyłgął do jego nogi jak rzep do psiego ogona.
- Nie pozwól jej, żeby mnie dotykała, stryjku Thomie ! Ja jej nienawidzę!
- Davidzie Mathieson! - W drzwiach składziku pojawił się Matt, wnosząc ze sobą zimno nocy. Zdjął kurtę i zawiesił na haczyku. -Masz być uprzejmy dla cioci Caroline, słyszysz?
- Ale, tatku, ona chce mnie ostrzyc! - lamentował Davey; oderwawszy się od Thomasa, pobiegł ku ojcu i objął go za nogi, jak wcześniej stryja. Matt położył mu rękę na głowie i odgarnął włosy z czoła. Davey wpatrywał się w niego błagalnie.
- Mnie też! - wtrącił pośpiesznie John.

- Wydaje mi się, że obu wam przydałoby się obcięcie włosów -stwierdził Matt.

- Tatu! - wykrzyknęli obaj chłopcy tonem świadczącym, że poczuli się zdradzeni.

- Właściwie to wszystkim nam by się przydało. Mnie też. Myślisz, że dasz radę, Caroline?

- No... naturalnie. - Jeśli nawet wstrząsnęła nią nieco myśl o wyświadczeniu im tak intymnej przysługi, była tak rozsądna, by tego nie okazać.

- Dobrze. Kto pierwszy?

- Ciągnijmy słomki! - zaproponował John z nieoczekiwanym entuzjazmem.

- Niezły pomysł. - Matt wszedł do składziku i z miotły wyjął sześć słomek. Wrócił, trzymając je w zaciśniętej pięści. - Kto ma krótką, będzie pierwszy. John?

John wyciągnął słomkę.

- Davey?

- Ale ja nie chcę się strzyc, tatu!

- Davey!

Chłopiec posłusznie wyciągnął słomkę. -Rob.

Robert się nie sprzeciwiał. -Dan.

Daniel także nie.

- Thom.

- Poczekaj! Ja też nie chcę się strzyc!

Matt spojrzał na niego i Thomas wyciągnął słomkę.

- Więc kto ma krótszą? - zapytał John. Wszyscy pokazali swoje słomki.

- Tatu ją ma! - wykrzyknął uradowany Davey. Rzeczywiście, dla Matta została krótsza słomka. Patrzył na nią przez chwilę, wyraźnie zbity z tropu, później przeniósł wzrok na Caroline. Jeśli nawet była zdenerwowana, nie zamierzała tego okazać.

- Usiądź - poleciła tak swobodnym tonem, na jaki było ją stać, wskazując przygotowane krzesło. - Zabieramy się do pracy. To nie będzie bolało.

- Ciężar spadł mi z piersi - odparł oschle, Caroline jednak się tym nie przejęła.

Wręcz przeciwnie, perspektywa, że Matt zdany będzie na jej łaskę, nawet w tak drobnej sprawie jak obcięcie włosów, bardzo poprawiła jej humor. Niech tylko powie jedno nieprzyjemne słowo, gdy ona trzymać będzie nożyczki, a wstanie z tego krzesła łysy jak jajo.

Matt musiał czytać jej w myślach. Pozwalając, by pod brodą zawiązała mu ręcznik na obcięte włosy, utkwiał w Caroline błyszczące oczy.

- Jeden włoszek nie na swoim miejscu, a nim wstanie dzień, sama będziesz ostrzyżona - zagroził cicho.

- Nie ufasz mi? - zapytała i kłapnęła nożyczkami w sposób, który uznać można było za żartobliwy.

Pięciu pozostałych Mathiesonów otoczyło ich kręgiem, z fascynacją przyglądając się strzyżeniu pierwszej i najgroźniejszej owcy. Z konieczności Caroline i Matt przestali sobie docinać.

Z grzebieniem w ręku stanęła za jego plecami i przez chwilę przypatrywała się bujnym czarnym włosom. Przy szerokich barach Matta oparcie krzesła wydawało się jeszcze węższe. Długie nogi wyciągnął do przodu, ręce miał skrzyżowane w niemal złowrogi sposób, a szczęki groźnie zaciśnięte. Ręcznik uwydatniał siłę jego ogorzałego karku, pokrytego prawie kobiecymi loczkami. Na ten widok Caroline ogarnęły dziwne uczucia. Naszła ją przelotna chęć, by pogłodzić odkryty kark Matta, i myśl ta napełniła ją przerażeniem. O mało nie wypuściła grzebienia. A potem, świadoma obecności ciekawskich widzów, zapanowała nad emocjami, wzięła głęboki oddech i przesunęła grzebieniem po włosach Matta.

Każdy kędzior natychmiast sprężyste wracał na swoje miejsce, nie pozostawiając śladu po przejściu grzebienia. Caroline uznała, że trzeba wyrównać włosy nad czołem, uszami i na karku. Porzuciła grzebień, który i tak do niczego się nie nadawał, i ostrożnie wsunęła palce w czarne loki. Pod jej dotykiem skóra była ciepła, a pasma włosów chłodne i suche. Szczęk. Wyrównywała końce, tak że sięgały do prawego ucha. Szczęk. Zrobiła to samo nad lewym uchem. Później znowu stanęła za Mattem, sama siebie przekonując, że nie jest starszy ani groźniejszy od Daveya. Wsunęła palce w kędziory na karku. Gdy odsuwała je od skóry, dłonie wciąż miała trochę niepewne.

Dziwne, lecz nie poczuła wstrętu. Sama nie wiedziała, czy powodem było przekonanie, że Matt w żadnej sytuacji nie stanowi dla niej zagrożenia, czy też całkowicie panowała nad sytuacją. On jednak najwyraźniej wyczuł tę zmianę w nastawieniu Caroline, bo kiedy zaczęła mu wyrównywać włosy nad czołem, spojrzał jej w oczy z namysłem.

- Teraz ty, Davey - odezwał się, szukając w kręgu zafascynowanych widzów młodszego syna. Wstał i na swoim miejscu posadził chłopca, choć Caroline wcale nie skończyła, pozostało jeszcze kilka kędziorów do wyrównania. Nic jednak nie powiedziała, bo musiała przemyśleć to, co zaszło - i nie zaszło - w jej wnętrzu, kiedy dotykała Matta. Nie musiała natomiast dalej go dotykać.

Pograżona w rozważaniach, przyglądała jedwabiste włosy Da-veya. Chłopiec gwałtownie szarpnął głową i rzucił jej przez ramię spojrzenie mroczne od nienawiści, które szybko przywołało Caroline do rzeczywistości. Obojętnymi, sprawnymi ruchami obcięła mu włosy, starając się nie czuć urazy, że malec siedzi sztywno, jakby kij połknął. Kiedy skończyła, z westchnieniem ulgi zeskoczył z krzesła i uciekł w drugi kąt pokoju. Zdobycie względów tego dziecka na pewno nie będzie łatwe. Teraz lubił ją chyba jeszcze mniej niż w dniu jej przyjazdu. Następny był Robert; z nim rozprawiła się szybko, podobnie jak z pozostałymi. Po półgodzinie rzecz była skończona i Matt kazał synom iść spać. Davey, choć oczy mu się kleiły, wciąż nie krył pretensji i odmówił wyjścia z kąta, gdzie siedział zwinięty w kłębek, a Caroline skrzywiła się w przewidywaniu awantury. Przez chwilę ojciec i syn wpatrywali się w siebie, potem twarz Matta nagle złagodniała. Złapał chłopca pod pachy i podrzucił wysoko w powietrze. Z radosnym chichotem Davey spadł w ramiona ojca i mocno się do niego przytulił. Nie protestował, gdy Matt ruszył z nim po schodach. Podążający za nimi John uśmiechał się i Caroline też się uśmiechnęła, wzruszona tą czułą sceną. Odprowadzając ich wzrokiem, podziwiała rezultaty własnej pracy na tych trzech interesujących, podobnych głowach, i ku swemu zaskoczeniu poczuła zupełnie nieoczekiwaną dumę z urody tego mężczyzny i jego synów. Pośpiesznie przypisała to satysfakcji z dobrze wykonanej pracy, gdyż wolała nie zagłębiać się w analizę własnych odczuć.

Raz jeszcze wysprzątała kuchnię, wyrobiła ciasto i poszła na górę. Skoro nikt nic jej nie powiedział, przypuszczała, że i tę noc spędzi w łóżku Matta.

Jednakże nie sama, o czym przekonała się, gdy weszła pod pościel. Palcami nóg natrafiła na coś, co się poruszało! To było żywe! Zimne i wilgotne... chyba nie wąż!

Wyskoczyła z łóżka, nim ta myśl zdążyła się uformować w jej głowie. Instynkt kazał jej powstrzymać krzyk - a także chyba i wspomnienie pogardy, z jaką wcześniej tego dnia przyjęto jej strach. Drżąc, potarła krzemieniem o stal i zapaliła świecę. Stała przy łóżku, gotowa odskoczyć, jeśli jej przypuszczenia się potwierdzą. Szybkim ruchem zerwała pościel.

Z nóg łóżka na środek posłania wyskoczyła żaba.

Caroline chwilę się na nią gapiła. Nigdy jakoś szczególnie nie bała się żab, ale skąd ta wzięła się w jej łóżku? I wtedy przypomniała sobie Dayeya i jego najnowsze trofeum.

Żaba zarechotała i ponownie skoczyła, zatrzymując się na samej krawędzi materaca. Jeszcze jeden skok i znajdzie się na podłodze.

Caroline wzięła kubek z nocnego stolika i przykryła nim nieproszonego gościa. Przez noc więziń się nie wymknie, a rano - ha, wiedziała już, co zrobi rano.

Naturalnie zwróci żabę prawowitemu właścicielowi. Bo domyślała się, a nawet była przekonana, że to Davey zrobił jej tego psikusa, w nadziei że jeśli Caroline zacznie przeraźliwie krzyczeć, raz na zawsze odeślą ją z domu. Na pewno teraz nasłuchuje, czekając na rozdzierający uszy wrzask.

Caroline się uśmiechnęła. Malca czekało długie i wyczerpujące czuwanie z niespodzianką na końcu.

W o wiele lepszym samopoczuciu, niż przypuszczałyby dwadzieścia cztery godziny wcześniej, wróciła do łóżka. Tym razem ledwo przyłożyła głowę do poduszki, zapadła w głęboki sen.

Caroline wypatrywała odpowiedniej okazji, a gdy ta nadeszła, bez ostrzeżenia rzuciła żabę Daveyowi na kolana. Mężczyźni siedzieli przy stole, swoim zwyczajem łąpczywie pochłaniając posiłek. Tylko Davey jakoś nie miał apetytu. Zerkał nerwowo na Caroline od chwili, gdy zszedł na dół i zobaczył, że z pogodną miną miesza owsiankę (specjalnie o to zadbała), jakby żadna sprawa nie mąciła jej myśli. Powitała go wesoło, co wyraźnie go zmieszało. Gdy dorośli wstali od stołu, malec wyglądał na naprawdę zmartwionego. I ten właśnie moment wybrała Caroline. Żaba zakumkała i skoczyła, ale Davey nakrył ją dłonią, tak więc w ogólnym gwarze dźwięk ten przeszedł niezauważony.

Chłopiec spojrzał na nią z poczuciem winy. Caroline nachyliła się i szepnęła mu do ucha:

- Jeśli chcesz ją zatrzymać, to lepiej nie przynoś jej do domu. Z przykrością to mówię, ale Millicent lubi żaby.

Na twarzy malca pojawiło się przerażenie. Caroline z wystudiowaną obojętnością uniosła głowę i napotkała baczne spojrzenie Matta.

- Coś się stało? - zapytał. Davey wyglądał na jeszcze bardziej winnego, choć dłoń trzymał przyciśniętą do kolana.

- Zupełnie nic - odrzekła wesoło. Mogłaby przysiąc, że w oczach chłopca wyczytała coś na kształt wdzięczności.

- Chodź, John, bo spóźnimy się do szkoły - poganiał brata. Dłoń z żabą wsunął do kieszeni i złapał tabliczkę. Zaraz też wybiegł z domu. W ślad za nim śpieszył John, narzekając na tempo.

- Nic, tak? - Matt spojrzał na Caroline ostro. Pokręciła przecząco głową. Wciąż patrzył podejrzliwie, zostawił jednak tę kwestię w spokoju. - Będziemy na południowym polu - oznajmił, gdy z braćmi opuszczał dom. Caroline wyprostowała się, przerywając czyszczenie stołu, bo nie całkiem pojęła sens jego słów. - W porze lunchu przynieś nam posiłek - wyjaśnił - i tym razem postaraj się trzymać psa z daleka od jedzenia. Znowu miała nosić im jedzenie! Na myśl o wczorajszej przygodzie, o tym, jak bardzo już jest zmęczona i jak wiele pracy ją czeka poza przygotowaniem i dostarczeniem lunchu, Caroline jęknęła. Ale mężczyźni już odeszli i poza Millicent nie było żywej duszy, która mogłaby ją słyszeć. Nalała kotce mleka do miseczki, sobie nałożyła resztę owsianki i

postarała się spojrzeć na sprawy z jaśniejszej strony: przynajmniej Davey ma o czym rozmyślać. Niewykluczone, że przynajmniej on zacznie ją szanować, choć od reszty nie mogła się tego spodziewać.

Południowy posiłek był całkiem podobny do wczorajszego, tylko że szynkę zastąpiła sarnina. Koło południa Caroline wyruszyła w drogę. Szła szybko brzegiem oddalonym od lasu, choć oznaczało to, że będzie musiała przejść przez strumień w naj płytszym miejscu. Woda była lodowata, dzień wietrzny i dziewczyna wkrótce zziębła na kość, tak więc humor jej nie dopisywał. A poza tym się bała. Choćby od tego miało zależeć jej życie, nie mogła powstrzymać się od rzucania czujnych spojrzeń na las. Co zrobi, jeśli Indianin znowu się pojawi? Przeszedł ją dreszcz na samą myśl o tym; wiedziała, że za żadne skarby nie będzie w stanie powstrzymać się od krzyku.

A wtedy ci przekłęci Mathiesonowie znowu będą się z niej śmiać!

Taka była zajęta spoglądaniem na las, że uświadomiła sobie przebytą drogę dopiero wtedy, gdy usłyszała rytmiczne stukanie siekier

1 śpiewany fałszywie hymn. Była niemal u celu.

Głęboko odetchnęła, niemal zaskoczona, że droga upłynęła jej bez niespodzianek. Indianin się nie pojawił, żadne zwierzę nie wyskoczyło z lasu, żeby ją pożreć - na razie. Bo oczywiście do pokonania miała jeszcze wzniesienie.

Z uczuciem wielkiej ulgi zobaczyła ich ze szczytu wzgórza. Daniel i Robert pracowali na środku pola. Daniel ręcznym pługiem odkładał skiby czarnej ziemi, za nim postępował Robert, sypiąc ziarno i przykrywając je. Na skraju pola Matt, śpiewając głośno, wbijał siekierę w pień ogromnego dębu, a Thomas z całej siły napierał na drzewo. Górowało nad sąsiednimi, a cień rzucany przez koronę sięgał daleko, zasłaniając słońcu dostęp na większą część pola. I to, jak przypuszczała Caroline, było powodem, dla którego obaj tak się trudzili, by je ściąć.

Pomimo chłodnego dnia Matt był bez koszuli i tors błyszczał mu od potu. Nawet z tej odległości widoczna była jego doskonale ukształ

towana postać. Mięśnie pleców i ramion zagrały, gdy zamierzył się siekierą. Na ten widok Caroline poczuła bardzo kobiece uznanie. Irytujący czy nie, bez wątpienia był pięknym mężczyzną.

Pierwszy dostrzegł ją Raleigh, ganiający po lesie za plecami Matta i Thomasa. Zaraz też z rozdzierającym ujadaniem popędził przez pole. Caroline podskoczyła, a mężczyźni niemal jednocześnie rozejrzeli się, by sprawdzić, co jest powodem psiego podniecenia. Caroline tymczasem wbrew woli zaczęła cofać się przed biegnącym zwierzęciem. Wiele wysiłku kosztowało ją, by stanąć. Pokona strach przed psem, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz w jej życiu! A poza tym Raleigh nie pożarł Indianina, mało prawdopodobne więc, by miał pożreć ją.

- Hej, jedzenie! - zawołał Daniel.

Wraz z Robertem odłożyli narzędzia i ruszyli ku Caroline. Matt dalej ścinał drzewo, choć przestał śpiewać. Pozostał z nim Thomas. Raleigh krążył wokół Caroline z ujadaniem, od którego huczało jej w uszach. Spodziewała się w każdej chwili, że skoczy i zwali ją z nóg. Mocniej ścisnęła uchwyt wiadra, gotowa zamachnąć się nim we własnej obronie. Wiadro było z solidnego drewna, miało żelazne obręcze, zawartość dodawała mu ciężaru, czy to jednak wystarczy, żeby powstrzymać taką bestię? Nie żeby Caroline spodziewała się, że będzie musiała go użyć. I właśnie wtedy wiatr wydał jej spódnicę. Ręce miała zajęte, nic więc nie mogła zrobić, by przeszkodzić nadchodzącym mężczyznom w przyjrzeniu się jej nogom w pończochach, odsłoniętych aż do połowy łydki. Jedno wszakże musiała im przyznać - ani Daniel, ani Robert nawet nie mrugnęli. Caroline mogła tylko się cieszyć, że uwaga Matta dalej skupiona była na drzewie. Nie miała nastroju na następną burę, a gdyby znowu ją zganił, chyba zdzieliłaby go w głowę dzbanem.

- Uspokój się, Raleigh! - powiedział Daniel bez większego przekonania i Caroline wcale się nie zdziwiła, że pies go zignorował. Daniel, biorąc od niej wiadro, raz jeszcze uciszył zwierzę, Robert zajął się dzbanem.

Wiatr ucichł, co było do przewidzenia, skoro teraz ręce miała wolne i mogła pilnować spódnicy. Nie odrywając czujnego spojrzenia od Raleigha, który nareszcie przestał szczekać i z ciekawością węszył, gdy Daniel sprawdzał zawartość wiadra, Caroline rozprostowała ramiona. Dręczący ją ból świadczył wyraźnie, że jej ciało nie nawykło do pracy

fizycznej; jeśli ma dotrzymać swojej części umowy, będzie musiała stać się silniejsza.

- Świeży chleb! - Daniel, trzymając w ręku bochenek, przypominał dziecko z nową zabawką. -I sarnina! To prawdziwa uczta! Patrz, Rob! - wołał triumfalnie.

- Przynajmniej dziś pies się do tego nie dobrał - odparł Robert ponuro, ale przyjął kawałek chleba i wsunął go do ust.

Przełknąwszy, zawołał do braci, ci zaś zdecydowali się porzucić pracę i dołączyć do reszty. Ogromna dziura niczym upiorny uśmiech przecinała pień dębu, który wszakże wciąż pewnie stał. Caroline pomyślała, że Matt i Thomas po posiłku zabiorą się do pracy z nową energią.

- Hej, zostawcie trochę dla nas! - zawołał dobrodusznie Thomas, zwijając dłonie w trąbkę. Wyprzedzał o kilka kroków brata, który szedł wolniej z siekierą zarzuconą na ramię.

- Lepiej się pośpieszcie! - odkrzyknął Robert, odrywając kolejny kęs z bochenka. Gest ten wyraźnie miał podrażnić braci, co też udało się z Thomasem, który z głośnym protestem zerwał się do biegu.

Kolejny poryw wiatru wydał spódnicę Caroline i zmierzwił mężczyznom włosy. Tym razem obiema dłońmi przytrzymała łopoczący materiał, dzięki czemu zachowała skromny wygląd. W tej samej chwili rozległ się potężny huk.

Uwagę Caroline przykuł ogromny dąb, który z wolna zaczął się przechylać na pole. Wiatr dokończył dzieło rozpoczęte przez siekierę.

I wtedy Daniel wydał chrapliwy okrzyk. Caroline podążyła za jego przerażonym wzrokiem i zobaczyła, że Matt, który wciąż znajdował się w zasięgu drzewa, po pierwszym głośnym trzasku zerwał się do biegu, ale potknął się i przewrócił. Mimo że niemal natychmiast się podniósł, krótsza noga nie pozwalała mu szybko się poruszać; było jasne, że nie uda mu się uciec. A potem z hukiem, od którego zatrzęsała się ziemia, drzewo uderzyło w ziemię, raz się odbiło i znieruchomiało.

Gdy Caroline krzyknęła, Daniel i Robert już pędzili w stronę miejsca, gdzie zniknął Matt.

13

Matt! Matt! Do licha, gdzie on jest?

- Tutaj! Szybko, pomóż mi usunąć gałęzie!

- O Boże, czy on...?

Caroline jako ostatnia dotarła na miejsce wypadku. Daniel i Robert dobiegli do drzewa niemal w sekundę po Thomasie i teraz we trzech gorączkowo odsuwali konary. Zaraz też odnaleźli Matta i Daniel na czworakach przedzierał się przez gałęzie, które wbiły się w ziemię niczym zęby widelca.

- Żyje! - Słyszając stłumiony okrzyk Daniela, Caroline odetchnęła; do tej pory nie zdawała sobie nawet sprawy, że wstrzymywała powietrze. - Szybko! Musimy zrzucić z" niego drzewo! Jest przygnieciony i ranny! Robert i Thomas przez płataninę gałęzi przedzierali się do miejsca, gdzie klęczał Daniel, niemal całkowicie ukryty przed ich wzrokiem. Caroline ruszyła za nimi, a serce waliło jej z przerażenia. Dąb był ogromny, jego ciężar niezmierny. Matt na pewno został zmiażdżony. Boże, błagam, niech będzie nieprzytomny, żeby mniej cierpiał, pomyślała. Wówczas jednak usłyszała jęki. Jeśli nawet stracił przytomność, to już ją odzyskał. Jęczał z bólu.

Caroline poczuła, jak serce jej ściska, gdy przez gęste listowie dostrzegła czarną głowę Matta na świeżo zaoranej ziemi. Leżał na plecach, z rozrzuconymi na boki rękoma. Oczy miał zamknięte, skórę białą jak papier, z otwartych ust dobywały się straszne jęki.

Wokół niego uwijali się gorączkowo bracia, niemal tak samo bladzi jak on, i próbowali podnieść drzewo.

- Rob, złap z tej strony. Thom, pociągnij go, jak podniesiemy pień. Na trzy. - Daniel wydawał polecenia z udanym spokojem. Policzył do trzech: obaj z Robertem wyteżyli wszystkie siły. Dąb poruszył się odrobinę, zaraz jednak z łoskotem wrócił na miejsce.

Ranny krzyknął. Caroline przeszedł dreszcz, uniosła zaciśnięte pięści do ust. Ból musiał być straszliwy, nie do zniesienia, skoro tak silnego i opanowanego mężczyznę jak Matt zmusił do krzyku. Czy Matt umiera, podczas gdy bracia starają się go uwolnić? Boże, błagam, nie pozwól mu umrzeć! Myśl ta niczym nóż przeszła jej serce.

- To za krótko! Nie miałem czasu, żeby go wyciągnąć! Słodki Jezu, jeszcze bardziej go zraniliśmy! - wołał Thomas. Matt ucichł. Zapewne stracił przytomność. Caroline przynajmniej taką miała nadzieję. Nie do pomyślenia była inna ewentualność.

- Dobry Boże, daj nam siłę potrzebną w tej godzinie - modlił się głośno Daniel. Potem on i Robert zebrali się w sobie, pochylili i objęli masywny pień, nie zważając na gałązki drapiące ich w twarz.

- Czekać! - Caroline przekroczyła ostatnie gałęzie, dzielące ją od Thomasa. - Pomogę ci go wyciągnąć.

Bracia nie zaprotestowali. Caroline pochyliła się i złapała Matta za jedno ramię, podczas gdy Thomas chwycił za drugie.

- Na trzy! - polecił Daniel. Odliczył, a wtedy obaj z Robertem, głośno posapując, szarpnęli drzewo.

Tylko trochę je unieśli, twarze jednak mieli czerwone, jakby serca miały im pęknąć z wysiłku. Caroline i Thomas pociągnęli z całej siły. Matt był postawnym mężczyzną, a teraz, ranny i bezwładny, stanowił ogromny ciężar. Wydawało się, że nie dadzą rady go poruszyć, a jednak im się udało. Ciało rannego przesunęło się do przodu i w tej samej chwili dąb ponownie opadł na ziemię.

Tym razem wszakże Matt nie krzyknął. Drzewo go ominęło -a może był już poza bólem?

- Jest wolny! Wyciągnęliśmy go! - Robert bez większych ceremonii odepchnął Caroline.

- Zabierzmy go stąd! - powiedział Daniel i we trzech powlekli brata na otwartą przestrzeń.

Tam położyli go i uklękli wokół. Dołączył do nich Raleigh, niespokojnie węsząc przy głowie pana; wreszcie Daniel niecierpliwie go odpędził. Caroline, wyplątując się z gałęzi, podążyła za nimi, by zobaczyć, jak ciężko ranny jest Matt.

Oczy miał zamknięte, rzęsy niczym czarne półksiężycy odbijały się od policzków białych jak śnieg, poza miejscami, gdzie sącząca się krew zabarwiła je na czerwono. Twarz, szyję i prawą część klatki piersiowej pokrywały zadrapania, na spodniach krew rozlewała się rosnącą plamą. Przyjrząwszy się bliżej, Caroline głośno odetchnęła. Prawa noga była złamana pod kolanem, przez ciało i pończochę wy

stawał biały, poszarpany koniec kości otoczony kałużą krwi. Na ten widok Caroline zrobiło się niedobrze.

- Czy on...? - nie potrafiła dokończyć pytania.

- Zemdlął - odrzekł Daniel krótko, z zaskakującą delikatnością przesuwając swymi wielkimi dłońmi po czaszce i karku brata, a potem po ramionach i żebrach. - Na razie znalazłem tylko jedną poważną ranę, na nodze; nie wygląda to dobrze. Trudno powiedzieć, jakie są obrażenia wewnętrzne. W każdym razie będzie go bardzo bolało, gdy oprzytomnieje. Musimy jak najszybciej zanieść go do domu. Thomasie, pójdziesz po pana Williamsa.

- Czy to lekarz? - zapytała Caroline, z trudem formułując pytanie. Widok muskularnego Matta, leżącego we krwi na ziemi, poruszył ją bardziej, niż sądziła, że to możliwe. Gdyby miał umrzeć... Zaskoczyły ją niepokój i smutek wywołane tą myślą. Jak to możliwe, że choć знаła tego człowieka od niedawna, już stał się dla niej uosobieniem bezpieczeństwa?

. - Aptekarz. W Saybrook na razie nie mamy medyka. Ruszaj, Thomasie! Thomas podniósł się z klęczek i pobiegł w kierunku miasteczka. Powieki Matta zatrzepotały, z ust dobył się jęk.

- Trzymaj się, Matt - mruknął Daniel. Caroline poczuła ulgę, gdy Matt po raz kolejny odpląnął w woskowy bezruch. - Potrzebna nam gałąź, żeby usztywnić nogę, nim go ruszymy z miejsca. Rob...

Robert już obrywał gałązki z konara, który odłamał od pnia.

- Masz. - Podał go Danielowi, ten wszakże wahał się chwilę, spoglądając to na konar, to na rannego brata. Potem uniósł twarz ku Caroline.

- Musimy rozciąć mu spodnie - oznajmił z dziwaczną w tych okolicznościach pruderią. -I najlepiej będzie, jak wrócisz do domu i przygotujesz łóżko dla Matta.

- Tak, tak, naturalnie.

Caroline przyszło do głowy, że w tej sytuacji wcale by jej nie zgorszył widok gołej nogi rannego. Zaraz wszakże uświadomiła sobie, że Daniel miał rację. Biegła już w stronę domu, gdy usłyszała trzask rozdzieranego materiału, a zaraz potem jęk. Biedny człowiek, biedny człowiek, myślała. Kiedy przynieśli go do domu, woda w czajniku już się gotowała, najlepsza halka (najczystsze płótno w domu, gdyż Caroline nie zdążyła jeszcze zrobić prania) została podarta na bandażę, a łóżko Matta było

zaścielone. W jednym z kufrów miała medykamenty, którymi leczyła ojca. Wybrała najbardziej przydatne i postawiła koło łóżka. Słyszając wchodzących mężczyzn, pośpieszyła ku schodom.

Ledwo uświadamiali sobie jej obecność, niosąc rannego na piętro. Robert trzymał brata pod pachy, Daniel obejmował go za biodra. Złamana noga, przywiązana do konara pasami oddartymi chyba z koszuli, wsparta była o ramię Daniela. Chociaż bardzo się starali iść ostrożnie, kiedy chcieli zmieścić się w wąskich drzwiach, uderzyli stopą Matta o framugę.

- Och, uważajcie! - krzyknęła Caroline, usuwając się im z drogi i z trwogą oczekując reakcji rannego. Matt jednak nie wydał głosu. Jego głowa spoczywała bezwładnie na piersi Roberta. Oczy miał zamknięte; Caroline pomyślała, że pewno znowu stracił przytomność. Z rany w nodze krew kapiała na podłogę. Skóra Matta miała barwę popiołu, wargi nabrały sinego odcienia.

- My uważamy - warknął Robert, rzucając jej nieprzyjazne spojrzenie. Jego wrogość przypomniała Caroline, jakie jest jej miejsce. Matt był ich bratem, jej zaś nie łączyły z nimi żadne więzy krwi, była nieznaną, którą przyjęto pod ten dach na określonych warunkach. Mathiesonowie nie spodziewali się, że będzie współczuła Mattowi; prawdę mówiąc, Caroline sama zastanawiała się, skąd biorą się w niej aż tak silne emocje. Teraz jednak nie miała czasu na rozważanie tej kwestii. Była potrzebna i zamierzała zrobić to, co należało.

Bracia ostrożnie położyli Matta na łóżku, a Caroline zanurzyła kawałek płótna w misce parującej wody, którą ustawiła obok medykamentów na stoliku.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Daniel, czujnie mierząc ją wzrokiem. Caroline wykręciła szmatkę i odwróciła się w stronę rannego. Był obnażony do pasa, twarz, szyję, ramiona i piersi pokryte miał krwią. Rozcięcie w spodniach, sięgające od pasa do kolana, ujawniało muskularny brzuch i owłosione silne udo nad złamaną kością. Poza resztkami spodni Matt wciąż miał na sobie lewą pończochę i oblepiony błotem but, który już zabrudził porządnie prześcieradło.

- A według ciebie co niby chcę zrobić? Wytrę krew, żebyśmy mogli ustalić zasięg obrażeń.

I nie czekając na odpowiedź, przesunęła szmatką po pokrytym potem czole Matta, a później po skroniach i policzkach, delikatnie usuwając zaschniętą krew. Niektóre zadrapania były dość głębokie, inne płytkie; Caroline miała nadzieję, że nie pozostaną po nich blizny. Ta, którą już miał, choć nie zniekształcała twarzy, wystarczyła, by odebrać jego rysom nieskazitelność.

Kiedy dotknęła policzka z blizną, Matt odwrócił głowę, by uciec przed dłonią Caroline. Ona jednak uparcie ponawiała wysiłki. Coś wymamrotał i ku zaskoczeniu dziewczyny złapał ją za nadgarstek.

Pomimo odniesionych obrażeń w jego długich palcach wciąż kryła się siła. Caroline nie potrafiła uwolnić się z uścisku; nie chcąc sprawić mu jeszcze większego bólu, nie próbowała się szarpać. Po raz pierwszy trzymał ją wbrew jej woli, czekała więc, kiedy pojawi się wstręt, skojarzenie było aż nazbyt bezpośrednie. Zabawne, lecz nic nie poczuła. Dlatego że był ranny czy dlatego że to Matt? Ale teraz nie miała czasu na takie rozważania.

- Kto...? - mruknął Matt i otworzył oczy.

Caroline domyśliła się, że wciąż jest na wpół przytomny; zaskoczyła go delikatność kobiecej ręki, a wyraz jego twarzy zdawał się to potwierdzać. Przez moment najwyraźniej nie rozpoznawał Caroline. Przymrużył powieki i silniej zacisnął palce. A potem zwolnił chwyt.

- Caroline - powiedział i zamknął oczy. Dłoń opadła mu na łóżko.

- Jeśli zrobisz mu krzywdę... - odezwał się zapalczywie Robert. Po raz trzeci wykręcając szmatkę nad miednicą z wodą, która teraz przybrała już barwę krwi, Caroline popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- A czemu miałabym zrobić mu krzywdę? I w jaki sposób, możesz mi łaskawie powiedzieć?

Miała wrażenie, że niczym sieć oplata ją jego uparta wrogość. Daniel także obserwował każdy jej ruch, jakby się spodziewał, że Caroline zamierza wsadzić Mattowi nóż pod żebro. Naprawdę, co z nimi jest nie tak? Rozum im się mroczy, kiedy chodzi o kobiety, a ona w odpowiedniej chwili na pewno im to powie!

- Naturalnie, że nie zrobi mu krzywdy - rzekł Daniel; jego twarz złagodniała, gdy dotarł do niego sens słów Caroline. Posłał Robertowi spojrzenie, którego znaczenia nie potrafiła zrozumieć. - Nie bądź osłem, Rob.

Ich zachowanie było niepojęte, nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać. Znowu zwróciła uwagę na Matta, delikatnie wycierając krew z jego piersi. Nie było tu głębokich ran, co stwierdziła z zadowoleniem, za to liczne zadrapania. Najgorsze znajdowały się na prawym boku, tu skóra pokrywająca dolną część żeber już przybierała czarną i siną barwę; w obawie, że sprawi mu niepotrzebny ból, Caroline zostawiła to miejsce w spokoju. Jej wzrok przyciągnęła rana pod prawym sutkiem, z której obficie lała się krew. Włosy porastające piersi ocierały się o jej

dłoń, gdy próbowała zatamować krwawienie. Z lekkim zdziwieniem przekonała się, że w dotyku są miękkie i jedwabiste. Wcale nie szorstkie, jak sobie wyobrażała.

- Gdzie jest ten głupiec Williams? - przemówił przez zaciśnięte zęby Daniel. Caroline drgnęła przestraszona. Spojrzała na niego: zaciskając kurczowo dłonie na oparciu łóżka, w napięciu ją obserwował. Robert krążył po izbie.

Daniel nie spodziewał się odpowiedzi na swoje pytanie i żadnej też nie uzyskał. Caroline dalej wycierała pot i krew z ciała Matta. Poruszał się i coś mamrotał, ale nie próbował protestować.

Poza obrażeniami wewnętrznymi, których nie można było wykluczyć, najpoważniejszą raną było złamanie. Noga spuchła, trzykrotnie powiększając swój obwód, Caroline mniej miała w talii. Skrzywiła się, patrząc na okropny siniak, rozlewający się na udzie nad prowizorycznym usztywnieniem. Krew przesiąkła przez koszulę, którą przywiązano nogę do konara, i teraz tworzyła powiększającą się kałużę na prześcieradle. Jak to dobrze, że po tej stronie położyła na materacu gruby podkład, pomyślała dziewczyna. Jeśli aptekarz wkrótce się nie pojawi, trzeba będzie zatamować krwotok. Caroline jednak nie chciała niepotrzebnie dotykać łubka i przysparzać Mattowi dodatkowego bólu. A krwotoku nie da się zatrzymać, dopóki kość nie zostanie nastawiona.

- Słodki Jezu, to tak, jakby rzeczywiście był przeklęty! Myślisz, że te plotki o czarownicach, które powtarza całe miasteczko, mogą być prawdziwe? - Robert przestał krążyć wokół łóżka i stał teraz, uderzając pięścią w dłoń.

- Powstrzymaj swój język! - warknął z prawdziwą złością Daniel; przez chwilę obaj mierzyli się płonącym wzrokiem.

Potem Robert zerknął na Caroline, zacisnął usta i znowu zaczął chodzić po izbie. Caroline prychnęła z pogardą. Czarownice! Co za bzdury!

- Wasza kłótnia nikomu nie pomoże! Jeśli chcecie coś zrobić, możecie zacząć od zdjęcia Mattowi buta! Jest oblepiony błotem! - poleciła ostro. Ich troska o brata przeważała nad wrogością do niej. Mathiesonowie może i byli wrogami kobiet, ale nie ulegało wątpliwości, że bardzo się wzajemnie kochają.

Robert przystanął i obaj z Danielem spojrzeli na Caroline.

- Ona ma rację. Nic dobrego z tego nie wyjdzie, jak będziemy na sobie warczeć - powiedział po chwili Daniel i ruszył w stronę łóżka. Ujął lewy but Matta i pociągnął, Caroline tymczasem z miską w dłoniach skierowała się do drzwi. Wiedziała, że będzie potrzebna gorąca woda, gdy pojawi się aptekarz.

Kiedy Caroline wróciła kilka minut później, Matt po pachy przykryty był poplamioną kołdrą. Noga w łubkach została starannie odsłonięta; Caroline zobaczyła, że Daniel i Robert zdjęli resztki spodni, a także pończochę i but. Na białym prześcieradle ramiona rannego wydawały się ciemne i bardzo szerokie. Włosy miał czarne jak węgiel w zestawieniu z szarą bladością twarzy..

Kiedy zbliżała się do łóżka, zaczął niespokojnie się wiercić i jęczeć, aż wreszcie całkiem uwolnił się spod kołdry. Zerkając z ukosa na Caroline, Daniel nakrył brata. Caroline pilnowała, by wzrok mieć odwrócony; wolała nie oglądać nagości Matta. Mimo iż nie budził już w niej tego wstrętu co inni mężczyźni, to przecież nie miała ochoty, by owo uczucie powróciło. Na samą myśl o oglądaniu męskiego organu, nawet w tak przypadkowych okolicznościach, przechodził ją dreszcz.

Nieprzytomny Matt wciąż się rzucał. Robert i Daniel stali po obu stronach łóżka, ze wszystkich sił starając się uspokoić brata i trzymać go, tak by nie zrobił sobie jeszcze większej krzywdy.

- Jeśli aptekarz wkrótce nie przyjdzie, to obawiam się, że będziemy musieli sami jakoś sobie radzić. Tylko że niezbyt dobrze znamy się na leczeniu - powiedział Daniel niespokojnie.

- Ja mam pewne doświadczenie w tych sprawach - odezwała się Caroline niemal niechętnie.

Całą swoją wiedzę zawdzięczała matce; Judith Wetherby była szanowaną uzdrowicielką, doskonale znała się na ziołach i naparach. Ale wysiłki Caroline nie pomogły ojcu, marniał w oczach, choć próbowała wszelkich środków. To wspomnienie wciąż sprawiało jej ból. Gdyby Matt nie był w potrzebie, w ogóle nic by nie mówiła.

Pewna, że nie ogarnie jej nagły wstręt, położyła dłoń na czole rannego. Było gładkie, wilgotne i ciepłe - za ciepłe? Czy zaczyna się gorączka? Pasma jedwabistych czarnych włosów zawijały się wokół jej palców; Caroline bez namysłu odsunęła je z czoła Matta.

Oczy miał zamknięte, usta zaciśnięte, otoczone wyraźnymi białymi liniami. Uwolnił obie nogi spod kołdry, która teraz ledwie go przykrywała. Lewa była prosta i silna, pokryta ciemnymi włoskami z wyjątkiem okolic kolana, naznaczonego straszliwymi bliznami, i

wstrząśnięta Caroline uświadomiła sobie jego kalectwo. A potem pojęła: złamana została zdrowa noga. Jak będzie chodził, jeśli nie zostanie właściwie wyleczona? Intuicyjnie wiedziała, że wolałby raczej umrzeć, niż spędzić resztę życia przykuty do łóżka czy fotela.

- Zrobię, co w mojej mocy - rzekła i odwróciła się ku medykamentom na nocnym stoliku.

Matt jęknął; ujrzała, jak jego powieki się unoszą. W błękitnych oczach malował się ból, zęby miał zaciśnięte tak mocno, że usta mu pobieleły, nie ulegało jednak wątpliwości, że jest przytomny, aczkolwiek był to stan przejściowy.

- Jak... źle? - zapytał niewyraźnie, spoglądając na Daniela, który pochylił się nad nim.

- Złamałeś sobie prawą nogę - wyjaśnił Daniel. - Thomas poszedł po pana Williamsa.

- Williams... to stara baba - wymamrotał Matt; twarz miał tak bladą, że Caroline obawiała się, iż w każdej chwili może znowu zemdleć. - Pilnuj go, Dan.

- Będę. Nie musisz się martwić.

Wysięk związany z mówieniem wyczerpał rannego. Zamknął oczy i w tej samej chwili hałas na dole obwieścił, że przybył Thomas z aptekarzem. Daniela i Roberta ogarnęła niemal namacalna ulga. Kiedy Williams wszedł do pokoju krokiem świadczącym o własnej ważności, Caroline zrozumiała niepokój Matta. Aptekarz był niskim, pulchnym staruszką, z różową łysiną otoczoną wianuszką białych, sięgających ramion włosów. Twarz miał okrągłą i rumianą, rysy delikatne. Jego strój z czarnego samodziału nie grzeszył czystością. Caroline spojrzała na dłonie Williamsa i skrzywiła się z niesmakiem. Podobnie jak odzieniu dobrze by im zrobiły woda i mydło. Matka zawsze powtarzała, że podczas leczenia czystość jest niezwykle ważna.

- Nóż. - To jedno słowo padło z ust Williamsa, gdy obrzuciwszy Caroline i Daniela protekcjonalnym spojrzeniem, podszedł do łóżka. Daniel podał mu nóż. Caroline wraz z pozostałymi obserwowała niespokojnie, jak aptekarz przecina opatrunek na nodze Matta.

- Niedobrze - orzekł, potrząsając głową, gdy rana została odsłonięta.

Caroline starała się patrzeć na twarz Matta, a nie na jego okropnie okaleczoną nogę. Skórę miał teraz barwy wosku, po skroniach spływał mu strumykami pot. I znowu uniósł powieki. Przez chwilę ich spojrzenia się spotkały; a choć wstrząsnął nią ból, jaki zobaczyła w jego oczach, zdobyła się na uśmiech. Matt nie zareagował, wyglądało na to, że zbiera siły. Przeniósł wzrok na Williamsa, który dotykał siniaków na żebrach. Kiedy wszakże jego palce zacisnęły się konwulsyjnie na pościeli, Caroline uległa jakiemuś nienazwanemu impulsowi i przykryła jego dłoń swoją. Nic nie powiedział, nawet na nią nie spojrzął, lecz mocno chwycił jej rękę.

- Żebra są bardzo potłuczone, ale to przejdzie. - Twarz Matta poszarzała, kiedy aptekarz zaczął ugniatać opuchliznę wokół złamanej kości. - Noga zaś to inna sprawa. Najlepszym wyjściem byłoby jej odjęcie. Jeśli wda się gangrena...

- Niech pan ją nastawi - przerwał mu Matt, mówiąc przez zaciśnięte zęby. Tak mocno ścisnął teraz dłoń Caroline, że ledwo mogła powstrzymać się od grymasu. Jeśli jednak Matt wiedział, czyją rękę trzyma, to tego nie okazywał. Całą swą uwagę skupił na aptekarzu.

- Jeśli wda się zakażenie...

- Niech pan ją nastawi!

- Doskonale. - Williamsa najwyraźniej uraziła szorstkość rozkazu. - Powiadam jednak, że nie odpowiadam za konsekwencje. - Spojrzał na Daniela. - Panie Mathieson, proszę trzymać go z jednym bratem, a drugi niech pomoże mi ciągnąć. - Jego oczy napotkały Caroline i stały się lodowate. - A panienka niech nas teraz opuści. - Z jego tonu jasno wynikało, że słyszał o niej i to niepocholebne rzeczy.

Caroline zbyt martwiła się o Matta, by poczuć się dotknięta. Spojrzała na jego podrapaną, szarą, spoconą twarz, na szerokie nagie ramiona, na straszliwie opuchniętą i zakrwawioną nogę. Zacisnęła palce na jego dłoni, która trzymała jej dłoń w nieświadomej potrzebie. Uprzytomniła sobie, że wbrew postanowieniom, wbrew tak ciężko zdobytej wiedzy znowu zaczyna jej zależeć na kimś innym prócz niej samej.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat utraciła wszystkich, których kochała: matkę, ojca, siostrę. Nawet tych kilku młodzieńców, do których jako młoda dziewczyna czuła sympatię, nim jeszcze nauczyła się chronić swe

nazbyt otwarte serce, odeszło, gdy nie pozostawiła im cienia wątpliwości, iż nie odwiedzi niczyjego łóżka, nie zwiąawszy się najpierw małżeńskimi ślubami. Mimo że była dziewicą, musiała pojąć, iż sama jej obecność w miejscach, gdzie ojciec uprawiał hazard, kazała mężczyznom brać ją za kobietę lekkich obyczajów. Wiedza ta głęboko ją zraniła, ukryła jednak ból pod maską arogancji. W ciągu owych lat nauczyła się prostej^ lekcji: uczucie do innej osoby wiąże się nieuchronnie z cierpieniem. Śmierć ojca i to wszystko, co nastąpiło potem, ostatecznie zmroziło zdolność Caroline do czułych emocji, tak przynajmniej myślała. Matt jednak... było w nim coś, co mogło stopić lód, w którym zamknęła swoje serce. Ta myśl ją przeraziła. Nie dopuści, by znowu cierpiała.

- Tak, oczywiście - odrzekła sztywno i z determinacją delikatnie wyzwoliła dłoń z uścisku Matta. Spojrzał na nią oczyma zamglonymi bólem i jak jej się wydało, także strachem. Intuicja powiedziała jej, że Matt pragnie, by została. Zaciskając usta, starała się zignorować lekkie ukłucie w sercu.

Nie odrywał od niej wzroku, jakby nie rozumiał, że Caroline go opuszcza. Spojrzała mu w oczy. Był dla niej dobry na swój sposób, tak więc właściwie mu się zrewanżuje, jeśli w miarę swych możliwości złagodzi jego ból; to nie ma związku z żadnym uczuciem.

Zwróciła się do aptekarza:

- Mam środek, dzięki któremu łatwiej mu będzie znieść nastawianie kości. Lek, który pomoże mu przejść przez najgorsze. - Z nocnego stolika wzięła buteleczkę z brunatnego szkła.

- Co to jest? - zapytał Williams drżącym głosem. Caroline próbowała odgadnąć, czego właściwie aptekarz się obawia. Wyobraża sobie, że ona zamierza otruć Matta? Czy plotka głosi, że jest potencjalną morderczynią, tak samo jak złodziejką?

- Mówiłam, że to lek. Zaśnie po nim. - Mówiąc to, wlała odpowiednią dawkę do kubka. Daniel, Robert i Thomas obserwowali ją równie czujnie jak Williams.

- Zaraz, poczekaj! - krzyknął Robert. Wyglądał na przerażonego, gdy Caroline z kubkiem w dłoni schyliła się do Matta. - Nie pozwolimy...

- Wypiję, jeśli to złagodzi ból - przerwał mu Matt. Nie był w stanie sam utrzymać naczynia, Caroline pomogła mu unieść je do ust. Przełknął zawartość szybko, potem położył głowę na poduszce i zamknął oczy. Przez chwilę panowała cisza, wszyscy wpatrywali się w rannego.

- Jeśli on po tym zachoruje, ty będziesz winna - oświadczył Williams. Caroline nie była zdziwiona, słysząc w jego głosie coś na kształt nienawiści. Już dawno przestała oczekiwać po mężczyznach, że będą zachowywać się rozsądnie.

- To tylko środek na sen, nic więcej - powiedziała spokojnie, odstawiając kubek na stolik, po czym ruszyła do wyjścia. Opuszczając pokój z królewską godnością, czuła na plecach cztery pary oczu.

Wbrew woli przeszedł ją dreszcz niepokoju.

Caroline zacisnęła zęby, słysząc krzyki Matta, gdy nastawiano mu nogę. Oszołomienie spowodowane lekiem nie było w stanie całkowicie ochronić go przed cierpieniem, modliła się jednak, by zasnął, jak tylko minie najgorszy ból. Zajmowała się domowymi sprawami, starając się przezwyciężyć impuls każący jej wrócić na piętro do rannego. Miał przy sobie aptekarza i braci. Ona nie była mu potrzebna.

Mimo to wyrabiając ciasto, nakrywając je ścierką i odstawiając do wyrośnięcia, nasłuchiwała odgłosów świadczących o odejściu Williamsa. Dziwne, jak szybko przyjęła rytm codziennych obowiązków związanych z prowadzeniem gospodarstwa tym gburom. Teraz robiła wszystko, co trzeba i nie musiała się nawet nad tym zastanawiać. Było późne popołudnie, powinna zaplanować kolację. Dla Matta, jeśli w ogóle zdoła coś przełknąć, najlepszy będzie cienki rosół, cała reszta jednak zapewne zażąda solidnego posiłku. Lunch, o ile nie pożarł go Raleigh albo inne zwierzę, leżał przecież zapomniany na polu.

Obrała górę kartofli i nastawiła z garścią zieleniny, później przyniosła z wędzarni sarni udziec, który nasadziła na rożen i zawiesiła nad ogniem. Najpierw jednak odcięła mały kawałek - będzie go gotować w osobnym garnku, aż całkiem zmięknie. Wywar wypije Matt na kolację.

W końcu uznała, że Williams zwleka z odejściem w nieskończoność. Spędził na piętrze niemal godzinę. Ciekawość zwyciężyła i Caroline ruszyła po schodach. W progu sypialni Matta przystanąła, głośno wciągając powietrze na widok sceny, która ukazała się jej oczom.

Williams trzymał nadgarstek rannego nad kubkiem podstawionym przez Thomasa, który klęczał przy łóżku, odwracając wzrok od jasnoszkarłatnej krwi spływającej z żyły do naczynia. Daniel i Robert opierali się o ściany po obu stronach łóżka, z napięciem obserwując działania aptekarza.

Wszyscy trzej byli niemal tak bladzi jak Matt, który wciąż nie odzyskał przytomności z powodu bólu, leku podanego mu przez Caroline albo też kombinacji tych dwóch elementów.

- Przestańcie! - krzyknęła Caroline z większą stanowczością niż taktem. - Nie trzeba upuszczać mu krwi! Przecież już stracił całe wiadro!

Thomas, Robert i Daniel spojrzeli na nią zaskoczeni. Williams się wyprostował.

- Upuszczanie krwi jest konieczne, aby usunąć trucizny z systemu - oznajmił z pogardliwą wyższością, nie przerywając swego zajęcia. Caroline z wielkim przerażeniem spostrzegła na podłodze koło Thomasa miednicę, napełnioną na jakieś dwa palce krwią. Czyli że Williams nie robił tego zabiegu po raz pierwszy.

- Jeśli nie przestaniesz, panie, zabijesz go! - zawołała gwałtownie, biegnąc w stronę łóżka.

- Jeśli on umrze, to z powodu napoju, któryś mu podała, a nie moich zabiegów! - oznajmił gniewnie aptekarz i odwrócił się do Caroline plecami; był to z jego strony świadomie obraźliwy gest. Krew Matta wciąż spływała do kubka.

- Danielu!... - Caroline w rozpaczy zwróciła się do tego z braci, którego знаła najlepiej. - W takich przypadkach zaleca się upuszczenie dwóch uncji krwi, a Matt w samych tylko rękach pana Williamsa stracił już o wiele więcej. Utrata zbyt wielkiej ilości krwi zawsze kończy się fatalnie!

- A skąd taka dzierlatka jak ona może coś o tym wiedzieć? - zapytał zirytowany aptekarz.

Daniel zmarszczył brwi, zakłopotany. Przez chwilę sprawiał wrażenie niezdecydowanego, później spojrzał na Roberta, który mruczał coś gniewnie pod adresem Caroline, i na leżącego bezwładnie Matta.

Wreszcie zrobił krok do przodu i położył na ramieniu aptekarza dłonie.

- Nie ma potrzeby, żeby upuszczać więcej, prawda? Jeśli w systemie była trucizna, to teraz na pewno już jej tam nie ma.

- Więc przedkładasz radę tej... tej niewiasty nad moją? Niechaj więc będzie tak, jak sobie życzysz, ale ty odpowiadać będziesz za konsekwencje! I niech ci do głowy nie wpadnie wzywać mnie, gdy jego stan się pogorszy! - Williams wyprostował się, strząsając z ramienia rękę Daniela

Zaraz też zabrał się do opatrywania rany na przegubie Matta. Caroline nie przeszkadzało wcale jadowne spojrzenie, jakim obrzucił ją aptekarz, chowając swoje instrumenty do torby.

- Nie chodzi o to, że przedkładamy jej radę nad twoją, ale co dość, to dość. Upuszczenie krwi bez wątplenia zrobiło dobrze Mattowi, tyl

ko że trochę jej musi zostać, jeśli nasz brat ma powrócić do zdrowia. - Daniel próbował ułagodzić rozgniewanego aptekarza szczyptą humoru, lecz bez skutku. Nastrój Williamsa wcale się nie poprawił.

- Moje honorarium, gdybyś był tak uprzejmy - odezwał się sztywno.

- Naturalnie. -I pokonany Daniel wyprowadził go z sypialni. Caroline obeszła łóżko, by sprawdzić Mattowi tętno w niezabandażowanym przegubie. Robert stanął tuż koło niej, jakby zamierzał własnym ciałem bronić brata.

- Williams może i jest głupcem, ale w jednym trafił w sedno: skąd ty w ogóle możesz się znać na leczeniu? - zapytał wrogim tonem. W jego oczach dostrzegła wyłącznie chłód.

- Moja matka dobrze się znała na sztuce leczenia. To, co wiem, nauczyłam się od niej - wyjaśniła, po cichu licząc uderzenia pulsu. Tętno Matta było ledwo wyczuwalne i wolne; obawiała się, że utrata krwi niezmiernie go osłabiła.

- To bardzo dziwne, że twoja siostra nie posiadała takich umiejętności - syknął Robert.

Garoline odłożyła dłoń Matta i wyprostowała się, by stawić czoło Robertowi. Mimo że był niższy od brata, przewyższał ją o jakieś pół głowy. Z jego postawy przebijała wojowniczość, w oczach malowała się nieufność. Caroline czuła, jak nerwy zaczynają ją ponosić, dołożyła więc starań, by wziąć się w cugle.

- Elizabeth i ja byłyśmy tylko przyrodnimi siostrami. Miałyśmy tego samego ojca, ale jej matka pochodziła ze szlacheckiej rodziny, moja zaś była Cyganką, którą ojciec spotkał w czasie swych podróży. Znała się dobrze na ziołach, lekach i leczeniu i przekazała mi całą swą wiedzę. Pytam więc, czy pozwolicie mi wykorzystać te umiejętności, bym pomogła waszemu bratu, czy też będziecie stać i patrzeć, jak umiera? Mimo wysiłków, by na atak Roberta odpowiedzieć spokojem, w jej słowa wdarła się zapalczywość. Patrzyła mu w oczy niewzruszenie. Za plecami usłyszała kroki - to Thomas podszedł do Roberta i położył mu dłoń na ramieniu. Wymienili spojrzenia, a później obaj utkwili wzrok w Caroline. Thomas był nieco niższy od brata, jasne włosy i ce-ra nadawały mu wygląd młodzieńca. A jednak Caroline z jego uniesionej brody widziała wyraźnie, że jest tak samo nastawiony przeciw-ko niej jak Robert.

- Nie mamy innego wyjścia, jak tylko pozwolić ci zająć się Mattem, skoro Daniel dopuścił, żebyś wypędziła aptekarza - oświadczył Thomas twardo.
- Wiedz jednak, że będziemy patrzeć ci na ręce, a jeśli zrobisz coś złego, nie ujdzie to naszej uwagi.

Do izby wrócił Daniel; od razu pojął, o co chodzi jego braciom.

- Wstydźcie się obaj - przemówił ostro. - Nie dała wam żadnych powodów, żeby źle o niej myśleć.

- Grzechy ojców spadają na dzieci - odparował Robert.

- Nie ma jednak mowy o siostrach, a poza tym Caroline to nie Elizabeth. Słowa Daniela były równie tajemnicze co wcześniejsza wypowiedź Roberta. Jedno nie ulegało już wątpliwości: z jakichś nieznanych powodów bracia Matta nie ufali i nie lubili Elizabeth, a uczucia te przenieśli na Caroline, która chętnie dowiedziałyby się, co uczyniła siostra, by zasłużyć sobie na taką wrogość, lecz pora nie sprzyjała pytaniom. Matt poruszył się i oczy wszystkich skierowały się ku niemu. Nie odzyskał przytomności i zaraz też stało się jasne, że na razie jej nie odzyska.

- Niech jeden z was czuwa przy nim i zawoła mnie, kiedy Matt się obudzi albo jego stan się pogorszy. Skończę w tym czasie wieczerzę.

Trzej bracia popatrzyli na siebie.

- Ja zostanę - odrzekł Daniel. - Rob i Thomas, wy lepiej wracajcie do pracy. Teraz, gdy Matt jest przykuty do łóżka, nie możemy marnować czasu, jeśli chcemy zdążyć z zasiewami.

Robert i Thomas wciąż się wahali, a ze spojrzeń, jakie rzucali na Caroline, jasno wynikało, kto jest powodem ich niezdecydowania.

- Och, na litość boską! - nie wytrzymała w końcu. - Skoro tacy jesteście wobec mnie podejrzliwi, to wątpię, czy zechcecie jeść dziś kolację.

Przecież nie wiecie, czy jej nie zatrąłam albo nie rzuciłam uroku, który was wszystkich zamieni w osły. Chociaż - dodała z kpiącym uśmiechem - to akurat jest zbędne, prawda?

I po tych słowach z godnością opuściła pokój. Niedługo potem tupot kroków na schodach powiedział jej, że Robert i Thomas uczynili to samo.

Czy tatko umrze?

Caroline, ocierając płonące czoło Matta szmatką zamoczoną w zimnej wodzie, uniosła głowę. Na progu stał John. Było już po północy, chłopcy, ponaglani przez stryjów, dawno poszli spać. John włożył już koszulę nocną, stopy miał bose. W świetle pojedynczej świecy, chybotliwie palącej się na nocnym stoliku, chłopiec wyglądał jak dziecko, które bezbronnie i przerażone wpatrywało się w nieprzytomnego ojca leżącego na łóżku. Caroline ścisnęło się serce: wiedziała, czym jest rozpacz spowodowana chorobą ukochanego rodzica.

- Nie, nie umrze.

W każdym razie taką miała nadzieję.. Upuszczenie krwi bardzo Matta osłabiło, w ciągu dnia pojawiła się wysoka gorączka. Caroline była w stanie dobudzić go tylko tak, żeby podać mu kilka łyżek bulionu i lekarstwo. Poza tym Matt leżał bez czucia.

Nogę miał opuchniętą i rozpaloną powyżej i poniżej nowych, solidniejszych teraz łubków. Kiedy Caroline poprawiała opatrunek, by obejrzeć ranę w miejscu, gdzie kość przebiła ciało, przekonała się, że wciąż nieznacznie krwawi. Utrata krwi oznaczała niebezpieczeństwo; nie było innego wyjścia, jak posypać ranę sproszkowaną bazylią i solidnie obandażować czystymi ścierkami. Kiedy po kilku godzinach na płótnie nie pojawiła się czerwień, Caroline doszła do wniosku, że krwotok chyba nareszcie ustał.

Teraz największym zagrożeniem była gorączka, a także możliwość gangreny. Jeśli ta ostatnia się wda, Caroline wolałaby nie obstawiać szans Matta na przeżycie, bez względu na to, czy odejmą mu nogę, czy nie. Nie trzeba jednak było mówić o tym jego synowi.

John wyglądał tak żałośnie, że uśmiechnęła się do niego. Poczowała się przy tym dziwnie, bo w ciągu ostatnich kilku miesięcy nie robiła tego zbyt często. Jeśli liczyła, że zaskarbi sobie tym życzliwość chłopca, to się pomyliła. Nie zareagował, tylko niepewnie wpatrywał się w ojca.

- Czy mnie usłyszysz, jak powiem mu dobranoc?

- Och, na pewno.

Caroline mówiła z przekonaniem, którego wcale nie miała. Uśmiech zamarł jej na ustach, lecz współczucie dla chłopca pozostało. Skoro ulgę

przynosiła mu myśl, że ojciec go usłyszy, to żadna szkoda z tego nie wyniknie. Gestem przyzwała Johna bliżej. Podszedł i stanął obok niej. Głową sięgał jej do ramienia i był tak szczupły, że przez wycięcie w koszuli nocnej widziała wystające kości jego ramienia.

- Dobranoc, tatku - wymruczał prawie niedosłyszalnie i wyciągnął palec, by ostrożnie dotknąć leżącej bezwładnie dłoni Matta.

Ten nie zareagował. Caroline chciała coś powiedzieć, cokolwiek, by chłopiec poczuł się lepiej. Zanim jednak zdążyła znaleźć odpowiednie słowa, oczy Johna, już czerwone od płaczu, wypełniły się łzami.

Caroline widziała, że dokładał wszelkich starań, by zachować kontrolę nad sobą, mimo to z jego ust wymknęło się głośne łkanie. Zaraz jednak przygryzł dolną wargę. Tak bardzo cierpiał, że ją też zabolalo serce. Instynktownie objęła go i przytuliła, lecz John ze stłumionym okrzykiem odepchnął ją i wybiegł z pokoju.

Tę reakcję także rozumiała. Odzyskując panowanie nad sobą, Caroline z namysłem słuchała biegnącego z tupotem po schodach chłopca. Nie wrócił do swego pokoju, tylko skierował się na dół, przypuszczalnie chciał się wypłakać, nie budząc przy tym Davida. Był zrozpaczony, potrzebował kogoś, choć nie ulegało wątpliwości, że tą osobą nie była Caroline.

Mocniej otuliła się narzutką - pod nią miała koszulę nocną, na nogach pantofle - i na palcach ruszyła wąskim mrocznym korytarzem. Pod drzwiami sypialni Daniela chwilę się zawahała. Biorąc pod uwagę okoliczności, powinna była przewidzieć, że nocny strój nie jest teraz najbardziej odpowiedni. Ale suknia, którą nosiła cały dzień, poplamiona była krwią i błotem, i Caroline także czuła się brudna. Kiedy mężczyźni udali się na spoczynek, szybko umyła się gąbką w składziku, który z konieczności musiała zamienić na swoją sypialnię. Po kąpieli marzyła o czymś czystym i luźnym, dlatego włożyła nocny strój. Postara trochę się przespać na materacu koło łóżka Matta:

Gdy jednak stała przed drzwiami Daniela, przestępując z nogi na nogę, przyszło jej na myśl, że on też, tak samo jak jego bracia, nie jest

jej krewnym, tylko człowiekiem zupełnie obcym. W gruncie rzeczy wcale sobie nie wyobrażała, że jej widok w koszuli wywoła w nim pożądliwe myśli albo coś jeszcze gorszego, mimo to...

Dylemat został rozwiązany, kiedy Daniel bez ostrzeżenia otworzył drzwi. Przez chwilę gapili się na siebie, jednakowo zaskoczeni. W głębokim cieniu spowijającym korytarz, który rozpraszała tylko słaba poświata padająca z pokoju Matta, Caroline dostrzegła, że Daniel śpi nago. Na szczęście owinął się w pasie kołdrą, nim podszedł do drzwi.

Daniel, jakby nie mogąc sobie przypomnieć, kim ona jest, śmiesznie mrugając, wpatrywał się w nią. Przesunął wzrokiem po jej ciele, potem znów wrócił do twarzy. Teraz już całkiem się obudził.

- Matt? - zapytał z napięciem. Caroline potrząsnęła głową.

- Chodzi o Johna - szepnęła; mając na względzie pozostałych zagrożonych we śnie domowników. Nie chciała nikogo budzić. - Jest na dole, płacze. Przyszedł zobaczyć ojca, a potem uciekł z pokoju. Nie chce, żebym ja go pocieszyła, ale myślę, że ktoś przy nim powinien być.

Daniel spojrzał ku schodom.

- Tak - odrzekł, po czym okręcił się na pięcie i zamknął drzwi. Caroline przyzwyczała się już do braku manier u Mathiesonów i pomyślała, że pewnie chce się ubrać. Wróciła do pokoju Matta; jej przypuszczenia okazały się słuszne, gdy usłyszała trzask otwieranych drzwi i kroki na schodach.

Uspokoiła się nieco, wiedząc, że ktoś się zajmie Johnem. Na noc zawsze upinała włosy w luźny węzeł; teraz wsunęła na miejsce długie pasmo i spojrzała uważnie na Matta.

Leżał na plecach, ręce ułożone miał na kołdrze, która niczym namiot wznosiła się nad chorą nogą. Wzruszył ją widok jego dłoni, wielkich i silnych, stwardniałych od ciężkiej pracy, a teraz tak bezbronnych. Takie dłonie nie powinny być bezbronne. Caroline nalegała, by rozpalono ogień w kominku, najwyraźniej od dawna nie-używanym; dzięki temu w pokoju było ciepło i nie martwiła się o obnażone ramiona rannego ani o jego nagość pod kołdrą - przynajmniej gdy chodziło o zdrowie. Musiała jednak przyznać, że opieka nad równie męskim mężczyzną, nawet jeżeli to jej szwagier, nie była łatwa. Potężne mięśnie ramion, szeroki bary, gęste owłosienie na piersiach, a także ramionach i nogach budziły w niej

niepokój, jeśli tylko pozwalała sobie na rozważanie tego widoku. A na myśl o tym, co znajduje się pod kołdrą, czuła się źle. Dlatego po prostu odpędzała od siebie takie refleksje. Matt był bezradny, pod jej opieką, a ona nie dopuści, by wpływ na nią miała jego tak wyraźna męskość. Na swój sposób okazał jej dobroć, bez niego jej pozycja w tym domu byłaby poważnie zagrożona. Z tego tylko powodu, jeśli nie z żadnego innego - a do żadnego innego się nie przyznawała - zasługiwał, by zrobiła dla niego, co w jej mocy. Poza tym nie zamierzała pozwolić, by mężczyzna tak kochany przez synów jak Matt umarł, bo nie miał odpowiedniej opieki. Serce jej pękało na myśl o tych chłopcach pozbawionych ojca.

Ale utrzymanie go przy życiu, nie mówiąc już o uratowaniu nogi, może okazać się niezwykle trudnym zadaniem. Caroline starała się zachować optymizm, lecz Matt nie wyglądał dobrze. Czarny zarost podkreślał tylko bladość twarzy. Przecież nikt o tak ciemnej karnacji nie może być równie blady i wciąż żywy. Zły to znak, że przestał się pocić, skórę miał suchą i rozpaloną.

Położyła delikatnie palce na jego czole, by ocenić gorączkę, zaraz jednak je cofnęła, bo było tak, jakby włożyła je w ogień. Jeśli gorączka wkrótce nie spadnie, trzeba zastosować drastyczne metody, podej -mując też związane z nimi poważne ryzyko.

Odkąd aptekarz nastawił złamaną nogę, Matt nie otworzył oczu. Caroline nie wiedziała, czy był nieprzytomny, czy też spał tak głęboko po leku, który regularnie mu podawała, żeby nie rzucał się na posłaniu. Oddychał szybko i płytko, właściwie dyszał. Poruszał rozchyłonymi ustami, jakby walczył o powietrze. Wargi już zaczęły mu pękać.

Caroline nalala wody do kubka i zamoczyła w niej szmatkę, po czym wycisnęła zimną ciecz w rozchyłone usta Matta. Na początku nie zareagował, potem jednak trochę wody spłynęło mu na język i przełknął ją. Zachęcona tym Caroline nie ustawała. Na tym etapie najważniejszą sprawą było dopilnowanie, by Matt leżał spokojnie i tak wygodnie, jak to tylko możliwe. Ona mogła jedynie czekać, by się przekonać, czy gorączka wzrośnie, czy spadnie.

- Jak z nim? - zapytał z progu Daniel. Przestraszona Caroline mimowolnie mocniej ścisnęła szmatkę i strumyk wody pociekł Mattowi po policzku. Nie zwracając na razie uwagi na Daniela, delikatnie wytarła wilgoć z

rozgrzanej twarzy. Potem spojrzała na Daniela, jednocześnie uświadamiając sobie, że skóra Matta w dotyku przypomina papier ścierny.

- Bez zmian - odrzekła cicho.

Daniel wciągnął spodnie i koszulę, której jednak nie zapiał, tak że widać było jego owłosioną klatkę piersiową. Stopy i kostki także miał obnażone. W migotliwym świetle świecy jego włosy lśniły niczym miedź. Oczy też mu na moment zaśniły, gdy popatrzył na Caroline. Instynktownie reagując na ten niewątpliwie męski objaw zainteresowania, schyliła głowę i zobaczyła, że narzutka jej się rozchyliła, odsła

niając delikatną koszulę nocną. Pośpiesznie otuliła się, czując w żołądku pieczenie. Stłumienie odrazy, jaką wywołało w niej jego pełne uznania spojrzenie, wymagało wysiłku; jeszcze więcej kosztowało ją, by znowu popatrzeć na Daniela.

- John wrócił do łóżka. Kiedy do niego zszedłem, już nie płakał. To twardy chłopak. - Daniel mówił urywanymi zdaniami, oczy utkwiał w twarzy Caroline. Jeśli nawet raz mimowolnie przesunął wzrok na jej sz[^]ję, zmieszanie na jego twarzy jasno mówiło, że nie zamierza dopuścić, by coś takiego jeszcze raz się powtórzyło. Caroline poczuła, jak opuszczają napięcie. Powiedziała sobie, że Daniel to przyzwoity człowiek. Tamto spojrzenie niczego nie oznaczało, nie musi się obawiać tego mężczyzny.

- John nie może mieć więcej niż dziesięć lat. Nie powinien być twardy.

- Wszyscy na tym świecie muszą być twardzi, jeśli chcą przetrwać. A John ma dziewięć lat.

- Jest bardzo wysoki na swój wiek. Tylko chudy.

- Prawda. Matt też taki był. I my wszyscy. Musiałem mieć dziesięć albo jedenaste lat, kiedy poznałem Elizabeth, jestem o sześć lat młodszy od Matta, i pamiętam, jak śmiała się i nazywała mnie workiem pełnym długich kości.

Po raz pierwszy Caroline słyszała, jak ktoś swobodnie wspomina Elizabeth. Z tonu Daniela wynikało jednak, że to wspomnienie nie należało do przyjemnych.

- Nie lubiłeś Elizabeth, prawda? Dlaczego mi o tym nie opowiesz? Musisz wiedzieć, że ledwo ją pamiętam.

Twarz mężczyzny przybrała nieodgadniony wyraz. Nie ulegało wątpliwości, że żałuje swoich słów.

- Jeśli chcesz dowiedzieć się o Elizabeth, musisz zapytać Matta. Jak wyzdrowieje, naturalnie.

- Nie chciałabym na nowo budzić jego żalu rozmowami o żonie. Daniel roześmiał się gorzko.

- Tego akurat nie musisz się obawiać.

- Sugerujesz, że Matt nie odczuwa smutku?

- Niczego nie sugeruję. Jak mówiłem, musisz porozmawiać z Mattem. - Daniel gwałtownie się odwrócił. - Gdybyś mnie potrzebowała, to

wystarczy, że zawołasz. Mam lekki sen. - Spojrzał na nią przez ramię. - Kolejny rys rodzinny Mathiesonów.

Po tych słowach odszedł. Caroline słyszała, jak otwiera i zamyka drzwi swojej sypialni. Zmarszczyła brwi: coś tu było nie w porządku, coś związanego z Elizabeth. Sprawa ta nie da jej spokoju, póki nie odkryje, co to jest.

Wyczuła raczej, niż zobaczyła, że Matt się budzi. Kiedy na niego spojrzała, zobaczyła, że uniósł głowę nad poduszką. Członki miał sztywne, oczy otwarte. W ich błękitnej głębi malował się strach, a utkwione były nie w Caroline, tylko w jakimś punkcie poza nią.

- Matt... - zaczęła, rozglądając się w poszukiwaniu źródła jego przerażenia.

Zanim jednak zdążyła coś więcej powiedzieć, zaczął krzyczeć.

Krzyki Matta pełne były najwyższego przerażenia i paniki, z desperacją próbował uciec przed tym, co w jego wyobraźni mu zagrażało. Bił pięścią w materac, kopał zdrową nogą i szarpał się tak, że w końcu zrzucił z siebie przykrycie.

- Matt, przestań! Zrobisz sobie krzywdę! - zawołała Caroline, po czym z całej siły przywarła do niego, by go uspokoić. - Daniel, Daniel, na pomoc! Teraz więc Mattowi nie groził upadek na podłogę, zamiast tego walczył z Caroline, bębniąc pięściami w jej ramiona, plecy i biodra. Uderzenia były bolesne, mimo że często chybiały celu. Caroline bała się siły Matta, nie miała jednak zamiaru zrezygnować. Obejmując rannego rękami za szyję, nogami zaś ściskając zdrową nogę, czepiała się go niczym bluszcz. Głowę ukryła w zagłębieniu jego szyi, by ochronić się przed ciosami. Mógł jej wyrządzić krzywdę - a mimo to nie potrafiła odejść, bo wówczas zrobiłby krzywdę sam sobie.

- Pożar! Pożar! - zawołał chrapliwie i znowu zaczął gorączkowo walić w materac. Caroline wiedziała już, że w malignie wyobraża sobie, iż łóżko się pali.

- Wszystko w porządku! Nie ma żadnego ognia! Uspokój się, proszę! - wołała z twarzą wtuloną w jego szyję. Matt napiął się, próbując ją zrzucić. Czowała kwaśny zapach gorączki, rozpaloną jak węgle skórę, miękkie włosy na piersiach, niezwykłą siłę wyrobionych od ciężkiej pracy mięśni. Jej ciężar nie wystarczyłby, żeby go utrzymać, ale w połączeniu z bezwładną nogą oraz okropnym bólem, jaki musiał sobie sprawiać gwałtownymi poruszeniami, jakoś poradziła sobie do czasu, gdy przybiegł Daniel.

- W imię największych świętości, co tu... Matt, na litość boską, Matt! Caroline zsunęła się z łóżka, a jej miejsce zajął Daniel. Jednakże nawet on nie mógł pokonać szalejącego brata. Na szczęście pojawił się Thomas, a zaraz za nim Robert, i we trzech udało im się zapanować nad nieprzytomnym.

Matt wciąż był niespokojny, Caroline więc wlała mu do gardła sporą dawkę środka nasennego. Stała, drżąc na całym ciele, i przez chwilę, która zdawała się wiecznością, czekała, aż lekarstwo zacznie skutkować. Wszyscy trzej bracia musieli trzymać Matta. W końcu jednak zaczął słabnąć, aż wreszcie całkiem się uspokoił. Lecz nawet i wówczas puścili

go z wielką ostrożnością i przypatrywali mu się bacznie. Z wyrazu ich twarzy jasno wynikało, że boją się o jego życie. - Coś mu zrobiła? - ostrym tonem zwrócił się do Caroline Thomas.

Dopiero wówczas uświadomiła sobie, że Thomas jest nagi. Odwróciła pośpiesznie oczy. Minęła chwila, nim dotarł do niej sens jego oskarżenia. - Co mi zrobiłam?! - powtórzyła, z trudem się powstrzymując, by na niego nie spojrzeć.

Utkwiła wzrok w małym stoliku opodal i już otworzyła usta, by zalać go potokiem słów, od których spuchłyby mu uszy, ale zainterweniował Daniel. Najwyraźniej zdążył zdjąć tylko koszulę, spodnie dalej miał na sobie. Robert pomyślał, żeby owinać się w pasie kołdrą. Mimo że otoczona przez nagich lub prawie nagich mężczyzn, Caroline wciąż gotowała się ze złości.

- To jasne, że Caroline nic mu nie zrobiła. - Daniel po raz pierwszy dostrzegł nagość Thomasa. Szeroko otworzył oczy i rzekł: - Na litość boską, Thom, tu jest dama! Zakryj się!

Thomas spojrział na siebie i jego policzki zalał krwisty rumieniec. Złapał róg kołdry Roberta, by także się nią owinać. Robert zachwiał się i o mało nie wypuścił kołdry z rąk. Tylko dzięki szybkiej reakcji uratował swoją część przykrycia. Zarumienił się tak jak Thomas i zerknął na Caroline, by się przekonać, czy to zauważyła.

A chociaż patrzył na brata z wściekłością, nie próbował odzyskać całej kołdry. Gniew Caroline topniał, gdy patrzyła, jak przepychają się i warczą na siebie. To oraz fakt, że Daniel stanął w jej obronie, przytłumiło jej złość, postanowiła ugryźć się w język i zachować dla siebie słowa, którymi chciała zniszczyć Thomasa. Izba, gdzie leżał Matt, nie była miejscem na kłótnie, aczkolwiek gdyby jeden z nich jeszcze raz powiedział jej coś takiego, Caroline natychmiast odstąpiłaby od swojego postanowienia.

Kiedy Thomas stał już skromnie zakryty, Daniel zwrócił się do Caroline: - Może teraz opowiesz nam, co się stało.

- Sama nie wiem. - Ignorując tamtych dwóch, którzy wciąż walczyli o kołdrę, Caroline mówiła tylko do Daniela: - Kiedy wyszedłeś, on się obudził. Patrzył na coś za moimi plecami i wyglądał na... przerażonego. Rozejrzałam się, ale nic tam nie było, przynajmniej ja nic nie widziałam. Potem zaczął krzyczeć i rzucać się, a ja pomyślałam, że zrobi sobie krzywdę. Próbowałam więc go powstrzymać aż do twojego przyjścia. Och, chyba mu się wydawało, że materac się pali. Ciągłe bił w niego pięściami i dwa razy krzyknął: „Pożar!”.

Jej słuchacze nagle ucichli. Thomas i Robert przestali się przepychać, wszyscy trzej wymienili znaczące spojrzenia; wiedzieli o czymś, o czym Caroline nie miała pojęcia.

- O co chodzi? - zapytała ostro. Nikt się nie odezwał.

- Musicie mi to wyjaśnić. Jeśli nie będę wiedziała, co spowodowało jego niepokój, jak następnym razem będę mogła temu zapobiec?

Po chwili milczenia przemówił Daniel, spoglądając na braci ostrzegawczo.

- Wiele lat temu Matt został bardzo poparzony. To stąd ma bliznę na twarzy i krótszą nogę. Od tamtego czasu żywi zrozumiąłą awersję do płomieni. Nigdy nie zapala ognia w sypialni i chce, żebyśmy w pozostałych pomieszczeniach też w miarę możliwości tego unikali. Zauważysz, że nigdy sam nie siada przy ogniu, nie dorzuca szczap do pieca ani zbyt blisko nie podchodzi. Musiał otworzyć oczy i zobaczyć płomień w kominku. Był oszołomiony, wydawało mu się, że to tamten pożar. To zupełnie zrozumiałe, że się zatrwożył. Ogień to dla niego przekleństwo.

- Dlaczego nikt mnie nie uprzedził? - Caroline patrzyła na igrające wesoło w wielkim stosie polan płomyki. Matt spał głęboko dzięki - taką miała nadzieję - lekowi, który mu podała. Jego pierś unosiła się z wysiłkiem, palce poruszały, jakby chciał uciec przed jakimś koszmarem.

- Nikomu z nas nie przyszło to do głowy - odparł Daniel. - Poza tym Matt musi mieć ciepło. W tych okolicznościach ogień w jego pokoju to konieczność.

- Przecież można go ukryć przed wzrokiem Matta - rzekła cierpko Caroline, wyciągając z kąta izby parawan do przebierania, którego, sądząc po nagromadzonym kurzu, od dawna nikt nie używali. Parawan był lekki, powlokła go więc, by rozstawić między kominkiem a łóżkiem.

Daniel ruszył jej na pomoc. - Czy jeszcze o czymś powinnam wiedzieć?
Co poza tym może go zdenerwować?

- Poza Bogiem Matt obawia się jedynie ognia. Na pewno nie sprawi ci już kłopotu - uśmiechnął się do niej lekko Daniel. - A może pójdziesz teraz spać, a my na zmianę będziemy przy nim czuwali? Gdyby znowu się obudził, ty na pewno sobie z nim nie poradzisz.

Caroline spojrzała na Matta, który teraz leżał bez ruchu, od czasu do czasu tylko przebierając palcami. Łoże, na którym spał, było ogromne, mimo to nie pozostało w nim wiele miejsca; potężne ramiona mężczyzny zajmowały ponad połowę szerokości materaca, a palce u nóg dotykały oparcia. Jego skóra na tle białej pościeli wydawała się bardzo ogorzała, kręzące się nad czołem włosy miały barwę piór szpaka. Nawet zarost pokrywający błękitnym cieniem policzki dodawał mu urody i podkreślał emanującą z niego męską siłę. Caroline powinna śmiertelnie się go obawiać, a jednak nie czuła strachu. Nie był delikatnym człowiekiem, nie używał łagodnych słów ani gestów, lecz intuicyjnie wiedziała, że można na nim polegać. Już zaczęła czuć się bezpiecznie w jego domu, zapuszczała tu korzenie.

A gdyby był innym człowiekiem, takim, przed którym uciekła z Anglii, co wówczas by zrobiła? Na tę myśl przeszedł ją dreszcz.

Musi wykorzystać wszystko, czego nauczyła się od matki, żeby odwdzińczyć mu się za to, co jej dał. Uratuje mu życie i nogę, jeśli to tylko możliwe.

Spojrzała Danielowi w oczy.

- Najlepiej będzie, jeśli ja z nim zostanę, przynajmniej do czasu, aż gorączka spadnie. Będę wiedziała, czy nadchodzi kryzys, podczas gdy ty i twoi bracia możecie tego nie zauważyć.

- Kryzys? - powtórzył Robert.

- Gorączka musi wkrótce spaść albo zostać zbita - wyjaśniła, patrząc na niego zdecydowanie.

- A jeśli tak się nie stanie? - Thomas stał teraz spokojnie, tuż obok brata, już nie walczył z nim o kołdrę.

- Jeśli nie, to Matt umrze - odrzekła Caroline bez osłonek. Twarze braci poszarzały.

- Czy nie powinniśmy wezwać raz jeszcze Williamsa? - zapytał Daniela Robert.

- Wątpię, czy zechce tu wrócić - wtrącił sucho Thomas, spoglądając znacząco na Caroline.

- On znowu upuści mu krwi, ponieważ tak leczy się gorączkę. Tylko że utrata większej jeszcze ilości krwi zabije waszego brata równie pewnie jak gorączka - wyjaśniła Danielowi Caroline. To on teraz podejmował decyzje, a od tej zależało życie Matta.

- A ty znasz lepszy sposób? - zapytał Thomas zjadliwie.

- Tak, znam.

- Więc bądź tak łaskawa i oświeć nas.

Sarkazm w głosie Thomasa sprawił, że już chciała odpowiedzieć mu ostro, stawka wszakże była zbyt wysoka, by Caroline mogła sobie

pozwolić na złośliwe utarczki. Ignorując Thomasa, znowu zwróciła się do Daniela:

- Jeśli sam nie zacznie się pocić, przez co temperatura ciała spadnie, będziemy musieli mu w tym dopomóc. Najlepszą metodą jest owinięcie go w zimne i mokre prześcieradła.

- I w ten sposób zabijemy go febrą, zamiast gorączką! - prychnął gniewnie Thomas.

- Ależ to śmieszne! - odparła Caroline.

- Poczekajcie - wtrącił niecierpliwie Daniel. Popatrzył na braci i powiedział: - Wszyscy wiemy, że Williams to żaden medyk. Pytanie brzmi, czy Caroline lepiej sobie poradzi. - Spojrzał jej w oczy. - Poradzisz sobie? Pamiętaj, że Matt jest dla nas bardzo ważny.

- Jeśli umrze, bo ty mu coś zrobisz, powiesimy cię!

- Thomas! - upomniał go ostro Daniel. - Słucham, Caroline.

- Nie mogę zagwarantować, że będzie żył, niezależnie od zaaplikowanych mu medykamentów - odrzekła wolno, pragnąc zaufanie, które dostrzegła w twarzy Daniela, odpłacić szczerością. - Ale jestem przekonana, że to, co ja zrobię, będzie dla niego lepsze niż upuszczanie krwi przez tego okropnego człowieka.

- Pan Williams jest pobożnym członkiem naszego kościoła - wtrącił Robert. - Tymczasem ty... nic o tobie nie wiemy. Poza tym że jesteś siostrą Elizabeth.

Z jego tonu wyraźnie wynikało, że nie był to komplement. Wszyscy trzej wpatrywali się w nią, jakby owo stwierdzenie warte było głębszego namysłu.

- Wasz brat jest ojcem moich siostrzeńców i przyjął mnie pod swój dach. Możecie być pewni, że zrobię dla niego co w mojej mocy.

Ta chłodna odpowiedź nie zawierała całej prawdy, nie dawała też żadnego pojęcia o skomplikowanych uczuciach, jakie budził w niej Matt. Złościł Caroline, to prawda, jednakże siła jego charakteru i zdolność do okazywania czułości, którą wyczuwała pod szorstką powłoką, przyciągały ją niczym płomień ćmę. Jej ojciec był człowiekiem uroczym i zabawnym, kochał ją z całego serca, ale z nich dwojga to ona była silniejsza. To ona, by nie urazić jego dumy, przez ostatnie kilka lat udawała, że jest zupełnie zadowolona z życia, które dla niej wybrał, gdy

w rzeczywistości dusza jej rozpaczliwie łaknęła szacunku. To ona zajmowała się pieniędzmi, w okresach obfitości przezornie odkładając sumę, która pozwoli przetrwać im nieuniknione chude czasy. A kiedy fortuna przestawała ojcu sprzyjać, to Caroline targowała się z woźnicami i karczmarzami o niższe ceny za przejazd, jedzenie i nocleg. W końcu, gdy ojciec leżał śmiertelnie chory, to ona wzięła na barki ciężar opieki nad nim. Jednakże Matt był zupełnie inny niż jej wesoły, beztroski ojciec. Jego manierom daleko było wprawdzie do doskonałości, potrafił jednak na tej nowej ziemi zbudować z niczego dom dla swej rodziny. Dzięki niemu Mathiesonowie trzymali się razem; do niego wszyscy instynktownie zwracali się jako do głowy rodziny. Bracia i synowie darzyli go głęboką miłością, na co sobie w pełni zasłużył. Caroline pragnęła dla siebie tego bezpieczeństwa, które Matt im zapewniał, poza tym podziwiała go i szanowała. Lecz nie mogła tego wszystkiego powiedzieć jego braciom. Z trudem przyznawała to sama przed sobą. Patrzyli na nią, Robert i Thomas czujnie, Daniel z namysłem. Caroline stała przed nimi z podniesioną głową. Jeśli sprzeciwią się zabiegom, jakim zamierzała poddać Matta, zwiążą jej ręce, lecz nie będzie na kolanach błagać o prawo do uratowania mu życia. A poza tym, nawet jeśli Williams znowu upuści krwi rannemu, zawsze istnieje możliwość, że Matt ma ten rodzaj konstytucji, który po prostu sprzeciwi się śmierci. Błagam, Boże, niech tak będzie!

Daniel długo zastanawiał się z rękami skrzyżowanymi na piersi. Caroline była niemal przekonana, że zaraz poleci jednemu z braci, żeby poszedł po aptekarza. Wstrzymując oddech, modliła się cicho. Co zresztą było rzeczą godną uwagi, bo Caroline niechętnie i nieczęsto się modliła. Wreszcie skinął głową, a dziewczyna odetchnęła.

- Zostawimy Matta pod twoją opieką. Na razie. - Przesunął wzrok na braci. - Jeśli zajdzie potrzeba, zawsze możemy później wezwać Williamsa.

I tak, okazawszy jej zaufanie, wszyscy trzej wyszli z pokoju.

Rano nie ulegało już wątpliwości, że nadchodzi kryzys. Matt był nieprzytomny i rozpalony, mamrotał coś niespokojnie i rzucał głową po poduszce. Kopał, więc kołdra nieustannie lądowała na podłodze i Caroline w końcu zrezygnowała z podnoszenia przykrycia. Dla zachowania skromności przykryła mu biodra lnianym ręcznikiem. Jednakże ręcznik równie często leżał na podłodze, co na ciele rannego. Początkowo Caroline zaciskała zęby i odwracała spojrzenie na widok odsłoniętego męskiego organu, później jednak zaczęła nagość Matta traktować obojętnie. Ku jej zaskoczeniu i uldze odraza, którą powinna odczuwać, nie pojawiała się teraz. Najwyraźniej Caroline intuicyjnie wiedziała, że Matt, ciężko chory i nieświadom nawet jej obecności, nie stanowi dla niej zagrożenia.

Daniel wysłał Johna i Davida do szkoły wbrew gorącym protestom chłopców. Caroline cieszyła się, że nie ma ich tutaj, gdy Matt walczył o każdy oddech. Daniel i Thomas - ten drugi, jak przypuszczała, nie zamierzał spuszczać jej z oka - byli z nią w izbie. Roberta, który poszedł narąbać drewna, zawołano głośnym krzykiem. Caroline wdzięczna była, że zdecydowali się pozostać pod ręką, i to pomimo jej zapewnień, że wezwie ich w razie potrzeby. Kryzys nadchodził szybciej, niż przypuszczała.

- Potrzebuję kilka wiader wody, najzimniejszej, jaka jest. I to szybko! - powiedziała.

Robert i Thomas pobiegli spełnić polecenie, Daniel został. Kiedy wrócili, Caroline była gotowa. Z pomocą Daniela zamoczyła prześcieradła.

Robert i Thomas podnieśli Matta i odwrócili - trudne zadanie ze względu na złamaną nogę - podczas gdy ona z Danielem owinęli go w ociekające wodą płótna. Gdy tylko od rozpalonego ciała prześcieradła się nagrzewały, powtarzali całą czynność od nowa. Matt nie przestawał mamrotać i rzucać się niespokojnie.

Po kwadransie gorączka wciąż była wysoka. Jęczał, próbując odpędzić Caroline i braci przerażająco słabymi gestami. Skórę miał tak rozpaloną, że dziewczynę zaczęła ogarniać rozpacz.

- To nie skutkuje! - przemówił Thomas przez zaciśnięte zęby, wrogo patrząc na Caroline. Potrząsnęła głową. - Jego stan się pogarsza!

Bez słowa owinęła Matta w nowe prześcieradło. Cóż mogła odpowiedzieć? Robiła, co mogła, lecz Thomas miał rację.

- Idę po pana Williamsa. Ta farsa trwa już za długo - oznajmił, gdy pomógł Robertowi położyć Matta. Patrzył przy tym wyzywająco na braci i czekał, czy się mu sprzeciwią.

- Tak, może powinieneś - odparł zatroskany Daniel. - Jeśli zaleci upuszczanie krwi, to się zgodzimy. To nie pomaga.

Mimo że ani głosem, ani wyrazem twarzy nie oskarżała Caroline, czuła się winna. Była też przerażona i zrozpaczona. Matt pozostał rozpalony, prześcieradła nagrzewały się, nim zimna woda zdążyła obniżyć gorączkę. Należałoby więc znaleźć sposób, żeby dłużej przytrzymać go w zimnej wodzie.

- Poidło! - Thomas był już w proggu, kiedy Caroline wpadło do głowy rozwiązanie. - Zanurzymy go w poidle z zimną wodą!

Po raz pierwszy od wielu, jak jej się wydawało, godzin wyprostowała się, kładąc dłoń na kręgosłupie, by ulżyć bolącym plecóm. Thomas stanął jak wryty, Daniel i Robert odwrócili ku niej głowy, ich spojrzenia bardziej jednak były pytające niż niechętne.

- Napełnimy poidło wodą i zanurzymy w nim Matta!

Matt jęknął i poruszył się na łóżku. Wszyscy spojrzeli na niego. Skórę miał czerwoną od gorączki, usta wyschnięte i popękane. Był w rozpaczliwym stanie, nawet ktoś mało spostrzegawczy nie mógł tego nie zauważyć.

- Ale to czysta głupota! - orzekł z niesmakiem Thomas i odwrócił się, by wyjść.

- Czekaj! - powstrzymał go Daniel. - Wypróbujmy ten sposób. Dla mnie więcej w tym sensu niż w upuszczaniu krwi. - Bracia gniewnie patrzyli sobie w oczy.

- Ja natomiast widzę wyraźnie, że ona wpadła ci w oko. - Thomas ruchem głowy wskazał Caroline.

- To kłamstwo! - wykrzyknął Daniel, a na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy.

- Czyżby? - wycedził drwiąco Thomas.

- Kłamstwo, w dodatku nieodpowiedzialne! Jakże bym mógł ryzykować życie Matta dla jakiegokolwiek kobiety, nawet gdyby wpadła mi w oko, co w wypadku Caroline nie jest prawdą!

- Dziwnie szybko zaczęłaś przyjmować od niej rozkazy!

- Dosyć! - ryknął Robert, bardzo dobrze naśladowując stentorowe brzmienie głosu Matta. Caroline drgnęła zdumiona. Poza rannym, leżącym bez zmysłów, wszyscy obecni w pokoju patrzyli na Roberta zdziwieni. - Będziecie się kłócić nad łóżkiem, w którym umiera Matt? - zapytał zapalczywie. - Co stanie się prawdą, jeżeli natychmiast nie przestaniecie. Thom, chodź ze mną, zajmiemy się poidłem. Jeśli to nie odniesie skutku, możesz iść po Williamsa. Tak samo dobrze jak ja wiesz, że jako medyk nie na wiele się przydaje.

I ruszył ku drzwiom. Oszołomiony Thomas pozwolił wyprowadzić się na korytarz.

- Ale ona jest... - Caroline nie dosłyszała ostatnich słów; i dobrze, pomyślała. Bo nie wątpiła, że mówił o niej, bez wątpienia nieprzychylnie, jeśli nie obraźliwie.

Kiedy obaj (Thomas z ponurą miną) wrócili po kwadransie i obwieścili, że wszystko gotowe, Matt nie wydawał już żadnych dźwięków i leżał w kompletnym bezruchu. Oddech miał zatrważająco szybki i płytki; Caroline poważnie się obawiała, że mogą go utracić. Daniel pochylił się nad bratem, stłumionym od emocji głosem dodając mu otuchy:

- Trzymaj się, Matt. Myśl o Davey, Johnie i o nas, i trzymaj się. Już wcześniej z Caroline zrobili prowizoryczne nosze z koców, by na nich zanieść rannego na podwórze; trzej silni mężczyźni poradzili sobie z tym bez trudu. Kiedy jednak doszli na miejsce, Daniel z podobną do Thomasowej niechęcią zwlekał z zanurzeniem Matta w wodzie.

- A jego noga? Opatrunek się zamoczy. - Celem tych obiekcji najwyraźniej było ukryć inne jeszcze zastrzeżenia.

- Opatrunki można zmienić. Zanurczcie go, proszę!

Mimo iż na twarzach wszystkich trzech mężczyzn malowało się z wątpienie, a Thomas nawet się skrzywił, bezwładne ciało Matta zostało razem z kocami zanurzone w wodzie, przy czym specjalną uwagę zwrócono na to, by nie urazić złamanej nogi. Matt oczywiście nie mieścił się w poidle. Z jednego końca sztywno wystawała złamana noga, druga

zaś zwisała do ziemi, z drugiego - ramiona i głowa, którą przytrzymał Thomas, by nie opadała. Caroline nabierała wody w dłonie i polewała ramiona i szyję nieprzytomnego. Tułów, biodra i uda znajdowały się całkowicie pod wodą. Dziewczyna modliła się, by to wystarczyło. Poza opatrunkiem na nodze Matt był kompletnie nagi. Czysta woda odsłaniała jego ciało przed wzrokiem każdego, kto chciał patrzeć - Caroline nie chciała. Miała skrupuły, że wdziera się w czyjąś prywatność, lecz nagość jego ciała przestała ją niepokoić. Pozostałym też taka myśl nie przychodziła do głowy. W owej chwili myśleli tylko o tym, że walczą o życie Matta.

Na początku jego skóra wciąż pozostawała rozpalona i Caroline bliska była rozpacz. Stopniowo jednak, tak powolutku, że na początku sądziła, iż to sobie wyobraża, zaczęła się ochładzać. W końcu Caroline położyła dłoń na czole Matta i stwierdziła, że w dotyku jest umiarkowanie ciepłe. Poczowała, że mięśnie jej ramion się rozluźniają; dopiero wówczas uświadomiła sobie, jak bardzo miała je napięte.

- Myślę, że najgorsze za nami - rzekła wolno, spoglądając kolejno po braciach. Thomas odpowiedział jej spojrzeniem przez zmrużone powieki, Robert zamyślonym, Daniel zaś szeroko się uśmiechnął.

- A niech to, udało nam się! Ty tego dokonałaś, Caroline!

I zanim zdążyła się domyślić, o co mu chodzi, złapał ją, podniósł wysoko w powietrze i zatoczył wielki krąg. Zaskoczona Caroline próbowała się uwolnić, bijąc go po ramionach. Bliskość twardego męskiego ciała sprawiła, że powrócił dawny wstręt; poczuła mdłości. - Puść mnie! - krzyknęła ostrzej, niż wymagała tego sytuacja. Daniel natychmiast postawił ją na ziemi. Niemal trzęsąc się z odrazy, Caroline odepchnęła go od siebie.

- Przepraszam. Nie miałem na myśli nic złego - powiedział cicho.

Caroline zdawała sobie sprawę, że jej reakcja była przesadna, wiedziała też, że swoim zachowaniem sprowokowała Mathiesonów do spekulacji, które wyraźnie czytała w ich oczach, ale po prostu nie potrafiła się opanować. Choćby nie wiem jak się starała, nie mogła przezwyciężyć wstrętu.

- Nic się nie stało - wykrztusiła, wciąż walcząc z mdłościami. Spojrzała na Matta. - Zanieśmy go do środka.

Pilnowała się, by nie patrzeć na żadnego z braci.

Zanim doszli do pokoju Matta, wszyscy trzej byli przemoczeni do nitki od wody kapiącej z prześcieradeł, Caroline natomiast, która podążała za nimi, miała zachlapaną suknię. Kiedy Matta, wciąż nieprzytomnego, lecz już bez gorączki, położono do łóżka, tamci poszli się przebrać, a ona przysiadła na brzegu łóżka, żeby zmienić opatrunek na chorej nodze. Jedną kołdrę zwinęła, by uchronić materac przed zamoczeniem, drugą przykryła Matta do ramion, by nie leżał nagi. Była do cna wyczerpana, w nocy nie zmrużyła nawet oka. Przyrzekła sobie drzemkę, jak tylko zabandażuje nogę. Myśl o śnie była niezwykle nęcąca.

Głowa jej się kiwała, kiedy zdjawszy mokre bandaże, zaczęła owijać suchymi dolną część złamanej nogi/ Postanowiła, że zrobi to fragmentami, w ten sposób ograniczy możliwość przesunięcia nastawionej kości. Noga wciąż była groteskowo spuchnięta, a rana, w miejscu gdzie kość przebiła się przez skórę, otwarta i brzydka. Caroline z trudem wstała i poszła po ziele bazylii, którym posypała ranę, a następnie ją zabandażowała. Kiedy wiązała końce opatrunku pod kolanem, za plecami usłyszała jakiś hałas i odwróciła się szybko.

Ku jej przerażeniu w progu stał rozgniewany Williams. Za nim zobaczyła wysokiego mężczyznę o włosach tak czarnych jak Matt, ubranego w surowy purytański strój miejscowej społeczności, oraz drobną kobietę w białym czepku i szarej sukni z samodziału. Wszyscy troje z niepokojem wpatrywali się w Matta.

A za nimi stał wielebny Miller.

19

Niszczysz moje zbożne wysiłki, tak? - wykrzyknął Williams. Tłusty podbródek trząśł mu się z irytacji, kiedy zbliżał się do Caroline.

- Córkę Beliala jakie zło teraz chcesz uczynić? - Przeciskając się koło mężczyzny i kobiety, do izby wszedł wielebny Miller. - Ale serca nam raduje wiedza, że twoje występki wkrótce cię wydadzą. Sam widzisz, Jamesie, jest tak, jak ci mówiłem.

- Jestem córką Marcellusa Wetherby'ego, a nie Beliala, kimkolwiek on jest. Dzień dobry panom.

Caroline wstała, by powitać nowo przybyłych lekkim ukłonem. Roztropnie powściągnęła swój język, nie potrafiła jednak do końca zapanować nad sarkazmem. Tamci obaj już okazywali jej otwartą wrogość; opinia Williamsa niewiele dla niej znaczyła, Daniel jednak ostrzegał Matta, że nie powinien nastawiać przeciwko sobie pastora. Caroline nie zamierzała sprowadzać na ten dom kłopotów z powodu tak błahego jak niezdolność do zapanowania nad gwałtownymi słowami.

- Belial to szatan - rzucił jadowicie wielebny Miller, wyraźnie wstrząśnięty taką ignorancją. Nie zdążył jednak nic więcej dodać, bo w korytarzu pojawił się Robert, zapinając koszulę. Radośnie poklepał po ramieniu stojącego w progu mężczyznę.

- Bardzo się cieszę, Jamesie. Dzień dobry, Mary.

- Dopiero wróciłem z Wethersfield, a tu wita mnie wieść, że Matt znajduje się u wrót śmierci. Dlaczego nikt po mnie nie posłał? - odparł James.

Teraz, gdy dobrze mu się przyjrzała, Caroline dostrzegła, że to kolejny Mathieson, nawet gdyby wcześniej nie słyszała jego imienia. Był może nieco niższy od Matta i o wiele szczuplejszy, rysy twarzy jednak mieli podobne, tak samo jak karnację. Oczy Jamesa były bardziej szare niż

błękitne, w czarnych włosach, nie tak kręconych jak u Matta, pojawiały się rude błyski. Nie miał blizny, nie kulał też, co powinno czynić go przystojniejszym od brata, dziwne jednak, że - przynajmniej w oczach Caroline - wcale nie czyniło. James co prawda był bez wątpienia bardzo atrakcyjnym mężczyzną, brakowało mu jednak tego niezdefiniowanego czegoś, co sprawiało, że widok Matta zapierał dech w piersiach.

- Ha, przypuszczam, że w ogóle nam to do głowy nie przyszło. No wiesz, byliśmy trochę zajęci. - Z sypialni wyłonił się Daniel akurat w porę, by odpowiedzieć na pytanie Jamesa. - Witaj, Mary.

Caroline przypomniała sobie: to tę kobietę pozdrowili Daniel i kapitan Rowse, gdy pierwszego dnia szli przez miasteczko. Mary była więc żoną Jamesa.

- Możesz jednak być pewny, że wezwalibyśmy cię od razu, gdyby umarł - wtrącił Robert, uśmiechając się do brata. Mary była wstrząśnięta, James zmarszczył czoło.

- Z waszego zachowania wnoszę, że Matt nie umrze? - odezwał się zdziwionym tonem James, zerkając z ukosa na Williamsa, który zachnął się na te słowa.

- Chyba wciąż da się tego uniknąć, jeśli odejmiemy mu nogę - odparł godnie, ściskając napuchnięte, fioletowe udo Matta ponad łubkami. Wydawał się niemal rozczarowany przypuszczeniem, że pacjent będzie żył. Caroline powstrzymywała się siłą, by go nie odepchnąć; Matt, choć nieprzytomny, rzucał się, przypuszczała więc, że Williams sprawia mu spory ból.

- Nie umrze ani nie straci nogi - zwróciła się stanowczo do Jamesa; panowanie nad sobą wymagało od niej herkulesowych wprost wysiłków. Kiedy wcześniej witała przybyłych, cofnęła się nieco od łóżka; teraz wykorzystał to aptekarz i stanął koło Matta. Cóż, popełniła błąd, ale przynajmniej Williams przestał ugniatać chorą nogę i zaczął badać puls rannego, a zabieg ten na szczęście był bezbolesny.

- To zależy od Boga, nie od ciebie - zwrócił się do niej z potępieniem w głosie Miller. Spojrzał na nią i prychnął, co Caroline przypomniało, że wygląda okropnie. Włosy, które ledwo miała czas wyszczotkować, splotła w luźny warkocz. Sięgał jej do pasa, szeroki jak męski przegub i połyskliwy, nieprzyzwoicie wręcz niestosowny na dzień, kiedy oglądać

go mogli obcy. A co gorsza, tego ranka włożyła pierwszą suknię, która wpadła jej w ręce. Idąc za wzrokiem wielebnego, po raz pierwszy od miesiący naprawdę się jej przyjrzała. Biała, z uroczymi niegdyś różowymi wstążkami obszywającymi spódnicę i rękawy, z czasem pożółkła, a teraz jeszcze znaczyły ją plamy z wody, leków, błota i Bóg wie czego jeszcze, poza tym była strasznie wygnieciona. Caroline nie wątpiła jednak, że potępienie pastora wzbudził stanik, zbyt wycięty jak na gust tego sztywnego purytanina. Owalny dekolt odsłaniał tylko górną część rowka między piersiami, lecz Miller spoglądał na nią z takim przerażeniem, jakby Caroline była naga. Wstrętne człowiek, pomyślała.

- A przy okazji, czy poznaliście już Caroline? - zwrócił się Daniel do Jamesa i Mary. - Jest najnowszym dodatkiem do naszej rodziny.

- Jak się miewasz? - uśmiechnęła się do niej żona Jamesa.

Caroline pomyślała, że Mary, ze swą okrągłą, spokojną twarzą i łagodnymi brązowymi oczyma, musi być dobrą kobietą. James natomiast spoglądał na nią podejrzliwie i lekko tylko skinął głową. Czy cechą wrodzoną Mathiesonów jest nieufność wobec kobiet? - zastanawiała się Caroline z desperacją.

- A więc już podstępnie wkradła się w wasze łaski? - zapytał wielebny Miller. - Wcale mnie to nie dziwi. Zło jest zawsze przebiegłe.

- Nie jestem zła! - odparła Caroline z gniewem. Zanim jednak któreś zdążyło coś więcej powiedzieć, przerwał im zupełnie nieoczekiwany głos.

- Nie przypominam sobie, że bym zapraszał cię do swego domu, panie Miller.

Zdumienie na chwilę zamknęło usta wszystkim. Zaraz jednak Caroline odwróciła się na pięcie i spojrzała na łóżko. Głos, chrapliwy i słaby, należał do Matta. Ledwo dwie godziny temu walczyli, by wyrwać go z objęć śmierci, teraz nie tylko żył dalej, ale też był w pełni przytomny. Utkwił w wielebnym Millerze oczy, które, pociemniałe z niechęci, miały barwę niemal granatową; Caroline po raz pierwszy widziała ich taki odcień.

- Matt! - jęknęli chórem jego czterej bracia, jako że do sypialni wszedł Thomas.

- Przybyłem jako przedstawiciel Boga, by ułatwić ci przejście do żywota wiecznego - oświadczył pastor, zbliżając się do łóżka. Pobożne słowa nie całkiem zgadzały się z wyrazem jego twarzy.

- Trochę się pośpieszyłeś, wielebny - odrzekł Matt. Caroline widziała, że mówienie go męczy.

- Ze względu na zbawienie twojej duszy to bardzo dobrze. Musisz wiele odpokutować, nim będziesz mógł wkroczyć do Edenu, Ephra-imie Mathieson! Przyjąłeś pod swój dach tę córę węża, co w oczach Pana na pewno ci nie pomoże.

- Sporo ryzykujesz, obrażając członka mej rodziny, panie Miller. Mamy na to prawo, jak wiesz. - Gniew wzmocnił głos rannego. - A ja chciałbym, żebyś ty, panie, i cała nasza społeczność wiedzieli, że Caroline należy do mojej rodziny. Nie będę tolerował żadnych obelg pod jej adresem.

Zdecydowane oświadczenie Matta rozgrzało serce Caroline. Spojrzała na niego z wdzięcznością, on wszakże całą uwagę skupioną miał na pastorze.

- A więc uwiódł cię następny upadły anioł? Słaby jesteś, Ephra-imie Mathieson, i stanowisz łatwy cel dla sług Lucyfera. Twoją jedyną szansą na zbawienie jest wypędzić ją i wyrzec się słabości!

- Zamiast tego wyrzucę raczej ciebie, pastorze, razem z tą gadaniną. Zrozum mnie dobrze. Jeśli znowu zaczniesz rzucać bezpodstawne oskarżenia na CaroUne, postawię cię przed sądem za szerzenie złośliwych łgarstw. A karą za to jest publiczna chłosta, o czym przypominam ci, panie Miller.

Pastor sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał dostać ataku apopleksji. Twarz mu poczerwieniała, oczy wyszły z orbit.

- Powtórnie ośmielasz się grozić słudze Pana! - Wciągnął głęboko powietrze i odwrócił się ku Jamesowi i Mary, wyciągając ręce. - Jamesie, obawiam się, że twój brat jest dla nas utracony. Ale ty i twoja droga małżonka nie musicie podążać jego drogą ku upadkowi, podobnie jak twoi bracia i biedni, bezbronni bratankowie. Wzywam was wszystkich, byście odwróciU się plecami do niego i tej kusicielki, która sprowadza go na manowce, i zostawili go, by w samotności cierpiał słuszenie zsyłane nań cierpienia, które dręczą nieprawych, nie mając nikogo przy sobie, jeno źródło swego nieszczęścia. Ja...

James zeszywniał, Mary natomiast pośpiesznie zainterweniowała. Z łagodnym uśmiechem ujęła rozgniewanego kapłana pod ramię i poprowadziła korytarzem.

- Zejdźmy na dół, pastorze, przygotuję ci filiżankę herbaty. James i ja będziemy niewymownie wdzięczni, jeśli modlić się będziesz za zbawienie wszystkich mieszkających w tym domu, wielebny panie Miller. Nie wątpię bowiem, że ani Caroline, ani Matt nie upadł jeszcze tak bardzo, by znaleźć się poza zasięgiem modlitw tak pobożnego sługi Kościoła jak ty. Pomyśl tylko, panie: może Bóg chce, byś stał się instrumentem ich zbawienia! Poza tym znasz Matta, bywa pochopny w słowach, ale rzadko naprawdę myśli to, co mówi. Proszę, nie czuj się obrażony.

Ku zdziwieniu Caroline Mary udało się namówić wielebnego Millera do wyjścia z pokoju. Jej kojący głos cichł, gdy podążali korytarzem ku schodom.

- Twoja żona to prawdziwie święta niewiasta, Jamesie - odezwał się cicho Thomas z głębokim podziwem.

- To racja. - James podszedł do łóżka, przy którym stał Williams.

- Widzisz, panie, coś złego? - zapytał aptekarza.

- Obawiam się, że ta opuchlizna i siniaki zwiastują zakażenie krwi. Raz jeszcze powiadam, nogę trzeba odjąć.

- Zabiję tego, kto spróbuje to zrobić! - odezwał się Matt ostro.

- Jeśli tego nie zrobimy, umrzesz!

- Panie Williams, może zejdzie pan na dół i napije się herbaty z moją żoną i wielebnym Millerem, a ja spróbuję przemówić do rozsądki memu nierozsądnemu bratu. - James położył dłoń na ramieniu aptekarza i poprowadził go ku drzwiom. - Z kłótni nie może wyniknąć żadna korzyść. - Ostatnie słowa wypowiedziane zostały cicho, gdy Williams z Jamesem byli już w progu, lecz Caroline - i Matt, jak podejrzewała - je usłyszała. Matt nic- nie odrzekł. James, odprowadziwszy aptekarza na korytarz, wrócił do izby.

- Matt, wiem, że trudno ci się pogodzić z utratą nogi, ale jeśli jest to konieczne, by uratować ci życie... - zaczął James.

- Nie stracę nogi - powtórzył Matt z uporem, choć jego głos świadczył o wyczerpaniu.

CaroUne stanęła naprzeciwko Jamesa po drugiej stronie łóżka. Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, przemówił cicho Daniel:

- Po dzisiejszym poranku wierzę w umiejętności lecznicze Caroline, a ona mówi, że nogi nie trzeba odcinować. Ja jej ufam, Jamesie.

- Wyprowadziła Matta z gorączki, która na pewno by go zabiła-wtrącił Robert. - Czy nie tak było, Thom?

- Tak - potwierdził po lekkim wahaniu Thomas. Chociaż w jego głosie brzmiała uraza, nie próbował się sprzeciwiać. Caroline posłała mu zdziwione i wdzięczne spojrzenie. Jeszcze rankiem nie ufał jej nawet za grosz; teraz wyglądało na to, że gotów był dać jej szansę.

- To siostra Elizabeth, nieprawdaż? - zapytał James, jakby przypominając zebrany o tym fakcie.

- Przyrodnia siostra, a ja nie dostrzegłem w niej żadnego zła -oznajmił stanowczo Daniel.

- Języki musicie mieć na zawiasach, skoro nimi tak kłapiecie! -wtrącił Matt zjadliwie.

- Wybaczcie, panowie, ale dla waszego brata najlepiej będzie, jeśli tę rozmowę kontynuować zechcecie w innym miejscu. On teraz musi odpocząć. - Do tej wypowiedzi skłonił ją pot perlący się na czole i nad górną wargą Matta. - Nie można go dłużej denerwować.

James spojrział na nią ze zdziwieniem, pozostali natomiast, przyzwyczajeni już do bezpośredniego stylu bycia Caroline, skinęli głowami.

- Naturalnie masz rację - odrzekł Daniel, po czym machając ręką jak na kury, wyprowadził pozostałych. Nawet James nie zaprotestował, aczkolwiek nie wydawał się zadowolony, że wyproszony został przez jakąś awanturnicę, za którą najwyraźniej uważał Caroline. Przedkładać jednak dobro brata nad swoje oburzenie.

- Nie stracę nogi - powiedział ranny, gdy Caroline podeszła z lekarstwem na sen.

- Nie. - Usiadła na skraju łóżka i wsunęła Mattowi dłoń pod głowę, by pomóc mu ją unieść. .

- Nie jestem dzieckiem - prychnął z irytacją i wyciągnął rękę po szklanekę. Był jednak zbyt słaby, dłoń bezwładnie opadła mu na pościel. - A w ogóle co zamierzasz wlać mi w gardło? - zapytał, patrząc na nią tak, jakby to Caroline była winna jego słabości.

- Po tym lepiej odpoczniesz. - Przysunęła mu naczynie do ust, lecz dalej z uporem zaciskał wargi. - Pij.

- Nie stracę nogi! - powtórzył zapalczywie i odwrócił głowę. Caroline pojęła, iż Matt obawia się, że wykonają zabieg, gdy będzie pogrążony we śnie.

- Zapewniam cię - oświadczyła łagodnie - nie ma takiej potrzeby, a twoi bracia zbyt cię kochają, żeby bez powodu mieli cię okaleczyć. Nie musisz się lękać, że gdy się obudzisz, nie będziesz miał nogi.

- Nie muszę?

- Nie. A teraz proszę, wypij to, Jeśli nie odpoczniesz, gorączka może powrócić, co pewniej cię uśmierci niż złamana noga. Proszę.

I ponownie przysunęła mu kubek do ust. Spojrzała Mattowi w oczy - palił się w nich jasny płomień. Caroline znów przestraszyła się nawrotu gorączki, kiedy wszakże położyła mu dłoń na skroni, nie wyczuła nic niepokojącego.

- Przyrzeknij, że nie pozwolisz odjąć mi nogi. - Mimo słabości, Mattowi udało się złapać ją za rękę. Siła, jaka wciąż tkwiła w jego długich palcach, zaskoczyła Caroline.

- Przyrzekam. - I delikatnie wyzwoliła nadgarstek z uścisku. Matt, chociaż chory, wciąż był zbyt silny dla niej, nie mogłaby zmusić go do puszczenia jej dłoni, gdyby tego nie chciał. On wszakże poddał się jej woli. - Przyrzekam - powtórzyła i przycisnęła kubek do jego ust. Nie odrywając od niej oczu, rozchylił usta i pozwolił, by wlała mu zawartość do gardła.

- Grzeczny chłopiec - mruknęła machinalnie. Matt przełknął, wzdrygając się od gorzkiego smaku. Wodził z namysłem oczami za Caroline, która wstała, by wypłukać kubek w miednicy i wytrzeć go do sucha - Nie

jestem chłopcem - odrzekł cicho. - Chory czy nie. Przestraszona odwróciła się ku niemu, a potem przypomniała sobie własne słowa.

- Nie - zgodziła się, stawiając naczynie na stoliku.

- Chciałem, żebyś wiedziała.

- Wiem.

- Ale już się mnie nie boisz.

O mało nie wypuściła z rąk miski, której zawartość wylewała do kubła. Matt przyglądał jej się badawczo, jakby była zagadką, a on za wszelką cenę chciał ją rozwiązać.

- Nigdy się ciebie nie bałam. - To była w połowie prawda; ręce Caroline drżały, musiała mocno złapać miskę, bo wyslizgnęłaby się z jej dłoni. Zaciskając zęby, wolała postawić naczynie na dolnej półce umywalki, nim zdradzi się, jak trafna była jego uwaga.

- O tak, bałaś się. W każdym razie mojego dotknięcia.

Na to stwierdzenie nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Nagle okazało się, że jej uwagi domagają się buteleczki na stoliku, które akurat teraz trzeba poustawiać na nowo. Matt długo milczał, Caroline wszakże czuła na sobie jego spojrzenie. W końcu nie potrafiła już tego znieść, odwróciła się więc ku niemu z rękoma obronnie skrzyżowanymi na piersiach. Jego jednak ta sprawa najwyraźniej przestała interesować. Powieki mu opadły na zamglone oczy, ziewnął szeroko. Caroline, rozbrojona tym widokiem, odprężyła się, wyprostowała i ruszyła w stronę łóżka, by poprawić kołdrę, którą w czasie badania odsunął aptekarz.

- Nie opuszczaj mnie - odezwał się Matt.

Otworzył oczy, tak więc nachylona nad nim Caroline w całej pełni doświadczyła siły jego spojrzenia. Przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć. Uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że Matt wyznał, iż jest mu potrzebna. Jej serce drgnęło; podjęte postanowienia nie potrafiły zapobiec kruszeniu się obronnych murów, które wokół siebie wzniosła. Patrząc na Matta, miała uczucie, że rozkwita, jak pierwsze zielone pędy. pojawiające się po ciężkiej zimie.

- Nie opuszczę. Nie musisz się lękać - odparła, zdziwiona głuchym tonem swego głosu. A potem, zupełnie bez udziału świadomości, uśmiechnęła się do Matta.

Był to szczery uśmiech, ale chory zamknął oczy i nie zobaczył go.

Caroline przyglądała się pogrążonemu w śnie mężczyźnie i myślała, że wcale jej się nie podoba to, co czuje. Jakby troska o jego bezpieczeństwo była jej obowiązkiem - a przecież to nieprawda. A później przypomniała sobie o gorącej dyskusji, która bez wątpienia toczyła się teraz w kuchni. Przysunęła krzesło do łóżka i usadowiła się wygodnie. Brwi miała zmarszczone, usta ściągnięte w twardą, prostą kreskę, ręce skrzyżowane na piersiach. Oczy utkwiała w drzwiach, a minę zrobiła tak groźną, że Millicent, która zamierzała skoczyć jej na kolana, stchórzyła i schowała się pod łóżkiem. Oczy lśniły jej żółto, tak samo jak jej pani. Tak przygotowana do bitwy, Caroline czekała. W żadnym razie nie dopuści, by tamci uczynili Mattowi niepotrzebnie krzywdę!

Caroline!

Caroline ledwo zdążyła zejść na dół, gdy Matt znowu ją zawołał. Minał tydzień od batalii o jego nogę; bracia przekonali Jamesa, by wziął stronę ich oraz Caroline przeciwko wielebnemu Millerowi i Wil-liamsowi, którzy odeszli niezmiernie rozgniewani. Dziewczyna zauważyła, że nowa rodzina w pełni ją zaakceptowała, przynajmniej w kwestiach dotyczących zajęć domowych, co jednak stało się uciążliwe. Matt był kapryśnym i wymagającym pacjentem, opieka nad nim okazała się wyczerpująca. Nie podobało mu się, że musi leżeć przykuty do łóżka, i spodziewał się, iż Caroline będzie na jego zawołanie o każdej porze dnia i nocy. Teraz, zaciskając wargi w rozpacz, zawróciła po schodach. Ręce same jej się zacisnęły na tacy z nietkniętym śniadaniem, gdy wołanie się powtórzyło. - Caroline! Sądząc po zapachu, chleb się przypala! - krzyknął Daniel. Caroline stanęła jak wryta i już otworzyła usta, by odpowiedzieć, gdy znowu rozległ się czyjś głos:

- Ciociu Caroline, jest jeszcze owsianka?

To był Davey, który w ciągu ostatnich kilku dni przekonał się do jej obecności w domu. Może powodem był fakt, że opiekowała się ich ojcem, może jej dobroć wobec niego i Johna, a może jej jedzenie - Caroline nie potrafiła tego odgadnąć. Teraz wszakże najbardziej interesowało go to ostatnie.

- Mogłabyś mi to zacerować przed niedzielnym nabożeństwem? Z głową zwróconą ku kuchni Caroline zobaczyła Roberta dopiero wtedy, gdy stanął dwa stopnie nad nią, w dłoni trzymając parę szarych wełnianych pończoch z wielką dziurą na palcu.

Caroline, choć taca jej się przy tym zachwiała, wzięła pończochy i automatycznie się cofnęła, by Robert mógł przejść.

- To błogosławieństwo, że umiesz szyć. W moich najlepszych pończochach jest dziura, a nie chciałbym, żeby w czasie nabożeństwa wystawał mi przez nią paluch. I choć nikt może by tego nie widział, to nasz Pan na pewno.

Robert skierował się do kuchni, gdzie reszta domowników kończyła śniadanie. Caroline przed chwilą zniosła tacę Mattowi, ale nie chciał jeść, ponieważ zamiast piwa dała mu herbatę, tak więc nie był w

najlepszym humorze. Zmarszczyła nos z powodu intensywnej woni niepranych pończoch.

- Caroline! Na wszystkie świętości, gdzieś ty się podziała? Przynieś mi tę tacę z powrotem! - ryknął Matt.

- Chleb się pali! Auuu! Do diaska, ależ to gorące! - wrzasnął Daniel.

- Dalej jestem głodny! - jęczał Davey.

- Hau! Hau! - To Raleigh włączył się w ogólne zamieszanie. Raleigh? W domu? Caroline, w myślach posyłając Matta do diabła, pośpieszyła do kuchni, z której dochodziło ujadanie. Co ten przeklęty pies robi w domu?

Przekraczając próg, rozejrzała się dokoła.

- Auuu! Dzięki Bogu! Caroline, chleb się przypala, a ja się sparzyłem, kiedy próbowałem go wyjąć! - Przy piecu stał Daniel, ssąc dłoń jak zranione dziecko.

- Ciociu Caroline, stryjek Thom zjadł całą owsiankę, a ja dalej jestem głodny! - Davey, który z Thomasem i Johnem siedział przy stole, nie krył rozzalenia.

- Możesz wziąć moją, ale bądź cicho. - John przesunął swoją miskę w stronę brata.

- Ja chcę swoją!

- Wcale nie zjadłem całej owsianki! - zaprotestował Thomas, niemal tak dziecinnym tonem jak Davey.

- Zjadłeś! Popatrz sam, garnek jest pusty! A dla mnie nie zostało nic! - Robert przechylił garnek, by każdy mógł zobaczyć.

- Chleb!... - Daniel gorączkowo wskazywał gorący piec.

- Caroline! - dobiegło z piętra wołanie Matta.

- Hau!

- Do diaska, gdzie jest ten pies? - Pytanie to samo wymknęło się Caroline z ust. Ze szczękiem odstawiła tacę na najbliższe krzesło, pończochy upuściła na ziemię, po czym podbiegła do pieca, po drodze łapiąc ścierkę. Otworzyła żelazne drzwiczki akurat w porę, by uratować dwa lekko przypalone bochenki.

- Są spalone! - krzyknął David.

- Ciocia Caroline upiecze następne - pocieszył go Daniel.
- Chciałbym, żeby ugotowała więcej owsianki - mruknął Robert.
- Powinieneś schodzić na dół na czas, skoro chcesz jeść - odparł Thomas.
- Hau! Hau!

Caroline, gorączkowo szukając miejsca, skąd dochodziło zadowolone poszczekiwanie Raleigha, straciła panowanie nad sobą.

- Gdzie ten pies?

I nie czekając na odpowiedź, pobiegła do składziku, który teraz służył jej za sypialnię. Rzadko co prawda tu przebywała, bo zajęta była opieką nad Mattem i zaspokajaniem niekończących się potrzeb reszty domowników. Wbrew wszelkiej logice szczekanie dochodziło właśnie stamtąd. Ale przecież ta bestia nie może być w jej pokoju...

Zamaszystym gestem otworzyła drzwi; na widok rozgrywającej się tam sceny głośno jęknęła. Przez uchylone drzwi wpadało dość szarego światła, by mogła zobaczyć wielkie cielsko Raleigha, który wsparty łapami o krawędź prowizorycznego łóżka machał ogonem uszczęśliwiony, gryząc jej najlepsze trzewiki!

- Wynocha! Wynocha! Wynocha! - krzyknęła, łapiąc miotłę, stojącą w kącie. Jej trzewik, z doskonałej czarnej skóry, na niewysokim obcasie, już nosił ślady psich kłów. - Och, ty przekłety zwierzaku! Kto zostawił drzwi otwarte?

Raleigh, zadowolony z nowej zabawy, zeskoczył z łóżka i z szalonym ujadaniem zaczął biegać wokół izby. Millicent, do tej pory zwinięta w kłębek przy kuchennym palenisku, raz tylko zerknęła na swego prześladowcę i rzuciła się w stronę schodów. Raleigh dostrzegł ją i ruszył ze szczekaniem w pogoń.

- Wyrzućcie to zwierzę z domu! - Ze szczotką wzniesioną niebezpiecznie do góry Caroline pobiegła za psem.

Na piętrze kotka popędziła do sypialni Matta, ponieważ tylko te drzwi były otwarte. Za nią wpadł Raleigh, skrobiąc pazurami o podłogę.

- Na litość boską, co się dzieje! - wykrzyknął Matt gniewnie.

- Wynocha! Wynocha! Wynocha!

Caroline, wymachując miotłą, wbiegła do izby, gdy Raleigh całym swym pięćdziesięciokilogramowym cielskiem skoczył na łóżko Matta. Z materaca zeskoczył z prychnięciem czarny futrzany kłębuszek i schował

się pod łóżko; rozzłoszczona Caroline zamachnęła się miotłą na psa, który w pogoni za kotem także chciał tam wejść. Miotła chybiła, Caroline uderzyła w materac. Na szczęście nie trafiła Matta. Ten, mając do czynienia z taką nawałą wściekłej furii, zakrył rękami głowę.

- Przestańcie, natychmiast! Caroline, dość tego! Raleigh, siadaj!

Przeklęty kot, ciągle sprawia kłopoty!

- Nie waż się zwać winy za to... za to zamieszanie na Millicent! - pisnęła Caroline, miotłą próbując wygonić psa spod łóżka. Na nieszczęście wygoniła też Millicent. Kotka biegała wokół pokoju, za nią, ujadając ogłuszająco, pędził Raleigh, Caroline na oślep waliła miotłą w podłogę i meble. Jeden szczególnie zamaszysty ruch potracił umywalkę, aż miednica i dzban się zachwiały; nim Caroline zdążyła je złapać, spadły na podłogę i się potłukły. Krzycząc ze złości, Caroline w końcu zdołała zdzielić miotłą Raleigha, zaraz też straciła równowagę i padła na łóżko, bo pies, wyraźnie zdziwiony uderzeniem, zwałił ją z nóg, pędząc do drzwi.

- Zabiję tego przeklętego psa! - krzyknęła Caroline z twarzą na piersi Matta, który trzymał ją za ramiona, nie pozwalając jej wstać. Jego klatka piersiowa z wysiłkiem unosiła się i opadała. Czyżby zrobiła mu krzywdę? Spojrzała na niego zatroskana, by zaraz się przekonać, że ten diabeł śmieje się z niej!

- Uderzyła Raleigha!

- Raleigh, do nogi! Do nogi, mały! Ciocia Caroline nie chciała go uderzyć!

- Raleigh nie- zrobiłby krzywdy temu kotu!

- Gdybyś nie straciła panowania nad sobą...

- Najwyższy czas, żebyś przestała traktować Raleigha jak dziką bestię!

Niczym chór grecki pięciu Mathiesonów stłoczyło się w progu, wygłaszając opinie i spoglądając na dziewczynę z potępieniem. Caroline zeszywniała, Matt silniej chwycił ją za ramiona.

- Nienawidzę cię, ciociu Caroline! Nienawidzę!

To była kropla, która przepełniła czarę. Tyle niepowodzeń, a jeszcze nawet nie wstał dzień! Ona urabia sobie ręce do łokci, usługując tym niewdzięcznikom,, sprząając, gotując, cerując i troszcząc się o nich, a co ma w zamian? Pogryziony but i Daveya mówiącego jej w oczy, że jej

nienawidzi! Caroline poczuła gorące łzy pod powiekami. Mrugając gorączkowo, próbowała je powstrzymać, mimo to bała się, że zaraz zrobi z siebie widowisko w obecności wszystkich Mathiesonów.

- Poczekaj - szepnął jej Matt do ucha. - Davey, później przeprosisz ciocię. Teraz czas najwyższy, żebyś wraz z Johnem poszedł do szkoły. Dobrze wiesz, że ciocia nie zrobiła krzywdy Raleighowi. Przecież jest od niej sporo cięższy! Daniel, wypraw ich do szkoły, dobrze? I zabierz stąd Thoma i Roba.

- Ale, tatku...

Caroline czuła na sobie ich spojrzenie i jeszcze bardziej schyliła głowę, by ukryć niepożądane łzy. Zdała sobie sprawę z tego, że przy

tulą twarz do ciepłej klatki piersiowej Matta. Pociągnęła żałośnie nosem. Matt obejmował ją za ramiona, lecz jego uścisk nie sprawiał jej bólu.

- Idźcie już, wszyscy. Danielu, zamknij drzwi.

Daniel musiał wyczuć, że coś się dzieje - istotnie, trudno było sądzić inaczej, skoro Caroline leżała nieruchomo, a Matt kazał im wszystkim wyjść. Bez słowa wyprowadził braci i bratanków. Kiedy Caroline usłyszała szcęk zamykanych drzwi, odetchnęła z ulgą. Uścisk Matta zelżał.

- A teraz popłacz sobie, jeśli chcesz. Nikomu nie wyjawię twojej tajemnicy. - Jego słowa, kojące, lekko tylko żartobliwe, skierowane były do czubka jej głowy.

- Ja nigdy nie płaczę - zaprotestowała, zaraz jednak przecząc sobie łkaniem.

- Tak mi mówiłaś.

- Potłukłam miednicę i dzban.

- Można je zastąpić nowymi.

- I chleb się przypalił.

- Wszyscy nieraz jedliśmy przypalony chleb. Jak się odkroi najgorszą część, nie jest zły.

- I ugotowałam za mało owsianki.

- A, z tego powodu - odparł kpiąco - z tego powodu powinnaś się wstydzić.

Żartował sobie z niej, wiedziała dobrze, ale nic nie mogła na to poradzić i wybuchnęła głośnym płaczem.

21

No, no, ja przecież żartowałem. Chciałem cię rozśmieszyć, a nie doprowadzić do łez!

Na przekór jego perswazjom i własnym pragnieniom, Caroline nie potrafiła się uspokoić. Płakała, szlochała i łkała, aż wreszcie zabrakło jej łez. Po kilku nieskutecznych próbach Matt przestał szeptać uspokajające słowa, przytulił ją za to do siebie i czekał, aż Caroline wypłacze wszystkie smutki minionych lat. To, że jest mężczyzną, w dodatku nagim pod pościelą, nie przyszło jej do głowy. Dla niej, pogrążonej w żalu, był po prostu Mattem.

- Wszystko dobrze, malutka. Płacz.

Mocniej ukryła twarz w jego piersi. Dłonie Caroline znalazły jego ramiona i zamknęły się na nich, jakby od tego zależało jej życie. Powiedziała mu prawdę: nigdy nie płakała. Nie było sensu. Ojciec, choć bardzo kochany, nie miał cierpliwości do kobiecych żalów; już jako dziecko Caroline nauczyła się, żeby przy nim nie szlochać. Matka umarła, gdy dziewczynka miała dwanaście lat, i od tamtej pory nie było na świecie żywej duszy, na której ramieniu mogłaby wypłakać swoje smutki. Tak więc nauczyła się powstrzymywać łzy. Coś wszakże, może to, że przestała się bać, albo poczucie bezpieczeństwa, które zyskała w tym domu, albo coś jeszcze innego, o czym wiedział sam Bóg tylko, zdmuchnęło pokrywę ze smutków gromadzących się przez lata. Nawet gdyby od tego zależało jej życie, nie potrafiła teraz przestać płakać. I chyba dobrze jej to zrobiło. Wolałaby jednak wypłakiwać swoje żale wszędzie, tylko nie na piersi Matta.

Z drugiej zaś. strony, gdyby życzenia były końmi, żebracy nie chodziliby pieszo. Życzenie Caroline nie mogło się spełnić. Szlochała

w ramionach Matta, aż była pewna, że nie ma już więcej łez, a potem płakała dalej.

- No, malutka, dobrze już, wszystko dobrze.

Matt umiał radzić sobie ze łzami. Poklepał ją po plecach; czuła ciepło jego dłoni przez suknię z niebieskiego jedwabiu i halkę. Odsunął czarne kędziory z rozgrzanej i wilgotnej twarzy Caroline, mruczał łagodnie i pozwolił jej płakać. Oszołomiona dziewczyna dziwiła się jego doświadczeniu, a potem z głębokim westchnieniem uświadomiła sobie, że zapewne traktuje ją tak samo, jak w podobnej sytuacji potraktowałby małego Daveya.

- Nie jestem Daveyem! - zaprotestowała, choć jej protest znacznie osłabiło tłumione łkanie.

- Uwierz mi, doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

W jego głosie pobrzmiewał szczególny ton, który dopiero po chwili przedarł się do jej świadomości. Zdołała jakoś zapanować nad płaczem.

Chwilę jeszcze pozostała bez ruchu, bezwładna i wyczerpana takim wybuchem emocji. Stopniowo wracała jej świadomość. Ku swemu przerażeniu przekonała się, że niemal cała leży na Matcie, dzięki szczęściu raczej niż rozsądkowi trzymając się z daleka od jego chorej nogi. Jedna dłoń Caroline przywarła do jego szyi, druga do piersi. Policzek spoczywał na jego sercu, słyszała wyraźne i regularne uderzenia.

Jej piersi, brzuch i uda przyciśnięte były mocno do jego ciała, ciepłego i silnego, a teraz obnażonego do pasa, bo w tym całym zamieszaniu pościel zsunęła się i okręciła wokół nóg i bioder Matta. W nozdrzach czuła zapach mężczyzny, na języku słony smak skóry -wzmocniony może przez jej łzy? Obejmował ją w pasie i za ramiona, trzymając blisko siebie, podczas gdy jego dłonie wędrowały po jej włosach, policzku i plecach. A mimo to Caroline nie odczuwała odrazy. Nie miała gęsiejszej skórki ani mdłości, nie drżała.

W rzeczywistości, poza uczuciem drobnego zakłopotania, cieszyła się, że ją obejmuje. Czuła się cudownie - bezpiecznie.

- Teraz chyba uważasz mnie za beksę. - Włosy na jego piersiach łaskotały ją w usta, gdy mówiła. Wyczuła raczej, niż zobaczyła, że Matt się uśmiecha.

- Zostałaś sprowokowana - odrzekł..

Na to wielkoduszne stwierdzenie uniosła głowę, by na niego spojrzeć. Tak jak sądziła, uśmiechał się; był to uśmiech zabarwiony dobrocią, która dodała jego oczom niewyobrażalnego ciepła. ,

Caroline zamrugła zaszokowana. A potem zeszywniała. Świadomość tego, co się dzieje, przeraziła ją. Dobry Boże, odczuwała wiele różnych emocji: pociąg, sympatię i... i pożądanie. Do Matta - do mężczyzny!

- Poczekaj chwilkę. Nie ma powodu tak się zrywać. - Mocniej ją objął i pogładził po gładkim, miękkim policzku. - Wiesz, że cię nie skrzywdzę. Nie musisz patrzeć na mnie tak, jakbym nagle zmienił się w Olivera Cromwella.

- Nie boję się Cromwella - odparła Caroline, czując, że jej opór zaczyna słabnąć. Od bardzo dawna nikt nie przytulał jej równie kojąco i niewinnie. Od jak dawna? Od śmierci matki? - Ani też, skoro o tym mowa, nie boję się ciebie.

- To może mi powiesz, dlaczego tak na mnie popatrzyłaś? Rogi mi wyrosły na głowie?

- Nie. - Caroline musiała się uśmiechnąć. .

- Więc co?

- Wolałabym, żebyś mnie puścił.

- I puszczę, już niedługo. Właściwie jeśli mi powiesz, że naprawdę tego chcesz, możesz od razu się podnieść.

- Naprawdę tego chcę.

- Kłamczucha.

Powiedział to łagodnie i Caroline wyczuła, że się uśmiechnął. Nie zobaczyła tego uśmiechu, bo w obawie, iż z jej oczu wyczyta, jak trafne są jego uwagi, ukryła przed nim twarz. Najlepiej będzie, jeśli od razu, w tej chwili odsunie się od niego. Doskonale wiedziała, że może to zrobić. Matt Mathieson, była tego tak pewna jak swego nazwiska, nie należał do mężczyzn, którzy trzymają kobietę wbrew jej woli.

Jeśli jednak miała być wobec siebie szczerą, to wcale nie trzymał jej wbrew jej woli.

- Muszę wyprawić chłopców do szkoły.

Nie uczyniła jednak żadnego ruchu. Leżąc blisko niego, chłoneła jego zapach, smak, dotyk. Opalona klatka piersiowa unosiła się i opadała,

unosila i opadala. Caroline patrzyła zafascynowana na wyrobione od ciężkiej pracy muskaly, które grafy pod skórą przy każdym oddechu.

- Daniel się nimi zajmie. Wiesz, zanim ciebie nie było, też jakoś dawali sobie radę.

- Tak - odpowiedziała roztargniona, całą jej uwagę przykuło bowiem surowe piękno nagiego męskiego torsu, na którym spoczywała. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałyby, że tak ją porwie męska nagość.

- Caroline.

Minęło kilka minut, nim któreś z nich przemówiło. Matt oddychał teraz głębiej, głośniejsze. -Hmm?

Jego brzuch, płaski jak deska, podobnie jak piersi porośnięty był ciemnymi włoskami i zapadał się przy oddechu.

- Może jednak powinnaś wstać.

Kiedy dotarł do niej sens tych słów, spojrzała mu w oczy zaskoczona.

Wciąż był w nich przeznaczony dla niej uśmiech, dostrzegła jednak coś jeszcze w ich mocnym błękanie, jakiś jasny płomień. Wówczas Caroline pojęła, że nie tylko ona odczuła owo nagłe i intensywne przyciąganie. On także. Widziała je w jego oczach, nie mogło być tu pomyłki. Zbyt często widywała podobny błysk w męskich oczach, by nie wiedzieć, co oznacza. Tylko że teraz, ponieważ mężczyzną, który tak na nią patrzył, był Matt, nie czuła wstrętu ani nawet strachu.

A że był takim człowiekiem, jakim był, nie robił nic poza tym, że się w nią wpatrywał. Co więcej, świadomie rozluźnił uścisk obejmujących ją ramion. Pragnął jej, wyraźnie mówiły o tym jego oczy. A mimo to gotów był pozwolić jej odejść, nawet ją przynaglał.

Osiągnął skutek przewrotnie odwrotny. Mocniej przytuliła się do jego piersi i ułożyła tak, by móc patrzeć mu w twarz, czerpiąc przyjemność z jego męskiej urody i cudownego wpływu, jaki miała na jej ciało. Nie sądziła, by po incydencie z Simonem Denkerem kiedykolwiek coś takiego jeszcze poczuła. Przypuszczała, że ta część jej osoby, która przeznaczona była do cieszenia się z obecności mężczyzny i reagowania na nią, nieodwołalnie została wówczas unicestwiona.

- Caroline... - Choć na jego ustach igrał uśmiech, w głosie brzmiało napięcie.

- Mówiłam już, nie boję się ciebie. - Wolno przesunęła po jego piersiach dłonie, później położyła jedną na drugiej, by wesprzeć na-nich podbródek. Włosy na jego klatce piersiowej lekko ją łaskotały, a było to doznanie równie nieoczekiwane, co miłe. - Nie musisz mnie przekonywać, że nie zrobisz mi krzywdy, Matt. Od razu rozpoznałabym w tobie kłamcę,

- Elizabeth umarła blisko dwa lata temu. A przedtem była chora, bardzo chora, od czasu narodzin Daveya.

Przez chwilę Caroline nie potrafiła pojąć, po co jej o tym mówi. A potem zrozumiała, co próbował jej wyjaśnić. Otworzyła szeroko oczy i uniosła głowę.

- Chcesz powiedzieć, że wy nie... że była... że ty... - Choć zwykle nie miała problemów z formułowaniem zdań, tym razem nie potrafiła ująć pytania w słowa. On jednak rozumiał, o co jej chodzi.

- Nie jestem typem mężczyzny, który oszukuje żonę.

Caroline wstrzymała oddech. Myśl, że przez ponad pięć lat Matt nie kochał się z kobietą, była niewyobrażalnie pociągająca. Z cichym westchnieniem wypuściła powietrze z płuc.

- Rozumiesz, co ci mówię? - zapytał szorstko.

Skinęła głową, nie spuszczać wzroku z jego twarzy, która pociemniała od gorącej krwi. Wyczuwała nowe napięcie w jego twardym ciele, którego gorąco parzyło ją przez ubranie. Piersi jej nabrzmiały - a to doznanie nią wstrząsnęło.

- Caroline, jeśli masz choć szczyptę rozsądku, schodź z tego łóżka.

Natychmiast - wyrzekł przez zaciśnięte zęby Matt. Cofnął ręce i położył je płasko na materacu, by zaraz zacisnąć dłonie w pięści.

Nie odrywała od niego oczu, rozchyliła lekko usta. Przez jej ciało zaczęły przepływać gorące, słodkie dreszcze, nigdy nie przypuszczała, że może coś takiego odczuwać - wówczas ogarnął ją strach, i stoczyła się z łóżka. Kiedy wstała, kolana jej drżały. Odwróciła się plecami do Matta, żeby nie widział, jak bardzo jest roztrzęsiona. Czuła na sobie jego wzrok, słyszała urywany oddech.

- Wybacz, proszę, ale czeka na mnie praca - powiedziała, nie oglądając się na niego. A potem, wyprostowana jak struna, z wysoko uniesioną głową wyszła z izby. Nigdy dotąd zrobienie kilku kroków tak wiele jej nie kosztowało.

Dopiero gdy bezpiecznie dotarła do kuchni, mogła pozwolić sobie na gwałtowne dygotanie kolan i dłoni. Z trudem dowlokła się do najbliższego krzesła i usiadła.

Caroline!

Rozdrażnienie Matta słycać było wyraźnie w jego ogłuszającym ryku. Wołał ją już kilka razy, odkąd żołądek powiedział mu, że zbliża się pora lunchu, ale nie otrzymał odpowiedzi. Gdyby nie był pewny, że Caroline jest w kuchni, o czym świadczył brzęk garnków i głuchy łoskot polana padającego na ziemię, bardzo by się martwił, a tak jego gniew rósł z minuty na minutę.

- Caroline!

Tym razem zabolalo go gardło. Zakaszlał, wpatrując się w otwarte drzwi, pewny, że teraz na pewno się pojawi. Czekal jednak na próżno.

- Caroline!

Burczenie w brzuchu przypomnialo mu, że minelo już południe, a on nic jeszcze nie miał w ustach. Nie mógł jednak nic zrobić, tylko wołać i czekać. Jego gniew potęgowało poczucie bezradności. Przeklęta kobieta, przecież chyba nie chce go zagłodzić, tylko dlatego że na chwilę stracił głowę, bo też cóż to za powód! No tak, uznał ją za atrakcyjną i popełnił błąd, dając jej to do zrozumienia! Ale on też ją pociągał - nie był młokosem, by nie rozpoznać objawów - więc nie musi zachowywać się tak, jakby obraził ją reakcją, nad którą jego umysł nie miał kontroli. W przeciwnym wypadku Caroline mogłaby być pewna, że byłaby ostatnią kobietą na świecie, wobec której tak by się zachował. Mieszkała pod jego dachem, była jego powinowatą, a w dodatku impertynencką nieznośną, sprawiającą wieczne kłopoty smarkułą!

A niech ją dunder świśnie! Gdzież ona jest?

- Caroline!!!

Gdyby tylko wiedziała, że jego tak samo jak ją przeraził ów nagły wybuch pożądania. Od poczęcia Daveya w chwili zesłanej przez szatana słabości, Matt z rozmysłem odrzucił popędy cielesne. Pojawszy, iż żądza jest jego największym grzechem, a także źródłem większości kłopotów, przysięgł, że więcej nie ulegnie pokusie.

I przysięgi nie złamał. Opieranie się wdziękom Elizabeth nie było trudnym zadaniem. Od lat go nie pociągała; jedynie silny, acz wstydlivy głód chętnego kobiecego ciała, nawet jej chętnego ciała, przywiódł go do

łóżka żony. Kiedy później uświadomił sobie prawdziwą głębię otchłani, w którą wepchnęła go lubieżność, drżał z odrazy na widok swego upadku.
- Caroline!

W oczach Boga i ludzi Elizabeth była jego małżonką. To powstrzymało go od wzięcia do łóża innej kobiety. Ze wstrząsem uświadomił sobie teraz, że przez sześć lat żył w celibacie. Sześć lat bez ukojenia, jakie daje kochająca kobieta! Jego żona od dwóch lat leżała w grobie; powinien był poszukać sobie następnej, mógłby wówczas folgować swemu pożądaniu, aż przestałoby go nękać.

To było oczywiście rozwiązanie, lecz umysł Matta sprzeciwiał się braniu sobie na kark kolejnej kobiety. Jego małżeńskie doświadczenia każdego rozsądnego człowieka do końca życia odstręczyłyby od tego pomysłu.
- Caroline!

A przecież nigdy tak naprawdę nie zamierzał do końca swych dni trwać w celibacie. Być może zimą, kiedy wyzdrowieje i pracy będzie mniej, wybierze się do Bostonu. W większych miastach można kupić kobiety za pieniądze, więc zaspokoi żądze z jakąś osobą, na której wcale mu nie zależy.

W końcu jest przecież wolnym człowiekiem. To nie będzie wielki grzech. A jego bracia i Caroline mogą w tym czasie zaopiekować się Johnem i Daveyem.

Przez sześć lat walczył ze swą naturą. Caroline była piękna i bardzo, bardzo kobieca. Nic dziwnego, że tak silnie go pociągała.

Jednakże teraz był starszy, o wiele starszy i mądrzejszy niż przed piętnastoma laty, gdy poślubił Elizabeth. Wówczas był ledwo opierzo-
nym żółtodziobem, którym kierowały potrzeby ciała, a nie rozum.

Obecnie jest dojrzałym mężczyzną i wie, że za wszystkie uczynki, dobre i złe, trzeba zapłacić. Jeśli pozwoli, żeby ciało rządziło głową w sprawach związanych z Caroline, kosztować go to będzie utratę doskonałej kucharki, niestrudzonej gospodyni, zdolnej pielęgniarki i troskliwej matki dla jego synów, która przybyła pod ich dach wolna

od wszelkich stałych zobowiązań. Jedynym innym sposobem na zdobycie takiego skarbu jest małżeństwo. A on nie zamierza się żenić.

- Caroline!

Obawiał się jednak, że demon pożądania, teraz, gdy czas i okoliczności zmówiły się, by obudzić śpiącą bestię, nie zechce spocząć, póki nie zostanie nakarmiony. Matt będzie musiał w milczeniu znosić swój krzyż, dopóki wyjazd do Bostonu nie rozwiąże problemu.

Najgorsze, że w swym obecnym stanie w żaden sposób nie mógł unikać Caroline. Dopóki nie wyzdrowieje, codziennie będzie się z nią widywał. Dla zdrowia swoich zmysłów koniecznie musi przekonać ją -i samego siebie - że ów płomień, który między nimi rozgorzał, był naturalnym rezultatem zbyt wielkiej fizycznej bliskości i niczym więcej.

Pożądał jej tylko dlatego, że była kobietą, nie zaś dlatego, że to Caroline. Gdybyż tylko zechciała wreszcie przyjść na górę, wszystko by jej wytłumaczył. I wyrzuciłby na zawsze z myśli wspomnienie, że jej skóra w dotyku jest dokładnie taka, jak sobie wyobrażał: niczym aksamitne płatki białej róży.

- Caroline!!!

I nagle zobaczył ją w progu. Z twarzą napiętą i zimną unikała jego wzroku. Gładkie białe policzki nie nosiły śladów łez, subtelne rysy wyrażały opanowanie, a miękkie różowe usta rozsądek. Kruczoczarne włosy, które wcześniej były w tak pociągającym nieładzie, teraz zostały wyszczotkowane i zwinięte w węzeł na karku. Jeśli jednak, a wszystko na to wskazywało, Caroline dołożyła starań, by wyglądać skromnie, to jej się nie udało. Pomimo uczesanych gładko włosów i z rozmysłem zaciśniętych ust była urocza. Jego ciało zareagowało na jej obecność, nie dbając zupełnie o umysł.

Dzięki Bogu za ochronę, jaką daje pościel, bo Caroline nie może tego zobaczyć! Czując, jak rumieniec zalewa mu policzki, Matt siłą woli odegnał zakłopotanie.

- Długo ci to zajęło! - burknął; myśli miał zajęte swoim problemem, a nie tym, co mówi.

Odplącała mu pogardliwym spojrzeniem, a on zauważył, że zmieniała także suknię. Niebieski jedwab, tak gładki w dotyku, zastąpiony został ciemnozieloną serżą. Chociaż trochę za obszerna, suknia ta, jak wszystkie

stroje Caroline, i to bez względu na ich dziwaczny krój czy kolor, była bardzo twarzowa. Matt pomyślał jednak, że ta akurat tkanina okazałaby się szorstka w dotyku. Dlatego też zapewne została wybrana.

Co wcale nie oznaczało, by zmiana sukni, pomyślana jako odmowa, była w ogóle konieczna. Matt nigdy więcej jej nie dotknie. Caroline wszakże dowie się o tym dopiero wówczas, gdy on jej o tym powie.

- Nie jestem zwierzęciem czy dzieckiem, żeby rozkazywać mi krzykiem!

- oznajmiła głosem równie wrogim co spojrzenie. Palce tak miała zaciśnięte na tacy, że kłykcie jej pobielwały.

- Wcale ci nie rozkazywałem, chciałem tylko, żebyś tu przyszła.

- I to ci się udało. - Lodowaty ton odpowiedzi pasował do sztywnej, wyprostowanej jak struna sylwetki.

Matt powiódł za nią wzrokiem, gdy energicznym krokiem obeszła łóżko, by postawić tacę na stoliku. Choć naburmuszona, wciąż była piękną, godną pożądania kobietą. Matt myślał tak o niej od początku, i myślał tak teraz z niemal bolesną intensywnością. Dopiero gdy trzymał ją w ramionach, miękką, ciepłą i szlochającą, uświadomił sobie, że jego zmysły pociąga właśnie owa sprzeczność, ta mieszanina lodu i ognia.

Tego ranka pragnął jej - dobry Boże w niebiosach, jak bardzo jej pragnął!

- i ku swemu przerażeniu odkrył, że pragnienie to wcale nie wygasło. Jej zapach i kształty, jej ciało, piersi, nogi i dłonie przyciśnięte do jego ciała, wryły mu się w myśli. Wspomnienie to powróciło z całą wyrazistością i sprawiło, że Matt zagryzł zęby.

Słyszając, jak Caroline gniewnie szczeka naczyńiami, wyteżył całą swą wolę i odegnał niegodne myśli od siebie. Musi ciągle od nowa powtarzać sobie, aż jego ciało będzie tak samo przekonane jak umysł, że to może być jakakolwiek kobieta, że nie musi być nią Caroline...

- Podnieś się.

Nie był jeszcze całkiem przygotowany, kiedy Caroline pochyliła się nad nim, by wyszarpnąć mu spod głowy drugą i trzecią poduszkę. Otoczył go jej zapach, aromat ziół i kobiety, i w głowie mu się zakręciło. Poczul ból w lędźwiach i zacisnął pięści; desperacko próbując się opanować, wstrzymał oddech. Nie będzie oddychał, dopóki ona jest tak blisko. Nie pozwoli sobie na powtórne popełnienie tego samego błędu, zwłaszcza kiedy jej zamiary wobec niego są tak bardzo niewinne. Choćby nie wiem

jak się starał, nie może winą za swe potknięcie na drodze prawości obarczyć kusicielkę Jezabel. Caroline od samego początku zachowywała się wobec niego nieskazitelnie. To na niego spada cała odpowiedzialność za grzeszne myśli.

Sądząc po wyrazie twarzy, z jakim Caroline trzepała górną poduszkę, jasne było, iż żałuje, że nie może w ten sposób potraktować jego osoby. Było wątpliwe, nie, raczej pewne, że nie zechce go wysłuchać. A przecież jeśli nawet nie uda mu się przekonać samego siebie o niewinności swych uczuć do niej, to musi ze względu na własną wygodę i spokój umysłu przekonać o tym przynajmniej tę dziewczynę. Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby Caroline odnosiła się do niego ze swobodą, jaką czuła, nim doszło do porannego szaleństwa.

Wiedział, że dotykanie jej przypuszczalnie będzie błędem, ale wiedział też, że jeśli teraz nie wykorzysta okazji do zwrócenia jej uwagi, Caroline najpewniej postawi mu tacę na kolanach i wyjdzie, żeby powrócić dopiero o zmierzchu. Zaryzykował więc i złapał ją za rękę.

Próbowała się uwolnić, ale jej nie puszczał. Była zła, oczy miała żółte jak ta jej przeklęta kotka; gdyby miała ogon, pomyślał Matt, na pewno by nim machała.

- Puść mnie.

- Caroline...

- Puszczaj, powiedziałam!

- Czy możesz mnie wysłuchać? - mówił zdesperowany. - Nie planowałem tego, co rano się zdarzyło, tak samo jak ty. To... doznanie... to, co między nami zaszło, nie było przez nas zamierzone, lecz raczej wynikało z faktu, że mężczyźni i kobiety z natury swej wzajemnie się pożądata. Nie można winić za to ani ciebie, ani mnie.

Ta próba ułagodzenia jej, kojąca i spokojna, chybiła celu. Caroline, gniewnie spoglądając na Matta, raz jeszcze szarpnęła ręką.

- Pożądać ciebie? Zapewniam cię, że nic takiego nie czuję... nie czułam - odparła z oburzeniem.

- Skoro tak mówisz - odrzekł Matt, nie chcąc rozpalać bardziej jej gniewu sprzeczką na ten temat. - Nie będę ci przeczył.

- Ty byłeś tym, kto... kto... -I znowu się szarpnęła.

Matt wzmocnił uścisk. Caroline miała twarz zarumienioną z gniewu, brwi, czarne, jedwabiste i proste, spotkały się nad jej małym noskiem.

Kiedy mówiła, Matt widział jej równe białe zęby, a za nimi język, różowy jak malina i lśniący. Przeszyła go fala gorąca, gdy pomyślał, jaki też może mieć on smak. Poprawiając się niezgrabnie na pościeli, z wysiłkiem oderwał oczy od jej ust.

- Pożądał cię? - W swym oszołomieniu prawda była jedynym sposobem obrony, na jaką się ośmielił. - Tak, przyznaję. Dlaczego nie? Jesteś piękna, miło na ciebie patrzeć, po to zresztą Bóg stworzył kobiety. Kiedy rzuciłaś się na moje łóżko...

- Nie rzuciłam się na twoje łóżko! - przerwała. - To ta wasza bestia mnie tam przewróciła!

- Debrze. Kiedy Raleigh przewrócił cię na moje łóżko i zaczęłaś płakać...

- Ja nigdy nie płaczę!

- Czy mogłabyś ciągle mi nie przerywać? - zapytał z irytacją. - Kiedy więc znalazłaś się w moich ramionach, nieważne z jakiego powodu, naturalne było... '

- Jeśli jeszcze raz to powtórzysz... - Caroline uspokoiła się nagle. - Uderzę cię, przysięgam!

- Co? - zapytał Matt, nic nie pojmując.

- Że to, co między nami się wydarzyło, było „naturalne”! - W jej głosie brzmiała bezbrzeżna pogarda.

- Przecież było!

- Nieprawda! To było ohydne, wstrętne i...

- Caroline, przestań! - rzucił ostro Matt, obawiając się jej ataku hysterii. Poskutkowało. Próbowwała uwolnić rękę, ale mocniej ją chwycił. Ku jego konsternacji skrzywiła się z bólu; nie uświadamiał sobie, że tak silnie ją ściska. Natychmiast więc rozluźnił palce, choć nie tak, by mogła mu uciec. Nie chciał robić jej krzywdy, co wcale nie byłoby trudne. Przegub miała tak wąski, że Matt zamykał na nim palce z kilkucentymetrowym zapasem. Pomyślał, że jak na wysoką kobietę, Caroline jest drobna i delikatna. Nawet skóra jej nadgarstków była gładka niczym jedwab. I znowu przeszła go fala gorąca, wstrząsając nim tak bardzo, że o mało nie puścił jej ręki. Zmrużył jednak oczy i zacisnął zęby, zbierając siły. Jeśli ma między nimi zapanować pokój, trzeba go zawrzeć natychmiast i raz na zawsze. Puści ją, a dziewczyna mu ucieknie.

Starając się ignorować doznania szalejące w jego ciele, zaapelował do niej z chłodnym rozsądkiem:

- Co właściwie wydarzyło się między nami dzisiaj rano? Nic, poza tym, że przekonałaś się, że ja jestem normalnym mężczyzną, a ty nie czujesz do mężczyzn takiej odrazy, jak sądziłaś.

- Czuję odrazę do mężczyzn! Nienawidzę ich, a zwłaszcza ciebie! - I znowu się szarpnęła.

- Czy mogłabyś się uspokoić i wysłuchać mnie? - Doprowadzony do granic wytrzymałości niechęcią Caroline do racjonalnego myślenia, mimowolnie zacisnął dłoń na przegubie dziewczyny tak mocno, że krzyknęła. Przerażony tym, wyprostował palce. Natychmiast też Caroline wymknęła się poza zasięg jego rąk.

- Przepraszam. Nie chciałem zrobić ci krzywdy. - Jeśli w jego głosie był gniew, to na siebie raczej niż na nią.

- Wszyscy mężczyźni są tacy sami! Ohydne, gwałtowne bestie...

- To był przypadek!

- Mam nadzieję, że zgnijesz! Mam nadzieję, że noga ci odpadnie! Że nigdy już nie będziesz chodził! - krzyczała piskliwie, na granicy hysterii. Matt uświadomił sobie, że zamiast naprawić stosunki między nimi, jeszcze je pogorszył. Powinien był trzymać język za zębami i pozwolić, by gniew dziewczyny sam się wypalił. Lecz naturalnie, jak każda mądrość, ta też przyszła za późno, by na coś się przydać.

- Caroline! Caroline, posłuchaj! Ja...
- Mam nadzieję, że umrzesz z głodu! - przerwała mu, z szumem szorstkiej tkaniny okręciła się na pięcie i wybiegła z izby.
- Wracaj! - krzyknął, rozgniewany, a zarazem przestraszony wyrazem, który dostrzegł na jej twarzy.
Caroline nie wróciła. Matt został sam, martwiąc się i dąsając przez resztę popołudnia, podczas gdy oszałamiający aromat potrawy z sarniny drażnił mu nozdrza.

23

Dzień dobry, panno Wetherby. Ufam, że nie przyszłyśmy w niestosownej porze?

Caroline na czworakach z furią szorowała piaskiem beznadziejnie poczerniałe kamienie paleniska. Poprzedniego dnia przypadała niedziela, dzień święty, i wszelkie prace poza niezbędnymi były zakazane, jak ją poinformowano. Tak więc miała sporo do nadrobienia, zresztą wcale nie próbowała się oszczędzać. Łagodny głos przestraszył ją, potrąciła łokciem wiadro, które stało koło niej, i rozlała brudną wodę na suknię, podłogę i palenisko. Nie żeby zamoczenie czemukolwiek zaszkodziło. Spódnicę już miała zaplamioną od wykonywanych zajęć, a podłogę zamierzała umyć zaraz po piecu.

- Och, przestraszyłam cię. Tak mi przykro!

Odwróciwszy głowę, Caroline przekonała się, że głos należy do Mary, żony Jamesa. Stała tuż przed drzwiami pomiędzy składzikiem a kuchnią, z gaworzącym dzieckiem na ręku. Towarzyszyły jej dwie niewiasty, tak jak ona młode, lecz w przeciwieństwie do niej szczupłe, które niosły przykryte ścierkami naczynia.

- Ależ nie. Wejdźcie, proszę.

Caroline wstała, otrzepując spódnicę, z której kapła woda, i uśmiechnęła się z niejaką czujnością do przybyłych. Nabrała ostrożnej sympatii do Mary w dniu wizyty wielebnego, kiedy to żona Jamesa z wielkim taktem wyprowadziła z domu Mathiesonów Millera i Williamsa, a do samej Caroline odnosiła się miło. Teraz też spoglądała przyjacielsko, jej towarzyszkę natomiast rozciągały usta w sztucznych uśmiechach.

- To jest Hanna Forrester i jej siostra Patience Smith - przedstawiła je Mary, po czym uniosła niemowlę: - A to jest Hope.

- Witaj, Hope.

Radosna niewinność malująca się w wielkich oczach dziecka skruszyła bariery, które zwykle stawiała Caroline, gdy spotykała nieznajomych. Do kobiet odniosła się z większą rezerwą. Podobnie jak Mary one też ubrane były w surowe purytańskie suknie. Starsza z sióstr, Hanna, była urocza, z czystą jasną cerą, gładko uczesanymi blond włosami i orzechowymi oczami, które przybrały zielonkawy odcień przy ciemnoniebieskiej sukni. Patience, podobna do siostry, acz nieco mniej delikatnej budowy, oczy miała błękitne. Sprawiała wrażenie nieśmiałej, w przeciwieństwie do Hanny, która uważnie przyglądała się Caroline. Caroline natychmiast poczuła większą sympatię do młodszej z sióstr.

- Witam, panno Forrester i panno Smith.

- Pani Forrester - poprawiła Hanna. - Niestety, jestem wdową. Witam, panno Wetherby.

- Przyniosły szarlotkę dla Matta - wyjaśniła Mary.

- Właściwie dwie - uśmiechnęła się Patience. - Przy tych wszystkich głodnych mężczyznach jedna nie na wiele by się zdała, prawda?

- A szarlotka to ulubione ciasto pana Mathiesona - dodała Hanna tonem osoby, która dobrze wie, o czym mówi.

- To bardzo uprzejme z waszej strony. - Caroline za żadne skarby nie potrafiła zmienić swego chłodnego tonu. - Może postawicie je na stole? Mężczyźni na pewno bardzo się ucieszą.

Kobiety postawiły naczynia na stole. Caroline musiała przyznać, że wypieki pachną zachęcająco.

- Wejdę teraz na piętro i przywitam się z panem Mathiesonem, skoro tu już jestem - oznajmiła Hanna radośnie.

- Ale, siostrze, czy powinnaś? Może to nie wypada - odezwała się z przejęciem Patience.

- Wręcz przeciwnie, jestem przekonana, że to mój chrześcijański obowiązek. Pan Mathieson pewnie łaknie innego towarzystwa poza swoim własnym. - Ostatnie słowa Hanna wypowiedziała, przekraczając już próg frontowego pokoju.

Patience spojrzała na Mary i Caroline zrezygnowana.

- Chyba pójde za nią - mruknęła.

- To miło, że przyszłaś. - Zostawiona sama na samą z Mary, Caroline czuła, że jej obowiązkiem jest nawiązanie rozmowy, aczkolwiek nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Dotąd życie nie dało jej zbyt wielu okazji do zaprzyjaźnienia się z przedstawicielkami własnej płci, a poza tym całą uwagę skupiła na tym, co też dzieje się teraz na piętrze. Daniel powiedział kiedyś, że wdowa Forrester zagięła parol na Matta. Jakieś niemiłe, nienazwane uczucie obudziło się w sercu dziewczyny. Rezerwowo je zignorowała, spoglądając na dziecko, które Mary rytmicznie kołysała.

- Jest urocza.

- Prawda? - Mary uśmiechnęła się i połaskotała dziewczynkę po policzku, a ta w odpowiedzi szeroko się uśmiechnęła, ukazując bezzębne dziąsła. - Chyba nie masz nic przeciwko temu, że przyprowadziłam Patience i Hannę? Są bardzo życzliwe i zaprzyjaźnione z naszą rodziną. Poza tym pomyślałam, że może zaczyna ci już brakować widoku i głosu innych niewiast. Wydaje mi się, że od przyjazdu nie byłaś w miasteczku, prawda?

- Miałam tu trochę roboty - odrzekła Caroline; uznała, że słowa te są sporym niedomówieniem. Czy Matt ucieszył się z wizyty? - zadawała sobie w duchu pytanie, gestem prosząc Mary, by usiadła. A jeśli się ucieszył, to jak bardzo?

- To prawda - zachichotała Mary. Dziecko zawtórowało jej niczym echo. Mary nie miała w sobie krzty złośliwości, Caroline w to nie wątpiła. Usiadła przy stole naprzeciw swego gościa i uśmiechnęła się grzecznie. Proponując filiżankę herbaty, nie mogła jednak wyrzucić z myśli sceny czulego powitania, jakie w tym akurat momencie odbywa się lub nie w sypialni Matta. Wdowa Forrester była śliczna, a z tego, co Caroline zauważyła, nie należała do kobiet, które łatwo zniechęcić. O ile Matt w ogóle miał zamiar ją zniechęcać. Być może okazywana przez niego niechęć do powtórnej żeniaczki maskowała tylko prawdziwe intencje. Mary napiła się herbaty.

- Cieszę się, że to na ciebie, a nie na mnie spadł obowiązek opieki nad przykutym do łóżka Mattem. Muszę wyznać, że zawsze żywiłam wielki strach wobec starszego brata Jamesa, i przeraża mnie sama myśl, że

musiałabym mieć z nim do czynienia, kiedy cierpi i nie może się poruszać.

- Nie jest najłatwiejszym pacjentem - przyznała Caroline. Uświadomiła sobie, że izba Matta musi być dokładnie nad kuchnią, słycać bowiem było głosy. Wiele ją kosztowało, by nie próbować wyłapać po szczególnych słów i skupić się na tym, co mówi Mary.

- Może Hanna też się o tym przekona i zrezygnuje z prób złapania Matta na drugiego męża. Zapewniałam ją, że w mojej opinii nie jest to najlepszy materiał, ale tak ją zauroczył, że świata poza nim nie widzi. To naturalnie rozumiem, bo Matt jest bardzo podobny do mojego drogiego Jamesa, który jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego można sobie wyobrazić, w środku jednak... obawiam się, że nie można naprawić tego, co uczyniło mu małżeństwo.

- A co mu uczyniło? - Caroline nagle nie miała trudności ze skupieniem się na słowach Mary.

- Wiesz, my, kobiety, nie bardzo mu się przysłużyłyśmy. To był nieszczęśliwy związek. Och, prawda, jego żona była twoją siostrą, prawda? Wybacz mi więc. Nic więcej nie powiem.

- Proszę. - Caroline nachyliła się nad stołem, pragnąc przekonać Mary, by mówiła dalej; wydarzenia na piętrze na razie przeszły na drugi plan. - Domyśliłam się już, że działo się tu coś złego. Byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym wiedziała. Więc mi nie powiesz? Oddałabyś mi ogromną przysługę, zapewniam cię.

Bratowa Matta wyglądała na zakłopotaną. Hope wyrywała się i kopała, pragnąc zejść z kolan. Mary postawiła ją więc na podłodze i z kieszeni fartucha wyjęła szmacianą lalkę, którą dziewczynka natychmiast włożyła do buzi. Usiadła, z zadowoleniem żując sztywną lnianą główkę.

- Na pewno od kogoś o tym usłyszysz, a w dodatku będzie to historia nie całkiem zgodna z prawdą - zdecydowała w końcu Mary, spoglądając na Caroline. - Musisz zrozumieć, że nie chodzi o to, że nie lubiłam Elizabeth. Prawdę mówiąc, rzadko miałam okazję widywać się z nią, bo Matt trzymał ją przy sobie... ale była dziwną kobietą. - Zawahała się, potem dodała: - Jeśli w ogóle mam ci coś powiedzieć, to muszę powiedzieć ci prawdę. Nie będziesz się czuła dotknięta?

- Wręcz przeciwnie, wdzięczna ci jestem za szczerść.

- Dobrze więc. - Mary wzięła głęboki oddech. - Poznałam twoją siostrę, kiedy przyjechała w te strony, a że była starsza ode mnie, więc moje pierwsze zdanie o niej było takie, jakie ma młoda dziewczyna o szacownej mężatce. Nigdy nie była lubiana przez miejscowych i trzymała się na osobności; myślałam, że to stanowiło powód większości plotek na jej temat. Dopiero kiedy poślubiłam Jamesa, pojęłam, iż plotki te oparte są na prawdzie. - Mary zamilkła, ze smutkiem spoglądając na Caroline.

- A jakie to były plotki? - ponagliła ją dziewczyna.

- Że jest wyznawczynią Czarnego Męża.

- Czarnego Męża? - Caroline gapiła się na Mary. - Kto to jest Czarny Mąż?

- Nie wiesz? - W głosie kobiety pobrzmiwało zaskoczenie. - To przecież szatan. W mieście powiadano, że żona Matta zawarła z nim pakt. W późniejszych latach, po narodzinach Daveya, widywano ją, jak niedbale odziana włóczyła się po lesie o każdej porze dnia i nocy, coś do siebie gadając. Pod koniec Matt musiał zamykać ją w izbie. Lękał się, że odbierze sobie życie, co też uczyniła.

- Co? - Caroline nie wierzyła własnym uszom.

- Ojej, nie wiedziałaś. Wybacz, gdyby przyszło mi to do głowy... - mówiła coraz ciszej Mary, bardzo zmartwiona.

- Wspominano mi tylko, że utonęła - odrzekła Caroline spokojnie. - Proszę, powiedz mi prawdę. Ja... ja muszę wiedzieć.

- Utonęła, to prawda, ale... Może jednak nie powinnam ci tego mówić. Była twoją siostrą i na pewno ją kochałaś. Obawiam się, że to sprawi ci ból.

- Byłyśmy siostrami przyrodnimi, nie widziałam jej od piętnastu lat i nie dorastałyśmy razem. Dopóki nie wyjechała z Anglii, spotykałam ją może dwa razy w roku. I choć kochałam ją wówczas, to wiem o niej tak mało, że równie dobrze mogłaby być kimś obcym. Twoje słowa nie sprawiają mi bólu, którego nie zdołałabym znieść. A jeśli tutaj ma być mój dom, ta wiedza mi pomoże.

- Tak. - Mary wprawdzie zgodziła się z nią, mimo to wciąż się wahała. W końcu zaczęła mówić, lecz niemal z widoczną niechęcią. -Z opowieści Jamesa zrozumiałam, że wyobrażała sobie, iż jest czarownicą. Nie była nią, w przeciwnym razie nie skończyłaby tak tragicznie, bo jak wszyscy wiemy, czarownice nie toną. Była natomiast szalona. Och... tego nie mogę ci powiedzieć!

- Proszę!

Policzki Mary zalał rumieniec, spojrzała na swoje dziecko bawiące się na podłodze. Kiedy znowu uniosła wzrok, Caroline w jej łagodnych brązowych oczach dostrzegła zakłopotanie, ale także determinację.

- Napastowała mężczyzn. Wszystkich, każdego bez wyjątku. Była nienasycona, tak mi powiedziano. James... próbowała uwieść Jamesa, przez co wyprowadził się z tego domu. Potem poślubił mnie. Daniela też nękała. Nie było go, kiedy... kiedy umarła, a Daniel nie opuściłby Matta, gdyby nie miał powodu. Wiesz, oni wszyscy są bardzo Mattowi oddani.

Nie byłabym zaskoczona, gdyby próbowała swych wdzięków na każdym z braci. Na pewno czyniła tak wobec wielu mężczyzn w miasteczku, aż Matt zaczął trzymać ją pod kluczem. Widzisz, kiedyś na drzwiach izby, w której teraz śpi Matt, była po zewnętrznej stronie zasuwka. Matt ją zamykał, dla bezpieczeństwa Elizabeth, jak i wszystkich pozostałych.

- Zamykał ją? - powtórzyła szeptem Caroline. Tak była wstrząśnięta opowieścią Mary, że ledwo mogła wykrztusić słowo.

- To było po tym, gdy pierwszy raz targnęła się na życie. Nie chciał, żeby miała po raz drugi okazję. Uratował ją wówczas, chociaż drogo za to zapłacił.

- Matt?

Mary skinęła głową.

- To zdarzyło się pewnej nocy, kiedy Davey był maleńki. Uciekła ze swojej izby, nikt nie wie jak, i pobiegła do stodoły, gdzie zabarykadowała wrota od środka. A potem podłożyła ogień, bo chciała spalić się razem ze wszystkimi zwierzętami, które zaprowadzono tam na noc. W końcu to one ją uratowały. Matt usłyszał, jak ryczą, i wybiegł z braćmi na podwórze. Myśleli, że pożar wybuchł przypadkiem. Kiedy odkryli, że wrota są zabarykadowane, wyważyli je, choć wtedy ogień bardzo się już rozprzestrzenił. Robert mówił Jamesowi, że Elizabeth wchodziła na stryszek, kiedy dostali się do środka. Przeklęła ich okropnie i dalej wspinała się po drabinie. Krzyczała słowa tak ohydne, że Robert nie chciał ich powtarzać. Matt pobiegł za nią, a pozostali rzucili się na ratunek zwierzętom. Udało mu się ściągnąć Elizabeth na dół i wyrzucić za wrota, kiedy runął dach.

- Dobry Boże!

- Gdyby nie bracia, Matt straciłby owej nocy życie. Przygniotła go belka. Płonął, kiedy po niego wrócili i jakoś go wydostali, sami ryzykując życie.

- Nic dziwnego, że boi się ognia!

- Więc o tym już wiesz? To dobrze. Pewnego razu przyszedł do nas na posiłek, a ja zupełnie niewinnie poprosiłam go, żeby w kominie rozpałił ogień. Spojrzał tylko na mnie i wyszedł z domu. To wtedy James opowiedział mi o pożarze i o wpływie, jaki to zdarzenie miało na Matta. Byłam przerażona, ale James zabronił mi rozmawiać o tym z Mattem, a nawet go przeprosić, i nigdy więcej tej sprawy nie poruszaliśmy. Być może ta wiedza uratuje cię przed popełnieniem podobnej pomyłki.

- Tak. - Oszołomiona Caroline próbowała przetrwać wszystko, co opowiedziała jej Mary.

Wiele rzeczy teraz dopiero rozumiała: czujność i rezerwa, z jaką Mathiesonowie odnosili się do niej jako do kobiety, nieufność dzieci, napięcie w głosie, gdy mówili o Elizabeth. Dlaczego wcześniej nic jej nie powiedzieli? I nagle Caroline do głowy wpadła odpowiedź: kierowany szczególnym rodzajem rycerskości Matt chciał ją chronić.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, naturalnie.

Sama jednak nie wiedziała, czy ta odpowiedź jest prawdziwa. Nie potrafiła wyobrazić sobie siostry jako szalonej. Przed oczyma stanęła jej

pełna życia, rudowłosa młoda kobieta, którą mgliście zapamiętała. W najwyraźniejszym wspomnieniu Elizabeth klepała ją po głowie i śmiała się wesoło. Powód tego gestu i śmiechu okrywał jednakże mrok.

Nieoczekiwanie zapach szarlotki sprawił, że poczuła mdłości.

- Nie powinnam była ci tego mówić - zauważyła Mary z żalem, obserwując ją uważnie.

Caroline zebrała się w sobie.

- Nie, nie, naprawdę dobrze się stało. Wiele spraw teraz rozumiem. Oni...

Matt i jego bracia... starannie dobierali słowa, kiedy przy mnie wspominali o Elizabeth. Ja jednak domyślałam się, że coś było nie tak.

Hope, zgubiwszy laleczkę, zaczęła lamentować. Mary schyliła się i wzięła na ręce dziecko i zabawkę.

- Chyba powinnam już iść po Hannę i Patience. Czas na nas.

- Poczekaj! - Samą Caroline zaskoczył ostry ton jej głosu. Zaraz też postarała się go złagodzić. - Czy możesz mi powiedzieć, co się z nią stało? To znaczy z ciałem.

Pójdzie tam, zanieś kwiaty, postara się zrozumieć, co przywiodło siostrę do utraty zmysłów. Może gdyby ona, Caroline, przybyła tu wcześniej, udałoby się jej odmienić życie Elizabeth. Zaraz jednak ze wstydem pomyślała, że gdyby siostra żyła, Matt byłby jej mężem.

- Nie musisz się martwić. Miała chrześcijański pochówek - odrzekła Mary ze współczuciem. - Doprawdy, Matt stoczył istną bitwę z pastorem, co zresztą jest powodem niezgody pomiędzy nimi do dzisiaj. Wielebny Miller odmówił pogrzebania Elizabeth na cmentarzu koło kościoła na tej podstawie, że była czarownicą. Tak więc sam Matt z braćmi wykopał grób, rzucając wyzwanie każdemu, kto ośmieliłby się go powstrzymać.

Naturalnie nikt nie próbował. Mathiesonowie są bardzo majątni. To największa farma w okolicy! W każdym razie rodzina zmówiła modlitwy, a grób pobłogosławiony został przez wędrownego kaznodzieję, który nie zważał na gniew wielebnego. Przez długi czas lękałam się, że jakiś stronnik pastora może ją wykopać, ale grób do dzisiaj pozostał nienaruszony. Może w końcu zwyciężył zdrowy rozsądek, przecież ona jednak utonęła. A może ludzie boją się Matta. Tak czy owak, niechaj pociechą ci będzie myśl, że twoja siostra spoczywa w pokoju. - Mary wstała, posadziła sobie na biodrze dziecko i schowała lalkę do kieszeni. -

Mam nadzieję, że nie przysporzyłam ci zbyt wielkiego zmartwienia. Ale zgadzam się z tobą: lepiej, że o wszystkim wiesz.

- Tak. - Caroline także podniosła się z krzesła. - Bardzo ci dziękuję, że mi powiedziałaś.

- Jeśli o czymś jeszcze pragnęłabyś się dowiedzieć albo gdybym mogła ci pomóc w zrozumieniu zupełnie niepojętego niekiedy zachowania Mathiesonów, bez wahania do mnie przychodź. Chciałabym zaliczać się do grona twych przyjaciółek.

- Dziękuję. Ja też bym tego chciała.

- A teraz naprawdę muszę już iść po Hannę i Patience. Lękam się, że wzbudzę gniew Jamesa, jeśli nie zdążę z wieczerzą do jego powrotu. Jedną cechą mają wspólną: lubią, gdy ich żołądki są pełne. Ale o tym musisz już wiedzieć. Robert chwalił przed Jamesem twoje gotowanie.

- Naprawdę? To miło - odrzekła Caroline.

Mary skierowała się ku schodom, za nią podążyła Caroline, która nie całkiem otrząsnęła się z szoku. Miała wiele spraw do przemyślenia.

Dopiero w izbie Matta gwałtownie powróciła do rzeczywistości.

Sprawił to widok Matta - jego obnażone ramiona szerokie i muskularne na tle prześcieradła, które ona tak starannie uprała, jego czarne jak atrament kędziory wijące się na poduszce, którą ona wybieliła na słońcu - uśmiechającego się i przekomarzającego z Hanną Forrester. Wdowa siedziała na skraju łóżka i karmiła chorego rosołem, który ona, Caroline, ugotowała i przyniosła na górę kilka minut przed przybyciem gości! Przeklęty fałszywy łajdak! Powinien udławić się tym rosołem!

24

Witaj, Mary. Przyszłaś do mnie z moją bratanicą, ale zupełnie zapomniałaś, że leżę tu na piętze?

Matt wcale nie wyglądał na zakłopotanego, że przyłapano go, jak pije rosół z łyżki podawanej przez gościa. A ponieważ od pierwszego dnia swej choroby upierał się, iż potrafi sam jeść, Caroline mogła tylko przypuszczać, że zupełnie brak mu wstydu.

- Miło cię widzieć, Matt, choć po prawdzie przyszłam, żeby zawrzeć bliższą znajomość z panną Wetherby, i nie mogę zostać dłużej. Obawiam się, że James jak zwykle wróci głodny do domu, więc muszę się śpieszyć. Drogie panie, czas się żegnać. Popołudnie zmierza już ku wieczorowi. Caroline uznała, że to dobrze, iż w czasie rozmowy z Mary Matt nawet na nią nie spojrzął, bo jakoś udało jej się utrzymać język za zębami. Gdyby odezwał się do niej w sposób wymagający odpowiedzi, nie ręczyłaby za swoje słowa. Chociaż właściwie nie rozumiała, dlaczego tak ją wzburzyła scena, którą zastały na piętze. Przecież nie ma do Matta najmniejszego prawa! Ani też, powiedziała sobie zapalczywie, nie życzy sobie mieć do niego prawa!

- Och! - W odpowiedzi na te słowa Hanna roześmiała się szczerze i biotliwie.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że tak wiele minęło czasu. Kiedy ujrzałam,

że pan Mathieson nie je, pojęłam, że muszę sprawdzić, czy nie uda mi się go namówić na łyżek lub dwa. On musi mieć siły, jeśli chce wyzdrowieć.

- Pan Mathieson powiedział, że rosół smakuje o wiele lepiej, kiedy moja siostra trzyma łyżkę - wtrąciła Patience. Wstała z fotela koło łóżka, gdzie odgrywała rolę przyzwoitki.

- Jestem o tym przekonana - odrzekła Caroline słodko, jako że uwaga ta skierowana była do niej.

Z godnością powstrzymała impuls, by posłać ostre jak sztylet spojrzenie Mattowi, który wreszcie zwrócił na nią wzrok. Zauważył coś w jej twarzy i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Nie zdążył jednak, bo uciszyła go Hanna, wsuwając łyżkę pomiędzy jego rozchylone wargi.

- Hanno, jeśli już skończyłaś... - odezwała się Mary do przyjaciółki, unosząc brwi.

- O tak. Nie wierzę, by nawet przy mojej pomocy pan Mathieson mógł więcej zjeść tego rosółu, bo też całkiem wystygł. Ale poradziłam sobie dobrze, a poza tym teraz pan Mathieson może skosztować mojej szarlotki - zaszcebiotała wdowa, uśmiechając się do leżącego.

Odstawiła łyżkę i miskę na nocny stolik, po czym odwróciła się ku Mattowi z miną właścicielki, która sprawiła, że Caroline, bez żadnego innego powodu poza tym, iż owa kobieta po prostu wyprowadzała ją z równowagi, zapragnęła tupnąć.

- Już się nie mogę doczekać - odparł Matt.

A chociaż odpowiedział na uśmiech Hanny ledwo lekkim wygięciem ust, Caroline w tych kilku słowach usłyszała więcej rycerskości niż we wszystkim, co do niej powiedział, odkąd się poznali. Siłą woli powstrzymując się od prychnięcia, przybrała uprzejmą minę i cofnęła się, by przepuścić zmierzające ku drzwiom siostry.

- A może zostawię ci mój przepis na rosół, droga panno Wetherby? Nie wątpię, iż twój jest całkiem dobry, ale mój odznacza się wprost niezwykłym smakiem. Jestem przekonana, że spożywanie go okazałoby się mniej uciążliwe dla pana Mathiesona. -Pobrmiewające w tonie Hanny protekcyjne nuty obudziły w oczach Caroline wojownicze błyski. Nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo na całe szczęście uprzedziła ją Mary.

- Jedzenie rosółu panny Wetherby na pewno nie jest takie znowu i uciążliwe, Hanno - rzekła łagodnie.

Hanna zaśmiała się z poczuciem winy.

- Och, przecież wiesz, że nie to miałam na myśli! Ja tylko mam na względzie dobro pana Mathiesona, aczkolwiek jestem pewna, panno Wetherby, że dokładasz wszelkich starań.

Ostatnie zdanie wypowiedziane było tonem, którym można by się zwracać do gospodyni, i Caroline zadała sobie pytanie, jak też plotkarki w

miasteczku określają jej pozycję w domu Mathiesonów. Ha, dzięki kapitanowi Rowse'owi i Bóg wie jeszcze komu zapewne cieszy się statusem kogoś w rodzaju nieoficjalnej poddanej sługi. Myśl ta bardzo ją ubodła, policzki zalał rumieniec gniewu. Na plecach czuła wzrok Matta; podejrzewając, że ze swego miejsca widzi też jej profil, wbrew sobie rozciągnęła usta w grymasie, który (taką miała nadzieję) można było wziąć za uśmiech.

- Z wielką przyjemnością wezmę ten przepis, pani Forrester - zapewniła wdowę z fałszywą uprzejmością. - Ale może innego dnia, skoro pani Mathieson śpieszy się do domu.

- O tak, naprawdę musimy już iść. I proszę, nazywaj mnie Mary. A więc przynajmniej żona Jamesa chce traktować ją jak członka rodziny. Caroline po namyśle doszła jednak do wniosku, że niewielki to zaszczyt.

- Dziękuję. A ty nazywaj mnie Caroline. - Przy kolejnym wymuszonym uśmiechu ogarnęło ją wrażenie, że za chwilę pękną jej policzki.

- Nie odprowadzaj nas, znamy drogę.

I Mary, niosąc Hope, ruszyła w stronę schodów. Patience i Hanna podążyły za nią. Kiedy wyszły, Caroline skierowała się do drzwi, zdecydowana nie mówić Mattowi tego wszystkiego, co cisnęło jej się na usta, ale przypomniawszy sobie miskę i łyżkę na nocnym stoliku, zawróciła. Tego dnia nie będzie już musiała wracać do izby chorego. Kolację może mu zanieść Daniel, tak jak robił to przez dwa poprzednie wieczory! Od owego katastrofalnego incydentu Caroline jak mogła unikała Matta. W niedzielę, czyli poprzedniego dnia, bracia i synowie Matta brali udział w nabożeństwie. Ku zaskoczeniu Caroline podzielone ono było na dwie części, poranną i popołudniową. Najwyraźniej kolonialni zwolennicy Cromwella z jeszcze większą powagą niż ich angielscy bracia podchodzili do spraw wiary, tak więc zajęło im to niemal cały dzień. Spodziewano się, że w nabożeństwie weźmie udział każdy, komu tylko pozwala na to zdrowie. Matt został w domu, ponieważ był przykuty do łóżka, a Caroline - bo ktoś musiał przy nim być. Nie miała więc innego wyboru, jak nosić mu posiłki i wykonywać inne posługi, aż powrót braci uwolnił ją od tego ciężaru. W tym czasie udało im się zawrzeć dość

chłodne zawieszenie broni. Zamierzała przy nim trwać do końca. Ha, prędzej osiwieje, nim Matt usłyszy od niej przyjacielskie słowo!

- Jeśli nie byłoby to dla ciebie zbyt wielkim kłopotem, to chętnie zjadłbym kawałek szarlotki pani Forrester. Jest bardzo dobrą kucharką. Sama też powinnaś spróbować.

Na tę uwagę Caroline zeszywniała. Żadnym jednak słowem ani spojrzeniem nie zamierzała okazać, jak irytuje ją jego apetyt na wypieki pięknej wdowy.

- Zaraz ci przyniosę. Aczkolwiek osobiście nie przepadam za ciastami.

- Nie? To i dobrze. Nawet dwie szarlotki ledwo dla wszystkich wystarczą. Davey i John, podobnie jak moi bracia, bardzo lubią wypieki pani Forrester.

- Zastanawiam się, czemu jej nie poślubisz, moglibyście jadać ta

kie przysmaki codziennie - rzuciła ironicznie Caroline i pośpiesznie opuściła pokój, czuła bowiem, że ogarnia ją pokusa, by z całej siły walnąć go miską w głowę.

- Dobra kucharka wiele jest warta, ale nie aż tyle! - zawołał za nią Matt; był w doskonałym humorze. Naturalnie jej irytacja go rozbawiła. Zbyt był spostrzegawczy, by uszedł jego uwagi nastrój Caroline.

W kuchni Caroline włożyła miskę i łyżkę do miednicy z brudnymi naczyniami, po czym ukroiła kawałek ciasta. W nozdrza uderzył ją aromat cynamonu i jabłek i naszała ją chęć, by skosztować skrawek, który jakimś cudem przykleił się jej do palca. Ciasto rzeczywiście było wyśmienite, musiała to przyznać. Mattowi będzie smakować.

Ta myśl nie była przyjemna. U jej stóp miauczała Millicent, Caroline odkroiła więc spory kawałek drogocennego ciasta na talerz i postawiła na podłodze. Miała nadzieję, że jej kotka wykaże się lepszym smakiem, ta jednak po pierwszym kąsku rzuciła się wprost na szarlotkę.

- I ty też, Millicent? - mruknęła kwaśno. I wówczas wpadł jej do głowy pewien pomysł.

Gdyby była purytanką powiedziała by pewnie, że nagle opętał ją szatan. Wszakże jako rozsądna rojalistka mogła tylko ulec przemożnej pokusie. Zanim zdążyła zastanowić się nad tym, co robi, nożem uniosła górną warstwę ciasta i szcudrze posypała jabłka solą. A potem wciąż za podszeptem diabła czy innego złego ducha, który wziął we władanie jej umysł, dodała sporo gorzkich kropli, kilka plasterków cienko pokrojonej cebuli, kapkę baraniego łożu i kilka pestek czereśni. Owoce zjadła, ze złośliwym uśmiechem oblizała pestki do czysta i wepchnęła głęboko w ciasto. Położyła na miejsce górną warstwę, przeniosła ciasto na czysty talerz i poszła na górę.

- Proszę - rzekła, podając Mattowi tacę, na której stał też kubek herbaty. Przez ostatnie dwa dni nie zwracała się do niego równie radosnym tonem.

- Dziękuję.

Wciąż siedział oparty ó poduszki, tak więc nie trzeba było mu pomagać. Caroline ze skrywanym zniecierpliwieniem wyczekiwała chwili, gdy zacznie jeść ciasto.

- Dobra - skomentował, napiwszy się herbaty. Przyglądał się ciekawie Caroline. Bez wątpienia dziwił się, dlaczego została w pokoju, skoro

wcześniej od razu uciekała. Aby rozproszyć jego podejrzliwość, zaczęła ścierać nocny stolik rąbkiem fartucha.

Popijał herbatę, nie spuszczał oczu z Caroline. Ciasto leżało nietknięte na tacy.

- Mam ci pomóc z szarlotką? - zapytała wreszcie, niezdolna dłużej wytrzymać napięcia.

Jej ton był może bardziej zjadliwy, niż zamierzała, bo wspomnienie Matta posłusznie jedzącego rosół z łyżki podawanej przez Hannę Forrester wciąż ją złościło, lecz to powinno tylko uspić jego czujność.

- Doskonale umiem poradzić sobie bez niczyjej pomocy, o czym sama doskonale wiesz.

- Ha, przyznaję, że tak myślałam, choć odniosłam wrażenie, że pomoc wdowy Forrester przyjąłeś z wielką wdzięcznością.

Zmrużył powieki, a potem ku irytacji Caroline w jego oczach pojawił się błysk, który mogła odczytać jedynie jako rozbawienie. Powinna była odgryźć sobie język, zamiast tak dużo mówić.

- Ach, ale ty i Hanna Forrester to dwie całkiem różne pary rękawiczek - oświadczył mgliście.

- A cóż to ma znaczyć? - zapytała, ujmując się pod boki, jego słowa odebrała bowiem jako zniewagę. Matt jednak tylko uniósł brwi i potrząsnął głową. Z tym samym wyrazem rozbawienia dalej pił herbatę, nie zaszczycając Caroline odpowiedzią.

- To miło ze strony Mary, że chce się z tobą zaprzyjaźnić. Dobra kobieta z tej żony Jamesa - odezwał się w końcu.

Caroline, która teraz odkurzała parawan w oczekiwaniu, aż Matt zacznie jeść ciasto, zeszywniała.

- A niby dlaczego nie możemy być przyjaciółkami? Czyżby coś nam w tym przeszkadzało? - Caroline prychnęła. W jej oczach zapaliły się wojownicze błyski. Gdyby Matt był rozważnym człowiekiem, na ten widok powinien umilknąć.

- Niewiele macie wspólnego, jak mi się wydaje. Mary prowadzi niezwykle spokojne życie i jest bardzo cnotliwą kobietą.

- Chcesz powiedzieć, że ja nie jestem cnotliwa? - Głos jej zadrzał z oburzenia.

Matt spojrzał na nią znad kubka, niewinnie zaskoczony.

- Nie zamierzałem was porównywać. Choć trudno znaleźć osoby tak różniące się doświadczeniami jak wy.
- Rzeczywiście! - Caroline nabrała głęboko powietrza, piersi zafalowały jej pod suknią z wypłowiałej zielonej bawełny, którą nosiła do sprzątanania.
- Prawdę mówiąc, twoje doświadczenia różnią się od doświadczeń każdej niewiasty w naszej społeczności. Weźmy dla przykładu Hannę Forrester. O ile wiem, nigdy nie zrobiła fałszywego kroku. Porządna z niej kobieta. Caroline wpadło do głowy, że Matt sobie z niej żartuje. Kąciki jego ust lekko drgały, błękitne oczy kryły się pod spuszczonej powiekami.
- Dodaj jeszcze, że świetna z niej kucharka, i pochwała będzie kompletna.

Dzięki przypuszczeniu, że Matt się z nią drażni, nie dała się złapać na haczyk. Uśmiechnęła się miło.

- Jedz ciasto.

- Zaraz zjem.

Podał jej pusty kubek - Caroline drżała od powstrzymywanej ciekawości i o, mało go nie upuściła - po czym złapał widelec i nabrał spory kawałek. Zafascynowana patrzyła, jak wkłada, go do ust.

Przez chwilę na jego twarzy dalej malował się przesadny zachwyty. Potem wytrzeszczył oczy, skrzywił się i wypluł zawartość na talerz.

Zdumione błękitne oczy spojrzały w niewinne bursztynowe.

- Czy coś się stało? - zapytała Caroline z udaną troską.

- Ty... mała... lisico! Specjalnie zepsułaś doskonale ciasto!

- Ja? - Gardło bolało ją od powstrzymywanego śmiechu, ale zachowała obojętną minę.

- Tak, ty! Dodałaś soli i Bóg wie czego jeszcze!

- Śmieszny jesteś, doprawdy! Przecież upiekła je pani Forrester, a nie ja.

- I to z czystej złośliwości!

- Złośliwości? -I zazdrości!

- Zazdrości!

Spojrzeni sobie w oczy. Caroline już szykowała się do opuszczenia pokoju, gdy Matt skrzyżował ręce na piersi, a potem po jego twarzy przemknął dziwny wyraz, oczy zaś wywróciły się białkami do góry. Caroline ze strachem patrzyła, jak głowa opada mu bezwładnie na poduszkę, a całe ciało wiotczeje.

- Matt!

Nie poruszył się, oczy miał zamknięte i nie oddychał. Robi sobie z niej żarty? A może, Panie wielki, zadławił się pestką czereśni albo zatrzał jakąś miksturą, którą dodała do ciasta?

- Matt! - Przerazona zrobiła krok w stronę łóżka. Nie reagował. I - tego teraz była pewna -jego klatka piersiowa zupełnie się nie poruszała. -

Matt!!! - Pochyliła się nad nim, złapała za ramiona i zaczęła potrząsać.

Nagle otworzył oczy, a dłonie zacisnął na jej łokciach. Caroline nic nie mogła poradzić na to, że padła mu w objęcia. Krzyczała i wyrwała się, zanim jednak zdążyła się uwolnić, Matt przekreślił się na bok i przycisnął ją do łóżka. Zaskoczona, leżała na plecach, a on trzymał ją za ramiona.

Kiedy spojrzała mu w oczy i zobaczyła na jego twarzy wyraz wielkiej satysfakcji, prychnęła gniewnie.

- Natychmiast mnie puszczaj!

- O, nie tak szybko. Ty zabawiłaś się moim kosztem, teraz moja kolej ci się odpłacić, panno Zazdrośnica.

- Nie jestem zazdrosna!

- Doprawdy? - Kpił sobie z niej z lubością, rewanżując się za ciasto. -

Gdybym nie wiedział, jak jest naprawdę, pomyślałbym, że ci na mnie zależy, Caroline.

- Ty przewrotny... - Mimo wysiłków nie potrafiła uwolnić rąk, Matt przyciskał jej nadgarstki do materaca po obu stronach głowy. - Jeśli natychmiast mnie nie puścisz, to dopóki noga ci nie wydobrzeje, będziesz na każdy posiłek jadł zimną kaszę!

- Aha, a teraz mi grozisz! Ostrzegam cię, nie dam się zastraszyć. Nie puszczę cię, dopóki nie przyznasz się, że posoliłaś ciasto, bo byłaś zazdrosna!

- Nie byłam zazdrosna! - Patrzyła na niego wzrokiem lwicy zapędzonej w pułapkę. Kiedy się do niej uśmiechnął, najwyraźniej nie-przekonany tymi zapewnieniami, straciła panowanie nad sobą. Odwróciła głowę tak szybko, że nie zdążył zareagować, i wbiła zęby w jego rękę.

- Auuu! - Matt puścił jedną jej dłoń. Caroline nie potrafiła jednak uwolnić drugiej - za to pomyślała, że może wymierzyć mu policzek.

Dłoń odbiła się od jego blizny z głośnym trzaskiem.

Długo wpatrywali się w siebie.

- Zastanawiam się, co teraz powinienem ci zrobić - odezwał się wreszcie Matt z zaskakującą jak na tę sytuację łagodnością.

Mimo że własny postępek wstrząsnął Caroline tak samo jak nim, zdecydowana była nic po sobie nie pokazać. Zadarła podbródek, choć było to trudne, skoro leżała na plecach, uwięziona pod ciężarem mężczyzny.

- Zasłużyłeś sobie na to!

- Tak, chyba tak.

Zdumiały ją i słowa, i ton Matta. Przyglądał jej się z powagą, a Caroline odkryła, że wygląda przy tym tak samo czarująco jak roześmiany. Jego usta były doskonale wykrojone, oczy, ciemniejsze niż zwykle, miały odcień głębokiego morskiego błękitu - widok doprawdy oszalamiający na tle ogorzałej twarzy. Nie golił się od dwóch tygodni, tak więc szczęki i brodę pokrywał mu gęsty czarnobłękitny zarost, który zamiast ukrywać, podkreślał tylko klasyczne piękno jego stanowczych rysów. Z czarnymi lokami spadającymi na czoło - znowu trzeba je podciąć, pomyślała Caroline, czując ukłucie dziwnego bólu na wspomnienie swych dłoni w jego włosach - Matt był przystojny niczym anioł o mrocznym obliczu. Gabriel bez rogu, pomyślała Caroline i zadrżała.

Wyczuwając to, Matt zeszywniał. Spojrzeli sobie w oczy, we wzroku obojga malowała się ta sama wstydliva wiedza: poprzez kołdrę i swoje ubranie Caroline wyczuwała rosnące męskie pożądanie. Matt poczerwieniał, oczy jeszcze bardziej mu pociemniały.

A więc Gabriel jednak miał swój róg. Caroline zabrakło nagle tchu; rozchyliła usta, by nabrać powietrza.

Matt zmarszczył gęste czarne brwi.

- A niech cię diabli porwą, Caroline! - mruknął, a potem pochylił głowę. Wiedziała, co zaraz nastąpi, wiedziała, że Matt chce ją pocałować, zamiast jednak odwrócić twarz, szepnąć „nie” lub zrobić wiele innych rzeczy, po których na pewno odzyskałaby wolność, tylko wpatrywała się zahipnotyzowana w jego usta.

Pomyślała, że umrze, jeśli coś przeszkodzi temu pocałunkowi.

Jego wargi, uwodzicielskie i ciepłe, lekko dotknęły jej ust. Caroline zamknęła oczy, zadziwiona i drżąca. Jej ciało samo wtuliło się w jego ciało, szukając twardego ciepła z instynktowną chciwością. Dłonie, teraz już wolne, zaplotła na jego szyi, głowę odchyliła lekko, by łatwiej mu było dostać się do jej ust.

On jednak nadal delikatnie muskał tylko jej wargi. Jednym ramieniem opierał się o materac, by nie przytłoczyć jej swym ciężarem. Dłońmi wyczuwała sztywność mięśni Matta i wiedziała, ile wysiłku kosztuje go to opanowanie. W głowie jej się kręciło od obietnic, które składały jego usta, choć wciąż nie chciały ich spełnić; zmusiła się, by unieść powieki. Tuż nad sobą zobaczyła jego oczy, płonące blaskiem tysiąca brylantów, błękitne niczym niebo, palące jak ogień. Ich usta wciąż się dotykały, lekko jak skrzydła motyla. Caroline całą sobą czuła jego ciało, twarde niczym żelazo. A mimo to całował ją tak delikatnie.

- Matt? - Było to bardziej westchnienie niż pytanie. Mięśnie jego gołych barków napięły się pod jej dłońmi. Uniósł głowę, tak więc kiedy przemówił, jego chrapliwe słowa rozległy się przy jej ustach.

- W żadnym razie nie będę cię do niczego zmuszał, Caroline. Musiała walczyć o oddech. Dłonie zacisnęła na jego karku, paznokcie wbiła w gładką skórę. Serce biło jej nierówno, dudniąc w uszach.

-Nie.

- Nie? - Jeszcze bardziej zeszywniał. Caroline pojęła, że słowo, które zdołała wypowiedzieć, odebrał jako odmowę, gdy tymczasem ona wcale tak nie myślała.

- Wcale nie czuję się... przymuszona. - Wsunęła dłoń w sprężyste włosy nad jego karkiem. - Możesz... mnie pocałować, Matt.

Uśmiechnął się lekko.

- A więc za twoim pozwoleniem - powiedział.

Pocałunek był delikatny i słodki, Caroline jednak poczuła drżenie w całym ciele. Zamknęła oczy, rozchyliła usta, by zaczerpnąć powietrza - a wówczas on, zamiast jak sądziła, cofnąć się, znowu ją pocałował, tym razem gwałtownie i dziko.

Wsunął język w jej usta i wziął je w posiadanie. Ramieniem, którym dotąd się podpierał, objął ją mocno. Przytulał ją, a jego wielkość i siła tworzyły cudowne więzienie; gorąca skóra i twarde mięśnie krzyczały o namiętności, której dłużej nie potrafił się opierać.

Gdy jego smak, dotyk i zapach sprawiały, że krew szybciej zaczynała krążyć jej w żyłach, przed oczyma pojawiło się niechciane wspomnienie. Nie był pierwszym mężczyzną, który wsunął jej język w usta: tak całował ją Simon Denker, traktując to jako zaliczkę za, jak to nazywał, wielkoduszność, którą okazał, gdy pozwolił Caroline i jej ojcu mieszkać za darmo w swoim domu. Oparł ją o ścianę i gwałtem wsunął język w jej usta, tak że chciała krzyczeć, walczyć i wymiotować, by pozbyć się tego obraźliwego dotyku. Nie mogła jednak nic zrobić, tylko w milczeniu to znosić, bo gdyby go odrzuciła, bez namysłu wyrzuciłby ich oboje na ulicę. Musiała więc zgadzać się na te okropne, niechciane intymności, musiała pozwalać, by ją całował i obłapiał, każdą cząstką woli przez cały czas szukając drogi ucieczki i zwlekając z ostatecznym poddaniem się. W końcu jednak nie miała dokąd uciec.

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie, gdy dłoń Matta przesunęła się po żebrach ku jej piersiom. - Nie, nie, nie!

Jak oszalałe z paniki zwierzę zaczęła się wyrywać, bić, kopać i drapać, nie zważając przy tym, że może wyrządzić mu krzywdę. W jej oczach przestał być Mattem, jedynym mężczyzną, którego dotyk -tak dotąd sądziła - mógł ją uleczyć. Przeżywała na nowo koszmarne chwile z Simonem Denkerem...

- Hej, Caroline! Przestań!

Nie całował jej, nie przytulał jak kochanek, lecz trzymał na odległość ramienia, gdy go atakowała z płaczem, ale i jadowitą furiją. Otworzyła oczy, drąc paznokciami jego nienaznaczony blizną policzek. Widok krwi wstrząsnął nią i po części przynajmniej przywrócił do rzeczywistości.

- Do diaska, co się z tobą dzieje? - ryknął Matt, ponownie przyciskając Caroline do materaca.

- Przepraszam - szepnęła. Zamknęła oczy, by nie patrzeć na tę mieszaninę zdziwienia i gniewu na ukochanej twarzy, którą przed chwilą zraniła.

- Przepraszam. - Na moment mocniej zacisnął palce, a potem je rozluźnił.

- Caroline, popatrz na mnie.

Najpierw się opierała, po chwili jednak z niechęcią uniosła powieki. Ze zmarszczonymi brwiami przypatrywał jej się badawczo tymi oszłamiająco błękitnymi oczyma. Policzek przecinały mu trzy równoległe zadrapania, z których sączyła się krew. Nie zasłużył na to.

- Tak bardzo mi przykro - powtórzyła smutno. W odpowiedzi wykrzywił usta.

- To ja muszę cię przeprosić. Nie powinienem był pozwolić, żeby sprawy wymknęły się spod kontroli.

- To nie ty... - Głos jej się załamał, zduszony przez wyrzuty sumienia. On prosi ją o wybaczenie! W gardle ją ścisnęło, gdy dotarła do niej niezwykłość jego gestu.

- Nie? - zapytał łagodnie. - Więc co to było, Caroline? Czy raczej powinienem zapytać, kto? Ten mężczyzna, o którym mi opowiadałaś, ten, który chciał ciebie jako zapłatę za czynsz?

Zalała się bolesnym rumieńcem. Odpowiedź nie była potrzebna, wi-działa to w jego oczach.

- Zmusił cię, prawda? Zniewolił. To o to w tym wszystkim chodzi. Caroline zadrżała. Wspomnienia powróciły, straszne, ohydne wizje - a ona nie mogła ich powstrzymać, tak samo jak nie mogła powstrzymać łez.

- Tak bardzo... mi wstyd - szepnęła, odwracając od niego twarz, by nie widział łez, które popłynęły jej po policzkach. Nad sobą - nie mogła na niego patrzeć, nie była w stanie - usłyszała, jak Matt ze świstem wciąga powietrze.

- Nie masz powodu do wstydu. -I znowu ją objął, tym razem z czułością. Wtuliła się w jego ciepłe ramiona. Matt położył się na plecach, przyciągając ją do siebie. - Nie płacz, malutka. To nie twoja wina.

- Ty... ja... ja... nie mogę znieść niczyjego dotyku. - Ukryła twarz w jego piersi, dłonie zacisnęła na ramionach, jakby był liną ratunkową we wzburzonej rzece. Nie łkała, płakała cicho z zamkniętymi oczyma. Policzki miała mokre od łez. - Męskiego dotyku. Ale ty... ty możesz mnie dotykać i nie czuję wstrętu...

- Tylko wpadasz w histerię - mruknął sucho.

- To nie jest śmieszne! - krzyknęła Caroline i odpychając go, usiadła. Złapał ją za rękę, w ostatniej chwili powstrzymując przed ucieczką z pokoju. Trzymał ją tak mocno, by przy nim została.

- Uwierz mi, wcale się nie śmieję - rzekł, a ponury grymas jego ust świadczył, że to prawda.

Bez większego przekonania spróbowała się uwolnić, ale kiedy jej nie puścił, nie walczyła dalej, tylko podkurczywszy nogi, usadowiła się na łóżku. W gruncie rzeczy sama nie wiedziała, czy chce odejść, czy nie.

Boleśnie łaknęła ukojenia, pociechy, a jednocześnie obawiała się, że dowiedziawszy się o wszystkim, Matt nabierze do niej odrazy. Mimo że nie okazywał Caroline pogardy, sama pogardzała sobą za ich dwoje.

Czuła się zbrukana.

Piersi przytłoczył jej rozpaczliwy ciężar, gdy uświadomiła sobie, że nawet przy Matcie nie potrafi uciec przed koszmarem, jaki wsączył w jej myśli Simon Denker.

- Najlepiej będzie, jak pójdę... muszę ugotować wieczerę i...

- Wieczera może poczekać. Czy możesz mi opowiedzieć, co się wydarzyło? Sądzę, że dla obojga nas będzie to z korzyścią.

- Och, nie! Nie... nie mogę o tym mówić! - Na samą myśl coś ją mocno zabolowało w środku.

- Ale może właśnie tego ci potrzeba, żeby zrzucić ciężar z serca. Caroline wpatrywała się w niego. Twarz miał poważną, palce splótł z jej palcami. Był obnażony do pasa, tak bardzo męski z pokrytą zarostem szczęką, wydatnymi mięśniami i czarnymi włosami, lecz ani jego widok, ani dotyk nie budziły w niej wstrętu. Wręcz przeciwnie, pragnęła wtulić się w jego ramiona i ukryć tam, bo wiedziała z tą samą pewnością, z jaką wiedziała, że rano wszędzie słońce, że będzie w nich bezpieczna.

- Bo wiesz, to też jest moja sprawa - dodał cicho. Kiedy sens jego słów dotarł do Caroline, serce zaczęło walić jej nieregularnie, niemal boleśnie.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Chyba nie sądzisz, że całuję każdą niewiastę, która stanie mi na drodze, co? Opowiedz mi, Caroline.

Tak więc opowiedziała, choć każde słowo bolało, niemal rozdzierając ją na pół. O ojcu leżącym przy małym ogniu, bo tylko na taki było ich stać, choć chory nieustannie trząsał się z zimna. O marnym jadle, którym starała się odbudować siły Marcellusa, sama jedząc jak ptaszek i lwią część oddając jemu. O tym, jak ojciec z wolna na jej oczach umierał, a Caroline nic nie mogła zrobić, by go uratować. I wreszcie głosem wypranym z wszelkich uczuć opowiedziała mu o Simonie Denkerze. Kiedy ojciec umarł, wydawało jej się, że po tygodniach składania pustych obietnic wreszcie jest wolna. Prócz żalu z powodu jego śmierci czuła też wielką ulgę, że nie będzie musiała dłużej znosić obłapia-nek Denkera, coraz bardziej gwałtownych i wstrętnych. Weźmie tylko z mieszkania Millicent oraz dobytek swój i ojca, a będzie zależna tylko od siebie. Perspektywa ta przerażała ją, nie tak bardzo jednak jak Simon Denker.

Czekał na nią w mieszkaniu, a kiedy zobaczył, że Caroline zamierza odejść, rzucił ją na podłogę i zgwałcił. Szybko, brutalnie. Potem zaś wstał z uśmiechem i zostawił ją, leżącą tam i krwawiącą. Serce jej niemal przestało bić, gdy usłyszała szczęk przekręcanego w zamku klucza. Waliła, krzyczała, by ją wypuścić, lecz odpowiedział, że trzeba więcej niż jedno podniesienie spódnicy, by wynagrodzić mu tygodnie straconego czynszu. Zamierzał ją trzymać, aż się nią znudzi - dopiero wówczas będzie mogła odejść.

Mieszkanie było ciasną klitką na drugim piętrze z oknem tak małym, że nie pozwalało na ucieczkę. Grdyby nawet zdarła sobie płuca, krzycząc o pomoc, nikt by nie przyszedł. Takie sprawy były chlebem powszednim w tej okolicy biednych kamienic.

Tak więc czekała za drzwiami. Gdy znowu do niej przyszedł, pozbawiła go przytomności, waląc nocnikiem w głowę. Złapała Millicent i wysunęła na korytarz trzy kufry ze swoim dobytkiem, Denkera zamknęła w mieszkaniu, klucz wrzuciła do kieszeni i uciekła. Pojechała do portu, gdzie „Gołębica” pod pełnymi żaglami czekała na poranny odpływ.

Caroline, skończywszy swą opowieść, leżała w pozycji, do której bez słów nakłonił ją Matt: z głową na jego ramieniu, dłonią na piersi.

Spojrzała na niego, drżąc ze strachu przed tym, co wyczyta w jego twarzy. Szczęki miał zaciśnięte, oczy twarde. Pomyślała jednak, że to nie ona jest powodem tak ponurej miny.

- Więc widzisz, dlaczego musiałam wykorzystać tę broszkę - zakończyła smutno. - Nie miałam pieniędzy, a on wszędzie by mnie szukał.

- Postąpiłaś słusznie. Gdybym o tym wiedział, pogratulowałbym ci odwagi, zamiast na ciebie burczeć.

- Odwagi? - Zaskoczenie na chwilę wyrwało ją ze smutku.

- Tak, odwagi. Każdy może ulec sile potężniejszego od siebie. Popatrz na mnie, powaliło mnie drzewo! Ty jednak, zamiast dać się pobić, przystąpiłaś do walki, używając takiego oręża, jaki miałaś pod ręką, i zwyciężyłaś. Walnięcie tego łotra nocnikiem w głowę to niewielka odpłata za to, co ci uczynił, moja malutka, ale mogę cię zapewnić, że przez wiele dni o tym pamiętał.

- Mam taką nadzieję! - Caroline odetchnęła głośno. A później dostrzegłszy, jak słodko przytuliła się do Matta, usiadła i uśmiechnęła się do

niego niepewnie, z wysiłkiem odzyskując panowanie nad sobą. - Muszę opatrzeć ci te zadrapania. Potem zaś naprawdę czas zająć się wieczerzą. Są ciasta, które przyniosły twoje przyjaciółki, ale chłopcom trzeba dać coś więcej.

Nie puszczał jej dłoni, choć chciała się uwolnić.

- Caroline!

Posłała mu ukradkowe spojrzenie.

- Nie możesz dłużej sobie tego robić. Pozwalając, by ten mężczyzna miał na ciebie aż taki wpływ, dajesz mu nad sobą władzę przewyższającą niepomniernie jego znaczenie dla twego życia. To, co się zdarzyło, było okropnym, brutalnym atakiem, lecz to już przeszłość. Musisz o tym zapomnieć, jeśli masz powrócić do normalnego życia.

- Tylko że ja czuję się taka... zbrukana - szepnęła, pochylając głowę ze wstydem, który nie chciał odejść. Zamknęła oczy, nieświadomie zaciskając palce na dłoni Matta.

- Więc ty czujesz się zbrukana? - W jego głosie pobrzmiwała szorstka nuta, która ją zaskoczyła. - Z powodu tego, co uczyniono ci siłą, czemu w żaden sposób nie mogłaś zapobiec, ty czujesz się zbrukana! - Wydał dźwięk pośredni pomiędzy śmiechem a prychnięciem. - Jeśli chcesz usłyszeć o zbrukaniu, moja malutka, pozwól, że ja coś ci opowiem.

Wyglądała tak pięknie, gdy siedziała na skraju łóżka, z ufnością zaciskając palce na jego dłoni. Jej bujne włosy znowu wymknęły się z wężła, w nieładzie opadając na ramiona i plecy. Ostatnie łzy drżały na rzęsach i znaczyły wilgocią blade policzki. Usta były miękkie, bezbronne, oczy zamroczone wspomnieniami i wywołanym przez nie wstydem. Błyszczały od łez, które nie zdążyły popłynąć. Język - ten język, który nie smakował jeżynami, lecz czymś o wiele mroczniej-szym i słodszy - widoczny był pomiędzy wargami rozchylonymi ze zdziwienia, jakie wzbudziły jego słowa.

Matt czuł wielki gniew na człowieka, który, ośmielił się ją skrzywdzić. Gdyby ten łajdak znalazł się w zasięgu jego ręki, on, choć jest bogobojnym purytaninem, w jednej chwili wytrząsłby z niego życie. Jednakże ów łotr był daleko i prawdopodobnie nigdy nie stanie mu na drodze. Matt mógł teraz tylko zrobić, co w jego mocy, aby naprawić szkodę, jaką tamten wyrządził.

Caroline. Piękna, nieustraszona Caroline. Kiedy sobie wyobrażał, jak wali napastnika nocnikiem po głowie, miał ochotę ryczeć ze śmiechu, a jednocześnie zalać się łzami. To było takie typowe dla Caroline, odważnej, nietracącej ducha, a jednocześnie kruchej pod tą dumną pozą, jaką przyjęła na użytek świata. Teraz oczy miała bezbronne, gdy czekała, aż Matt zacznie mówić. Głowę lekko pochylila na wysmukłej szyi niczym kwiat, który zgina się pod ciężarem wody po obfitym deszczu.

Matt nie mógł zawrócić czasu ani zmienić tego, co przeżyła Caroline.

Oddałby niemal wszystko, co posiada, aby to było możliwe. Mógł tylko pomóc jej, otwierając się przed nią, tak jak ona otworzyła się przed nim. Mógł trafić do niej w ten jedyny sposób, zwierając się z gorzkich tajemnic, o których nigdy nikomu nie mówił.

- Powiedz, co pamiętasz o Elizabeth? - zapytał, chwilę zastanowiwszy się, od czego zacząć. Nie chciał bardziej jeszcze ranić Caroline przykrymi wiadomościami o siostrze. Z drugiej strony myślał, że wiedza ta może jej pomóc.

- Bardzo mało. Choć Mary sporo mi opowiedziała. To go zaskoczyło. Zmrużył powieki.

- Plotkowałyście, tak? Nigdy bym się tego po Mary nie spodziewał.
Caroline potrząsnęła głową.

- To nie były plotki. Powiedziała mi tylko to, co powinnam wiedzieć.

- Więc wiesz, że Elizabeth nie była... całkiem zdrowa na umyśle? -Tak.

- A wiesz, że jednym z symptomów jej choroby był... apetyt na mężczyzn? - To było gorsze, niż przypuszczała. Jak ująć w słowa przeznaczone dla delikatnych kobiecych uszu opis tego, kim była Elizabeth?

-Tak.

Z początku gniewał się, że żona Jamesa plotkowała na temat jego prywatnych spraw, teraz jednak poczuł do niej wdzięczność. Bardzo mu ułatwiła sprawę.

- Kiedy ją poznałem, nie miałem pojęcia, że nie jest tak niewinną dziewczynką, na jaką wygląda. Mieszkała z ciotką w chacie na ziemi, która była... wcześniej... nasza. Gdyby wojna domowa nie doprowadziła naszej rodziny do nędzy, drogi moja i Elizabeth pewnie by się nie skrzyżowały. Tak więc winą za wszystkie wynikające z tego wydarzenia można obarczyć twojego dobrego króla Karola. - Specjalnie zażartował i nagrodzony został słabym uśmiechem. Ponieważ jednak Caroline nie podjęła zaczepki, Matt ciągnął swą opowieść: - Z konieczności więc zajęliśmy się uprawą roli i jedno z naszych pól leżało koło owej chaty. Każdego dnia, kiedyśmy tam pracowali, Elizabeth wychodziła, by na nas popatrzeć. Wówczas nie wpadło mi do głowy, że powodem jest jej... niezdrowe zainteresowanie mężczyznami. Była ode mnie starsza, ale tego też nie wiedziałem. Poza tym wyglądałem dojrzałej. Elizabeth była śliczna i wesoła jak kotka, i bardzo mną zajęta. Jak głupiec pozwoliłem, by uderzyło mi to do głowy i... - Przerwał, szukając odpowiednich słów, w końcu jednak pominął opis swych uczynków, od razu przechodząc do rezultatów: - W końcu powiedziała mi, że spodziewa się dziecka. I znowu jak głupiec poślubiłem ją. - Uśmiechnął się słabo, gdy jakieś zabłąkane wspomnienie na chwilę złagodziło w nim wstręt do siebie. - Udałem się nawet do twojego ojca prosić o jej rękę, dzięki czemu poznałem się z Marcellu-sem Wetherbym. Nie wiem, czy ty tam byłaś, lecz nie przypominam sobie, bym cię widział.

A na pewno bym pamiętał, dodał Matt w duchu. Nie potrafił sobie wyobrazić, by ten, kto raz zobaczył Caroline, mógł o niej zapomnieć, a już zwłaszcza on.

- Gdy byłam mała, mieszkałam z matką - wyjaśniła. - Pobrali się z ojcem niedługo po śmierci matki Elizabeth, ale moją mamę wkrótce zmęczyło to życie na huśtawce: w jednej chwili w bogactwie, a bez grosza przy duszy w następnej, więc wróciła ze mną do swojego domu. Dopiero kiedy umarła, ojciec mnie zabrał.

Matt skinął głową.

- Tak, to tłumaczy również, dlaczego tak bardzo różnisz się od Elizabeth, za co z całego serca Bogu dziękuję. Ale do rzeczy: wkrótce też dowiedziałem się, że dziecko, które Elizabeth nosi, nie jest moje. Wykorzystała moją naiwność, żeby ukryć swój grzech.

Caroline otworzyła szeroko oczy.

- Chcesz powiedzieć, że John?... Matt pokręcił głową.

- John jest mój, mam wszelkie podstawy, aby tak sądzić. Davey też.

Czas... no i ich wygląd. Choć łaska Pana, że nie porodziła stadka bękartów. Chociaż pilnowałem jej jak oka w głowie, wiem, że byli inni. Próbowwała... nawet z moimi braćmi.

- Tak mówiła Mary.

- Boże w niebiosach, czy jest coś, o czym Mary nie mówiła? A jak przypuszczam, sama dowiedziała się od Jamesa. Nie miałem pojęcia, że ta[^]i z niego papla. - Matt zacisnął usta zirytowany faktem, że jego sprawy prywatne znają ludzie postronni, mimo że w gruncie rzeczy przekonany był, iż Mary nie wyjawiałaby tak wiele nikomu poza Caroline, która przecież nie była osobą obcą. Zanotował sobie w myślach, że musi zamienić słówko z Jamesem na temat jego zwyczaju omawiania rodzinnych spraw z żoną.

- Jeśli jednak John jest twoim synem, to co stało się z tamtym dzieckiem?

- Elizabeth straciła je wkrótce po naszym ślubie. Byłbym myślał, że jest moje, gdyby mi wszystkiego nie wyznała, i to nie w akcie skruchy, lecz by mnie dręczyć, bo czegoś nie zrobiłem po jej myśli. Zaraz pożałowała swej szczerości, ale było już za późno. Zacząłem się orientować w jej prawdziwej naturze.

- Jaka ona była? Matt pokręcił głową.

- Nie umiem tego nazwać. W końcu była moją żoną, matką moich synów. Kiedy wraz z braćmi tutaj przybyliśmy, myślałem, że możemy zacząć wszystko od początku. Ale wcale nie stała się lepsza, tylko jeszcze gorsza.

- I dlatego czujesz się nieczysty? Moim zdaniem, biorąc pod uwagę okoliczności, zachowałeś się bardzo godnie.

Matt przez chwilę milczał, walcząc z nagłym przypiływem obcego jego naturze tchórzostwa. Caroline wyglądała tak młodo i niewinnie, kiedy siedziała z przechyloną na bok głową. Ogarnęła go ochota, by resztę zatrzymać dla siebie, nie musi przecież nikomu wyjaśniać swej hańby. Lecz nie, Caroline musi dowiedzieć się, jaki z niego grzesznik.

Usłyszawszy całą prawdę, bez wątpienia dostrzeże godną pogardy stronę jego natury i pojmie, że sama -jako ofiara, a nie złoczyńca - była absolutnie niewinna w sposób, w jaki on na pewno nie był.

- Jeszcze nie doszedłem do najgorszej części, moja malutka - odezwał się łagodnie, mocniej ujmując jej dłoń. Pod palcami poczuł jedwab różanej skóry i kruche kości. Patrzyła mu w oczy, czekając na dalszy ciąg opowieści. Obawiał się, że w twarzy dziewczyny zajdzie zmiana, kiedy Caroline o wszystkim się dowie, a jednak chciał, by wiedziała. Prawda była jedynym środkiem kojącym, jaki mógł zaoferować jej chorej duszy.

- Więc mów.

Matt przełknął, bo w gardle poczuł nagłą suchość.

- Wiesz, począłem z nią synów. Chociaż wiedziałem, że jest ladacznicą i wariatką, chociaż brzydziłem się jej umysłu, to równie silnie pożądałem jej ciała i poszedłem do jej łóżka, by sobie ulżyć, i to więcej niż te dwa razy, gdy dała mi synów. Drwiła z mej słabości, lecz zabrakło mi charakteru, żeby się opierać. Dopiero gdy obudziłem się rano po poczęciu Daveya, a ona, pijana, śmiała się ze mnie, udało mi się dotrzymać przysięgi, by więcej się do niej nie zbliżać. Lecz zasługi tej nie mogę przypisać swej silnej woli. Wyznać bowiem muszę, iż po owym poranku jej ciało budziło we mnie odrazę.

Oczy Caroline pociemniały, Matt jednak nie potrafił odgadnąć jej myśli. Czekał ze strachem, choć miał nadzieję, że nic po sobie nie pokazał.

Dopiero kiedy poczuł, jak jej dłoń porusza się w jego, zdał sobie sprawę z siły swego uścisku; to cud, że nie połamał jej kości.

- No i co? - zapytał tonem o wiele bardziej szorstkim, niż zamierzał, ona wszakże milczała, budząc w nim wielki lęk.

W końcu przesunęła końcem języka po wargach.

- Elizabeth była twoją żoną - rzekła wreszcie i uścisnęła mu palce, kiedy Matt chciał ją już uwolnić. - Miałeś wszelkie prawo, żeby tak postępować.

- Tak, wiem - odparł ponuro. - Ale nie było to prawo moralne.

Wspomnienie o tym budzi we mnie wstręt.

- Tak samo jak we mnie wspomnienie Simona Denkera.

- Więc tak się nazywał ten przeklęty drań? Od dziś do mych modlitw dodam pobożną prośbę, by na wieki smażył się w piekle.

Po jej ustach przemknął uśmiech.

- Jako dobry purytanin nie powinieneś używać takiego języka.

- Zostałem silnie sprowokowany. A wyrażenie jest jak najbardziej purytańskie, skoro chcesz wiedzieć.

Uśmiechnęli się do siebie. Matt poczuł, jak z jego serca spada wielkie brzemie, które od tak dawna je przygniatało. Caroline nie pogardzała nim za jego słabość, więc on też chyba może już przestać pogardzać sobą.

- Tak więc nie mamy teraz przed sobą sekretów - oznajmił po chwili, którą spędził na wpatrywaniu się w jej smukłe palce.

- Nie - zgodziła się Caroline. Zaciśnęła dłoń w pięść i cofnęła z jego uścisku. Spojrzał na nią pytająco, gdy podniosła się z łóżka.

- Muszę opatrzyć ci te zadrapania - wyjaśniła rzeczowo, szukając czegoś na nocnym stoliku.

- Ciekawe, jak się z nich wytłumaczę, jeśli ktoś mnie zapyta? - Cieszył się, że pozwolił jej odejść.

Otworzyła się przed nim, lecz uczyniła to ostrożnie i niczym nieśmiały kwiat gotowa była w każdej chwili na nowo stulić płatki, gdy-by coś ją zraniło. Matt potrafił to zrozumieć, widział też, że nie może wymagać od niej więcej, niż obecnie mogła mu dać.

- Możesz zwalić winę na Millicent - odrzekła wesoło i delikatnie posmarowała rany maścią.

Matt znosił te zabiegi cierpliwie; postanowił zebrać całą siłę woli, by jej widok, dotyk i zapach nie oszołomiły jego zmysłów. Jeśli Caroline ma ozdrowieć, potrzebuje czasu. Wrzód jej hańby został nacięty, jad zaczął wypływać. Przy ostrożnym traktowaniu dojdzie do siebie. Tymczasem on musi trzymać na wodzy swoje pragnienia. Choć jego ciało łaknęło jej ciała, następny ruch wykona dopiero wtedy, gdy Caroline mu pokaże, że jest na to gotowa.

Skończywszy opatrunek, odstawiła małeńki słoik na stolik i wzięła talerz ze zmarnowanym i zapomnianym ciastem.

- Czas zająć się wieczerzą - powiedziała, ruszając do wyjścia. W progu przystanąła i spojrzała na niego przez ramię. Jej policzki zalał lekki rumieniec. - Matt, dziękuję ci.

Przez długi czas wpatrywał się w miejsce, gdzie stała, niezdolny do niczego innego.

28

Wiosna przemieniła się w lato, lato z wolna zmierzało ku jesieni. Caroline przyzwyczała się do swego nowego miejsca na świecie, znalazła nawet czas, by uszyć sobie kilka sukien w surowym purytańskim stylu. Choć kręciła nosem na ich prostotę, to taka oprawa tylko podkreślała jej urodę, która rozkwitła nad podziw, bo też syte posiłki i poczucie bezpieczeństwa zaokrągliły jej figurę i zaróżowiły policzki. Pomimo, a może dzięki wątpliwej opinii, jaką Caroline cieszyła się u starszych członków społeczności, zwracała na siebie powszechną uwagę i niejedna męska głowa odwracała się za nią w czasie kilku samotnych wypraw dziewczyny do miasteczka. Kiedy był z nią Matt lub któryś z jego braci, nikt nie odważył się nawet zerknąć na nią z podziwem. Wszyscy liczyli się z fizyczną siłą Mathiesonów.

Noga Matta wydobrzała, choć większą część lata przeskakał, wpierw na kulach, które wystrugał Robert, a później pomagając sobie laską. Nie próbował zalecać się do Caroline, za co była mu wdzięczna. Po owej wymianie zwierzeń ich wzajemne przywiązanie wzrosło. Caroline lubiła myśleć, że łączy ich intymny związek, nie ciało, lecz dusz.

Jej stosunki z pozostałymi braćmi poprawiły się, a zawdzięczała to przede wszystkim ich gorącemu podziwowi dla dań, które stawiała codziennie na stole. Skoro Matt nie wymagał już stałej opieki, mogła całym sercem i duszą oddać się konkurowaniu z kulinarnymi dokonaniem Hannya Forrester. I odniosła zwycięstwo, aczkolwiek dary wdowy wciąż przyjmowane były przez braci z wielką ochotą. Podobnie jak dary Patience Smith (która miała oko na Roberta), Abigail Fulsom i Joy Hendrick (które wzdychały do Thomasa) i Lissie Peters (która wybrała Daniela). A gdy walka o przychylność żołądków braci Mathiesonów stawała się coraz bardziej zacięta, Caroline ogarnęło wrażenie,

że mężczyźni bawią się ta rywalizacją. Pochłaniali każdy przysmak bez oporów, ale i widocznych preferencji, co dla zainteresowanych niewiast nie było przyjemne. Dla Roberta i Thomasa tak gorące zainteresowanie ładnych dziewcząt było nowym i najwyraźniej miłym doświadczeniem. Choć nie do końca wyleczyli się z awersji do kobiet, chyba nie mieli nic przeciwko temu, by powściągnąć swoją nieufność.

Z drugiej strony Daniel, który nigdy nie okazywał tak głębokiej niechęci wobec kobiet jak jego młodsi bracia, nie zachęcał Lissie Peters do dalszych starań. Caroline przychodziło do głowy, że może to w niej zaczyna się podkochiwać, nie chciała jednak poważnie rozważać takiej perspektywy. Mogłoby to bowiem zburzyć spokój jej umysłu, a tak cudownie było znowu żyć normalnie i czuć się dobrze we własnej skórze. John i Davey, aczkolwiek wciąż jeszcze nieco nieufni, przyjęli obecność ciotki w domu za rzecz oczywistą. Bez wątpienia cieszyli się, że chodzą do szkoły w wypranych, wyprasowanych i pocerowanych ubraniach, że posiłki są zawsze smaczne i na czas, że dom jest wysprzątnany, a oni śpią w czystej pościeli. Caroline uświadomiła sobie, że dzięki temu czują się bardziej podobni do innych dzieci, które mają kochające matki, i z radością im to dawała, nawet jeśli chłopcy nie byli jeszcze gotowi, aby przyjąć jej uczucie. Przekonywała sama siebie, że w swoim czasie do tego dojdzie - taką przynajmniej miała nadzieję.

Pewnego szczególnie upalnego sierpniowego popołudnia, kiedy rozkładała pranie na trawie, by wybieliło je słońce, ujrzała zaskoczona, że Davey, który wraz z kolegami cieszył się wakacjami, kryje się za wielkim krzewem bzu zdobiącym zachodni róg podwórza. Przytulał do siebie Millicent - kotka okazywała zaskakującą łaskawość wobec szorstkich pieszczot małego chłopca, których jej nie szczędził, gdy mu się zdawało, że nikt go nie widzi - i chował twarz w jej futerku. Mimo że pogodził się z obecnością Caroline, wiedziała, że nie należy do jego ulubionych domowników. Przez chwilę wahała się, czy powinna do niego przemówić. Taka postawa zwykle zadziornego malca świadczyła wyraźnie, że coś się stało. Zostawiając pranie, Caroline podeszła i przykucnęła.

- Davey?

Wyprostował ramiona, lecz nie uniósł twarzy.

- Idź sobie!
 - Jesteś chory? Nie odpowiedział.
 - Zrobiłeś sobie krzywdę? Milczenie.
 - Mam iść po twojego tatę?
- Spjrzał na nią gniewnie.
- Nie!

Do mokrych od łez policzków kleiła się kocia sierść, uwagę Caroline zwróciła jednak opuchnięta dolna warga Daveya. Lewy kącik znaczyła zaschnięta strużka krwi.

- Co się stało? - zapytała; sądziła, że mały musiał się przewrócić, ukłuć czymś lub skaleczyć na wiele innych sposobów, tak typowych dla chłopców.

- Nic. - Spojrzał na Millicent i wykrzywił twarz. - Głupi stary kot! Zrzucił ją z kolan bardziej gwałtownie, niż podobało się to Caroline, Millicent jednak nie była urażona. Zerknęła na swą panią, jakby chciała powiedzieć, że temu malcowi potrzebne jest współczucie, i zaczęła trącać go w łokieć z głośnym mrużeniem.

- Odejdź! - Odepchnął ją, patrząc przy tym na Caroline, by pojęła, że do niej mówi, a nie do kotki. Tym razem Millicent odeszła z ogonem dumnie wzniesionym w górę, dając wszystkim do zrozumienia, że to jej wybór.

- Davey, jeśli mi nie powiesz, co się stało, będę musiała iść po twojego tatę - odezwała się Caroline łagodnie.

- Biłem się - wymruczał wreszcie z wściekłością.

- Biłeś! A dlaczego?

- Mówili złe rzeczy o mojej mamie. Chłopcy w miasteczku.

- A co mówili?

Zawahał się, a jego zraniona warga zadrżała, jednakże potrzeba zwierzeń okazała się zbyt silna.

- Mówili, że była czarownicą.

- Czarownicą! - Caroline zabrakło tchu. Rzut oka na buzię Daveya wystarczył, by zrozumiała, jak ważne dla niego jest zaprzeczenie, i nie zamierzała z tym zwlekać. - Cóż to za bzdury! - rzuciła lekko.

Widać było, że chłopiec z całego serca pragnie w to uwierzyć, nie potrafił jednak tak po prostu przyjąć od niej pociechy.

- Skąd wiesz? - zapytał szorstko.

- Wiem - odrzekła Caroline z przekonaniem. Zdawała sobie sprawę, że bez względu na to, jak wygląda prawda, musi przekonać Da-veya, że jego matka była niewinna. - Twoja mama była moją siostrą, znałam ją, kiedy byłam małą dziewczynką. Śpiewała mi wtedy śliczne piosenki.

- Naprawdę? - zapytał Davey zafascynowany. - Jakie? Caroline zanuciła kołysankę. Nie wiedziała, czy Elizabeth akurat tę piosenkę jej śpiewała, ale to nie miało teraz znaczenia. Liczyło się tylko to, by Davey zyskał taki obraz matki, z którego mógłby być dumny.

- A co jeszcze robiła? - Oczy chłopca pojaśniały, całkiem zapomniał o swych troskach.

- Często się śmiała i opowiadała cudowne historie, i zawsze pięknie wyglądała. Czulałam się taka dumna, kiedy szłyśmy razem. Ty też byłbyś dumny.

Nie należało tego mówić. Davey spochmurniał.

- Wcale nie. Była brzydka, zła i nienawidziła mnie, a ja jej! Tak samo nienawidzę ciebie!

I zanim Caroline zdążyła otworzyć usta, skoczył na równe nogi i uciekł. Wiedziała, że lepiej go nie gonić. Chociaż na końcu ją odrzucił, miała nadzieję, że pomogła mu w nikłym przynajmniej stopniu poukładać wspomnienia o matce.

Gdy Matt mógł już swobodnie się poruszać, nalegał, by Caroline towarzyszyła rodzinie podczas niedzielnych nabożeństw, co też z nie-chęcią czyniła. Po rozmowie z Daveyem specjalnie zatrzymała się przy grobie Elizabeth. Czytając prostą inskrypcję: ELIZABETH, ZONA EPHRAIMA MATHIESONA, UMARŁA W MAJU ROKU PAŃSKIEGO 1682 W WIEKU 33 LAT, poczuła, jak ogarnia ją ulga. Wreszcie mogła uwolnić się od obrazu siostry, który przez tyle lat no-siła w sercu. Kobieta spoczywająca w tym grobie, acz związana z nią węzłami krwi, stała się dla niej obca. Zawsze zresztą taka była. Ma-thiesonowie bardziej stanowili rodzinę Caroline niż Elizabeth kiedy-kolwiek w przeszłości.

Poza długością - dwie czterogodzinne części, jedna rano, druga po południu z krótką przerwą na posiłek, i tak w każdą niedzielę aż do skończenia świata - nabożeństwo nie było taką straszną próbą, jak obawiała się tego Caroline. Wielebny Miller rzucał co prawda w jej kierunku płomienne spojrzenia, wygłaszał kazania o córach Babilonu, kłamcach i złodziejach, nigdy jednak nie wymienił jej nazwiska z ambonny. Niewykлучzone, myślała Caroline, że powstrzymywała go groźna osoba Matta przy jej boku. Co do reszty kongregacji, to niektóre kobiety trzymały się na dystans, idąc za przykładem aptekarza i pastora, bardzo ważnych ludzi w miasteczku, okazujących jej nieustanną dezaprobatę. Jednakże, choć po niefortunnym doświadczeniu Daveya Caroline nieco się tego obawiała, nie traktowano jej jak czarownicy, a wiele niewiast

odnosiło się do niej z zaskakującą wręcz serdecznością. Oczywiście bez trudu odgadła, że zawdzięcza to przystojnym braciom Mathiesonom. Kobiety, które chciały się z nią zaprzyjaźnić, były niemal bez wyjątku młode i stanu wolnego; Caroline wiedziała, że przez nią miały nadzieję łatwiej dotrzeć do obiektu westchnień. W przeszłości Matt zniechęcał niewiasty do składania wizyt w swoim domu, a poza tym i tak niestosowną rzeczą było, żeby niezamężna dziewczyna, przychodząc do domu pełnego kawalerów, teraz natomiast, gdy sytuacja uległa zmianie, drzwi wręcz się nie zamykały. Gdyby Caroline miała ochotę, mogłaby przyjmować gości codziennie, dała jednak do zrozumienia wszystkim zainteresowanym, że jest zajęta, i dlatego cieszyła się widokiem spragnionych mężczyzn dziewcząt tylko od czasu do czasu. Zupełnie inaczej sprawa przedstawiała się z Mary; Caroline szczerze się do niej przywiązała, a mała Hope była aniołkiem. Caroline bardzo lubiła przebywać w ich towarzystwie i co najmniej raz w tygodniu szła do miasteczka albo też one wpadały do niej na godzinę lub dwie. Podczas owego pełnego wydarzeń lata wybudowano dom i odbył się ślub, jednakże nabożeństwo stanowiło główną formę spotkań członków społeczności. Teraz nadszedł wrzesień, zebrano już kukurydzą z pól i u Smithów miało odbyć się wspólne łuskanie. Ku swemu zaskoczeniu Caroline z niecierpliwością wyczekiwała na to wydarzenie, w którym wziąć udział miała cała rodzina. Po wieczerzy upewniła się, że chłopcy są czysti i uczesani, po czym poszła się przebrać. Wybrała suknię z czarnego rypsu z dopasowanym stanikiem i szerokim kołnierzem z białej koronki. Jako że zręcznie władała igłą, jej suknia była lepiej uszyta niż stroje noszone przez niewiasty w miasteczku; Caroline też pozwoliła sobie na drobny luksus, obszywając rękawy podwójnymi aksamitnymi wstążkami zdobionymi haftem z czarnego jedwabiu, spod których wyłaniały się białe muślinowe rękawy halki. Na wierzch włożyła biały muślinowy fartuszek, zawiązany z tyłu na wielką, sztywną kokardę. Lepsze materiały pochodziły ze strojów, które Caroline nosiła w Anglii, lecz przerobiła je tak zręcznie, iż nikt nie podejrzewałby, że nie są nowe. Włosy uczesała w luźny węzeł na czubku głowy. Kilka loków (pośpiesznie nawiniętych na gorące żelazko w zaciszu jej pokoju, choć zaparłaby się tego, gdyby ją zapytano, nie chciała bowiem zostać

oskarżona o straszliwy grzech próżności) opadało zalotnie na jej czoło i policzki. Patrząc na swe odbicie w małym lusterku i wsuwając pasma na miejsce, Caroline musiała przyznać, że jest niezwykle zadowolona ze swego wyglądu.

Pukanie do drzwi sprawiło, że z poczuciem winy wrzuciła żelazko do kufra. Choć używanie żelazka do włosów było na porządku dziennym w Anglii, tutaj, w tym purytańskim kraju, równie nienaturalne sposoby poprawiania urody spotykały się z surowym potępieniem. Caroline uważała te ograniczenia za dziwaczne, nie zamierzała jednak z nikim na ten temat dyskutować. Wolą dyskretnie korzystać ze swego żelazka i cieszyć się z loków, podczas gdy inne niewiasty mogły, jeśli chciały, odczuwać dumę ze swej prawości i prostych jak końska grzywa włosów.

- Jeśli jesteś gotowa, to czas jechać - rozległ się głęboki głos Mat-ta, wywołujący uśmiech na jej twarzy.

- Jestem gotowa - odparła i z ostatnim bezwstydnie próżnym spojrzeniem na swe odbicie ruszyła do wyjścia.

Pełny podziwu wzrok Matta wystarczył, by usprawiedliwiła swój maleńki grzeszek, jeśli rzeczywiście był to grzeszek.

Ze względu na okazję jechali wozem, zwykle używanym do wypraw na targ. Musieli przez to pokonać dłuższy dystans (ścieżka prowadząca do drogi zbyt była wąska, a to oznaczało objazd o prawie pół mili), ale czas podróży był prawie ten sam i mogli być pewni, że dotrą na miejsce bez niemiłych przygód. Kiedy Caroline jako ostatnia wyszła z domu, wszyscy już siedzieli na wozie. Poruszyło ją odkrycie, że miejsce koło woźnicy - Matta - zarezerwowano dla niej, jedynej kobiety. Więc czegoś jednak się nauczyli. Wsparta z jednej strony o Matta, z drugiej o Daniela, ledwo czuła podskakiwanie wozu na wybojach.

Zapadał zmierzch, gdy przybyli na miejsce. Powitał ich gwar rozochoconych głosów, przetykany śmiechem. Matt wstrzymał konia, Daniel pomógł zejść Caroline. Pozostali Mathiesonowie już biegli ku otwartym wrotom stodoły, z których padał snop światła. W środku zebrało się liczne grono mieszkańców okolicy, oblane złotą poświatą rzucaną przez latarnie przymocowane do grubych dębowych krokwi. Na środku wznosiły się dwa ogromne stosy kolb kukurydzy, a dowódcy wybierali członków swoich drużyn; Matt wcześniej wyjaśnił Caroline, że chodzi o to, która grupa pierwsza oczyści swój stos. Stoły uginały się od szarlotek, pierników i ciasta z jeżynami, klonowych cukierków, rozmaitych rodzajów mięs i orzechów. W beczkach był jabłecznik; każdy z nowo przybyłych, także i dzieci, otrzymywał kubek. Przyjaciele włączyli ich do zespołów. Okazało się, że Caroline z Thomasem, Robertem i Daveyem za przeciwników ma Matta, Daniela i Johna - oraz Hannę Forrester i Patience Smith.

Słodki aromat siana mieszał się z cięższymi zapachami krów i koni, na tę noc usuniętych ze zwykłego miejsca. Caroline siedziała na jednej beli siana z Mary, która wraz z Jamesem także była w tej grupie. Dość niezręcznie odrywając zielone Uście i jedwabiste wąsy, Caroline ledwo

słyszała krążące wokół żarty. Jej uwaga skupiona była na Matcie, który siedział koło Hanny Forrester i wesoło się z nią przekomarzał.

Nie zdając sobie z tego sprawy, coraz mocniej targała kukurydziane wąsy. Matt słuchał Hanny Forrester z rozbawieniem w błękitnych oczach i czarującym uśmiechem. Światło latarni nadawało niebieski połysk jego smolistym włosom i rzucało ciepłą poświatę na rysy, które nawet w ostrym świetle dnia wydawały się aż nazbyt urodziwe.

Miał na sobie koszulę, jak większość mężczyzn gotujących się do wyczerpującej pracy. Koszula z doskonałego holenderskiego lnu, którą Caroline uszyła, uprała i wyprasowała z wielką starannością, uwydatniała silne mięśnie jego ramion oraz szeroką pierś tak korzystnie, że Caroline obawiała się, iż wdowę Forrester może ten widok oszołomić. Złamana noga całkiem wydobrzała; poza niewielką blizną znaczącą miejsce, gdzie skórę przebiła kość, była jak nowa. Drugą nogę Matt trzymał wyprostowaną - Caroline wiedziała, że przy zginaniu czuł ból. Czarne spodnie i pończochy podkreślały masywne uda. Hanna Forrester bez wątpienia zwróciła na to uwagę. - Caroline, ależ ty nabrałaś wprawy! Łagodny głos Mary zwrócił jej uwagę na to, czym zajmowały się jej ręce. Stos oczyszczonych kolb przy jej boku bardzo urósł, co samą Caroline zdziwiło. Zarumieniła się, uświadamiając sobie przyczynę takiej pracowitości. Udało jej się jednak uśmiechnąć do Mary i zrobić jakąś sensowną uwagę. Potem już świadomie powstrzymywała się od spoglądania na Matta, nawet gdy słyszała szczebiotliwy śmiech Hanny Forrester.

Patience siedziała koło Roberta, a jej ładna twarzyczka, rozjaśniona słodkim uśmiechem, była niemal piękna. Caroline z radością dostrzegła, że Robert rozmawia ze swą towarzyszką przyjacielsko, zamiast odpowiadać ponurymi chrząknięciami, jak zapewne by czynił jeszcze przed trzema miesiącami. Podobnie jak Matt, jego bracia też ubrani byli w koszule i spodnie, które uszyła dla nich Caroline. Teraz z dumą patrzyła, jak dobrze wszyscy wyglądają. Thomas niczym modny bawidamek dzielił swoją uwagę pomiędzy Abigail Fulsom i Joy Hendrick, które przysiadły po obu jego stronach, podczas gdy Daniel, rozmawiający z Jamesem, stał się obiektem tęsknych spojrzeń czerwonołosej Lissie Peters. Jeśli ci dwoje kiedykolwiek się pobiorą, pomyślała Caroline

rozbawiona, to bez wątpienia spłodzą gromadkę rudzielców. Było bardzo prawdopodobne, że staną się parą, aczkolwiek Daniel sprawiał wrażenie, iż na razie o tym nie myśli. Lissie Peters wyglądała jednak na zdecydowaną młodą damę; Caroline była zdania, że nie minie rok, a Daniel stanie na ślubnym kobiercu. Prawdę mówiąc, w ciągu kilku najbliższych lat wszyscy bracia pewnie założą własne rodziny i wyfruną w świat. Myśl ta sprawiła jej niejaką przyjemność. Polubiła Roberta i Thomasa, bardzo przywiązała się do Daniela, lecz prowadzenie domu dla czterech dorosłych mężczyzn i dwóch chłopców było wyczerpującą pracą. Z ulgą przekaze większą część tego ciężaru młodym żonom. Wynikał z tego jednakże logiczny wniosek, że Matt pewnie także ponownie się ożeni. Hanna Forrester nie ustępowała zdecydowaniem

Lissie Peters, lecz na myśl o oddaniu opieki nad Mattem i chłopcami Hannie - czy jakiegokolwiek innej kobiecie - Caroline usiadła prosto, a jej dłonie znieruchomiały. Jak to, przecież są rodziną! Nie będzie się nimi z nikim dzielić! Posłała Mattowi takie spojrzenie, że gdyby je dostrzegł, byłby przekonany, że śmiertelnie czymś ją obraził. On wszakże przyłączył się do Jamesa i Daniela, podczas gdy Hanna wdała się w rozmowę ze swą sąsiadką z lewej strony, tak więc trwał w błogiej nieświadomości. Oczywiście Matt przysięgał, że ponownie się nie ożeni, i na razie nie dał Caroline żadnych podstaw, by miała w to wątpić. Po co zamartwiać się nieistniejącymi kłopotami.

- Popatrz, jak Hope wspina się po nodze Jamesa! - powiedziała ze śmiechem Mary i Caroline posłusznie spojrzała.

Hope miała już ponad rok, raczkowała i gaworzyła. Doprawdy uroczę z niej było dziecko. James wziął na ręce swoją czarnowłosą córeczkę, nie przerywając rozmowy z braćmi. Podobnie jak Matt był wyjątkowym ojcem. Sądząc po swobodzie, z jaką młodzi Mathiesono-wie odnosili się do bratanków i bratanicy, pomyślała Caroline, Daniel, Robert i Thomas także będą dobrymi ojcami.

- Hej, patrzcie! - rozległ się głośny okrzyk.

Caroline zobaczyła, że Daniel, któremu policzki zalewał rumieniec, z zakłopotaniem przygląda się na wpół oczyszczonej kolbie, którą trzymał w dłoniach. Ziarna miały barwę pomarańczową zamiast jasnożółtej i na ten widok jego bracia wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Co się dzieje? - szepnęła Caroline do Mary, zupełnie nic nie pojmując.

- To czerwona kolba! Daniel może zażądać fanta od wybranej przez siebie dziewczyny.

- Fanta?

- Całusa, ty głuptasku! - odrzekła wesoło Mary.

29

Dalej! Dalej!

Z twarzą prawie tak czerwoną jak włosy Daniel w odpowiedzi na ponaglania mężczyzn podniósł się z miejsca. Caroline musiała się uśmiechnąć na widok jego zażenowania i z niejaką ciekawością patrzyła, jak staje pośrodku kręgu. Kogo wybierze? Jego wzrok przesunął się na

Lissie Peters, która skromnie spuściła oczy. A potem Caroline uświadomiła sobie skonsternowana, że Daniel zmierza wprost ku niej. Nie mogła nic zrobić, tylko mocno się zarumieniła, gdy przykląkł i przycisnął usta do jej policzka. Jego wargi, ciepłe, pełne i wcale przyjemne, ledwo musnęły jej skórę i zaraz się cofnęły. Pocałunek nie wywołał w niej odrazy, za to ogarnęło ją wielkie zakłopotanie.

- Hurra! - rozległy się wołania i śmiechy.

Daniel, uśmiechając się lekko do Caroline, szybko wrócił na swoje miejsce w kręgu. Przez chwilę to na niej skupione były oczy wszystkich; jedni patrzyli z rozbawieniem, drudzy z namysłem, inni zaś z otwartą dezaprobatą.

- I pomyśleć, że nic nie zauważyłam! Wpadłaś Danielowi w oko - odezwała się Mary. Caroline chciała ją uciszyć, lecz przyjaciółka nie zamierzała tak łatwo zrezygnować. - To dobrze, że cię polubił, może niedługo zostaniemy siostrami - przekomarzała się dalej z błyskiem radości w piwnych oczach.

Zaskoczona sugestią, że Daniel mógłby mieć wobec niej poważne zamiary, Caroline milczeniem zbywała zaczepki, po chwili więc Mary także ucichła. Caroline sięgnęła po kolejną kolbę i zajęła się pracą, by ukryć zmieszanie, nie mogła się jednak powstrzymać przed zerknięciem na Daniela. Wciąż zarumieniony, odpierał żarty Jamesa. Po jego

drugiej ręce siedział Matt, który nie śmiał się z innymi, ale znowu rozmawiać z Hanną, na pozór całkiem opanowany.

Czy widok całującego ją brata rzeczywiście wcale go nie zaniepokoił? Naprzeciwko Lissie Peters z ponurą miną obrywała wąsy z kolb; spojrzenie, jakie posłała Caroline, było pełne jadu. Caroline nie miała do niej pretensji. Też by się tak czuła, gdyby obiekt jej uczuć otwarcie pokazał, że woli inną.

Gdyby Matt pocałował Hannę Forrester, musiałaby z całej siły się powstrzymać, żeby obojga nie zabić!

Ponieważ to właśnie Matta pragnęła. Z poczuciem nieuchronności przyjęła prawdę, którą powinna była uświadomić sobie już dawno temu. Odnalazła go wzrokiem. Ten łajdak bez serca dalej konwersował z Hanną Forrester. Pocałunek Daniela, który Mary odczytała niemal jako deklarację poważnych zamiarów, najwyraźniej ani trochę go nie poruszył!

Teraz, kiedy Caroline dłużej o tym myślała, uprzytomniła sobie, że przez całe lato Matt nie dotknął jej w sposób inny, niż dozwalały zasady grzeczności. Żadnego jego słowa ani uczynku nawet najbardziej optymistycznie nastawiona niewiasta nie mogłaby zinterpretować jako oznaki zainteresowania. Czyżby pociąg fizyczny, który niegdyś bez wątpienia do niej odczuwał, już wygasł? A może uznał, że nie ma ochoty podążać drogą, na którą zwiody go męskie żądze, i świadomie się wycofał? Powiedział jej niegdyś, że nie zamierza ponownie wstępować w związek małżeński, a uczynienie kochanki z Caroline, która mieszkała pod jego dachem i prowadziła mu dom, z oczywistych względów nie byłoby mądrym krokiem. Co nie oznacza, że ona by na to pozwoliła. Ale zostać jego żoną?

Caroline uchyliła się przed odpowiedzią. Z wielką starannością obrywała liście i wąsy, a kiedy zostało jej jeszcze jakieś pół tuzina kolb, przeciwnicy ogłosili, że wygrali turniej. Wszyscy zasiedli do poczęstunku, a potem nadeszła pora powrotu do domu.

Tak jak przedtem, Caroline siedziała pomiędzy Mattem a Danielem; Noc była chłodna, obłoki przemykały po ogromnej, pomarańczowej tarczy księżyca. Księżyc dożynkowy, tak go nazwał któryś z uczestników spotkania. Zerwał się wiatr, gnący z trzaskiem konary drzew i burzący

wodę w strumieniu. W oddali - taką nadzieję miała Caroline - był samotny wilk.

Chłopcy, zmęczeni zabawą, siedzieli przytuleni do stryjów, którzy cicho rozmawiali. Matt milczał, jego twarz miała nieodgadniony wyraz.

Caroline czuła przy sobie twarde, napięte męskie ramię. Siedzący po drugiej stronie Daniel także się nie odzywał. Rozpłynął się gdzieś pogodny nastrój, który towarzyszył im wcześniej. Coś ciężkiego acz niewypowiedzianego wydawało się przytłaczać jeśli nie wszystkich, to przynajmniej trójkę na przednim siedzeniu. Caroline spoglądała to na jednego mężczyznę, to na drugiego, zamierzając rozproszyć ponurą atmosferę lekką uwagą na temat wieczoru, zaraz jednak zrezygnowała. Sama nie była szczególnie radośnie usposobiona, a sądząc po minach jej towarzyszy, obaj myśli mieli zajęte jakąś poważną sprawą.

Kiedy dojechali pod dom, Matt zatrzymał konia przed drzwiami, by Caroline i chłopcy mogli wysiąść. On i bracia musieli jeszcze odprawić na miejsce wóz i konia, a także zająć się wieczornym obrzędkiem.

Caroline przemknęło przez głowę, że nie powinni pracować w najlepszych ubraniach, i już otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła z westchnieniem. Nie miała ochoty wdawać się w dyskusje.

Wóz ledwo ruszył z miejsca, gdy usłyszała, jak Thomas pyta kpiąco:

- Zakochałeś się, Dan?

- W Caroline - dodał Robert.

Caroline pojęła, że czekali, aż znajdą się poza zasięgiem jej słuchu, by poużywać sobie na bracie. Będą bezlitośnie z niego żartować, a ona mogła tylko dziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie, że ją oszczędzą.

- Zamknij się - odparł Daniel; był w o wiele lepszym humorze niż Caroline w takich okolicznościach. Reszty ich rozmowy nie usłyszała, znaleźli się zbyt daleko. Razem z chłopcami weszła do domu.

- Wyjdiesz za mąż za stryjka Dana? - wyrwał się Davey, gdy tylko zamknęła za nimi drzwi. Wyglądał na przerażonego.

Caroline spojrzała na niego zaskoczona, że tak wiele zauważył, choć przez cały wieczór szalał z kolegami. To niesamowite, jak dużo widzą dzieci, choć pozornie nie zwracają najmniejszej uwagi na to, co się wokół nich dzieje.

- Nie, oczywiście że nie- odrzekła tonem ostrzejszym, niż zamierzała, i kazała obu chłopcom iść na piętro. W połowie schodów John przystanął i odwrócił się ku niej.

- Ja bym nic przeciwko temu nie miał - powiedział niemal nieśmiało. Patrząc na chłopca, ubranego w najlepszy strój, będący miniaturą stroju ojca, z czarnymi włosami rozwichrzonymi przez wiatr i zarumienionymi policzkami, Caroline poczuła, jak zalewa ją fala ciepła. Jednakże uśmiech zamarł jej na ustach, gdy Davey, który był już na górze, wrzasnął:

-Ale ja bym miał!

I zanim zdążyła jakoś zareagować, pobiegł korytarzem. Trzask zamkniętych z rozmachem drzwi świadczył, że schował się w swoim pokoju.

John wzruszył ramionami i z lekkim przygnębieniem ruszył dalej po schodach. Caroline patrzyła za nim, przyzwyczajona już do nieugiętych protestów przeciwko wszystkiemu, co Davey uważał za próby wślizgnięcia się przez nią do rodziny, a później poszła do swojej sypialni. Zastanawiała się nad następującą kwestią: czy ów publiczny pocałunek Daniela istotnie oznaczał deklarowanie zamiarów, czy też był po prostu miłym gestem? Caroline gorąco pragnęła, by prawdą było to drugie. Bo nie miała wątpliwości, że w przeciwnym wypadku, gdyby Daniel zaczął się do niej zalecać, jej ciężko zdobyty spokój prysnąłby jak sen i ustąpił miejsca wielkiemu zamieszaniu, a tego nie chciała.

Jednakże przez następnych kilka dni Daniel nie zrobił ani nie powiedział nic, co potwierdzałoby podejrzenia, że żywi względem Caroline poważne zamiary. Prawda, zachowywał się dziwnie, podobnie zresztą jak pozostali domownicy. Davey i John ciągle się bili, a inni chłopcy - Caroline nie zaszczyciłaby ich mianem mężczyzn, tak dziecinnie się zachowywali - bez przerwy popadali w konflikty. Matt przez większość czasu milczał, warcząc na tych, którzy przypadkiem weszli mu w drogę, i obrzucając zniewagami tych, którzy nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności zwrócili jego uwagę. Caroline nie miała pojęcia, co też mogłoby ich uleczyć, wierzyła, że albo wszyscy wkrótce się pozabijają, albo też dojdą do siebie.

- To nie moja wina, że ostrze przerdzewiało, więc nie musisz tak się zachowywać! - burczał pewnego wieczoru Thomas, odpowiadając na zarzut Roberta, że motyka nadaje się do wyrzucenia, bo zostawiono ją na podwórzu.

- Czyżby? A kto ostatni jej używał, co? Jesteś okropnie niedbały, a gdybyś był szczery, sam byś to przyznał!

- Właściwie, o co ci chodzi!? Przecież to nie ty będziesz musiał ją naprawić, prawda? - zapytał Daniel, dolewając oliwy do ognia.

- Ty też nie! - odparował ostro Robert.

- A kto zawsze to robi jak nie ja? Gdyby nie ja, w ogóle nie mieli byśmy narzędzi do pracy! Obaj ciągle coś psujecie albo zostawiacie żeby się zniszczyło!

- Thomas jest taki beztroski, ja nie! - odrzekł Robert obronnym tonem.

- To chyba żart! Cha, cha, śmieję się! - warknął Thomas tonem który przeczył jego słowom.

- W zeszłym tygodniu stryjek Thom zostawił grabie na podwórzu
Widziałem - wtrącił Davey.

- Zamknij buzię, paplo - polecił mu ostro Thomas.

- Nie zamknę! Widziałem cię! Ja...

- Cóż z ciebie za bajarz - zwrócił się z niesmakiem John do brata

- Nie opowiadam bajek! To prawda. Widziałem go i...

- Och, bądź cicho! - fuknął John.

- Sam widzisz! - wykrzyknął Robert z triumfem.

- Z ust maluczkich... - mruknął Daniel.

- Powiadam, że ja tego nie zrobiłem! - powtórzył Thomas.

- Na litość boską, powściągnijcie swoje przekłete języki! Dość się już was nasłuchałem! - ryknął Matt. Caroline podskoczyła, John i Davey ze strachem utkwili oczy w talerzach. Thomas i Robert, nagle zapominając o wrogości, wymienili znaczące spojrzenia i zajęli się jedzeniem. Daniel wolno przełknął kęs, po czym zwrócił się do starszego brata:

- Do diaska, nie wiem, co cię gryzie, ale chciałbym, żebyś przestał wyładowywać się na nas! Jesteśmy już śmiertelnie zmęczeni obchodzeniem cię na paluszkach w wiecznym strachu, że jeśli głośniej stąpniemy, urwiesz nam głowy!

Zapadła pełna napięcia cisza. Caroline zastygła z widelcem na wpół uniesionym do ust i szeroko otwartymi oczyma wodziła od Daniela do Matta. Równie zaskoczeni byli Thomas i Robert. Davey patrzył z podziwem na swego odważnego stryjka, John tymczasem przygotowywał się na wybuch.

- Co powiedziałeś? - Wnosząc ze złowieszczo spokojnego tonu Matta, John miał rację.

- Słyszałeś mnie. - Daniel nie zamierzał ustąpić. Patrzył bratu w oczy bez mrugnięcia. - Przez ostatnie trzy dni jesteś drażliwy jak rozbudzony niedźwiedź. Przez ciebie cierpimy i czujemy się źle. Jeśli coś cię dręczy, to na miłość boską powiedz nam o tym. A jeśli wolisz zachować to dla siebie, to przynajmniej nie wyładowuj się na nas!

- Ty... - w oczach Matta zapaliły się gniewne błyski - niech cię piekło pochłonie!

Z rozmachem odepchnął krzesło, wstał i wyszedł z pokoju. Pozostała szóstka siedziała w milczeniu, póki nie trzasnęły drzwi. Wówczas wszyscy jednocześnie odetchnęli.

- Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby tatko przeklinał! - powiedział Davey wstrząśnięty.

Caroline, która siedziała obok malca, poklepała go uspokajająco po kolanie. Została wynagrodzona ponurym spojrzeniem, chłopiec natychmiast odsunął nogę. Czegóż jednak mogła się spodziewać?

- Myślicie, że on jest chory? - zapytał John z troską.

- Jesteśmy dorosłymi mężczyznami. Nie może warczeć na nas i rozkazywać nam, kiedy ma na to ochotę - wziął stronę Daniela Thomas.

- Ale taka drażliwość zupełnie do niego nie pasuje. Nigdy taki nie był, nawet gdy - tu Robert zerknął na Caroline i chłopców - gdy sprawy naprawdę źle się układały.

Zorientowała się, że chodzi mu o Elizabeth. Odegnęła smutek z powodu wrogości Daveya i zamyśliła się głęboko.

- Matt jest w złym humorze, a wy wszyscy zachowujecie się jak rozpuszczone dzieciaki - ogłosiła po chwili, zadziwiona własną odwagą.

- W złym humorze! - prychnął Thomas. - To jak powiedzieć, że ocean jest troszkę szerszy od strumienia.

- A co go tak dręczy? - zapytał Robert.

- Nie wiem - odrzekł Daniel. - Ale jeśli dalej będzie mnie tak traktował, walnę go w zęby!

- Nie możesz bić tatki! - wykrzyknęli jednym głosem John i Davey.

- On tylko tak gada - uspokoił chłopców Robert, aczkolwiek sam spoglądał na Daniela, jakby nagle wyrosła mu druga głowa. Rzeczywiście, groźba ta tak bardzo nie przystawała do Daniela, że Caroline nie posiadała się ze zdumienia.

- Ktoś powinien z nim porozmawiać, dowiedzieć się, o co mu chodzi - uznała.

Bracia popatrzeni po sobie. W powietrzu zawisło niewypowiedziane pytanie: kto?

- Ty, Caroline - odezwał się Robert nagle. - Na ciebie nie będzie warczał.

- Mówisz, jakby był wściekłym psem. Taki zły znowu nie jest - zaprotestował Thomas.

- Nie jest? - powtórzył Daniel ponuro.

- Ja? - Caroline zignorowała tę prowadzoną przyciszonymi głosami rozmowę. W głowie zaczęła jej się rodzić pewna myśl, a choć bardzo się starała, nie potrafiła jej odsunąć. - Dobrze, pójdę.

Podjąwszy tę decyzję, wstała. Czowała na sobie wzrok obecnych, gdy opuszczała pokój.

30

Matt był w stodole. Wyszędłszy z domu, Caroline ujrzała słabe światło padające przez otwarte wrota, ruszyła więc w tamtym kierunku. Cicho otworzyła furtkę na podwórze i ostrożnie stawiając stopy, by uniknąć czyhających tam na nią przykrych niespodzianek, skierowała się w stronę stodoły. Dostrzegła, że Matt siedzi na odwróconym do góry dnem skopku; okaleczoną nogę wyciągnął przed siebie i z po-nurą miną

masował chore kolano. Ra[^]eigh, który leżał spokojnie u jego stóp, dostrzegł ją i powitał gromkim ujadaniem.

- Cicho, Raleigh - powiedziała Caroline zirytowana, że jej pojawienie się zostało tak głośno odnotowane, gdy tymczasem chciała z ukrycia chwilę poobserwować siedzącego. Czy bolała go noga i stąd brało się to niezwykle rozdrażnienie? Na tę myśl Caroline poczuła, jak opuszcza ją pewność siebie. Być może wcale nie dręczył się jej ewentualnym związkim z Danielem.

- Czego chcesz? - zapytał, a wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że wcale go nie cieszy jej widok. Pies złapał ją za rąbek spódnicy i szarpnął, prosząc o zabawę.

- Przestań! - Zdecydowanym gestem pokazała wyjście utopionemu zwierzakowi. Kiedy jej posłuchał, z opuszczoną głową i ogonem, zamknęła za nim wrota. Nie miała teraz cierpliwości do tego psa. Odwróciła się i zobaczyła, że Matt patrzy na nią nieprzyjaźnie. Wciąż masował sobie nogę, choć z wielkim roztargnieniem, jakby myśli zajęte miał zupełnie czymś innym.

- Mogę ci pomóc? - zapytała.

- Nie - odparł niegrzecznie, mimo to Caroline uklękła i zaczęła masować mu udo. Kiedy kuśtykał oparty o kule, a potem o laskę, dodatkowy ciężar spoczywający na chorej nodze wywoływał bolesne

kurcze. Masowanie bardzo pomagało, a Caroline umiała to robić. Tak więc Matt wbrew własnym słowom cofnął ręce.

Przez chwilę w milczeniu ugniatała napięte mięśnie, jak ugniata się ciasto na chleb. Poprzez gruby samodział spodni wyczuwała gorące ciało Matta. Udo miał twarde, muskularne i męskie, co Caroline podświadomie zarejestrowała.

- Czego chcesz? - wycedził przez zaciśnięte zęby z taką samą jak przedtem wrogością.

- A czegoż mogłabym chcieć w stodole tak późno wieczorem? Naturalnie porozmawiać.

- Wysłali cię?

Caroline lekko się uśmiechnęła i na powrót zwróciła spojrzenie na jego kolano.

- Tak. Nikt nie ma odwagi, by stawić ci czoło. Poza Danielem, który chciał walnąć cię w zęby.

- Tak? Na Boga, niechby tylko spróbował! -Matt mówił tonem tak wściekłym, że Caroline straciła nadzieję. Spojrzała na niego, by się przekonać, czy w jego twarzy odnajdzie coś, co doda jej odwagi.

- Bracia nie powinni ze sobą walczyć - rzekła. W świetle pojedynczej pochodni umocowanej na pobliskim słupie Matt wyglądał na wy-czerpanego i był tak przystojny, że dech jej w piersiach zaparło.

- Kain i Abel walczyli - odparł ponuro.

- I co się z nimi stało! Poza tym ty i Daniel zwykle jesteście najlepszymi przyjaciółmi.

Matt chrząknął. Pod jej zręcznymi dłońmi mięśnie uda z wolna zaczęły się rozluźniać, przesunęła więc palce na kolano i okrytą pończochą łydkę.

- Davey przeżył wstrząs, kiedy posłałeś brata do piekła - odezwała się, nie podnosząc głowy. Jej palce znalazły zagłębienia po obu stronach rzepki; koncentrując się na masowaniu tych miejsc, czekała na jego odpowiedź. - Nigdy przedtem nie słyszała, żebyś tak mówił.

- I nie powinienem był, zwłaszcza w obecności dzieci. Wstyd mi za siebie. Porozmawiam później z Daveyem i wyjaśnię mu to opowiedział z ciężkim westchnieniem.

- Ale zostałeś sprowokowany.

- Tak, to prawda.

- Przez Daniela.

- Tak.

Jej ręce znieruchomiały. Klęczała pomiędzy jego nogami, na wpół oparta o jedno udo, podczas gdy masowała drugie. Nie wiedziała o tym, ale światło latarni nadało jej oczom pod jedwabistymi rzęsami barwę płynnego złota i uwydatniło urocze rysy twarzy, od wysokich kości policzkowych do łagodnie zaokrąglonej brody. Włosy, czarne jak północne niebo, szesane były do tyłu i zebrane w gęsty węzeł na karku. Prosta biało-czarna suknia może na innej kobiecie wydawałaby się mało elegancka, na Caroline jednak wyglądała wspaniale. Łagodnie opływała jej kształty, wciąż szczupłe, acz w odpowiednich miejscach kobieco krągłe, a kontrastujące kolory odpowiadały barwie włosów i cery. Wyglądała niezwykle pięknie, gdy tak patrzyła na Matta. Jego usta, podobnie jak mięśnie, zacisnęły się w odpowiedzi.

- Ciekawam, dlaczego? - Czując sztywność mięśni pod palcami, zaczęła je ugniatać. Wełna, z której uszyto spodnie, była szorstka w dotyku, kryła się pod nią twarda i gładka noga.

- O co ty mnie pytasz, Caroline?

- To żadna tajemnica. Pytam tylko, dlaczego po tylu latach harmonijnego wspólnego życia twój brat nagle miałby cię sprowokować do tego stopnia, że nie potrafisz tego znieść? - Jej słowa i ton może i były niewinne, lecz intencja na pewno nie. Wygładziła spodnie i przesunęła palcami po udzie.

- Dlaczego? Chcesz wiedzieć, dlaczego? - zapytał niemal z furją. Bez ostrzeżenia przykrył jej dłonie swoimi, a ich wielkość i siła sprawiły, że Caroline przeszedł dreszcz. Poczowała, jak jej puls przyśpieszył. Po miesiącach spokoju zaskoczyło ją to niespokojne podniecenie. Po chwili wahania Matt rzekł: - Jeśli twoją intencją jest poślubić Daniela, to nie powinnaś tutaj ze mną być. Lepiej, żebyś od razu wróciła do domu.

- Bardzo lubię Daniela - odparła Caroline z namysłem. Serce podskoczyło jej w piersi, gdy w odpowiedzi na te słowa w oczach Matta zapłonął błękitny ogień.

- Naprawdę? - wycedził.

- I jestem przekonana, że on też mnie lubi. Ale nie poprosił mnie, żebym została jego żoną.

- Poprosi.

- Jeśli tak, to będę musiała mu... odmówić. - Uśmiechnęła się lekko i odwróciła dłonie, splatając palce z jego palcami. - To nie Daniela wybrałam.

-Nie?

- Nie. - Dodało jej odwagi to, co ujrzała w jego oczach, wyzwoliła więc ręce z uścisku i uniosła się tak, że ich twarze znalazły się na jednym poziomie. Dłonie oparła na szerokich ramionach Matta, jego ręce tymczasem instynktownie odnalazły jej wiotką talię. Wpatrywał się niespokojnie w jej oczy. - Wybrałam ciebie - dodała cicho.

Przymrużył powieki i mocniej ścisnął ją w pasie. Coś zbyt gwałtownego, by określić to mianem uśmiechu, wykrzywiło przelotnie jego usta.

- Czy ty przypadkiem mi się nie oświadczasz? - Pod wystudiowaną lekkością, z jaką starał się mówić, kryły się ostrzegawcze nutki. Gorące napięcie, które pomiędzy nimi powstało, sprawiło, że Caroline z trudem wykrztusiła przez zaciśnięte gardło:

- A jeśli tak? - Wstrzymawszy oddech, długo czekała na odpowiedź.

- To muszę cię ostrzec, że wiele ryzykujesz. - Wciąż silił się na lekki ton, lecz jego oczy, pociemniałe nagle i głodne, powiedziały jej więcej niż słowa.

- Doprawdy? - Tylko tyle zdołała z siebie wydobyć. Jej dłonie z własnej woli przesunęły się po jego ramionach, rozkoszując się dotykiem grubych mięśni pod koszulą, którą dla niego uszyła. - A co to znowu ma znaczyć? Matt patrzył na nią przez długą chwilę, jego twarz i oczy wyrażały niepokój. A potem się roześmiał, krótko i ochryple, bez rozbawienia.

- Co to znaczy, moja malutka? Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć? Ale i tak ci powiem, skoro pytasz, czy chcesz tego słuchać, czy nie. To znaczy, że od miesiący niczym gorączka rozpalasz mi krew. Nie mogę myśleć, nie mogę pracować, nocami leżę bezsennie i tracę zmysły, bo tak bardzo cię pragnę. Czy to wystarczy, byś uciekła do domu, czy też mam mówić dalej?

Caroline milczała. Nie wykonała żadnego ruchu. W milczeniu wpatrywała się w oczy Matta.

- Płonę z twojego powodu - mówił cicho, drżącym głosem. - Ciało mnie boli i pulsuje w ciągłej męce, która bez wątpienia mierzyć się może z piekielnymi torturami. Nie przychodzi mi na myśl żaden inny sposób znalezienia ulgi poza tobą, ale nigdy bym cię nie skrzywdził ani nie przestraszył. Tak więc uciekaj, póki jeszcze możesz. W przeciwnym wypadku ostrzegam, że możesz gorzko żałować tej nocy.

- Nie boję się ciebie, Matt - szepnęła.

Nie była to całkiem prawda. Nie bała się człowieka, lecz gwałtownej namiętności, którą trzymał na tak kruchej wodzy. Bała się tego, co może się wydarzyć, kiedy owa cienka lina pęknie.

- Nie? - Jego oczy, płonące z pożądania, przesunęły się na jej usta. - Więc mnie pocałuj, Caroline.

To było wyzwanie. Przez chwilę się wahała. Wiedziała jednak, że do niej należy następny ruch. Musiała tylko nachylić się ku niemu i przyjąć

wyzwanie. Objęła go za szyję, nie odrywając od jego twarzy wzroku ta badawczego, jakby chciała na zawsze zapamiętać rysy Matta. Dopiero kiedy ich usta się spotkały, zamknęła powieki.

Jego usta były ciepłe i zaskakująco miękkie. Przez chwilę Matt siedział nieruchomo, później objął ją w talii.

- Och, Matt! - westchnęła, gdy przycisnął ją mocno do piersi.

Jedną dłonią przytrzymał głowę dziewczyny i wsunął język pomiędzy jej instynktownie rozchylone usta, wypełniając je, biorąc w posiadanie.

Kiedy ostatnim razem tak ją pocałował, Caroline ogarnęła panika. Teraz jednak, ponieważ Matt ją kochał, a ona jego, siłą woli wyrzuciła z myśli przykre wspomnienia i skoncentrowała się wyłącznie na nim,

- Tak słodko smakujesz.

Całował ją lekko, mrużąc coś uspokajająco. Caroline wyczuwała, że Matt stara się panować nad sobą, a przekonanie, że świadczy to o głębi jego uczucia, skruszyło ostatnie bariery, jakie między sobą a nim postawiła. W nagłym cudownym przyływie miłości mocniej zaplotła mu ręce na szyi, przycisnęła się do niego całym ciałem i wsunęła język pomiędzy jego zęby. Odda mu siebie, bez sprzeciwu zgodzi się na wszystko, o co tylko Matt ją poprosi, ponieważ go kocha. Znaczył dla niej więcej niż cały świat.

- Caroline - wyszeptał, jakby brakowało mu tchu. Odsunął się od niej.

Rozumiała, ile kosztuje go walka, by nad sobą zapanować. - Jeśli jeszcze raz mnie tak pocałujesz, stracę głowę.

- Chcę, żebyś stracił głowę - szepnęła, po czym przekrzywiając lekko głowę, zbliżyła usta do jego ust. A kiedy jej język spotkał się z jego językiem, Matt odetchnął głośno i przycisnął ją mocno do siebie, miażdżąc jej wargi. Na piersiach czuła dudnienie jego serca.

Nie odrywając głodnych ust od jej warg, na wpół zsunął się, na wpół spadł z wiadra, pociągając ją za sobą na ziemię. Wtedy objął ją tak, że poczuła jego twardą męskość. Oplotła go ramionami, zamknęła oczy i nie protestowała, gdy jego drżące palce odnalazły i pieściły jej piersi, choć ohydne wspomnienia zaczęły powracać. Odsuwała je, powtarzając sobie: „To jest Matt”. Kiedy jego dłonie zsunęły się, by zadrzeć jej spódnicę, nie próbowała mu przeszkodzić, lecz przywarła do niego, podczas gdy on niezgrabnie odpinał spodnie, w pośpiechu urywając guziki.

Rozsunął kolanem jej uda, a Caroline zacisnęła zęby. Kiedy odnalazł owo miejsce, które niegdyś zostało zranione i które on miał zranić, wbiła paznokcie w jego ramiona z ponurą determinacją. Kiedy wszakże wszedł w nią, wypełniając tak, że jej się wydało, iż za chwilę ją rozedrze, zadrżała z przerażenia, nie mogąc już nad sobą zapanować. A mimo to dalej obejmowała Matta, zaciskając powieki, zaciskając zęby i nie protestując, gdy poruszał się gwałtownie, dochodząc do samego końca. Na gołych pośladkach czuła łaskotanie słomy i zimną ziemię. Nad sobą i w sobie miała jęczącego z rozkoszy mężczyznę. Trzymając się

kurczowo jego koszuli, ostatkiem woli zwalczyła impuls, by głośno się sprzeciwić. To był Matt, jej Matt, którego kochała. Tym aktem wziął ją na własność. Czepiając się tej myśli, jakoś przetrwała.

Skończył z głośnym okrzykiem i pchnięciem tak głębokim i gwałtownym, że jęknęła, nim zdążyła się powstrzymać. Opadł na nią, drżąc na całym ciele. Gładziła go po głowie, starając się nie myśleć o tym, że nadal tkwił w niej, o swoim bólu, jego i własnej nagości. Takie myśli wywołałyby falę odrazy. Zamiast tego więc gładziła go po plecach i ramionach, skupiona jedynie na pewności, że swoim darem sprawiła mu tak wielką rozkosz. I ta myśl, jak Caroline podejrzewała, sprawiła, że łatwiej jej było znieść to, co się stało.

Aż do chwili, gdy Matt uniósł się i podparł na łokciach, by móc na nią patrzeć. Pełen oddania uśmiech zamarł jej na ustach, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy, surowy i szorstki.

- A niech cię! - Zazgrzytał zębami. - Do diabła, dlaczego mnie nie powstrzymałaś?

31

A dlaczego... dlaczego miałabym cię powstrzymywać? -zapytała, zmieszana i wstrząśnięta. Matt był zły, jego błękitne oczy spoglądały twardo, usta zacisnął w wąską Unię. Do dzisiejszego wieczoru nigdy nie słyszała, by tak przeklinał, ale najwyraźniej uzupełniał zaniedbania w tej dziedzinie. Ciało miał napięte, z jego twarzy emanowała wrogość. Dlaczego jednak gniewał się na nią, skoro praktycznie po-zwolila rozedrzeć się na pół, by ofiarować mu największy dar, jaki mogła dać - tego nie potrafiła pojąć.

- Bo choć słodko mnie uwodziłaś, to byłaś równie gotowa na miłość z mężczyzną co dwunastoletnia dziewczina!

- Ale... to z powodu... sam wiesz -jakała się zaskoczona.

- Tak, wiem. - Z goryczą naśladowując jej ton, zerwał się na nogi. Twarz miał czerwoną ze złości, gdy bez śladu zażenowania wciągał spodnie. - Chciałem podnieść ci spódnicę od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem, siedzącą w błocie na tym swoim rozkosznym tyłeczku w rozdartej sukni i z włosami opadającymi na ramiona, taką złą, że mogłabyś pluć. Kiedy leżałaś na moim łóżku i pocałowałem cię, czy wiesz, ile mnie kosztowało, żeby pozwolić ci odejść? Nie, naturalnie, że nie wiesz. Nie masz

najmniejszego pojęcia. Lecz pozwoliłem ci odejść. A dlaczego?
Ponieważ byłaś mi droga, Caroline, i widziałem wyraźnie, że potrzeba ci
czułości i bezpieczeństwa. Ufaliśmy sobie, ja zaś stawiam zaufanie zbyt
wysoko, żeby pozwolić, by zniszczyła je żądza. Zanim zamierzałem
wziąć cię do mego łóżka - jeśli w ogóle bym to uczynił - pragnąłem dać ci
czas i okazję do otrząśnięcia się z tamtych przeżyć. I na Boga,
dotrzymałem swoich zobowiązań. Trzymałem ręce przy sobie, prawda?
Zasłużyłem sobie na miejsce w niebie, tyle wysiłku mnie to kosztowało!
Ale teraz... do diabła, jak możesz

przypuszczać, że zdołamy powrócić do tego, co mieliśmy? Nie możemy, ponieważ ja dalej będę szalał za tobą, a jednocześnie wiedział, że jeśli cię wezmę, będziesz chora z odrazy przez cały czas, gdy ja umieram z rozkoszy! Sądysz, że jestem aż tak wyzuty z wszelkich uczuć, by spać z kobietą, która mnie nie chce? Zwłaszcza z kobietą, na której mi zależy?

- Ale... ale... - Zabrakło jej słów.

W najśmielszych snach nie przypuszczałyby, że jej wielkoduszność doprowadzi do takiej sytuacji. Argumenty Matta nie mieściły jej się w głowie, choć wyraźnie usłyszała, że mu na niej zależy. To wystarczyłoby, żeby poczuła się szczęśliwa, gdyby tylko nie był taki rozgniewany.

Matt wsuwał koszulę w spodnie, a Caroline pomyślała, jak sama wygląda, obnażona od pasa do połowy ud, gdzie zaczynały się białe bawełniane pończochy, z rozłożonymi nogami i suknią podwiniętą do góry.

Zawstydzona Caroline opuściła suknię i z wysiłkiem wstała.

- Naprawdę chciałam, żebyś zrobił... to, coś zrobił. Tylko że nic nie... nie potrafię poradzić na to, że tego nie lubię! Och, czy nie możesz po prostu cieszyć się z tego, co ci ofiarowałam?

- Cieszyć się? - Przez chwilę sądziła, że Matt uderzy pięścią w najbliższą ścianę. Twarz wykrzywił mu gniew. - Nie potrzebuję ani nie chcę niczyjego poświęcenia, wielkie dzięki!

- To nie było tak! - zaprotestowała płaczliwie, on jednak już zmierzał ku drzwiom, przyglądając palcami rozwichrzone włosy. Nie ulegało wątpliwości, że nie miał ochoty dłużej dyskutować o tej sprawie.

- Matt!

Otworzył wrota z taką siłą, że aż odskoczyły, zaraz wszakże stanął jak wryty, gdy zobaczył przed sobą Daniela.

On także się zatrzymał i przez chwilę wpatrywali się w siebie. Matt stał tyłem do Caroline, lecz mimo to dostrzegła, jak cały sztywnieje. A choć Daniel ukryty był w cieniu, w nim także wyczuwała napięcie.

- Czego chcesz? - warknął Matt, swą potężną postacią zasłaniając przed bratem wnętrze stodoły. Daniel zrobił ruch, jakby chciał go obejść, lecz Matt także się przesunął.

- Gdzie jest Caroline? Matt brzydko się zaśmiał.

- Caroline to nie twoja sprawa.

- Tak samo moja, jak i twoja! Gdzie ona jest? Ona... - Daniel umilkł, bo dostrzegł Caroline.

Wcześniej pobiegła za Mattem, dzieliło ich kilka kroków, gdy pojawił się Daniel. Teraz przesunęła się, by mógł ją dostrzec, i gwałtownie pokręciła głową. On jednak patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma i nie zamierzał dać się ugłaskać. Caroline nie zdawała sobie z tego sprawy, lecz z rozpuszczonymi włosami spadającymi na ramiona, ustami czerwonymi i nabrzmiałymi od warg Matta i policzkami różowymi od dotyku jego szorstkiej szczęki wyglądała na kobietę, którą w najlepszym razie ktoś niedawno namiętnie całował.

- Ty... draniu! - zwrócił się Daniel do brata z niedowierzaniem. A potem, bez ostrzeżenia, uderzył go w twarz.

Odgłos ciosu odbił się echem w stodole. Jakub, który w tylnej części zajmował obszerną przegrodę, prychnął zaniepokojony i zaczął walić gigantycznym cielskiem w ścianę. Krowa stojąca bliżej drzwi głośno zaryczała, gdy Matt cofnął się i z głuchym łoskotem upadł na ziemię.

- Matt! - krzyknęła Caroline, rzucając się na pomoc, ale on już usiadł z dłonią przyłożoną do oka. Złapała go za ramię i przykucnęła, wpatrując się w Daniela z zapalczywością lwicy broniącej swych małych. - Zrobiłeś mu krzywdę? O czym tyś myślał? Przecież to twój brat!

- Nie wtrącaj się - warknął Matt i odepchnął ją od siebie, a potem szybkim ruchem podniósł się na nogi, chwycił Daniela za ramiona i wytoczył się z nim na podwórze.

Walczyli z furją, wymierzali sobie ciosy i kopniaki, obrzucali się przekleństwami. Matt był nieco wyższy i bardziej muskularny, ale miał niesprawną nogę, pojedynek więc był wyrównany. Gdy tak krążyli wokół siebie w ciemności, która skrywała ich przed wzrokiem Caroline, przypominali parę tańczących niedźwiedzi.

- Przestańcie! Matt! Daniel! Słyszycie? Natychmiast przestańcie!

Caroline chwyciła Matta za ramię, ten jednak zaraz ją odepchnął.

Daniel wykorzystał sytuację, gdy uwaga brata zajęta była czymś innym, i uderzył go w twarz. Odgłos pięści opadającej na szczękę Matta sprawił, że Caroline jęknęła. Uderzony szarpnął głową do tyłu. Daniel chciał walnąć go w brzuch, na szczęście jednak Matt zrobił unik, a zaraz potem z głośnym okrzykiem kopnął brata. Kiedy ten zwinął się z bólu, Matt

wymierzył mu potężny cios w brodę. Tym razem to Daniel padł na ziemię.

- Przestańcie, proszę! Proszę!

Równie dobrze jednak mogła milczeć, bo jej błagania nie odnosiły żadnego skutku. Daniel znowu rzucił się na Matta i Caroline mogła tylko bezradnie ich obserwować. Nagle przypomniała sobie o wiadrze w stodole i pobięła po nie w chwili, gdy Danielowi udało się złapać brata za kark. Napelniwszy kubek lodowatą wodą z poidła, zastała na polu walki sytuację odwrotną: teraz to Matt trzymał Daniela za kark. Caroline zamaszystym gestem wylała zawartość wiadra na obu przeciwników.

- Co, do diabła!...

Odskoczyli od siebie, otrząsając się z zimnej wody. Obaj na jej interwencję zareagowali identycznymi gniewnymi spojrzeniami. W świetle księżyca, co chwila zasłanianego przez chmury, wyglądali jak bliźniacy. Zorientowawszy się, co im przeszkodziło, znowu się zwarli, gniewnie prychnając.

Caroline nawet się nie zawahała. Rzuciła wiadro na ziemię i pobiegła w stronę domu. Jeśli ci przekłeci głupcy chcą się pozabijać, to ona może mieć tylko nadzieję, że to im się uda!

Weszła do kuchni, grymasem powitała czwórkę domowników i zaczęła zbierać naczynia ze stołu z większym łoskotem, niż tego wymagało jej zajęcie.

Spojrzały na nią cztery pary oczu. Na widok rumieńców na twarzy Caroline, ubrania w nieładzie i złego humoru w co najmniej dwóch pojawiły się błyski zaciekawienia.

- I co? - zapytał wreszcie Thomas, kiedy Caroline, trzaskając garnkami, uparcie milczała.

- Dwaj głupcy próbują się zabić na podwórku przy stodole - odparła przez zaciśnięte zęby, nawet się nie odwracając. - A ja nie mam ochoty na to patrzeć!

- Co takiego?!

Wszyscy czterej rzucili się ku drzwiom. Caroline nie wiedziała, co zdarzyło się później, ponieważ mając powyżej uszu wszystkich mężczyzn na ziemi, udała się do swojej izdebki.

Tam przewracała się z boku na bok na łóżku i przez całą noc nie zmrużyła oka.

32

Rano przy śniadaniu towarzyszyła im atmosfera tak ciężka jak burzowe chmury. Davey i John do tej pory nigdy nie widzieli, żeby ojciec bił się z którymś z braci, i z przerażenia popadli w nietypowe dla siebie milczenie. Zjedli owsiankę z melasą, nie odzywając się ani słówkiem, po czym pobiegli do szkoły, na pożegnanie zerkając ze strachem na dorosłych. Robert i Thomas, wymieniwszy znaczące spojrzenia, raz czy dwa próbowali nawiązać rozmowę, lecz gdy nikt im nie odpowiedział,,

zajęli się jedzeniem. Matt i Daniel mieli identyczne grobowe mi-ny, a Caroline nakładała jedzenie do misek w kamiennym milczeniu.

Twarz Matta zdobiły groteskowo spuchnięte czarne oko (Caroline przypuszczała, że to rezultat pierwszego ciosu wymierzonego mu przez Daniela) i rozcięta w kącie wargi, chyba sprawiająca mu ból, bo krzywił się przy jedzeniu i raz po raz dotykał tego miejsca językiem. Daniel miał powiększony i czerwony nos oraz wielki siniak na lewym policzku. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wyszedł z walki w lepszym stanie, ale przy każdym ruchu na jego twarzy pojawiał się grymas bólu i nawet siedzieć było mu trudno, tak więc Caroline nie mogła z całą pewnością tego orzec. Tak czy owak, żadnemu nie współczuła. Jej zdaniem szkoda doprawdy, że nie padli nieprzytomni na podwórku!

W gruncie rzeczy cieszyła się, że jest na nich taka zła. Uczucie gniewu odsunęło na bok wstyd z powodu tej katastrofalnej próby w stodole, który w przeciwnym razie na pewno by ją zadreńczył. Dla Matta zarezerwowała największą część złości, bo zniekształcił w zupełności jej akt wielkodusznego oddania, a potem pobił się z bratem -rzecz kompletnie pozbawiona sensu. Lecz i na Daniela także była zła, za bójkę z Matem i za to, że zachowywał się tak, jakby Caroline jego,

Daniela, zdradziła. Jak gdyby doszło między nimi do porozumienia, co przecież nie było prawdą!

Zezłościła się też na Roberta i Thomasa, ponieważ byli Mathieso-nami i mężczyznami na tyle dojrzałymi, by odgadnąć, o co poszło braciom. Obaj rzucali pełne namysłu spojrzenia na trójkę uczestników incydentu, odkąd zesli z tupotem do kuchni i zastali w niej trzaskającą garnkami Caroline. Na razie jednak żaden z nich nie zdobył się na odwagę i nie zapytał o powód rodzinnej waśni.

W końcu Matt wstał od stołu, zostawiając na wpół zjedzone śniadanie. Po raz pierwszy, odkąd Caroline sięgała pamięcią, coś popsulo sławny apetyt Mathiesonów, lecz nie odważyła się zgadywać, czy były to zranione uczucia, czy też obolała warga. Robert i Thomas poszli w ślady starszego brata, Daniel natomiast nie ruszył się z miejsca.

- idziesz, Dan? - zapytał go z progu Robert. Daniel potrząsnął głową.

- Za chwilę. Najpierw muszę zamienić słowo z Caroline.

I spojrzał wyzywająco na Matta, który obszedłszy stół, zmierzał właśnie w jej kierunku. Robert i Thomas znieruchomieli. Matt odwrócił się ku Danielowi ze złością.

- To ja mam jej coś do powiedzenia. A ponieważ zamierzam zrobić to na osobności, więc lepiej stąd zmykaj - oświadczył tonem zwodniczo chłodnym; prawdziwy nastrój zdradzały jego płonące oczy. Caroline się zorientowała, że były to pierwsze słowa, jakie bracia zamienili od bójki. A choć zastanawiała się, co też Matt ma jej do powiedzenia, rzekła sobie w duchu, że nie ma ochoty tego słuchać. Obaj z Danielem poprzedniego wieczoru zachowali się jak głupcy i jeśli chcą z nią rozmawiać, to muszą poczekać, aż będzie w nastroju do słuchania! A i wtedy najlepiej dla nich będzie, jeśli gorąco ją przeproszą!

- Do diabła, na pewno nie - odparł Daniel, gwałtownie podnosząc się z krzesła, które przechyliło się do tyłu i tylko dlatego nie przewróciło na podłogę, że zatrzymała je ściana.

- Ależ wyjdiesz - oświadczył Matt lodowato.

- Nie na twój rozkaz! - Głos Daniela wskazywał, że szykuje się kolejna bójka.

Patrzyli na siebie wrogo, Robert i Thomas tymczasem, spodziewając się awantury, złapali obu przeciwników za ramiona. Daniel zignorował

Roberta, a Matt strząsnął z siebie dłoń Thomasa, ten jednak pozostał blisko na wszelki wypadek.

- Caroline nie ma ci nic do powiedzenia - wykrztusił Matt przez zaciśnięte zęby.

- To ona decyduje, nie ty. Nie jest twoją własnością. Matt odsłonił zęby w uśmiechu.

-Nie jest, braciszku?

- Poczekajcie! - Caroline, która z rosnącą furią przysłuchiwała się tej wymianie zdań, z trzaskiem postawiła pustą miskę na stole. Wszyscy trzej odwrócili ku niej głowy jakby dopiero teraz przypomnieli sobie o jej obecności. Wodziła jednakowo rozgniewanym wzrokiem od Daniela do Matta, aczkolwiek w spojrzeniu poślany temu drugiemu kryło się może więcej złości, jako że zdaniem dziewczyny bardziej sobie na to zasłużył. - Nie obchodzi mnie, czy się kłócicie. Nie obchodzi mnie, czy się bijecie. Możecie wzajemnie zrobić z siebie krwawą miazgę, ale nie w mojej kuchni! Wynoście się! - Podnosiła głos z każdym słowem, tak że pod koniec już krzyczała. Kiedy wpatrywali się w nią z takim zdumieniem, jakby to ściana przemówiła, Caroline złapała miotłę i groźnie nią potrząsnęła.

- Caroline... - zaczął Daniel. Matt posłał mu mordercze spojrzenie i otworzył usta, by coś powiedzieć.

- Wynocha! Już! - uprzedziła go jednak, nacierając na nich. Thomas i Robert od razu salwowali się ucieczką. Daniel, który stał bliżej niż Matt, zignorował polecenie, uderzyła go więc miotłą w plecy. Jęknął i uskoczył, co przypadkiem zbliżyło go ku drzwiom.

- Hej!

- Wynocha! -Ale... -Wynocha!

Zamachnęła się raz jeszcze, nie trafiła jednak, choć powiew potargał mu włosy. Z rękoma uniesionymi, mamrocząc jakieś protesty, Daniel pośpiesznie wycofał się za próg. Caroline odwróciła się w stronę Matta, który stał bez ruchu.

- Wynoś się stąd! -I zamierzyła się miotłą.

- Do diaska, to mój dom i... Trzask!

- Auu!

Chciał złapać miotłę, ale Caroline w ostatniej chwili szarpnęła ją ku sobie. Wiedziała, że gdyby mu się udało, bez trudu odebrałby jej ořeż i sprawa byłaby skończona. Pomysł, że mogłaby dorównać mu siłą, był doprawdy śmieszny. Nie zamierzała jednak dać mu satysfakcji oglądania jej porażki, nie teraz, kiedy była na niego taka wściekła, że mogłaby go rzucić na źer rybom. Unosząc miotłę do góry niczym maczugę, ruszyła w jego stronę z rykiem, którego pozazdrościć mógłby jej Jakub.

- Wynocha, powiedziałam!

Biegnać, Walała miotłą w ściany, stół, krzesła, we wszystko, co znalazło się na drodze. Stanowiła wspaniały obraz kobiety doprowadzo

nej do furii przez idiotyczne zachowanie mężczyzn. Matt cofał się z uniesionymi do góry rękoma i z komicznym zaskoczeniem na twa-rzy - gdyby tylko była w nastroju do śmiechu. Udało jej się raz jeszcze uderzyć go w ramię, z miotły uleciał obłoczek kurzu. I to w końcu zmusiło Matta do wyjścia za próg. Caroline przestała wrzeszczeć, zatrzasnęła drzwi i zamknęła zasuwę, nim zdążył zebrać się w sobie do następnego ataku. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, usatysfakcjonowana Caroline podeszła do okna i wojowniczo spoglądała na pokonanych przeciwników.

W pewnej odległości od domu Daniel mówił coś do Roberta i Thomasa, którzy słuchali z zafrasowanymi minami, a wokół nich skakał Raleigh, zachwycony nową zabawą. Matt był bliżej, pocierał ramię i patrzył ponuro na zamknięte drzwi. Caroline przeszło przez myśl, że gotów jest zapomnieć o godności i zacząć w nie walić, domagając się, by go wpuściła. Spodobał jej się pomysł, że będzie musiał je wyważyć, bo ona na pewno mu nie otworzy! Najwyraźniej jednak wolał nie wszczynać potyczki na oczach braci, w dodatku czekała na nich robota. Po chwili, w czasie której rozważał tę kwestię, odwrócił się i odszedł, na nikogo nie patrząc. Pozostali wolno za nim podążyli.

Z ponurym uśmiechem Caroline zajęła się swoją pracą. A choć bardzo niezdyscyplinowana częśćka jej umysłu nie przestała się zastanawiać, co też Matt chciał jej powiedzieć - czy byłyby to czułości, czy też przeprosiny za nieuzasadnione zarzuty? - to wciąż za bardzo trzęsła się ze złości na niego, żeby o to dbać. Im dłużej rozmyślała o tym, jak się zachował, zarówno bez powodu gniewając się na nią za czyn, który przecież wymagał od niej sporej odwagi, jak i warcząc na Daniela, tym większy czuła gniew. Zirytowana, przygotowała sobie posiłek z tego, co zostawili mężczyźni - doprawdy, zaczynała już mieć dość żywienia się resztkami! - naląła Millicent mleka do spodka i posprzątała kuchnię. Wieszła miotłę na haczyku, gdy przypadkiem spojrzała w okno.

Do szyby przyciśnięta była czyjaś twarz, rozplaszczony nos nadawał rysom groteskowy wygląd. Postać była tam tylko przez chwilę i zaraz zniknęła, nim Caroline zdążyła krzyknąć. Ale dostrzegła, że twarz koloru gliny, pomalowana w żółte i czerwone pasy, okolona była czarnymi i prostymi włosami. Dzikus! Natychmiast zapomniała o gniewie. Drżąc na

całym ciele, cofnęła się; na całe szczęście zwykle otwarte drzwi zamknęła na zasuwę. Za to te od frontu...

Określiła się na pięcie i złapała muszkiet, który stał w kącie kuchni, kiedy była sama w domu, po czym pobiegła do frontowej izby. Broń była naładowana. Matt pokazał jej, jak mają oprzeć na ramieniu, odbezpieczyć i pociągnąć za spust. Sądziła jednak, że w najgorszym nawet razie użyje muszkietu, by wezwać mężczyzn do domu, powątpiewała bowiem, czy będzie mogła strzelić do człowieka, choćby i dzikusa. A może by i potrafiła, pod warunkiem że miałyby za sobą ścianę.

Intruz był we frontowej izbie. Kącikiem oczu Caroline dostrzegła, jak kryje się w cieniu. Była wszakże tak przerażona, że nim zdążyła wystrzelić, muszkiet wypadł z jej trzęsących się palców. Kiedy mężczyzna uskoczył z prawdopodobnej Unii strzału, Caroline wrzasnęła tak głośno, że zbudziłaby umarłego.

- Na Boga, Caroline, to tylko ja! - zawołał Daniel.

Na szczęście muszkiet upadając nie wypalił. Z sercem walącym jak młotem Caroline opuściła ręce, dotąd przyciśnięte do twarzy, i spojrzała na niego z oburzeniem, w równej mierze dlatego że tak okropnie ją wystraszył, jak i dlatego że wciąż była na niego zła.

- Co ty tu robisz? A zresztą to nieważne! Przez kuchenne okno zaglądał dzikus!

- Dzikus! - powtórzył zdumiony Daniel. - Musiałaś się pomylić!

- Nie pomyliłam się! Idź i sam zobacz!

Daniel ruszył w stronę kuchni. Caroline podniosła muszkiet i pobiegła za nim.

- Nikogo tu nie ma! - oznajmił Daniel, rozglądając się dokoła.

- Patrzył przez okno - odrzekła przez zaciśnięte zęby, wciskając mu do ręki broń i pokazując drzwi. Z grymasem mówiącym, że chyba coś jej się przywidziało, Daniel odsunął zasuwę i wyszedł. Millicent, mrużąc rozkosznie, otarła się o jego nogi.

- Odejdź, kocie. Jeśli był tu jakiś dzikus, to teraz na pewno go nie ma - stwierdził Daniel z większą beztróską, niż Caroline uważała za właściwą, i wrócił do kuchni.

- To był dzikus - upierała się nadal. Daniel uspokajająco uniósł dłoni.

- Jestem pewny, że był. Ale odszedł, a Matt miał rację, mówiąc, że zazwyczaj są nieszkodliwi. Wróciłem tu, bo chcę ci coś ważnego powiedzieć.

Caroline spojrzała na niego, zapominając o Indianinie.

- Za to ja nie mam ci nic do powiedzenia - oznajmiła, po czym odwróciła się do niego plecami i pomaszerowała do frontowej izby. Zdecydowana była chodzić w kółko, jeśli w taki sposób jedynie uniknie przesłuchania, którego się obawiała.

- Caroline, stój! - Daniel dogonił ją, złapał za ramię i pociągnął. Ze złością wymierzyła mu policzek. Natychmiast też ją puścił, ale zagroził jej drogę.

- Mówiłam ci... !

- Do diaska, kobieto, chcę ci się oświadczyć! - ryknął zdesperowany głosem tak podobnym do głosu Matta, że Caroline zabrakło na moment tchu.

- Oświadczyć? - upewniła się, gdy mogła już mówić. Po ostatniej nocy nie tego się spodziewała.

- Słyszałaś mnie - odrzekł Daniel nieco ciszej, choć równie ponuro. - Chcę, żebyś za mnie wyszła.

Ujął jej obie dłonie w swoje. Caroline zbyt była oszołomiona, by się opierać.

- Danielu...

- Nie odmawiaj - przerwał jej pośpiesznie. - Wiem... nie jestem ślepy ani głupi, żeby nie zauważyć, że coś zaszło między tobą a moim bratem. Zanim jednak się zaangażujesz, chcę ci dać wybór. Dobrze zrobisz, poślubiając mnie, Caroline. Będę traktował cię z szacunkiem i...

- Danielu - próbowała mu przerwać, ale nie pozwolił:

- Po ślubie nie musimy tu mieszkać. Mam odłożoną sporą sumkę, możemy kupić własny dom. Wszyscy wiemy, że tak będzie, kiedy się poženimy.

- Danielu!

Tym razem dotarło to do niego. Umilkł i spojrzał na nią pytająco. Caroline pokręciła głową.

- Wyświadczasz mi wielki zaszczyt - odezwała się łagodnie, spoglądając na jego pokiereszowaną twarz. Poczowała falę gorącej sympatii do niego, swego pierwszego przyjaciela pośród tego niegodnego szacunku grona, która całkiem stłumiła złość. - Nie mogę jednak zostać twoją żoną, choć bardzo cię lubię. Nie pasowalibyśmy do siebie.

- Kochasz go - wtrącił oskarżająco. Caroline dumnie uniosła głowę.

- To nie twoja sprawa, czy go kocham, czy nie. Więcej o tym nie będę rozmawiać.

Daniel wpatrywał się w nią ponuro.

- Ja chcę się z tobą ożenić. On tego nie robi.

- Nie kochasz mnie, Danielu. A ja, choć jesteś mi bardzo drogi... och, jak brat... też cię nie kocham. Nie tak, jak powinnam, gdybym miała zostać twoją żoną. - Osiągnęła wreszcie tyle, że puścił jej dłonie. Poruszyła palcami, obolałymi od jego uścisku.

- Tak jak kochasz Matta - zauważył z goryczą.
 - To - odparła Caroline z lodowatym błyskiem w oku - jest kwestią pomiędzy nim a mną.
 - Rano powiedziałem mu, że zamierzam prosić cię o rękę.
 - I co ci odrzekł? - zapytała tonem dość spokojnym, choć Daniel ją zaskoczył.
 - Powiedział, żebym się nie wahał. Ja bym tak nie postąpił, gdybym był na jego miejscu i pragnął cię poślubić.
 - Już ci mówiłam, sprawy między Mattem a mną pozostają między nami. Możesz mi jednak wierzyć, że to nie ma żadnego wpływu na moją decyzję. Nawet gdyby Matt nie istniał, moja odpowiedź brzmiałaby tak samo.
- Jej słowa były może ostrzejsze, niż zamierzała, jednakże to, iż Matt udzielił Danielowi pozwolenia na oświadczyzny, głęboko ją dotknęło. Mógł przecież ubiec brata i pierwszy poprosić ją o rękę, lecz tego nie zrobił. A choć przyznał, że mu na niej zależy - cóż to za nijaki zwrot, żołądek jej się od niego wywracał! - to nie wspomniał o małżeństwie i nie ulegało wątpliwości, że nigdy tego nie uczyni.
- Tak więc twoja odmowa pozostaje w mocy. Doskonale, nie będę nalegał. -I z tymi słowami Daniel odwrócił się na pięcie. Zamiast jednak wyjść, jak oczekiwała Caroline, ruszył ku schodom.
 - Dokąd idziesz? - zawołała za nim, gdy przeskakiwał po dwa stopnie naraz.
 - Spakować swoje rzeczy. Skoro takie żywię do ciebie uczucia... i do Matta, najlepiej będzie, jeśli od razu przeniosę się do miasteczka. Mogę zamieszkać u Jamesa. Sądzę, że Mary nie będzie miała nic przeciwko temu.
 - Ale... - Caroline nie skończyła, bo Daniel zniknął jej z oczu. Po krótkim czasie wrócił, niosąc kufer, z którego wystawały pośpiesznie upchnięte ubrania. Podjął rozmowę w tym samym miejscu, w którym została przerwana.
 - Tak będzie najlepiej, powiadam ci. W przeciwnym wypadku ciągle będziemy wchodzić sobie z Mattem w drogę. Bo... ja cię kocham, Caroline, wbrew temu, co mówisz. I nie byłoby mi łatwo patrzeć, jak tracisz czas na mojego brata.

I tak się pożegnawszy, ruszył ku drzwiom.

Mężczyźni jakimś sposobem musieli się dowiedzieć o odejściu Daniela, zawiadomili też Daveya i Johna, bo przy wieczerzy nikt słowem nie skomentował pustego miejsca przy stole. Caroline, która całkiem już ochłonęła, zerknęła na Matta, czując za każdym razem lekkie klucie w sercu. Miała nadzieję - nadzieję? Na co? Ze ją przeprosi? Mało prawdopodobne! Najwyraźniej przemyślał to, co chciał jej wcześniej powiedzieć, bo teraz prawie w ogóle się nie odzywał. Jego mroczne, ponure spojrzenie zepsuło nastrój całej rodzinie, tak więc natychmiast po posiłku i odrobieniu lekcji chłopcy pomaszerowali do łóżek, a Robert i Thomas wyszli na podwórze zapalić.

Matt, wyczyściwszy łokciami miejsce na stole, wypisywał na nim jakieś liczby, nie zwracając najmniejszej uwagi na Caroline, która postanowiła, że zostawi go samego z wiadrem brudnych naczyń. Odwróciła się do niego plecami - sprawiał wrażenie, jakby tego nie zauważył - wzięła Millicent na ręce i poszła do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Zwykle jednak tak wcześnie nie kładła się spać i nie zamierzała pozwolić, żeby z powodu Matta Mathiesona leżała bezsennie, skoro nie ma na to ochoty! Zdecydowała więc zająć się kufkami, które od dnia, gdy zamieszkała w składziku, stały w równym rzędzie pod ścianą naprzeciwko łóżka. Przez cały okres pobytu tutaj tak wiele czasu pochłaniało jej prowadzenie domu, że trudno było jej znaleźć chwilę dla siebie. Teraz spędzi przyjemną godzinę nad pamiątkami z przeszłości, a jak naczynia zaschną, to tym gorzej! Jeśli Matt życzy sobie jeść z czystych misek, to może sam je sobie umyć.

Millicent, mrużąc z zadowolenia, zwinęła się w kłębek na środku łóżka, Caroline zaś usiadła na podłodze z szerokich desek. Poruszała się ostrożnie, bo wciąż czuła lekki ból po wewnętrznej stronie ud. Chociaż wyszorowała się dokładnie, by zmyć wszelkie ślady Matta ze swej skóry, choć wyprała noszoną wczoraj suknię, nie mogła jednak usunąć bolesności, która przy każdym ruchu przypominała jej o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Nie była dziewczicą, lecz równie nawykła do tego rodzaju przeżyć co świeżo poślubiona panna młoda. Matt, posiadłszy ją, pozostawił na jej ciele ślady, tak samo jak jego gniew naznaczył jej serce. Czy kiedykolwiek zrozumie mężczyznę? - pomyślała

Caroline z nowym przyływem gniewu. A później dołożyła starań, by wyrzucić z myśli płec męską, której nie da się pojąć -przede wszystkim zaś Matta.

Jeden kufer zawierał ostatnie angielskie suknie, te w jaskrawych kolorach; Caroline schowała je, kiedy stała się purytanką. Co zresztą uczyniła głównie po to, by zadowolić Matta, do czego przyznałaby się, gdyby była wobec siebie szczerą i pozwoliła sobie o nim myśleć, lecz na żadną z tych dwóch rzeczy w tym momencie nie miała ochoty. Spojrzała z namysłem na kufer, bo do głowy wpadł jej pewien pomysł: a może powinna wrócić do dawnych strojów, żeby go zirytować. I znowu on, a niech go diabli porwą! Czy naprawdę ciągle musi o nim myśleć? Zaraz jednak uznała, że takie zachowanie byłoby dziecinne i wyzbyte godności, a co więcej, wywołałoby komentarze otoczenia. Pokłóciła się z Mattem, niech go dunder świśnie, i tylko z nim, a teraz zrobi wszystko, by ta kłótnia pozostała między nimi. Już i tak zbyt wiele osób wiedziało o sprawie, która dotyczyła wyłącznie dwojga w nią zaangażowanych osób - bo należało liczyć czterech jego braci, a Caroline była przekonana, że Daniel wkrótce (jeżeli już tego nie uczynił) zwierzy się Jamesowi, ten zaś z kolei powtórzy wszystko żonie.

Drugi kufer mieścił resztę medykamentów, kilka książek i papiery osobiste. W sumie nic interesującego. Został trzeci. Były w nim rzeczy należące do ojca, w tym trochę jego ubrań.

Caroline uklękła, długo zbierając się na odwagę, nim go otworzyła. Zapach, który uderzył ją w nozdrza, sprawił, że wróciły wspomnienia o ojcu tak żywe, jakby przed nią stanął, swoim zwyczajem ubrany w nieskazitelny strój, z głową przekrzywioną na bok i z błyskami rozbawienia w brązowych oczach. Taki wyraz malował się w nich przez całe niemal życie, bo ojciec potrafił się śmiać nawet na łożu śmierci. To Caroline, pielęgnowując go, straciła zdolność odczuwania radości. Kiedy wspomnienia, słodkie i gorzkie, napłynęły wielką falą, skrzywiła się jak od ciosu i zamknęła oczy. Minęła długa chwila, nim znowu je otworzyła i ostrożnie dotknęła klapy surduta.

Był z satyny w kolorze butelkowej zieleni - nie dla Marcellusa We-therby'ego ponure czernie i szarości - i ojciec często go wkładał, gdy

zasiadał do stolika. Lubił, by Caroiine ubierała się wówczas w jedwabną suknię barwy pawiego błękitu (wciąż ją miała), i cieszył się, że oboje tak wspaniale wyglądają. Stawiał wszystkie pieniądze, jakie mieli, albo przynosząc szczęście broszkę, gdy brakowało gotówki (na szczęście, jak Elizabeth powiedziała Mattowi, niemal zawsze wygrywał); zatrzymywali się w najlepszym zajeździe, gdy fortuna sprzyjała, albo w gorszym, kiedy gwiazdy odwracały się od niego, zawsze jednak snuł wielkie wizje lepszego jutra.

Ojciec wspaniale umiał układać wielkie plany i snuć wizje. Caroiine uśmiechnęła się smutno, wspominając, ileż to razy obiecywał podać jej na talerzu cały świat. Były to puste obietnice, wierzył jednak, że uda mu się ich dotrzymać, a zanim poznała go aż za dobrze, sama też w nie wierzyła. Ojciec krańcowo różnił się od Matta, był wesoły, rubaszny, żył chwilą. Właściwie uczynił jedną tylko rzecz naprawdę dobrą: gdy umarła matka, przyjechał po Caroiine i zabrał córkę ze sobą, nigdy też jej nie zostawił, co przy jego usposobieniu pewnie nieraz przychodziło mu do głowy. Oczywiście piękna córka stanowiła atut dla człowieka jego profesji, lecz przecież Caroiine wiedziała, że kochał ją na swój sposób. W latach poprzedzających jego śmierć bardzo się do siebie zbliżyli. Nagle ogarnęła ją bolesna tęsknota za ojcem; do tej pory nie pozwalała sobie na takie odczucia.

Matt zaś był solidny i godny zaufania niczym granit z Nowej Anglii. Mimo wszystkich swoich wad - a Caroiine pierwsza mogłaby je wszystkie wyliczyć - był opoką, na której opierali się jego bliscy i ona sama. W czasach smutku lub nieszczęścia wszyscy do niego się zwracali. Choć drażliwy i trudny, był równie łagodny co silny.

Jak to możliwe, że tak bardzo pokochała dwóch tak różnych mężczyzn? Światło świecy zapaliło w kufrze czerwone błyski. Przynosząca szczęście broszka ojca. Caroiine wyjęła ją. Broszka była ładna, przyciągała wzrok, nawet jeśli się wiedziało, że kamienie są fałszywe; połyskliwe jaskrawe kolory tylko czekały, by omamić nieświadomego głupca. Dla ojca była talizmanem, dla Caroiine instrumentem, który przyprowadził ją do Matta. Mocno zacisnęła dłoń na broszy. Wydało jej się, że poza kręgiem światła widzi ojca, że słyszy jego głos nakazujący jej, by była szczęśliwa. Obraz zaraz zniknął, pozostawiając po sobie słodki ból. Caroiine zamknęła

oczy, pod powiekami wezbrały jej gorące łzy. Wraz z nimi nadeszło uczucie wyzwolenia.

Po raz pierwszy przez wszystkie te miesiące, które upłynęły od śmierci ojca, pozwoliła sobie na żal po nim. Dzięki temu mogła też się od niego uwolnić. Być może wkrótce też zdoła uwolnić się od reszty przeszłości, pozostawić za sobą gorzkie wspomnienia, które wisiały niczym czarna chmura nad jej nowym życiem.

W tej właśnie chwili Caroiine usłyszała trzask otwieranych drzwi.

Uniosła powieki i na progu ujrzała Matta, który jedną ręką opierał się o framugę, drugą o klamkę. Więc poradził Danielowi, żeby się oświadczył, tak? To była przysłowiowa kropla, która przepełniła czarę jego występków. W nadziei że światło świecy jest za słabe, by Matt zobaczył łzy na jej policzkach, obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. Sam był wielkim, mrocznym cieniem, oświetlonym jedynie przez blask ognia w kuchennym palenisku. Jego oczy, jasnoniebieskie nawet w półmroku, połyskiwały, a z całej postawy wyraźnie wynikało, że nie przyszedł przeproszać.

- Na początku mojego pobytu powiedziałam, że spodziewam się traktowania z szacunkiem, prawda? Wtargnąłeś do tego pokoju, nie zadając sobie nawet trudu, żeby zapukać, a to nie odpowiada mojej definicji szacunku. - Caroiine przemówiła pierwsza głosem zimnym jak lód.

- Ponieważ to mój dom, nie wydaje mi się, żebym uznał to za wtargnięcie. Będę wchodził do każdego pokoju o każdej porze, która mi odpowiada.

- Nie będziesz wchodził do mojej sypialni bez pozwolenia.

- Doprawdy? A jak mnie powstrzymasz?

- Jeśli zajdzie taka potrzeba, opuszczę ten dom. - To była czysta brawura, Caroiine zareagowała impulsywnie. Naturalnie nie miała najmniejszej ochoty odchodzić i Matt wiedziałby o tym, gdyby myślał racjonalnie. Najwyraźniej jednak jego zdrowy rozsądek uległ zmańczeniu, co zresztą przydarzyło się i Caroiine.

- A jak to zrobisz, co? Nie masz grosza przy duszy, jeżeli dobrze pamiętam. - Zauważył broszkę, którą wciąż trzymała w dłoni. - A jeśli wpadł ci do głowy pomysł, żeby przy użyciu tego śmiecia namówić jakiegoś biednego głupca do pomocy w ucieczce, to radzę ci o tym za-

pomnieć. Dopóki w całości nie spłacisz długu, znajdę cię choćby pod ziemią.

Caroline gwałtownie zerwała się na nogi. Gdy tylko weszła do sypialni, przebrała się w swą jedyną nocną koszulę z białego batystu. Włosy, splecione w warkocz i związane niebieską wstążką, przerzuciła przez jedno ramię. Stopy miała bose, a jej piersi poruszały się swobodnie pod tkaniną tak cienką, że prześwitywały przez nią ciemne kręgi otaczające sutki i trójkątny cień w dole brzucha. Oczy Matta przesunęły się po niej, pobłyskując dziko. Usta zacisnął w twardą, prostą linię.

- Wynoś się z mojego pokoju! - odezwała się cicho acz zdecydowanie. Zacisnęła dłoń na broszy tak mocno, że wbiła jej się w palce.

- Słyszałaś, co mówiłem? Nic nie zyskasz, jeśli spróbujesz stąd uciec.

- Wynoś się albo zacznę krzyczeć!

- Naprawdę?

Caroline wiedziała, że musiał wziąć pod uwagę ewentualność obudzenia się pozostałych domowników. Matt za żadne skarby nie chciałby, żeby byli - zwłaszcza już chłopcy - świadkami ich prywatnej wojny. Trudność wszakże polegała na tym, że Caroline zdobyłaby się na to tylko w ostateczności.

- Tak. - Spojrzała mu twardo w oczy, podbródek wojowniczo zadarła do góry. Matt może tyranizować wszystkich domowników, ale z nią na pewno mu się to nie uda!

- Wczoraj w nocy nie byłaś taka chętna, żeby się mnie pozbyć.

Słyszac kpinę w jego głosie, Caroline oblała się gorącym rumieńcem. Jak śmie przypominać jej o tym! Nagle poczuła głębokie zadowolenie, że Daniel podbił mu oko. Gdyby tego nie uczynił, pewnie teraz sama by spróbowała!

- Wczoraj wieczorem nie miałam pojęcia, jaki z ciebie głupiec! Zacisnął mocno szczęki, jeśli jednak udało jej się go rozgniewać, tylko w taki sposób to okazał.

- Widzę, że zaczynają opuszczać cię dobre maniery - zauważył złośliwie, co tylko dołało oliwy do ognia.

Teraz ogarnęła ją prawdziwa furia. Zgrzytnęła zębami i wyprostowała się jak struna, miotając bursztynowymi oczyma spojrzenia jak pociski.

- Wynoś się stąd! - syknęła.

Kiedy stał bez ruchu, samym tylko grymasem ust wyzywając ją, by go wyrzuciła, jeśli potrafi, z całej siły cisnęła w niego przedmiotem, który trzymała w dłoni - broszą. Powinna była trafić go w twarz, lecz w ostatniej chwili zrobił unik i złapał ją w locie. Przekroczył przy tym próg, a pokój, już i tak zatłoczony małym łóżkiem, kuframi, umywalką i zapasami jedzenia, które trzymano tu w braku innego miejsca, teraz wydał się śmiesznie maleńki. Caroline znowu uprzytomniła sobie, jak potężny jest Matt. Obracał broszkę w palcach, przyglądając jej się z pogardą. Światło świecy, przepływając przez fałszywe kamienie,

sprawiło, że rozłożony ogon pawia rozjarzył się jasną czerwienią rubinu, błękitem szafiru, zielenią szmaragdu.

- Co za śmieć! - burknął Matt. I zanim Caroline zorientowała się, co chce zrobić, upuścił broszę na ziemię i zmiażdżył obcasem. Trzask pękającego szkła przeszył powietrze z siłą wystrzału.

- Nie! Nie rób tego! - Caroline rzuciła się i odepchnęła go na bok, ale już się stało. Na ziemi leżały kolorowe szkiełka, tylko głowa pawia ocalała. Dziewczyna schyliła się, czując w gardle ucisk. Uklękła i zebrała kawałki.

- Nigdy ci nie wybaczę - odezwała się drżącym głosem. Uniosła głowę i spojrzała na Matta z nienawiścią. Jego oczy miały nieodgad-niony wyraz, choć raz drgnął mu kącik ust.

- Przepraszam - powiedział, a ona gorzko się roześmiała. Otworzył usta, jakby coś jeszcze chciał dodać, a potem gwałtownie je zamknął. Z dłońmi zaciśniętymi w pięści odwrócił się i wyszedł, zostawiając ją samą.

Następnego dnia był dzień targowy. Caroline wstała i przygotowała śniadanie, choć gdyby nie John i Davey, musieliby ją ugotować w oleju, nim kiwnęłaby palcem, po czym wyprawiła pięciu Mathieso-nów z domu, odzywając się do nich tylko w razie konieczności. A i wówczas zwracała się wyłącznie do chłopców. Z Thomasem i Robertem nie zamierzała rozmawiać, ponieważ byli braćmi Matta, a do niego nie odezwałaby się za żadne skarby. On też milczał ponuro. Wrogość pomiędzy nimi była tak silna, że niemal namacalna, pozostali zaś domownicy opuszczali dom niczym dusze, które wypuszczono z czyścica. Podążając za braćmi do wyjścia, Matt przystanął w progu i odwrócił się, jakby chciał coś powiedzieć, lecz wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Caroline, by zmienił zdanie. Postąpił mądrze, idąc do pracy, zamiast sprawdzać na sobie siłę jej furii.

Owego dnia panował wielki upał, choć było już babie lato. Przez cały poranek, wykonując prace, które musiała skończyć przed wyjściem z domu, Caroline pociła się z gorąca. Kiedy rzuciła południowy posiłek mężczyznom pracującym na zachodnim polu - dosłownie rzuciła, krzykiem tylko zawiadamiając Roberta i Thomasa o swej obecności - nie była jeszcze zdecydowana, czy wybrać się z cotygodniową wizytą do miasteczka. Ale pociągała ją perspektywa odwiedzenia Mary, choć Caroline nie wątpiła, że żona Jamesa szczegółowo orientuje się w ostatnich wypadkach. Poza tym dręczył ją niepokój. Tak więc zarzuciła koszyk na ramię, wzięła muszkiet, bez którego nie ruszała się z domu, odkąd zobaczyła w oknie dzikusa, i poszła do Saybrook.

Naprzeciw niej pędzono drogą stado chrumkających świń. Caroline przypuszczała, że nabyli je na targu pasterze, dwaj młodzieńcy i starszy mężczyzna. Uśmiechając się do nich na powitanie, starannie wyminęła tłoczące się zwierzęta, które wzbijały takie tumany kurzu, że kasłała i dusiła się, na próżno próbując odgarnąć pył dłonią. Kilka minut później galopem minął ją pocztylion, szczupły młodzieniec na kucyku. On też zostawił za sobą obłok kurzu. Caroline stwierdziła, że otaczają wirujący złoty obłok, i zrezygnowała z bezskutecznej walki. W taki upalny suchy dzień nie da się uciec przed kurzem.

Gdy doszła do miasteczka, była obsypana pyłem jak ciastko cukrem pudrem. Dłońmi przeczesła włosy i energicznie strzepnęła spódnice, nim zapukała do domu Jamesa. Mary powitała ją filiżanką herbaty i znaczącym uśmiechem. Zanim Caroline się spostrzegła, siedziała przy kuchennym stole naprzeciw przyjaciółki i odpowiadała na pytania.

- Daniel naprawdę ci się oświadczył? A ty mu odmówiłaś? I z tego powodu do nas przyszedł? - pytała z niedowierzaniem Mary, popijając herbatę. Obie kobiety od czasu do czasu z rozczuleniem spoglądały na Hope bawiącą się w kącie szmacianą lalką, którą zrobiła dla niej matka.

- Czy nie tak ci powiedział? - odparła Caroline bez większej nadziei. Żona Jamesa była ciekawska jak wróbel i Caroline nie wątpiła, że przyjaciółka wydobędzie z niej całą - nie, nie całą, lecz prawie - historię, zanim wypuści ją z domu.

- Daniel niczego mi nie mówił, choć może wspomniał o czymś Jamesowi. Zaraz jak przyszedł, członkowie rady poprosili Jamesa, żeby pojechał po lekarza do Nowego Londynu. Wiedziałaś, że żona konsta-bla i trzy inne osoby zapadły na straszną chorobę? Nie? No więc to prawda, a ponieważ powszechnie się uważa, że godne uznania umiejętności pana Williamsa w tym wypadku nie są wystarczające, zdecydowano się sprowadzić medyka i Daniel pojechał z Jamesem. Nie miałam nawet czasu, żeby wypytać męża, choć umierałam z ciekawości, skąd Daniel ma te siniaki na twarzy.

- Mary urwała, wyczekująco spoglądając na Caroline.

Kiedy ta spuściła oczy na swoją filiżankę, później na Hope, a potem patrzyła wszędzie, tylko nie na przyjaciółkę, Mary prychnęła. To niegrzeczne zachowanie żony Jamesa, zwykle będącej uosobieniem uprzejmości, zaskoczyło Caroline. Spojrzała na nią. Z wyrazu triumfu na twarzy Mary Caroline domyśliła się, że tak to sobie zaplanowała.

- No dobrze - westchnęła z rezygnacją. - Daniel... pokłócił się... z Mattem.

- Pokłócił? - Mary szeroko otworzyła oczy. - Masz na myśli, że się pobili? O ciebie?

Caroline ponuro kiwnęła głową.

- Ależ to cudownie! - wykrzyknęła Mary uradowana.

- Jak możesz tak mówić?

- Brzmi to strasznie, prawda? - zaśmiała się Mary. - Zawsze gorąco pragnęłam, żeby Matt szczęśliwie się ożenił. Ma za sobą ciężkie przeżycia, a to taki wspaniały człowiek. James go kocha, ja też. Zasługuje na szczęście po tym wszystkim, co przeszedł. A ty... ty jesteś dla niego idealna! Zastanawiam się, czemu wcześniej tego nie zauważyłam! Ale ciągle myślałam o tobie i Danielu i nie dostrzegałam innych możliwości.

- Matt nie mówił nic o małżeństwie.

- Moja droga, skoro aż pobił się z bratem, a wszyscy, jak jest ich pięciu, są sobie bardzo bliscy, to nie może mu chodzić o nic innego. Jeśli na razie się waha, to przypuszczalnie dlatego, że ma zamęt w głowie. Mężczyźni nie widzą tak jasno tych spraw jak my, kobiety.

Ta myśl przynosiła pociechę i Caroline czuła, jak poprawia jej się nastrój. Kiedy już Mary wydobyła z niej wszystkie szczegóły - choć to, że Matt się z nią kochał, Caroline zachowała dla siebie - zgodziła się, by przyjaciółka poszła zrobić zakupy, aczkolwiek pod tym warunkiem, że przed powrotem do domu wstąpi na jeszcze jedną pogawędkę. Zresztą musiała przyjść tu po muszkiet, który zostawiła w kącie kuchni, bo w mieście nie potrzebowała takiej ochrony. Tak więc Caroline chętnie się zgodziła, choć wiedziała, że niewiele jej czasu zostanie.

- Wiedziałam, że będziemy siostrami, choć połączyłam cię z niewłaściwym Mathiesonem - rzekła Mary, obejmując Caroline. Ta z uśmiechem oddała jej uścisk, a choć sądziła, że przyjaciółka mylnie odgadła zamiary Matta, wciąż się uśmiechała, gdy pomachała na pożegnanie przyjaciółce i wyszła na ulicę.

W dzień targowy zwykle spokojny główny plac zmieniał się nie do poznania. W drżącym od upału powietrzu kupcy targowali się z farmerami o ceny produktów rolnych i bydła, wystawionych w wozach i prowizorycznych zagrodach, wędrowni sprzedawcy polecali nożyczki, noże o stalowych ostrzach i tym podobne przedmioty, przedsiębiorczy mieszkańcy miasteczka oferowali zimne mięso i kubki jabłeczniaka, pojawiło się nawet kilku odzianych w skóry Indian, proponujących futra w zamian za rozmaite dobra. Grupa chłopców w skórzanych fartuchach (Caroline pomyślała, że to czeladnicy) siedziała w cieniu rozłożystego wiązu; gdy przechodziła, powitali ją rubasznymi żartami. Zignorowała

ich, podobnie jak zignorowała wielebnego Millera i jego pomocników, którzy przechadzali się po placu, żeby swą obecnością zaprowadzić porządek w podekscytowanym tłumie. Pastor obrzucił ją twardym spojrzeniem, kiedy jednak Caroline odpowiedziała mu hardo tym samym, udał, że jej nie widzi. Ubrani w niebieskie stroje poddani słudzy robili zakupy dla swoich-panów.

Caroline przyszło do głowy, że sama mogła być jedną z nich, gdyby nie Matt, lecz myśl ta była tak nieprzyjemna, że wołała dłużej się nad nią nie rozwodzić.

Targ, który w południe zamierał, bo wszyscy udawali się na posiłek, teraz od nowa zapełniał się ludźmi pragnącymi skorzystać z szansy zakupów po niższych cenach. Caroline pomachała do Hanny Forrester i Patience Smith, które dostrzegła w oddali, a potem do Simona, ojca Lissie Peters. Ku jej zaskoczeniu odwrócił się do niej plecami, nie odpowiadając na pozdrowienie.

Najwyraźniej po mieście jeszcze nie rozeszła się wieść, że Daniel jej się oświadczył, a Caroline mu odmówiła. W przeciwnym wypadku Simon Peters pewnie padłby jej do nóg.

Caroline uśmiechała się kwaśno, pytając o cenę świeżego dorsza. Już wcześniej kupiła kaczki, które zaplanowała na koniec tygodnia. Wsunęła wytargowaną rybę do koszyka i postanowiła resztę zakupów przełożyć na następny tydzień. Upał był za wielki jak na tę porę roku, żar falami unosił się z ziemi. Wachlując się fartuchem, Caroline ruszyła z powrotem do domu Jamesa przy High Street.

Po drodze minęła szkołę, niski biały budynek z otwartymi na oścież oknami. Ze środka dobiegały głosy dzieci powtarzających lekcje.

Caroline uśmiechnęła się słabo, gdy rozpoznała wierszyk, który Davey ćwiczył przez kilka ostatnich wieczorów.

„Młody Obadiaz, Dawid, Ozjasz - wszyscy byli pobożni. Zacheusz wdrapał się na drzewo, by zobaczyć go nasz Pan”.

Cóż to za pozbawione radości lekcje, pomyślała Caroline, gdy po raz pierwszy je usłyszała, ale przecież większość rzeczy w tym pury-tańskim kraju taka była. Mieszkańcy w przeważającej części należeli do Okrągłych Główn, a na tych nielicznych, którzy nie przestrzegali purytańskich rygorów, patrzono niechętnie. Sama tylko wzmianka o

królu Karolu wystarczała, by sprowokować najbardziej nawet godnych szacunku obywateli do spluwania lub obelg. Caroline nie potrafiła zrozumieć, jak ci gorąco wierzący w Boga ludzie mogą tak otwarcie pogardzać monarchą, który był pomazańcem Bożym. Z czasem uświadomiła sobie, że uważają siebie za wybranych przez Pana, a każdy, kto nie postępował zgodnie z ich zasadami lub zbaczał z drogi przez nich wytyczonej, winien spodziewać się pogardy.

Odwróciła głowę, słysząc za plecami krzyki. Rozbrykani uczniowie zbiegali po schodach; pewnie z powodu gorąca wypuszczono ich na przerwę. Nauczyciel stał na schodach i osłaniając dłońią oczy, patrzył w kierunku placu targowego. Rękawy koszuli podwinął niemal

do łokci. Kościsty i zgarbiony, sprawiał wrażenie udęzonego upałem i uczniami. Mali chłopcy z tej odległości wydawali się jednakowi, ale Caroline sądziła, że rozpoznaje czarne jak atrament głowy Daveya i Johna pośród biegającej po podwórzu szkolnym dzieciarni. Gdyby była pewna, że przyjmą ją chętnie, zawróciłaby, żeby z nimi pogawędzić. Zrobiła może sześć kroków, gdy zatrzymał ją w miejscu przeraźliwy wrzask.

- Wściekły pies! Wściekły pies!

Okręciła się na pięcie. Dorośli i dzieci rozprysnęli się na boki niczym liście niesione wiatrem, uciekając przed zagrożeniem, którego Caroline nie widziała.

- Wściekły pies! - Ponownie rozległo się ostrzeżenie. Mężczyźni i kobiety z dziećmi na rękach szukali schronienia.

Uczniowie pędzili drogą w kierunku Caroline. John, zwinny i szybki, prowadził, Davey biegł ostatni. Buzie chłopców wyrażały niebotyczne przerażenie, wszyscy porzucili książki i tabliczki.

- John! Davey! - zawołała Caroline bez namysłu. Upuściwszy koszyk, pobiegła im naprzeciw, choć John i ci najbliżej niego skęcili już ostro w lewo, by zejść z drogi gnającej bestii. Tylko Davey, słysząc znajomy głos, z wysiłkiem pobiegł prosto ku niej. Był czerwony i oczy miał szeroko otwarte ze strachu.

- Ciociu Caroline! - krzyknął. Wtedy też Caroline zobaczyła goniące go zwierzę.

Był to pies, mniejszy od Raleigha, choć w tym stanie wydawał się dorównywać wielkością Jakubowi; przysadzisty czarny kundel z dzikim wzrokiem i śliniącym się pyskiem, poznaczonym strumykami ciekącej piany. Szybko doganiał Daveya.

Caroline zareagowała instynktownie. Pobiegła ku chłopcu, który na swych krótkich nóżkach nie mógł uciec przed zwierzęciem, złapała go na ręce i rzuciła się ku pierwszemu miejscu oferującemu jakie takie bezpieczeństwo, małemu bukowi rosnącemu w rogu podwórza.

Usadowiwszy malca wysoko na gałęzi, uświadomiła sobie, że nie ma już czasu, by samej się wdrapać, nawet gdyby wąty pień utrzymał jej ciężar, poza tym spódnica bardzo utrudniałaby jej ruchy. Za plecami słyszała głośnie dyszenie psa.

Nie mogąc więc szukać innej kryjówki, przytuliła się do drzewa. Dreszcze przerażenia przebiegały jej po plecach, gdy w odległości zaledwie paru kroków widziała otwarty pysk z ostrymi zębami, z którego ciekła przynosząca śmierć ślina. Zbyt przerażona, by krzyczeć, Caroline uniosła obie ręce w bezskutecznej próbie powstrzymania psa - a potem, ku jej uldze, zwierzę minęło ją biegiem.

Kolana się pod nią ugięły i osunęła się miękko na ziemię.

- Ciociu Caroline! Ciociu Caroline!

Davey zszedł z drzewa, John zeskoczył z ganku, gdzie schronił się z innymi dziećmi, i obaj padli na kolana koło niej, by się upewnić, że nic jej się nie stało. Twarze mieli białe jak płótno. Caroline objęła ich i przytuliła. Znieśli to jakoś, a nawet miała wrażenie, że oddali jej uścisk. Przez długą chwilę trwali tak przy sobie, dochodząc do siebie po wstrząsie. Z oddali dobiegł odgłos wystrzału i okrzyk oznajmiający, że pies został zabity. Ponad głowami chłopców Caroline napotkała lodowate oczy wielebnego Millera, który wraz z innymi śpieszył obejrzeć trupa. Nic do niej nie powiedział, minął ją szybkim krokiem, wzbijając swą szatą tuman kurzu.

- Uratowałaś Daveyowi życie - odezwał się John, prostując się i spoglądając na nią z podziwem.

- Tak się bałem!

Mały wciąż tulił się do niej, więc Caroline zebrała się na odwagę i pogładziła go po jedwabistych włosach. Nie cofnął się, John też nie okazał oburzenia na ten czuły gest i Caroline uświadomiła sobie, że runęła ostatnia bariera, która ich od niej odgradzała.

- Nie miałam pojęcia, że potrafię tak szybko biegać - wyznała i nagle wszyscy troje zaśmiali się jak szaleni.

- Rzuciłaś mnie na drzewo, jakbym był piórkiem! - powiedział Davey.

- A ten pies gnał w twoją stronę, jakby chciał rozedrzeć cię na kawałki! - zawołał John.

- Myślałem, że już po tobie, ciociu Caroline - dodał Davey.

- Muszę przyznać, że też tak myślałam - odparła Caroline. Uściskała Daveya, poklepała Johna po ramieniu i pozwoliła, by pomogli jej wstać, jakby była trzęsącą się staruszką - zresztą wła-śnie tak się czuła. Mocno trzymając Caroline pod rękę, poszli z nią po koszyk.

Dorsz wypadł na drogę i do niczego się nie nadawał, zakurzony i rozdeptany, pozostałym zakupom natomiast nie stała się żadna szkoda. A potem chłopców wezwał nauczyciel. Caroline pomachała im na pożegnanie, zapewniając, że doskonale da sobie radę, po czym podreptała do domu Mary, gdzie padła na podłogę w kuchni. Trzeba było czasu, wielu okrzyków i dwóch kubków mocnej herbaty, by poczuła, że wróciły jej siły i może ruszyć w drogę powrotną.

Słońce stało nisko na zachodzie, zamglona, czerwona kula zalała świat pomarańczową poświatą. Leciutki wiatr wiał od strony srebrnej zatoki, poznaczonej białymi plamkami fal. Nawet woda wydawała się gorąca. Po raz pierwszy Caroline skręciła na ścieżkę pro

wadzącą do lasu z uczuciem bliskim przyjemności. W cieniu drzew będzie chłodniej.

Wciąż nieco roztrzęsiona po przygodzie z psem, trzymała muszkiet pod prawym ramieniem. Koszyk, ciężki od zakupionych produktów, niosła w drugiej ręce. Przed nią tańczyły w powietrzu kłębki kurzu. Nad głową miała baldachim z liści, już poczerwieniałych i złotych. Część zdążyła opaść na ziemię.

Nagle uwagę dziewczyny zwróciły dziwne znaki na pniu drzewa przy ścieżce. Podeszła bliżej i popatrzyła na niezrozumiałe symbole, które ktoś wyciął z widocznym staraniem. Przypominały pismo, jeśli jednak nim były, to Caroline nie potrafiła ich odczytać.

Zamyślona wróciła na ścieżkę - i niemal natychmiast ktoś lub coś skoczył jej na plecy. Krzyknęła przeraźliwie, potknęła się i upuściła muszkiet oraz koszyk, zaraz też upadła na ziemię, bo do jednego napastnika dołączyli inni. Do ust wepchnięto jej okropnie śmierdzącą szmatę, z czego Caroline wywnioskowała, że napadli ją ludzie. Ręce związane jej na plecach, a potem postawiono ją na nogi.

Ku swemu przerażeniu odkryła, że porywaczami była grupa dzikusów. Ich pomalowane ciała okrywały tylko przepaski, na nogach mieli mokasyny, a sądząc z wyglądu i zapachu, wysmarowali się mocno niedźwiedzim sadłem. Było ich sześciu.

Kiedy wleczono ją w las z dala od ścieżki, Caroline wydało się, że rozpoznaje jastrzębie rysy tego dzikusa, którego wcześniej widziała już dwukrotnie.

35

Tatku! Szkoda, żeś nie widział, co się dzisiaj stało w miasteczku!

-krzyczeli z podnieceniem chłopcy, wpadając do domu.

Matt, który bezskutecznie szukał Caroline, by ją przeprosić, co zamierzał zrobić poprzedniego dnia rano, gdy przeszkodził mu Daniel, puszczał słowa synów mimo uszu. Dopiero kiedy już kończyli, dotarł do niego sens opowieści. Pojął, że być może urzeczywistniła się jego najgorsza obawa: Caroline opuściła ich dom. Wieczorem przez cienkie ściany usłyszał, jak przeglądała zawartość kufrów, i ogarnął go strach, że chce odejść. A gdy otworzył drzwi i zobaczył ją, jak stała z tą po trzykroć przeklętą broszką w dłoni, ubrana w nocny strój, który o mało nie

pozbawił go zmysłów, ów strach zmienił się w coś twardego i bolesnego. Sporo wody w rzece upłynie, nim wybaczy sobie, że zniszczył rzecz tak drogą dla Caroline, choć poczynił już kroki, by jej to wynagrodzić. Obawiał się jednak, że minie dużo czasu, nim ona mu wybaczy. Z entuzjastycznej opowieści chłopców o spotkaniu z wściekłym psem i uratowaniu przez Caroline życia Daveyowi wynikał jeden wniosek: poszła do miasteczka i nie wróciła. Matt wcześniej skończył pracę, bo bardzo pragnął pogodzić się z Caroline. Wiedział, że zachował się niewybaczalnie, niszcząc broszkę. Źle też rozegrał sytuację po tym, gdy się kochali. Zranił uczucia dziewczyny, choć sam zakosztował największej z możliwych rozkoszy - tak postąpić mógł tylko najnędzniejszy z robaków. Czy nigdy nie pokona demona żądz, który dręczył go przez całe dorosłe życie? Przecież prędzej rękę by sobie uciął, niż świadomie skrzywdził Caroline.

A jego pożądanie było tym większe, że naprawdę mu na niej zależało. Kiedy ją brał, czułość pomieszana z namiętnością rozpałała go tak, jak nigdy przedtem.

A potem Daniel jeszcze bardziej zamącił już i tak błotnistą wodę. Matt niechętnie przyznawał się sam przed sobą, że ukochany brat wzbudził w nim tak wielką zazdrość.

Najgorsze zaś to, że doskonale zdawał sobie sprawę, iż Caroline lepiej by było z Danielem, który nie nosił blizn na ciele i duszy, a przez to mógł przyjąć jej miłość i odpłacić tym samym uczuciem bez groźby, że jakieś cienie z przeszłości zniszczą ich związek.

Podczas gdy on, Matt... no cóż, był taki, jakim uczyniło go życie.

Lecz zamierzał zdobyć Caroline, nawet gdyby musiał na czworakach wspiąć się po nią na ostre skały - albo ponownie pobić brata.

Chłopcy byli głodni, pośpiesznie więc postawił na stole ser, chleb, konfiturę i mleko, po czym ruszył do drzwi. Jeśli Caroline zostawiła malców, by sami o siebie się troszczyli, to musiała być na niego bardzo rozgniewana.

Niewykluczone, że nie ma zamiaru wrócić. Na tę myśl przeszył go przenikliwy ból. Do diabła z tym, powiedział sobie, i o mało nie zwałił z nóg Roba i Thoma, którzy tylnym wejściem wchodzili do domu.

- Dokąd się wybierasz? - zaskoczeni, ustąpili mu drogi.

- Sprowadzić Caroline do domu - warknął. - Zostańcie z chłopcami.

Gapili się na niego, nim jednak zdążyli zadać jakieś pytanie, już go nie było.

Szybkim, gniewnym krokiem zmierzał ku ścieżce prowadzącej przez las. Caroline naturalnie jest w domu Jamesa.

Musiał zebrać się w sobie, by zastukać w drzwi i wypytać Mary, czy jest u niej Caroline, ponieważ wpadło mu do głowy, że bratowa z pewnością usłyszała już o wydarzeniach w jego domu, od samej Caroline, Daniela lub Jamesa, a nie mógł znieść myśli, że poznała wszelkie intymne szczegóły. Jeśli jednak w uśmiechu Mary kryła się kpina, a w oczach błyskała radość, gdy zapewniała go, że nie, Caroline tu nie ma, to sens jej słów szybko stłumił zakłopotanie Matta i jej uciechę.

Gdzież więc jest Caroline, skoro nie ma jej ani w miasteczku, ani w domu?

Mary, niemal tak samo teraz zatroskana jak Matt, potwierdziła, że przed kilkoma godzinami Caroline wyruszyła w drogę powrotną do domu; tak, właśnie tam się wybierała. I nie, nie uciekła z Danie-lem (Matt z wielkim trudem podjął tę kwestię, lecz owa myśl opano-wała jego umysł i nie był w stanie się od niej wyzwolić), ponieważ poprzedniego dnia Daniel razem z Jamesem pojechał do Nowego Londynu.

Kiedy więc ta ostatnia możliwość została wykluczona, Matta ogarnęło przerażenie. Znał, lepiej niż inni, niebezpieczeństwa grożące w lasach. Najpierw pomyślał o czarownicach, ale sabaty odbywały się tylko głęboką nocą i przy określonych fazach księżyca. Caroline zniknęła w dzień, tak więc nie mogła wpaść w ręce tych, którzy chcieli uznać jej siostrę za swoją.

Matt ruszył w drogę powrotną. Trzymając wysoko latarnię pożyczoną od Mary, musiał iść denerwująco powoli, by nie przeoczyć najmniejszego nawet śladu. Przez cały czas rozważał ewentualne wypadki, które mogły przydarzyć się Caroline.

Upadła i teraz leży gdzieś nieprzytomna; może nawet minął ją, gdy śpieszył do miasteczka. Napotkała trapera, a ów na wpół dziki brutal uprowadził ją Bóg wie dokąd. Napadł ją górski lew, a może wilk...

Kiedy jednak odnalazł koszyk i muszkiet, leżące przy ścieżce niezbyt głęboko w lesie, nieomylnie znaki wskazały na rozwiązanie, które nawet Mattowi nie przyszło wcześniej do głowy.

Caroline została porwana przez Indian! Lodowaty strach wypełnił mu serce i Matt biegiem ruszył do domu, modląc się o bezpieczeństwo Caroline.

Przez całą noc i następny dzień Carołine ciągle popychano, szturchano i wleczono, by zmusić ją do dotrzymania kroku niezmożonym prześladowcom. Robili krótkie tylko przerwy na jedzenie, wcale nie zamierzali spać i od czasu do czasu coś mówili, wydając niezrozumiałe dla Carołine dźwięki. Kiedy po raz nie wiadomo który potknęła się, a oni pojęli, iż powodem jej niezgrabnych kroków jest długa spódnica, skrócili ją do kolan, odsłaniając nogi, okryte teraz tylko pończochami. Caroline serce ścisnęło się z przerażenia, gdy ostrze przeszło przez szarą tkaninę sukni i białą halkę. W głowie zamajaczyły jej straszliwe wizje gwałtu i morderstwa. Nóż jednak nie dotknął ciała, a porywacze, choć byli dzikusami, nie wykazywali najmniejszego zainteresowania nią jako kobietą. Wyjęli knebel, wsunęli jej w usta dziwnie smakujący chleb i niecierpliwie czekali, póki nie zjadła. Potem dali jej się napić wody z worka z jeleniej skóry, ponownie zakneblowali usta i powlekli dziewczynę wzdłuż rzeki Connecticut w przeciwnym kierunku do jej biegu.

Płynąca wartko błękitna rzeka była szeroka i piękna, z porośniętymi trawą wysokimi brzegami, otoczonymi lasem. Pod koronami drzew upał wydawał się odległym wspomnieniem. Powietrze nie było tu chłodne, lecz wręcz zimne.

Caroline z trudem podnosiła nogi, obawiała się jednak, że jeśli Upadnie ze zmęczenia, Indianie poderzną jej gardło i zostawią zwłoki na pożarcie wilkom. Zacisnęła więc zęby, odeгнаła tę wizję z myśli i dokładała starań, by dotrzymać kroku swej milczącej eskorcie. Kiedy wreszcie, niemal o zachodzie dnia następnego, zatrzymali się nagle, z ulgą padła na kolana. Jeśli tej nocy także nie dadzą jej spać, rano nie będzie mogła dalej iść. I co wtedy się z nią stanie? Przeszedł ją dreszcz.

Pomiędzy drzewami rozległy się ptasie wołania. Minęło trochę czasu, nim Carołine uświadomiła sobie, że pochodzą one z gardła przywódcy. Kiedy gdzieś z bliska nadeszła odpowiedź, jeden z Indian szarpnięciem postawił dziewczynę na nogi i popchnął w tym kierunku.

Nicznym regiment wojska prowadzący więźnia, porywacze otoczyli ją ciasnym kręgiem i wkroczyli pomiędzy drzewami do indiańskiego obozu.

Położony był w pięknej, dobrze chronionej dolinie, na brzegu niewielkiego jeziora, którego woda miała barwę ciemnego błękitu. Wioskę tworzyły ze dwa tuziny chatek, nieregularnych piramid z patyków i słomy, tak postrzępionych jak stogi siana. Przed każdą płonęło małe ognisko. Kobiety w bezkształtnych, podartych ubiorach podniosły głowy znad gotującej się stawy, by obojętnie przyjrzeć się nowo przybyłym. Dzieci i psy obserwowały ich z większym nieco zainteresowaniem; część z tych pierwszych porzuciła zabawę, by otoczyć kręgiem idącą grupkę, kilka z tych drugich powitało gości szczeniem.

Caroline zaprowadzono do głównego ogniska, przy którym siedzieli czterej mężczyźni o oczach tak czarnych jak włosy i podawali sobie z rąk do rąk ozdobioną piórami fajkę. Kiedy przywódca porywaczy podszedł do ognia, wyglądający na najstarszego mężczyzna wstał i obaj wymienili powitania. Później przywódca, wysoki, muskularny i zdaniem Caroline całkiem młody, wykonał gest dłonią. W odpowiedzi jeden z grupki dzikusów szarpnął ją i postawił przed otulonym w koc starcem.

Jego skóra miała barwę mahoni, załzawione oczy, otoczone siateczką zmarszczek, były inteligentne. Pod kocem rysowały się szerokie ramiona. Gruby nos i usta wąskie niczym kreska przecinały kwadratową twarz, surową i budzącą strach. Caroline poczuła nowy przyływ przerażenia, kiedy uświadomiła sobie, że to wódz i od niego zależy jej los.

Na jego znak wyjęto jej knebel i rozwiązano ręce. Roztarta nadgarstki, przesunęła językiem po spieczonych ustach i czekała. Starzec zmierzył ją wzrokiem.

- Ty mądra niewiasta? - zapytał. Jego angielszczyzna była gardłowa, lecz zrozumiała.

Caroline zamrugła. Wszystkiego się spodziewała, tylko nie tego, że zostanie powitana w swym ojczystym języku. Otworzyła usta, by zaprzeczyć, ale zaraz je zamknęła i potwierdziła skinieniem głowy. Wstrzymując oddech, spojrzała, by się przekonać, czy ta odpowiedź zadowoliła wodza.

- Dobrze. Tak słyszeliśmy od naszych braci, którzy chodzą do miasteczka na handel. Mówili, że swymi lekami odgoniłaś wielkiego ducha śmierci od swego mężczyzny. Mamy tu chorobę. Chodź.

I odwrócił się, zmierzając ku jednej z chat. Lekkie szturchnięcie w plecy upewniło Caroline, że ma za nim pójść.

Kiedy schylona weszła do chaty, w nozdrza uderzył ją odór choroby, od którego zrobiło jej się niedobrze. Z płonącego pośrodku ogniska dym unosił się na zewnątrz przez dziurę w stromym dachu, ale też zapełniał chatę kłującą w oczy mgłą. Uklepaną ziemię pokrywały śmieci. Młoda kobieta siedziała w kucki przy legowisku, na którym leżała bezwładnie inna dziewczyna, po samą brodę przykryta kocami. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest bardzo chora.

- Ta gorączka zabiła sześciu z naszego plemienia. Nasze leki nie pomagają. Więc myślimy, że to choroba białych. Potrzeba nam leków białego człowieka. Pomożesz mojej córce.

I nagle wszystko stało się jasne. Caroline odczuła taką ulgę, że zakręciło jej się w głowie, bo pojęła, że wcale nie chcą zrobić jej krzywdy. Kiedy jednak patrzyła na chorą dziewczynę, przyszło jej na myśl, że być może nie zdoła wyleczyć córki wodza. A jeśli dziewczyna umrze, czy ją wtedy zabijają?

- Spróbuję - rzekła ostrożnie i uklękła obok legowiska. Druga *squaw* cofnęła się, - by zrobić jej miejsce. Skóra chorej, gdy Caroline lekko ją musnęła, była rozpalona i sucha. Dziewczyna leżała nieprzytomna.

- Jak długo jest w tym stanie? - zapytała Caroline starca.

- Od dwóch dni. Inni umarli na trzeci.

Druga dziewczyna powiedziała coś do wodza, który przetłumaczył to Caroline:

- Wymiotowała, wyrzuciła z siebie dużo płynu, który wyglądał jak ryżowa woda. Moja druga córka Ninaran powiada, że jej siostra Pinochet jest poważnie chora.

- Zrobię, co w mojej mocy - zapewniła ich Caroline.

Przez następne godziny razem z Ninaran przede wszystkim poily chorą. Caroline rozpoznała część medykamentów używanych przez Indian, zastosowała też sposoby swej matki i miała wrażenie, że nastąpiła nieznaczna poprawa. Gorączka jednak tak się podniosła, że Caroline

obawiała się, iż może zabić Pinochet, więc z pomocą Ninaran i dwóch innych kobiet owinęła dziewczynę w mokre koce, tak jak wcześniej postąpiła z Mattem. Gdy niebo rozjaśniały pierwsze promienie światła, nie było już wątpliwości, że chora czuje się lepiej. Caroline oznajmiła wodzowi, że przy troskliwej opiece jego córka odzyska zdrowie. Dla siebie zachowała przekonanie, że jej interwencja nic tu nie pomogła. Bóg zdecydował, że Pinochet będzie żyła, albo też jej ciało sprzeciwiło się własnemu przeznaczeniu. Gdyż kilka godzin wcześniej, zanim gorączka spadła, intuicja i umiejętności lecznicze mówiły Caroline, że dziewczyna umrze.

Tak zmęczoną, że ledwo widziała na oczy, wyprowadzono ją wreszcie od chorej i pozwolono się przespać. Obudziła się późnym popołudniem. W chacie była *squaw*, niespuszczająca z niej wielkich oczu, nie próbowała wszakże powstrzymać Caroline, gdy ta wyplątała się spod przykrycia i skierowała do wyjścia.

Dzień był szary, zaskakująco chłodny w porównaniu z panującym poprzedniego dnia upałem i zupełnie bezwietrzny. Caroline ruszyła w kierunku chaty, w której, jak jej się zdawało, leżała Pinochet. Nie pomyliła się. Sprawdziwszy stan chorej i przeprowadziwszy z Ninaran rozmowę na migi, Caroline wyszła na poszukiwanie jedzenia.

Tak jak wcześniej, przy centralnym ognisku siedzieli trzej owinięci w pledy starcy i podawali sobie fajkę. Korpulentna niewiasta mieszała łyżką w garnku zawieszonym na trójnogu nad ogniem; dobywał się z niego smakowity aromat. A ponieważ Caroline przestała właściwie obawiać się Indian, bez wahania skierowała się ku całej czwórce.

Gdy była przy nich, do obozu wjechał jeździec na koniu.

Jeździec po same uszy okutany był w bobrowe futro, na głowie miał czarny kapelusz z wielkim rondem, który zasłaniał mu twarz. Mimo to Caroline od razu go rozpoznała.

- Matt! - krzyknęła wesoło, zapominając całkiem o kłótni. Jej myśli wypełniły przede wszystkim ulga i radość z jego widoku.

- Ach - mruknął wódz ze zrozumieniem i wstał, podczas gdy wojownicy otoczyli Matta kręgiem. - Twój mężczyzna?

Caroline skinęła głową i w towarzystwie wodza pośpieszyła w stronę przybyłego, któremu młodzi członkowie plemienia blokowa-li wjazd do

obożu. Matt sprawiał wrażenie nieuzbrojonego, w dłoniach Indian Caroline także nie widziała broni, orientowała się jednak, że jeśli coś pójdzie nie tak, sytuacja bardzo szybko może przybrać niebezpieczny obrót.

Wojownicy rozstąpili się przed wodzem, Matt zeskoczył z siodła. Stał wyprostowany jak struna, wzrok miał czujny, wyraz twarzy poważny. Pośpiesznie obrzucił spojrzeniem nadchodzącą Caroline, najwyraźniej chcąc się upewnić, że nie spotkała jej żadna krzywda. Jej powitalny uśmiech musiał rozproszyć obawy Matta, bo mniej teraz zaciskał szczęki. Mimo to złapał ją pod ramię i przyciągnął do siebie.

- Jestem Habocum, wódz Corchaugów - oznajmił wódz. - Przybyłeś po swoją kobietę.

To było stwierdzenie, nie pytanie, lecz Matt skinął głową. -Tak.

- Uczyniła nam wiele dobrego. Moja najmłodsza córka umierała, a twoja kobieta przywróciła ją do życia. Obdarowalibyśmy i ciebie, i ją wieloma rzeczami, gdyby biały człowiek nie odebrał nam prawie wszystkiego i teraz niewiele możemy dać. Ale bardzo wam dziękujemy.

- Naprawdę nie mą za co - odezwała się Caroline do wodza. Powiedziałyby więcej, gdyby spojrzenie Matta jej nie uciszyło.

- Teraz zabiorę ją do domu - zwrócił się Matt do Habocuma.

- Będziecie potrzebowali żywności na podróż i koców. Niebiosa zapowiadają śnieg - odrzekł wódz.

Obiecane zapasy szybko zostały przytroczone do siodła, z wyjątkiem jednego wielobarwnego koca, którym Matt opatulił Caroline. Nie skończyła jeszcze udzielać wodzowi ostatnich instrukcji dotyczących opieki nad Pinochet, które ten przyjmował z powagą, gdy Matt posadził ją na siodle i sam za nią wskoczył. Habocum uniósł dłoń w pożegnalnym geście, na co Matt odpowiedział lekkim pochyleniem głowy, po czym spiął konia i ruszył galopem. Gdy mijali ostatniego ujadającego kundla, kobiety zajęte były rozbieraniem chat. Gaszono ogniska, dobytek wiązano w tobołki. Było jasne, że Indianie likwidują wioskę i szykują się do drogi.

- Zachowałeś się niegrzecznie - powiedziała Caroline oskarżycielskim tonem, kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku i słuchu Indian.

- Niegrzecznie? - powtórzył Matt zdziwiony. - To był Habocum, moja malutka. Kilka lat temu wypowiedział osadnikom wojnę, która zdziesiątkowała całe osiedla niedaleko Wethersfield. Pokonano go, z plemienia Corchaugów zostały niedobitki, ale nigdy go nie pojmano i od tamtej pory ciągle się wymyka. Jest znany ze swego okrucieństwa i nienawiści do białego człowieka. Uważam, że mieliśmy wielkie szczęście, uchodząc z życiem. Nie było powodu dłużej się ociagać i dawać mu czasu na zmianę zdania.

- Przyjechałeś sam? - Dopiero teraz Caroline zaczęła uświadamiać sobie odwagę, jaką wykazał się Matt.

- Nie chciałem marnować czasu na zbieranie ochotników w miasteczku, a James i Dan wyjechali. Rob i Thom to gorące głowy, nie zawsze sprawdzają się w takich sytuacjach, a zresztą musieli zostać w domu. No i

nauczyłem się w czasie moich kontaktów z Indianami, że lepiej reagują na pojedynczego, rozsądnego człowieka niż uzbrojoną grupę. Poza wszystkim jeśli miałem cię odzyskać, musiałem działać szybko.

Obawiałem się tego, co mogę zastać, jeśli będę zwlekał.

Na myśl, że Matt bał się o nią, Caroline uśmiechnęła się i oparła głowę o futro okrywające jego pierś. Ubrany był dla ochrony przed zimnem w długi do kostek płaszcz i buty do kolan, kapelusz z szerokim rondem i skórzane rękawice. Oczy miał podsinione ze zmęczenia i granatowoczarny zarost na policzkach, jako że od półtora dnia się nie golił. Mimo to wyglądał tak pięknie i męsko, że patrząc na niego, Caroline zadrżała. Odkąd go znała, rzadko jeździł konno, lecz w siodle trzymał się swobodnie, a koń, który całe dni spędzał na pastwisku, zachowywał się potulnie jak baranek. Wyglądało na to, że cokolwiek Matt robi, robi dobrze. Z wyjątkiem śpiewu, pomyślała i znowu się uśmiechnęła.

Jadąc tak przed nim na siodle, Caroline była wyczerpana, lecz zadowolona. Przez gruby koc wyczuwała silne mięśnie ramienia, którym obejmował ją w talii, by nie spadła, i muskularnych ud, które otaczały jej pośladki. Usadowiła się wygodniej i mocniej przytuliła do Matta.

Pogodziła się z prawdą: kocha tego irytującego, nie do zniesienia człowieka. Miała zamiar go zdobyć, jego i nikogo innego, bez względu na to, ile to będzie ją kosztowało wysiłku.

- Ucieszyłam się na twój widok - wyznała.

- Ja też się ucieszyłem, zwłaszcza że byłaś żywa i cała - odparł sucho.

- Myślę, że w gruncie rzeczy nic mi nie groziło.

- Szkoda, że o tym nie wiedziałem. Przez te ostatnie półtora dnia straciłem sporo lat życia.

- A co byś zrobił, gdyby nie chcieli mnie wypuścić? - Zadrżała, wyobrażając sobie krwawą potyczkę.

Bo choć Matt był tak odważny i wspaniały, na pewno by go pokonali. Jest przecież rolnikiem, a nie żołnierzem, w dodatku nikt mu nie towarzyszył. Jak mógłby walczyć z całym plemieniem Indian?

- Byłbym na coś cię wymienił. - Kącikiem oka zauważyła, że Matt lekko się uśmiecha. - Konia, płaszcz, futro, cokolwiek by chcieli. Wziąłem nawet ze sobą kilka skór. A także poćć boczku i dwa dzbany rumu.

Właściwie nie wątpiłem, że uda mi się namówić ich na handel, jeśli zastałbym cię całą i zdrową. - Przerwał i po chwili z pewnym napięciem zapytał: - Nic ci się nie stało, prawda? Nie skrzywdzili cię?

Caroline pokręciła głową.

- Jestem zmęczona i umieram z głodu, to wszystko. Naprawdę się bałeś, kiedy odkryłeś, że zaginęłam, Matt?

- Troszeczkę.

Szturchnęła go ramieniem. Jęknął, choć przypuszczała, że przez grube futro ledwo to poczuł.

- Kiedy się przekonałem, że cię nie ma, a potem znalazłem koło ścieżki koszyk i muszkiet... wiesz, mam nadzieję, że już nigdy nie przeżyję takiej chwili.

To szorstkie wyznanie sprawiło, że serce Caroline na moment przestało bić. Tak wiele pragnęła mu powiedzieć, a jeszcze więcej usłyszeć od niego, ale była wyczerpana i usypiał ją miarowy kłus konia. Rozmowę, o którą jej chodziło, najlepiej będzie odłożyć, aż w pełni odzyska panowanie nad sobą.

- Jak myślisz, czy możemy się zatrzymać i coś zjeść? - Tylko na to było ją teraz stać.

- Nie nakarmili cię? - Nie zatrzymując konia, odwrócił się w siodle i z przytroczonej torby wyjął jabłko. - Wolałbym jechać, zanim zmieni się pogoda. Mam nadzieję, że dopóki nie zatrzymamy się na postój, to uchroni cię przed śmiercią głodową.

Caroline wbiła zęby w czerwoną skórkę. Owoc, kwaskowaty i soczysty, smakował niczym nektar. Zjadła go niemal do końca, zostawiła tylko cieniutki ogryzek, który rzuciła na ziemię, po czym oblizała palce. Spojrzała na Matta, spodziewając się, że będzie obserwował ją z rozbawieniem. On jednak z namysłem patrzył w niebo, widoczne przez gołe miejsca w koronach drzew.

- Czy coś się stało? - zapytała, zmartwiona wyrazem jego twarzy.

- Jeśli się nie mylę, to nim zapadnie noc, spadnie śnieg.

- Ale do tego czasu nie zdążymy wrócić do domu!

- Nie.

-I co zrobimy?

- Jeśli nadejdzie śnieżycy, gdzieś się ukryjemy, a jeśli nie, pojedziemy dalej. Już tak robiłem.

- Robiłeś?

- Wiele razy na początku naszego pobytu tutaj, nim powstało miasteczko i zbudowaliśmy dom. Zdziwiłabyś się, widząc, jak dzika była ta część kraju.

A ponieważ w jej oczach nadal była dzika, Caroline uznała, że przedtem musiało tu być jeszcze bardziej przerażająco. Teraz jednak, gdy zaspokoila pierwszy dokuczliwy głód, władzę nad nią zaczęła obejmować senność. Otulając się mocniej kocem, oparła głowę o Matta i uśmiechnęła się do niego.

- Wyglądasz na zmordowaną, malutka - odezwał się niemal z czułością. - Czemu więc nie zaśniesz? Możesz mi zaufać, że bezpiecznie dowiozę cię do domu.

- Wiem, ale wcale nie jestem aż tak zmęczona. -Nie?

- Nie.

Nic nie odrzekł, tylko mocniej objął ją w pasie. Jechali dalej do domu, kierując się wzdłuż rzeki, która dla Matta była niczym mapa. Usypiana łagodnym kołysaniem, ciepłem jego ciała i świadomością, że jest przy nim bezpieczna, Caroline zamknęła oczy. Tylko na chwilę, by dać odpocząć ciężkim powiekom.

Zaraz też zapadła w sen. A kiedy spała, zaczął sypać śnieg.

Obudził ją nagły bezruch. Otworzyła szeroko oczy, przez chwilę nie widząc nic poza wirującą bielą, i poczuła się zdezorientowana. Zrozumiała, że siedzi na koniu, a Matt krzyczy jej coś do ucha i że ta oślepiająca kurtyna przed jej oczyma to niesiony wiatrem śnieg.

- Co? - zapytała, lecz wicher ją zagłuszył. Wiedziała jednak, że nie musi się martwić. Matt, mocniej chwytając ją w pasie i drapiąc zarostem w ucho, ryknął:

- Nie uda nam się! Musimy gdzieś się schronić.

- Ale gdzie? - To pytanie jednak także uleciało ze śniegiem. Matt zsiadł z konia i Caroline dotkliwie odczuła brak jego ciepła

i ciała za plecami. Wiatr bił w nią, kłując lodowatymi igielkami w twarz, bo Matt niechcący zsunął koc, którym pewnie osłonił ją, gdy spała.

Caroline zadrżała i przywarła do siodła z trudem łapiąc oddech. Jak to możliwe, że z dnia na dzień temperatura aż tak się zmieniła?

Matt krzyczał coś, czego nie rozumiała. Kiedy wszakże wyciągnął do niej ramiona, pochyliła się, by mógł ją zdjąć i postawić na ziemi. Dywan liści pokrywała teraz gruba biała połyskliwa warstwa. Śnieg wciąż padał z nieba barwy ołowiu, porywisty wicher zbijał go w grudki, które przywierały do pni drzew i kamieni. Matt wskazał coś, co wyglądało jak lita skała, a choć Caroline nie rozróżniała słów, bez protestu pozwoliła, by ją w tamtym kierunku poprowadził. Koń, wlokąc po ziemi wodze, został za nimi.

Śnieg zniekształcał widoczność, tak więc dopiero przy samej skale Caroline dostrzegła, że jest w niej płytkie zagłębienie. Nie była to prawdziwa jaskinia, lecz dziura głęboka na jakieś pięć kroków i szeroka na cztery, która wyglądała tak, jakby olbrzym odgryzł kawałek głazu.

Matt wszedł do środka, Caroline za nim. Odczuła błogosławioną ulgę, gdy nagle śnieg przestał uderzać ją w twarz, a wiatr huczeć w uszach.

- Musimy tu zostać, aż pogoda się zmieni.

Matt już nie krzyczał, sprawdzał grubość warstwy liści na ziemi.

Caroline, drżąc pod kocem, przyjrzała mu się uważnie. Śnieg błyszczał na rondzie kapelusza i niczym paciorki zdobił ciemne futro. Oczy Matta stały się bardzo błękitne w mrocznej jaskini.

- Zamarzniemy - zaprotestowała, lecz potrząsnął głową.

- Zostaniesz tu, a ja przyniosę rzeczy - odrzekł, po czym wyszedł na śnieżyce. Najwyraźniej zamierzał wziąć wszystko, co potrzebne do założenia obozu, a przecież jej pomoc mogła mu się przydać.

Caroline nie spodziewała się, że ją doceni, z drugiej zaś strony wątpiła, czy będzie chciał tracić czas na związanie jej, bo to właśnie musiałby zrobić, żeby ją powstrzymać. Zaciskając zęby w oczekiwaniu na jego reakcję, mocniej otuliła się kocem i wyszła z jaskini.

Mimo iż koń i Matt oddaleni byli o jakieś sześć kroków, Caroline widziała tylko wirujący mrok. Matt nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, dopóki przy nim nie stanęła. Obrzucił ją surowym spojrzeniem, lecz nie próbował nic mówić, bo wiatr i tak zagłuszyłyby słowa. Pośpiesznie podał jej tobołki odwiązane od siodła i odwrócił ją twarzą do jaskini. Sam szedł za nią, niosąc dzbany, torby i uprząż. Rzucił to wszystko na stos tuż koło wejścia, tylko dzbany potraktował z większą uwagą. Później się wyprostował, spoglądając na Caroline gniewnie spod zmarszczonych brwi.

- Kazałem ci zostać tutaj i mówiłem poważnie - rzekł ostro. - Ja jestem ubrany stosownie do pogody, a ty nie. Sam o wiele szybciej zrobię to, co trzeba, jeśli nie będę musiał martwić się o ciebie. Skoro chcesz czymś się zająć, przejrzyj nasze rzeczy. Za godzinę już stąd nie wyjdziemy i nie mam czasu na kłótnie.

Po tych słowach wyszedł ponownie. Caroline patrzyła za nim, a później zajęła się zapasami. Matt miał rację, nie była odpowiednio ubrana, a koc, choć ciepły, przemókł od topniejącego śniegu. Caroline strzepnęła go i ha nowo się otuliła, po czym zabrała się do przeglądania rzeczy.

Po godzinie wejście do jaskini zasłonięte było połamanymi gałęziami, które Matt przyniósł i oparł o skalną półkę stanowiącą dach. Pozostawił niewielki otwór w prowizorycznej ścianie, żeby dym z ogniska miał którędy uchodzić. Koło wejścia wznosił się stos chrustu.

Matt klęczał i starannie układał gałązki na podpałkę. Kiedy otworzył muszkiet, by posypać je prochem, a potem wyjął zamek i spust, które posłużyć mu miały do skrziesania iskry, Caroline dłużej nie wytrzymała. Bał się śmiertelnie ognia, choć nie zdawał sobie sprawy, że ona o tym wie. Przez jakiś czas obserwowała go ukradkiem, dostrzegając po

nury błysk w oczach i coraz bardziej napięte szczęki. A ponieważ palce, w których trzymał prowizoryczne krzesiwo, lekko mu drżały, nie mogła dłużej milczeć, nawet jeśli miała zostać zraniona jego męska duma.

- Ja to zrobię, jeśli pozwolisz - rzekła energicznie. Z jej ust wydobyły się obłoczki pary. Bardzo potrzebowali ognia.

Matt spojrział na nią, mrużąc powieki. Przerwał jednak swoje zajęcie, wdzięczny, jak podejrzewała, za chwilową zwłokę.

- Co zrobisz?

- Rozpalę ogień. Ty możesz wyjść i zobaczyć, co dzieje się z tym biednym koniem, jeśli chcesz mieć jakieś zajęcie.

- Puściłem go wolno. Lepiej sobie poradzi niż my i przypuszczalnie znajdzie drogę do domu. Ale czemu ty miałabyś rozpać ogień?

- Bo jest to zajęcie, do którego mam szczególny talent. To niesprawiedliwe, żebyś tylko chwalił się swoimi umiejętnościami.

Ale Matt, zamiast potulnie przekazać jej zamek i spust, korzystając z pretekstu do wymówienia się od budzącego w nim grozę zajęcia, czego oczekiwała Caroline, wyprostował się na całą wysokość, w kapeluszu sięgając niemal górnej ściany jaskini.

- Więc wiesz, tak? - zapytał. Z jego tonu jasno wynikało, że nie jest z tego zadowolony. - Przypuszczam, że Mary wszystko ci wygadała. Jeśli jakiś mężczyzna nie umie utrzymać języka za zębami, to na pewno jest nim James Mathieson!

Ze sposobu, w jaki Matt wycodził imię brata, Caroline wysnuła wniosek, że gdyby biedny James był tutaj, czekałaby go niezła reprimenda, jeśli nie coś gorszego.

- I tu się mylisz - odrzekła i korzystając z jego nieuwagi, wyjęła mu z ręki krzesiwo, po czym uklękła przy ognisku.

. Wystarczyło, że kilka razy potarła zamek o spust, by iskry posypały się na drewno. Nachyliła się i zaczęła dmuchać, żeby płomień jak najszybciej ogarnęły gałązki

Caroline odłożyła krzesiwo na bok i wstała. Matt cofnął się na odległość kilku dobrych kroków. Policzki miał zaczerwienione, choć powodem równie dobrze mogło być zimno, jak i zakłopotanie. W jego oczach błyskała czujność.

Im mniej się mówi na ten temat, tym lepiej, pomyślała Caroline, czując, jak ciepło zaczyna się rozlewać po jaskini. Z zainteresowaniem spojrzała na zgromadzony prowiant.

- Czy to Daniel ci powiedział? - zapytał Matt. Kapelusz rzucał cień na jego twarz, tak że trudno było zgadnąć, co myśli.

- Nie. - Czują, że nie spodobają mu się okoliczności, w jakich poznała jego sekret, nie zamierzała więc się nad tym rozwodzić. Pochyliła się i wzięła kilka płatów suszonego mięsa, które dostali od Indian.

Do ust napłynęła jej ślina, gdy aromat dymu uderzył ją w nozdrza.

Kolejnym punktem na liście potrzeb jest wieczerza, zdecydowała. - Jak sądzisz, to królik czy sarnina?

Spojrzał na mięso z namysłem, choć jej pytanie wyraźnie go rozbawiło.

- Przypuszczalnie pies.

- Pies! - Wstrząśnięta Caroline rzuciła mięso, jakby ją paliło. Mimo że nigdy nie była wielbicielką Raleigha, to myśl o jedzeniu jego braci wydała jej się ohydna.

- Indianie uważają to za przysmak. - Matt podniósł mięso i starannie odłożył na miejsce. - Poczekaj trochę z tą pogardą. Może jeszcze będziemy się cieszyć, że to mamy, nim wrócimy do domu.

- A kiedy według ciebie wrócimy? - Caroline wybrała tłustą wędzoną kiełbasę, którą Matt przywiózł ze sobą. Z indiańskim chlebem i jabłkami tworzyła pożywny posiłek.

- Kiedy przestanie padać śnieg.

Odwróciła się w stronę ogniska, zamierzając przy nim usiąść i pokroić chleb i mięso. Poprzez koc Matt ujął ją za rękę.

Caroline spojrzała na niego pytająco. Głową nie sięgała mu brody, choć jak na kobietę była wysoka. Dłoń trzymająca ją pod ramię była wielka i dość silna, by złamać jej rękę. Jednakże jego uścisk był delikatny. Tylko oczy miał twarde, wydało jej się, że widzi w nich obronny błysk, kiedy na nią spoglądały.

- Powiesz mi, jak się dowiedziałaś, że mam... awersję... do ognia, czy chcesz, żebym całą noc zgadywał? - zapytał tonem, w którym porzmięwały zarówno ironia, jak i gniew; Caroline pomyślała, że chyba w ten sposób pragnął ukryć wstyd.

Westchnęła.

- Pozwól, że najpierw zajmę się jedzeniem. To potrwa minutkę, a ja umieram z głodu i dłużej już nie wytrzymam. Potem wszystko ci opowiem, choć ostrzegam, że to ci się może nie spodobać.

- W to nie wątpię - mruknął Matt.

Podczas gdy Caroline szybko kroїła jedzenie, on zgarnął liście pod prawą ścianę jaskini - niezbyt blisko płomieni, zauważyła, obserwując go spod oka - i rozłożył na nich derkę, po czym wziął jeden z dzbanów i postawił przy ognisku.

- Żeby się ogrzał - wyjaśnił, podchwytyjąc jej spojrzenie.

- Rum? - zapytała, przekrzywiając głowę. Uśmiechnął się, słysząc nagane w jej głosie.

-Tak. " "

- Nie sądziłam, że purytanie piją rum.

- Purytanie mają wiele wad, moja malutka, o których dotąd jeszcze nie wiesz.

Caroline podała mu jego porcję i oboje usiedli na posłaniu. Z plecami opartymi o skałę jedli przez chwilę w milczeniu. Pierwszy odezwał się Matt:

-No i ?

Przełknąwszy chleb i kielbasę, sięgnęła po jabłko. Odgryzła spory kęs, przeżuła i dopiero wtedy odpowiedziała:

- Kiedy leżałeś nieprzytomny z gorączki, jak przygniotło cię drzewo, miałeś... zły sen - zaczęła wyjaśniać z ociąganiem. - Z twoich majaczeń zrozumiałam, że boisz się ognia.

Chętnie by na tym poprzestała, lecz on jej nie pozwolił.

- Zły sen? I co, przez sen wszystko ci opowiedziałem? Otworzyła usta, by ugryźć kolejny kęs, ale wyjął jej owoc z dłoni.

Powiodła za jabłkiem tęsknym spojrzeniem, lecz wyraz twarzy Matta sprawił, że zapomniała o jedzeniu. Sprawiał wrażenie, jakby się przed nią zamknął. Caroline przypomniała sobie, że taki był na początku ich znajomości: chłodny i daleki. Nie mogła znieść myśli, że znowu tak się będzie zachowywał.

- Daniel powiedział mi, że Elizabeth podpaliła stodołę, a ty, ratując żonę, doznałeś ciężkich obrażeń - tłumaczyła wyraźnie, patrząc mu prosto w oczy, dostrzegła więc, że skrzywił się jak po ciosie. -A powiedział mi o tym, bo kazałam napalić w kominku w twoim pokoju. Kiedy się obudziłeś i zobaczyłeś płomienie, ogarnęła cię panika i zacząłeś krzyczeć.

Matt rzucił jej szybkie spojrzenie oczu teraz granatowych jak niebo o północy. Zaciśnął zęby, policzki z wolna zaczaj mu zalewać ciemny rumieniec, wywołany - tego była pewna - wstydem, że poznała jego sekret.

- Więc zrobiło ci się mnie żal i postanowiłaś mnie ochronić,, proponując, że sama rozpalisz ogień. - Wysilek, z jakim ukrywał ból, sprawił, że Caroline ścisnęło się serce. Odwróciła się ku niemu, kuląc nogi pod okryciem.

- Nie zrobiło mi się ciebie żal, Matt - odrzekła. - Ja to rozumiem.

Kiedy wysunęła dłoń, by dotknąć blizny na jego twarzy, Matt odsunął się gwałtownie i wstał.

- Nie chcę twojego „zrozumienia” - wycedził przez zaciśnięte mocno wargi.

- Matt... - zaczęła, lecz już był przy wyjściu. - Dokąd idziesz? -zawołała za nim zatroskanym głosem, podnosząc się z miej sca.

- Na spacer. - Zerknął na nią przez ramię. - Nie martw się, Caroline, wrócę.

Odsunął gałęzie i wyszedł.

38

Jego nieobecność nie trwała długo, lecz Caroline wydawało się, że minęło mnóstwo czasu. Poczowała wielką ulgę, gdy wrócił i zaczął otrzepywać ze śniegu buty i kapelusz. Oczywiście wiedziała, że w charakterze Matta nie leży samozniszczenie, że jest twardym, dojrzałym mężczyzną, który potrafi dać sobie radę z trudami życia, mimo to martwiła się, sama bowiem doskonale wiedziała, jak bolesne bywają takie blizny.

- Jak jest na zewnątrz? - zapytała, pomagając mu strząsnąć śnieg z futra; nie chciała mówić nic, co byłoby zbyt osobiste.

- Fatalnie. Śnieżyca, pierwsza w tym roku - odrzekł, stawiając na miejsce gałęzie, które odgradzały ich od wycia wiatru i cichego szelestu padających płatków.

Z jego tonu i wyrazu twarzy zorientowała się, że zrobiła dobrze, nie wracając do spraw osobistych. Matt patrzył na nią oczyma bez wyrazu; wyczuła, że z rozmysłem się od niej odgradził.

- Chcesz powiedzieć, że takie zamiecie będą się powtarzać? - zapytała przerażona. Nie wiadomo czemu burza śnieżna wydawała jej się fatalnym wydarzeniem, które nastąpiło akurat wtedy, gdy na głowę Caroline sypały się same nieszczęścia.

- Jest trochę za wcześnie na takie obfite opady, ale z reguły w Connecticut Colony śnieg pada od października do lutego.

- Co więc będziemy robić całą zimę? - Caroline dotąd nie doświadczyła tak surowej pogody i ta perspektywa ją przestraszyła.

- Chować się przed śniegiem w domu, kiedy się da, i pracować w śniegu, kiedy trzeba - odparł ze wzruszeniem ramion.

Na myśl o miesiącach, które trzeba spędzić w domu, kiedy człowiek dzień za dniem jest w nim uwięziony przez śnieg jak bóbr złapa

ny w sidła, opinia Caroline o Nowym Świecie, nieprzesadnie pochlebna, teraz jeszcze się pogorszyła.

'- Zimno ci - powiedział Matt, gdy zobaczył, jak drży. Pomimo ognia powietrze w jaskini było tak chłodne, że Caroline poczerwieniał nos.

- Nie bardzo - odrzekła, choć zanim jeszcze skończyła mówić, zaczęła szczerkać zębami. Zacisnęła usta, ale już było za późno. Matt, przeklinając siebie jako ślepego głupca, położył Caroline na końskiej derce, po czym zdjął futro i nakrył dziewczynę.

- Ale ty zamarzniesz - zaprotestowała, unosząc się na posłaniu.

- Połóż się. - Ukląkł koło niej i lekko ją popchnął. - Gdybym się zastanowił, wcześniej bym ci dał ten płaszcz. Możesz mi wierzyć, ja doskonale znoszę zimno.

Ubrany był w koszulę, spodnie i wełnianą kamizelkę. Caroline widziała, że w tej kwestii Matt nie zamierza z nią dyskutować, więc potulnie go usłuchała. Rzeczywiście, ciężkie okrycie dawało sporo ciepła. Ale ciepło to, pomyślała, pochodzi od Matta, a nie z futra.

Kiedy skończył ją opatulać, pod głową miała sakwę w charakterze poduszki, a na bobrowym futrze Matt dodatkowo jeszcze rozłożył skóry, za które chciał w razie konieczności wykupić ją od Indian. Dołożyłby jeszcze kamizelkę, ale Caroline usiadła, burząc tak starannie ułożone przez niego posłanie, i zapalczywie oznajmiła, że jeśli to robi, to ona weźmie sobie tylko indiański koc i będzie siedziała na zewnątrz tak długo, aż zamarznie na kość.

Tak więc Matt został w kamizelce, lecz nie wyglądał na zziębniętego, kiedy krążył po jaskini. Caroline leżała na boku i przyglądała mu się, odczuwając dziwne zadowolenie. Mimo że byli daleko od domu, w prowizorycznej kryjówce chroniącej ich od szalejącej zamieci, jaskinia z ogniem płonącym jasno przy wejściu wydawała się bezpiecznym miejscem.

Musiała zasnąć, bo gdy znowu otworzyła oczy, zobaczyła, że Matt siedzi pod ścianą. Wpatrywał się ponuro przed siebie, jedną nogę podciągnął niemal do piersi, drugą trzymał sztywno wyprostowaną. Koło niego stał dzban; Matt wziął go za ucho i wypił łyk.

- Nie chce ci się spać?

Jej pytanie, które tak nagle padło w oświetlonej ogniem ciemności, tak go przestraszyło, że zakrztusił się rumem. Wylał dłonią usta i odwrócił się ku Caroline.

-Nie.

- Zamierzasz siedzieć tak całą noc - stwierdziła z łagodną kpina. W jaskini zrobiło się chłodniej, choć schowana pod ciepłym przykryciem nie od razu to sobie uświadomiła. Zobaczyła jednak, że podczas mówienia z jej ust dobywają się obłoczki pary, i domyśliła się, że Mattowi pomimo rumu musi być zimno. -Tak.

- A dlaczego, jeśli łaska?

Jego krótkie odpowiedzi tak ją zirytowały, że aż usiadła. Spojrzał na nią, bez wątplenia dostrzegając włosy w nieładzie, które wymknęły się spod spinek i spadały na ramiona granatowoczną jedwabi-stą kaskadą, a także zarumienione od snu policzki i zdecydowanie w oczach.

- Dlaczego nie? - odparł wymijająco i upił kolejny solidny łyk z dzbanu.

- Upiłeś się czy jesteś po prostu głupi? - Teraz Caroline całkiem wygrzebała się spod przykrycia.

Rozgrzewał ją gniew, gdy podeszła ku Mattowi. Stała przed nim i ujęła się pod boki.

- Nie jestem pijany. Wracaj pod futro, bo zamarzniesz - mruknął, wodząc wzrokiem od jej smukłych łydek, przez okrągłe biodra, talię i piersi okryte szarym samodziałem, do białej szyi i twarzy obramowanej atramentowymi włosami. Zamrugnął. Odwrócił oczy i znowu się napił.

- To ty zamarzniesz, głupi uparciuchu! Mówię ci, żebyś się położył, i nie żartuj! - odparła tym samym rozkazującym tonem, którego używała wobec Daveya i Johna.

Matt odstawił dzban, oparł ramiona na kolanie i spojrzał jej w oczy

- A ja powinienem powiedzieć: „Tak, ciociu Caroline”, po czym potulnie wykonać polecenie?

Zaciskając usta, bo tak dokładnie odczytał jej myśli, Caroline skinęła głową. -Właśnie. Roześmiał się sucho.

- Wielka szkoda, że mam trochę więcej niż dziesięć lat, prawda? Caroline przyjrzała mu się uważnie. Nie zdjął kapelusza, musiał więc przekrzywić głowę, żeby ją widzieć. Sprawiał wrażenie, że nie zamierza przez całą noc ruszać się z miejsca. Był zbyt potężny, żeby

Caroline siłą coś wskórała, a wyglądało na to, że rozsądek spłynął z niego jak woda z otłuszczonej świni. Jeśli więc chciała skłonić Mat-ta, by schronił się przed zimnem, musiała uciec się do podstępu. Usiadła obok niego w takiej samej pozycji.

- Do diaska, a co ty wyprawiasz? - zapytał zdziwiony.
- To samo co ty - uśmiechnęła się słodko Caroline.
- Nie mam ochoty na twoje towarzystwo.
- Tego powinienes się wstydzić.

Sięgnęła po kamienny dzban - musiała użyć obu rąk, był bowiem zaskakująco ciężki - i upiła łyk. Na języku zapiekło ją od ciepłego, ostrego napoju, który zaraz niczym płomień spłynął do gardła. Rum był tak mocny, że gdy odstawiała dzban, w oczach miała łzy. Więc to tak Matt się rozgrzewał! Sposób bez wątpienia skuteczny, nawet jeśli żar wywołany alkoholem był bardziej iluzją niż rzeczywistością.

- Szybko idzie do głowy - zauważył Matt, czekając, aż Caroline zakrztusi się lub zakaszle.

Nadludzkim wysiłkiem udało jej się nie zrobić ani jednego, ani drugiego. Wręcz przeciwnie, cmoknęła z uznaniem i uśmiechnęła się kpiąco.

- To o czym porozmawiamy? - zapytała.

- Idź się położyć, Caroline. - Matt nie podjął zaczepki.

- Nie zostawię cię tu samego, żebyś marzył i dumał Bóg wie o czym.

- Zapewniam cię, że nie marzę ani nie dumam.

- Doskonale. - Zgrzytając zębami z powodu jego irytującego uporu,

Caroline zamilkła. Wpatrywała się przed siebie, podczas gdy Matt popijał rum i co chwila zerkał na nią z namysłem. Po mniej więcej kwadransie zaczęła się trząść.

- Zmarzłaś! - oznajmił oskarżycielsko.

- Owszem, zmarzłam.

- Powinnaś się położyć.

- Bez ciebie nie. Żeby siedzieć całą noc w takich okolicznościach, trzeba być głupcem, wręcz szaleńcem! Możemy spać jedno za drugim, jak łyżki, jeśli to cię niepokoi. Będzie nam cieplej, jeśli tak się położymy, niż gdybyśmy spali osobno.

- Nie znoszę upartych, zrzedzących niewiast.

- Skoro mnie nie znosisz, to będziemy tu siedzieć, aż nosy nam zamarzną

- odparła Caroline z gniewem, przygotowując się na długą, zimną noc.

Matt jęknął, napił się rumu, zakorkował dzban i podniósł się z miejsca.

- Więc chodź - odezwał się, podając jej dłoń. W jego głosie zabrzmiało dziwne zdecydowanie.

Powstrzymując zwycięski uśmiech, Caroline wstała. Położyła się na pościeli, a Matt raz jeszcze troskliwie ją okrył. Wstrzymując oddech, czekała, on jednak po króciutkim wahaniu zdjął kapelusz, obszedł pościel, uniósł przykrycie i wsunął się pod nie.

Kiedy się ułożył, Caroline przez warstwy odzieży poczuła ciepło jego ciała. Tak jak ona, głowę miał na torbie i leżał na boku, przodem zwrócony do jej pleców. Wydawało się, że jest zdecydowany trzymać się od niej tak daleko, jak się da, ponieważ jednak za sobą miał ścianę, nie zostało mu zbyt wiele miejsca. Caroline z wolna rozluźniła mięśnie i przesuwając się, aż całkiem się do niego przytuliła; głowę miała pod jego brodą. Matt jedną rękę podłożył pod głowę, drugą z konieczności objął Caroline w talii, lecz trzymał ją sztywno.

Caroline jeszcze mocniej się w niego wtuliła. Chciał się odsunąć, ale nie miał gdzie; zeszywniał cały, od stóp aż po głowę. Caroline czuła wyraźnie na udach, jak jej bliskość na niego wpływa. Prawie nie oddychał, starając się jak najmniej jej dotykać. Choć Caroline, udając senność, oczy miała zamknięte i nie mogła być tego pewna, to wydawało jej się, że Matt zgrzyta zębami.

Mrucząc coś, oparła pośladki o jego sztywniejącą męskość i przyciągnęła jego rękę do siebie.

Matt gwałtownie usiadł, burząc przykrycie i głęboko oddychając lodowatym powietrzem. Caroline spojrzała na niego z pozorną niewinnością.

- Wiedziałem, że to błąd - warknął.

W tym momencie Caroline porzuciła wszelkie udawanie. To był mężczyzna, którego chciała na dobre i na złe, i zamierzała mu to okazać. Jej ciało wprawdzie kurczyło się na myśl o fizycznym zbliżeniu, lecz jej serce śpiewało z radości, że Matt będzie należał tylko do niej. I właśnie serce nią kierowało.

- Wcale nie - odparła, podniosła się i uklękła, po czym zarzuciła mu ręce na szyję.

Ujął ją za nadgarstki, jakby chciał uwolnić się z uścisku. Wtedy jednak spotkały się ich oczy i jego ręce znieruchomiały. W tej pozycji twarze mieli na niemal tym samym poziomie, Caroline widziała dokładnie wszystkie emocje malujące się w jego wzroku: pragnienie i namysł, pragnienie i wątpliwości, a wreszcie samo pragnienie. Jego oczy płonęły z pożądania, przypominały oczy drapieżnika, oddech miał szybki i nieregularny. Jeszcze przez chwilę Caroline pozwoliła sobie na przyjemność wpatrywania się w błękitne iskierki, które w jego zmierzwi-

nych czarnych włosach zapalały płomienie ogniska, ogorzałą twarz z niespokojnymi oczyma i kilkudniowy zarost, szerokie barki i tors.

A potem przysunęła się bliżej, opierając się o niego piersiami i muskając jego usta.

Zadrzał, po raz ostatni zacisnął dłonie na jej przegubach i zamknął oczy.

- Niechaj Bóg mi wybaczy - mruknął, objął ją i posadził sobie na kolanach, tak by jej głowa spoczęła na jego ramieniu.

Całował ją, jakby umierał z pragnienia, jakby łaknął jej ust przez wieczność, a teraz zdecydowany był zaspokoić głód. W jego pocałun

kach nie było łagodności ani uwodzicielskiego uroku, lecz wielka potrzeba i Caroline nie pozostało nic innego, jak mu się poddać. Jego usta były gorące, wilgotne i miały smak rumu, a całował ją tak żarliwie, że w jej głowie nie było już miejsca na złe wspomnienia czy w ogóle jakiegokolwiek myśli, które nie dotyczyłyby Matta. Poprzez warstwy odzieży poszukał jej piersi gorącą dłonią, co sprawiło, że sutek cudownie stwardniał. Ku swemu zaskoczeniu Caroline jęknęła, i nie był to jęk protestu, lecz rozkoszy.

Słyszając to, Matt zeszywniał, a potem zadrżał jak w febrze. Ale to nie febra go dręczyła, kiedy kładł Caroline na posłaniu, unosił jej spódnicę i niezgrabnie odpinał spodnie. Wszedł w nią od razu, zdążyła tylko posłusznie rozsunąć uda. Poruszał się szybko i gwałtownie. Caroline akt ten nie sprawił wielkiej rozkoszy, prócz radości dania ukochanemu tego, czego tak bardzo pragnął, lecz i nie był zbyt niemiły. Trzymała Matta w objęciach i zastanawiała się, jak by to było, gdyby miała tego mężczyznę przy sobie przez wszystkie dni swego życia. Nawet uśmiechnęła się lekko, gdy po ostatnim potężnym pchnięciu jęknął i opadł na nią wyczerpany. A potem, gdy leżał na niej, z trudem łapiąc powietrze, znalazła dla siebie nagrodę w tym akcie męskiej rozkoszy, odsuwając Mattowi wilgotne włosy z czoła i delikatnie gładząc jego szerokie plecy.

Wreszcie uniósł głowę i spojrzał na dziewczynę badawczo. Odpowiedziała mu czułym uśmiechem. Mruknął pod nosem coś, co zabrzmiało jak przekleństwo, choć nie zrozumiała dokładnie słów. Zamknął oczy i znowu je otworzył. Zsunął się z niej i położył obok, wpatrując się w skalny sufit przez długą chwilę, nim znowu zwrócił wzrok na Caroline.

39

Nie zrobiłem ci krzywdy, prawda? - zapytał Matt z wahaniem. Od tak dawna, z takim uporem walczył z demonem żądz, a teraz poniósł ostateczną i sromotną klęskę. Musi więc stawić czoło rzeczywistości. Jeśli ma widywać Caroline - myśl, że mógłby jej nie widywać, była nie do zniesienia - sam przed sobą powinien przyznać, że nie uda mu się trzymać od niej rąk z daleka. Będzie kochał się z nią znowu i znowu, i znowu, rzecz równie pewna jak to, że słońce rano wschodzi. A skoro tak, musi zająć się najważniejszą sprawą. - Nic a nic - odparła Caroline wesoło.

Z głową opartą o jego klatkę piersiową przesuwała dłonią po kamizelce w okolicach serca. Nawet ten niebezpośredni dotyk sprawił, że jego serce - i nie tylko - zareagowało. Przykrycie splątało się wokół nich, zasłaniając przed nią widok jego wciąż rozpiętych spodni oraz tego, co w nich było. Tylko dzięki temu Matt zachowywał resztki skromności, bo jego ciało wcale nie chciało spocząć. Już pożądał od nowa Caroline, lecz to ostre i gwałtowne pragnienie musiało poczekać, by Matt mógł powoli, krok po kroku, zacząć ją uczyć, że w kochaniu jest o wiele więcej ponad to, co już odkryła.

- Cieszę się. - Wątpił, by usłyszała leciutką nutkę ironii w jego głosie.

Leżała przy nim ufna jak dziecko, nieświadoma, że coś jest nie tak.

Oczywiście odpowiedzialność za to po części spoczywała na jego barkach. Z wyjątkiem tamtego łajdaka, który ją zgwałcił - oby smażył się w piekle! - to on był jedynym jej nauczycielem sztuki kochania.

Krzywiąc się w duchu, Matt przyznał, że jego lekcjom wiele na razie brakuje do ideału.

Oparł się na łokciu, przyglądając jej się z namysłem. Przy tym ruchu głowa Caroline opadła na sakwę. Dziewczyna uśmiechała się do

niego sennie, jej wielkie złote oczy zasnutę były mgiełką zmęczenia. Delikatna jasna skóra twarzy nosiła ślady jego zarostu. Matt postanowił, że kiedy bezpiecznie wróci do domu, zacznie golić się też wieczorami, nie tylko rano, by nie zadrapać Caroline. Wykrzywił usta na myśl o kpinach i docinkach, jakich nie będą mu z tego powodu szczędzić bracia. To kara za posiadanie wielkiej i obdarzonej bezlitosnym poczuciem humoru rodziny; dopóki jednak bracia nie zaczną żartować przy Caroline, on, Matt, postara się znosić ich uszczypliwości z całym stoicyzmem, na jaki go stać.

- Jesteś piękna - szepnął i pochylił się, by dotknąć jej ust. Oddała mu słodko pocałunek, jej miękkie różowe wargi lekko smakowały rumem. Zanim ogarnęła go pokusa, która zupełnie wyгнаłaby z myśli to, co zamierzał zrobić, wstał i zapiął spodnie tak, by nie opadły do kostek. Caroline przyglądała mu się z zainteresowaniem. Nic w jej szczerym spojrzeniu nie świadczyło o wstępie.

Nie ulegało wątpliwości, że zaczyna zdrowieć po owym strasznym przeżyciu, za co Matt dziękował Bogu zarówno ze względu na siebie, jak i na nią. Jeśli będzie wobec niej delikatny i ostrożny, to może uda mu się pokazać jej, jak cudowną rzeczą bywa złączenie kobiety i mężczyzny. Na samą myśl jego męskość zareagowała gwałtownie, napierając na spodnie. Nie miał innego wyjścia, jak opaść na kolana i od razu rozpocząć lekcję. Jeśli poza ich przytulnym gniazdkiem było zimno, to on tego nie czuł.

- Matt? - zapytała leniwie Caroline, jej głos wyraźnie świadczył, że zaraz zaśnie. Matt uśmiechnął się dość ponuro i pomógł jej się podnieść.

- Co?... - Chwyciła go za ramiona i spojrzała ze zdziwieniem.

- Będzie nam wygodniej, jak poprawimy poślanie - odparł kojącym tonem, po czym zabrał się do dzieła.

Zamiast jednak w charakterze prześcieradła pozostawić kłującą derkę, położył na liściach swoje futro. Później ze stosu drewna wziął kilka gałęzi i z bezpiecznej odległości dorzucił do ognia. Przez chwilę spoglądał na szalejącą nocną zamieć, a gdy świeże drewno zajęło się płomieniami, wziął jeszcze dzban z rumem i podszedł do Caroline.

Stała wciąż przy legowisku i obserwowała go z lekko przechyloną na bok głową. Postawił dzban w zasięgu ramienia, uśmiechnął się do Caroline,

objął ją i przyciągnął do siebie. Pochylił się, by ją pocałować, jednocześnie rozpinając wygniecioną suknię na plecach.

- Matt? - To było bardziej pytanie niż sprzeciw, gdy odkryła jego zamiary.

- Będzie nam cieplej, jeśli zdejmemy ubrania i przytulimy do siebie pod przykryciem. Będziemy wzajemnie się grzać.

Haftki przy kobiecych strojach to piekielna sprawa, a Matt od dawna nie miał z nimi do czynienia, udało mu się jednak rozpiąć ich tyle, żeby Caroline zdjęła suknię.

- Masz na myśli, że będziemy razem leżeli nago? - zapytała wstrząśnięta, jakby równie niemoralne zachowanie nigdy nie przyszło jej do głowy.

Matt musiał się uśmiechnąć na taką niewinność.

- To właśnie miałem na myśli - przyznał.

- Och - westchnęła z namysłem. Kiedy zaczął zsuwać jej suknię, zobaczył, że Caroline lekko się krzywi.

- Matt?

- Tak? - Nie mógł się powstrzymać, by nie pocałować kremowego ramienia, które właśnie obnażył.

- Czy... czy wszyscy śpią nago? - zapytała, czerwieniąc się jak burak. Oczy utkwiała w noskach jego butów.

- Niektórzy tak wolą - odrzekł z powagą.

Z przyjemnością zauważył, że Caroline pomaga mu w zdejmowaniu sukni, wyciągając ręce z długich, obcisłych rękawów, a gdy zwoje tkaniny opadły jej z bioder, posłusznie zrobiła krok, by się od nich uwolnić.

W cienkiej białej bieliźnie wyglądała tak uroczo, że Matt ledwo się powstrzymał, by nie wziąć jej w ramiona i nie całować do utraty zmysłów, nim przejdzie do innych, bardziej satysfakcjonujących działań.

Ale delikatne ramiona dziewczyny znaczyła już gęsia skórka i Matt wiedział, że Caroline jest zimno, choć sam nie odczuwał chłodu.

Pewnego dnia będzie rozbierać ją powoli, całując każdą odsłanianą część ciała, lecz nie tej nocy. Trzymając w ryzach demona żądzy, rozebrał ją tak szybko, jak się dało, choć nie potrafił się oprzeć, by tu i tam jednak jej nie pocałować. Wreszcie przykląkł i zdjął jej buty, a potem, zaciskając zęby, odpiął podwiązki i ściągnął jej pończochy.

To, że w owej chwili nie rzucił jej na posłanie i nie zaspokoił pożądanego, było najtrudniejszą rzeczą w jego życiu.

Dotknął chłodnych, smukłych bioder i serce mocniej mu zabiło. Ledwo mógł oddychać. Musiał zebrać wszystkie siły, by wstać. Zobaczył, że spłoniona Caroline znowu wpatruje się w jego buty, i pozwolił swym oczom nacieszyć się jej widokiem.

Naga, była najpiękniejszą istotą, jaką widział. Piersi, pełne i jędrne, bardzo białe, ze ślicznymi małymi sutkami w kolorze truskawek, wyglądały niezwykle kobieco nad szczupłą talią i krągłymi biodrami. Brzuch miała leciutko zaokrąglony z pępkiem niczym cienistym kół

kiem, nogi długie, trójkąt włosów pomiędzy udami czarny i jedwabistym niczym sobolowe futro.

Matt walczył z pragnieniem i został pokonany. Oddychając tak, jakby przebiegł wiele mil, pochylił głowę i wziął sterczący sutek w usta.

Nie smakował jak truskawki, lecz nieskończenie lepiej.

Caroline jęknęła cicho i zanurzyła palce we włosach Matta. Jego dłonie, wielkie i ciemne, odcinały się kontrastowo od białej satynowej skóry.

Kiedy ssał jej pierś, Caroline mocniej zacisnęła palce na jego głowie. W lędźwiach czuł narastające gorąco, wiedział, że jeszcze chwila i jego pragnienie będzie zbyt wielkie, by mu się oprzeć. Ostatkiem sił odsunął usta od jej piersi.

Bez słowa uniosła ku niemu głowę, oczy miała szeroko otwarte i bardziej bursztynowe niż złote, usta lekko rozchylone. Patrząc na zarumienioną, zmieszaną i pełną namysłu twarz Caroline, Matt mocniej objął ją w talii. Na razie nie może stracić nad sobą kontroli.

I znowu powstrzymała go gęsia skórka na jej ramionach. Wziął Caroline na ręce i położył na miękkim futrze, całując ją w ucho i policzek. Zaplotła dłonie na jego szyi i nie chciała go puścić.

- Teraz twoja kolej patrzeć, moja malutka - szepnął. Uwolnił się z jej uścisku, a później, choć uczynił to z bólem, przykrył ją indiańskim kocem, aby nie zmarzła,

Kiedy była już dobrze okryta, zdjął kamizelkę i koszulę, po czym skacząc raz na jednej, raz na drugiej nodze, pozbył się butów (wyglądał przy tym komicznie, zbyt wszakże był podniecony, żeby się tym przejmować), a następnie pończoch. Wreszcie, z gołym torsem i stopami, odpiął spodnie. Miał tylko nadzieję, że nieoczekiwany widok męczyzny z pełną erekcją nazbyt nie przestraszy dziewczyny.

Do tej pory obserwowała go bez słowa, choć jej oczy, widoczne nad skrajem koca, stawały się coraz większe wraz z każdą częścią ubrania, której się pozbywał. Matt odczuwał lekkie zażenowanie, zdecydowany jednak był pokazać jej wszystko, tak więc ściągnął spodnie i stanął przed nią w całej okazałości.

Caroline nie odrywała oczu od jego członka i Matt poczuł, jak jego policzki zalewa rumieniec, a był to jeden z nielicznych takich wypadków w jego dorosłym życiu.

Wyglądała tak młodo i dziewiczo, niemal dziecinnie, z wielkimi oczyma, bladą cerą i masą czarnych włosów okalających twarzyczkę. Czy jego widok ją przeraził? Obudził w niej wstręt? Grozę?

Jeśli okaże się, że Carohne zbyt jest wstrząśnięta widokiem jego nagości, czy on zdoła zmusić się, by nic więcej nie zrobić, by zostawić ją w spokoju?

Tak, powiedział sobie Matt zdecydowanie. Nawet gdyby miało go to zabić, da jej czas na przyzwyczajenie się do tej nowej wiedzy o mężczyznach, zanim przejdzie do następnych lekcji.

Choć biorąc pod uwagę to, co teraz odczuwał, rzeczywiście może go to zabić.

Czekał niespokojnie, podczas gdy Carohne przełknęła ślinę i uniosła oczy ku jego twarzy.

- I to wszystko? - zapytała, jakby dziwiąc się niepozorności owego organu, który od tak dawna budził w niej grozę.

Przez chwilę Matt nie wierzył własnym uszom. Wytrzeszczył na nią oczy.

Wreszcie nie wytrzymał i wybuchnął gromkim śmiechem. Wciąż chichotał, kiedy wsunąwszy się pod przykrycie, wziął Carohne w ramiona.

To nie jest śmieszne! Z czego ty się śmiejesz? Oburzona, że w takiej sytuacji Matt śmieje się do rozpuku, Caro-line uderzyła go w ramię. Skrzywił się, złapał jej zaciśniętą w pięść dłoń i przycisnął do ust. Dalej jednak trząśł się ze śmiechu, którego nie mógł do końca powstrzymać.

- Rozumiem, że spodziewałaś się czegoś innego? - zapytał grzecznie. Zbyt grzecznie. Caroline wiedziała, że wciąż jest rozbawiony, aczkolwiek nie potrafiła pojąć przyczyny.

- Z tego, co czułam, wydawało mi się, że jest ogromny - odrzekła, nieco rozzalona, że Matt bawi się jej kosztem, a ona nie może zrozumieć, czemu jej odpowiedź wywołała kolejne salwy śmiechu. Śmiał się tak długo, aż dostał czkawki. Przez cały czas jednak trzymał ją mocno, jakby się bał, że zaraz mu ucieknie, co też pewnie by uczyniła, gdyby nie była goła jak noworodek i zawstydzona z tego powodu.

Kiedy wreszcie się uspokoił, legł wyczerpany z głową na sakwie.

- Obawiam się, że to wszystko - oświadczył przeproszającym tonem, Caroline wszakże wiedziała, że z niej kpił.

Ale Matt wyglądał tak cudownie, był taki szczęśliwy i swobodny, z jaśniejącymi błękitnymi oczyma i szerokim uśmiechem, dzięki któremu wydawał się oszałamiająco wręcz młody i beztroski, że nie potrafiła naprawdę się na niego rozgniewać, choć dalej nie pojmowała, co właściwie go rozbawiło.

- Jeśli będziesz się ze mnie śmiał, to ja idę spać - powiedziała, obracając się na bok plecami do niego, żeby się przekonać, jak Matt zareaguje.

Natychmiast też przycisnął się do niej całym ciałem. Czuła na sobie jego szerokie piersi porośnięte szorstkimi włoskami, potężne mięśnie nóg i pulsujące gorąco tego, co było przedmiotem ich rozmowy.

- O nie. Nie będziesz spała. Jeszcze nie.

Objął ją jednym ramieniem i ręką poszukał nagiej piersi. Caroline przeszedł rokoszny dreszcz, oszałamiający tym bardziej, że nieoczekiwany, gdy palce Matta gładziły jej sutek. Wziął w dłoń jej pierś, ścisnął i pieścił. Caroline nie podejrzewała, że jakakolwiek część aktu fizycznego może sprawiać aż taką przyjemność, a to było niewiarygodnie wręcz przyjemne. Później jego dłoń powędrowała do drugiej piersi i tak samo ją

potraktowała, a Caroline zabrakło tchu. Zadrzała, czując gorąco w dole brzucha.

- Uwielbiam pieścić twoją skórę. Przez długi czas zastanawiałem się, czy w dotyku jest taka delikatna, jak wygląda. I jest.

Jego pełen wzruszenia głos był niezmiernie uwodzicielski. Caroline drżała pod gradem słów, pocałunków i dłoni. Matt odsunął ciężką zasłonę jej włosów i przelotnie, płonącymi ustami całował wrażliwy kark, ramiona, delikatne zagłębienie za uchem. Jego broda, tak męska w swej szorstkości, że Caroline cała aż się rozpływała, drapała ją w szyję. Jedną dłonią pieścił piersi, drugą zsunął z talii na brzuch, zatrzymał się na pępku, później powędrował niżej, do tej części jej ciała, której nigdy nie nadała nazwy. Instynktownie wygięła się, protestując, próbowała przesunąć jego dłoń na mniej intymne miejsce, on jednak na to nie pozwolił.

- Zaufaj mi, moja malutka - szepnął jej do ucha.

Caroline przypomniała sobie o Ewie i wężu, który pewnie mruczał coś bardzo podobnego. Kiedy jego długie palce przesunęły się jeszcze niżej, pomiędzy jej nogi, i dotknęły ją tam tak łagodnie, że wywołany tym ogień wydawał się niemal wstydem, Caroline nie stać już było na żadne racjonalne myśli. Bo przecież lekkie dotknięcie nie może samo w sobie wywołać tak wielkiego wewnątrz-nego żaru! Przypominał płynny ogień, niewiarygodnie przyjemny płynny ogień, od którego brakowało tchu. Bez udziału woli napierała na dłoń, która ją pieściła, i na twarde męskie ciało przyciśnięte do jej pleców.

Oczy miała zamknięte, lecz świadoma była obecności Matta każdą cząstką siebie. Oddychał coraz bardziej nierówno, przesuwał ustami i nieogoloną brodą po szyi Caroline. Obejmował ją mocno, przyciskając owłosione uda do jej jedwabistych pośladków, przygniatając ją szerokimi ramionami. Trzymał ją tak blisko siebie, że czuła jego potężną męskość - śmieszne, że organ ten w dotyku wydawał się o wiele groźniejszy, niż na to wyglądał! Matt pieścił jej piersi i badał tajemne miejsce między udami, aż Caroline zaczęła wbrew woli dygotać, a w jej wnętrzu rozlała się pałaca słodyczy, od której jęczała i wiła się w ramionach Matta.

A potem wsunął w nią palce - Caroline nigdy nie śniła, że kiedyś mogą się tam znaleźć - i zaczął nimi poruszać, tak jak wcześniej czynił to swym ciałem.

Otworzyła oczy, gdy pomyślała, że jeszcze chwila, a pochłonie ją bolesne pragnienie, jakiego nigdy nie spodziewała się doznać. Złapała powietrze, próbując ostatkiem sił je powstrzymać, lecz nie miała dokąd uciec, za nią był Matt. Ni to szlochając, ni to jęcząc, znowu poczuła ruchy jego palców - i w końcu poddała się, opuszczając powieki i cichym krzykiem witając cudowną rozkosz, którą Matt rozпалиł niczym starannie rozniecony ogień. Kiedy było po wszystkim, kiedy wróciły jej zmysły, Caroline nie ośmieliła się otworzyć oczu, tak była zawstydzona. Matt dalej przytulał ją do siebie, jedną dłoń trzymając na piersiach, drugą na czarnym trójkącie w dole brzucha. Jego palce opuściły jej wnętrze, za co była wdzięczna, choć wciąż spoczywały pomiędzy nogami, a teraz, gdy znowu myślała rozsądnie, niezwykła intymność tego dotyku była dla niej wstrząsem. Lecz nie budziła wstrętu ani grozy. Gdy to sobie uświadomiła, otworzyła szeroko oczy.

- No i co o tym powiesz? - szepnął jej do ucha Matt tonem dziwnie spiętym, lecz i zadowolonym, co sprawiło, że Caroline odwróciła się ku niemu gwałtownie.

- Myślę, że jesteś zarozumiałym, lubieżnym i... - zaczęła gniewnie, leżąc na plecach i spoglądając na jego ciemną twarz.

Mimo jednak lekkiego uśmiešku, kpiącego, jak sądziła, wyraz jego oczu sprawił, że zabrakło jej słów. W kobaltowych głębiach malowały się czułość i może słaby triumf, lecz przede wszystkim gorączkowe pragnienie. Patrzył na nią, jak umierający z głodu człowiek patrzy na jedzenie, i Caroline zapomniała o swym gniewie i jego pytaniu, pojęła bowiem, że wprawdzie trzeba go nakarmić.

- Kocham cię, Ephraimie Mathieson - szepnęła bez udziału woli i uniosła dłoń, by pogłaskać go po szorstkim policzku.

Złapał jej palce i przycisnął tak mocno, że sparzyło ją gorąco jego skóry. Jego oczy nagle stały się bezbronne jak oczy dziecka; Caroline nic dotąd tak bardzo nie wzruszyło jak ten widok. Wstrząśnięta do głębi siłą własnych uczuć, uniosła się na łokciu, by pocałować bliznę, oznakę jego honoru.

- Boże w niebiesiech! - mruknął, gdy jej usta musnęły białą ryse i cofnęły się szybko.

Uśmiezek zniknął mu z twarzy, oczy pociemniały. Położył się na niej, całując tak, jakby chciał skraść jej duszę, a jego dłonie były wszędzie, pieściły, podniecały, brały w posiadanie. Uniósł jej nogi, by objęła go w pasie, i wszedł w nią, zaspokajając pierwotną żądzę.

Tym razem Caroline potrafiła zrozumieć, dlaczego mężczyźni z taką siłą łakną tego aktu, ponieważ reakcja, do jakiej Matt doprowadził ją przed chwilą, była niczym w porównaniu z ekstazą, jaka ją ogarnęła, gdy po raz ostatni zagłębił się w niej, wykrzykując jej imię.

Później leżeli spleceni, Matt na plecach, Caroline przytulona do jego piersi. Z zadowoleniem słuchała zwalniającego bicia jego serca.

- Powiedz mi coś - odezwała się leniwie po długiej chwili milczenia.

Palcem zakreślała kręgi w gęstych włosach porastających jego tors. Sutki miał płaskie, ciemnobrązowe, podobne do jej, a zarazem zupełnie inne. Pocierała je i szczypała, aż jęknął i złapał jej ręce, by przestała. Zaczęła więc nawijać na palce jego włosy, a przez głowę przelatywały jej najróżniejsze myśli. Ta akurat, dotycząca sprawy, którą pragnęła już od jakiegoś czasu wyjaśnić, przyszła nie wiadomo skąd i lekko ją zaniepokoiła.

- Co właściwie miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś, że Hanna Forrester i ja to dwie zupełnie różne pary rękawiczek?

Matt uniósł się, by spojrzeć jej w oczy, Caroline lekko odsunęła twarz, by mu to ułatwić.

- A więc to cię gryzło, tak? - Teraz, gdy namiętność została zaspokojona, wróciło mu poczucie humoru.

Caroline była zbyt rozleniwiona, by gniewać się, że Matt robi sobie z niej żarty, a poza tym uznała, że to dobrze, iż potrafi go rozśmieszać, i tylko pokazała mu język.

- Tak samo jak ciebie gryzło, że Daniel pocałował mnie, kiedy łuskaliśmy kukurydzę - odparła słodko i szarpnęła go za włosy na piersi.

- Tak samo, co? - Z twarzy Matta znikło rozbawienie, zastąpił je ponury grymas. Przycisnął jej palce, żeby więcej mu tego nie robiła, i oparł głowę na zgiętej ręce.

- No więc? - Caroline domagała się odpowiedzi. Matt lekko się uśmiechnął.
- Znaczyło to tyle, moja malutka, że ty jesteś najbardziej powabnym widokiem na ziemi, jaki moje oczy miały nadzieję ujrzeć, a ona nie.
- I najlepiej będzie, jeśli tak zostanie. - Choć ta odpowiedź sprawiła jej przyjemność, spojrzała na niego groźnie. - Ponieważ oddałeś mi się, mój panie, a ja ostrzegam, że z nikim nie będę się dzielić!
- Czy to z twojej strony deklaracja, Caroline? - Uśmiechowi w oczach Matta, gdy zadawał pytanie, które już kiedyś jej zadał, przeczył nabrzmiały wzruszeniem głos.
- A jeśli tak? - odparła równie przejęta.
- To powiem, że teraz moja kolej.

- Twoja kolej?

- Na deklarację. Tylko dobrze się zastanów, nim odpowiesz. Bo weźmiesz sobie na barki wiele, w dodatku na całe życie. Jeśli przyjmiesz mnie, to musisz także przyjąć Daveya, Johna, Jamesa, Dana, Roba i Thoma, a nawet tego przekłętego psa. Nie dam ci spokoju, więc będą też dzieci i związana z nimi praca. Nawet poddana sługa odzyskuje wolność, gdy kończy się kontrakt, a ty będziesz musiała związać się ze mną na zawsze. Caroline oparła się na łokciu, by spojrzeć na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Czy ty przypadkiem nie proponujesz mi małżeństwa?

- Chyba tak.

- Te oświadczenia są doprawdy dalekie od ideału. Czy wolno mi spytać, co cię do nich skłoniło? - Uniósł brwi i zsunął dłonie z jej pleców na krągłe pośladki. Caroline zignorowała delikatny dreszcz, wywołany tym dotykiem. - Pragniesz mieć mnie w łóżku. - Nie mogła poradzić nic na to, że w jej głosie zabrzmiała nieprzyjemna nutka.

- Tak, to prawda. - Mocniej przytulił ją do siebie, tak by poczuła, że znowu jest podniecony.

- Bardziej obraźliwej rzeczy w życiu nie słyszałam! - Ledwo panując nad impulsem, by go spoliczkować, zaczęła się podnosić, ale ją powstrzymał.

- Zaraz, zaraz, szanowna pani, lepiej pohamuj swój temperament! Chcesz, żebym zaprzeczał sprawom oczywistym? Pragnąłem cię, odkąd po raz pierwszy cię zobaczyłem, gdy pędziłaś przez moje pole w czerwonej łopoczącej pelerynie, a Jakub następował ci na pięty. Niewiasta, która potrafi tak biegać, rzekłem wówczas do siebie, przewyższać musi w każdym względzie wszystkie inne kobiety.

Żartował sobie z niej, Caroline o tym wiedziała, a jej uczucia, tak świeże i podatne na zranienia, nie pozwoliły jej śmiać się wraz z nim.

- Puszczaj, ty lubieżniku!

Próbowała go odepchnąć. Matt musiał w jej oczach dostrzec prawdziwy ból, bo spoważniał. Bez ostrzeżenia odwrócił się z nią i przycisnął swoim ciężarem. Nie walczyła, lecz patrzyła na niego z oburzeniem i urazą.

- Nie, wcale nie to miałem na myśli - wyjaśnił łagodnie. - Lub raczej także to, bo jest coś więcej, o czym sama powinnaś już wiedzieć. Pragnę cię poślubić, ponieważ cię kocham, Caroline. Nikogo tak mocno nie

kochałem. Sama myśl, że mógłbym cię utracić, napełnia mnie przerażeniem. Kocham cię tak bardzo, że jeśli mnie odrzucisz, do końca życia będę wył do księżyca jak wilk, co stracił rozum.

Przy ostatnich słowach w jego oczach błysnęło rozbawienie, lecz zaraz znikło. Patrząc badawczo w jego twarz, Caroline uświadomiła sobie, że mówił poważnie: kocha ją. Lecz tak samo jak i ona została srodze doświadczony przez życie i dlatego próbuje chronić się poczuciem humoru lub każdym innym dostępnym sposobem.

Gniew jej minął, gdy sobie to uświadomiła. Uniosła ręce i objęła go za szyję.

- Będę zaszczycona, zostając twoją żoną - odrzekła i uśmiechnęła się do niego z całą miłością, którą tak długo tajiła w sobie.

Matt chwilę na nią patrzył.

- Nie, moja malutka, to ja jestem zaszczycony - mruknął i złożył na jej ustach długi, boleśnie łagodny pocałunek.

Padający owej nocy śnieg mógłby zmienić się w chór cherubinów, a Caroline i Matt nie zauważyliby tego. Kochali się, szeptali i śmiali, i znowu kochali; jeśli nawet rozkosz, którą wspólnie odnaleźli, bardziej była ziemską niż niebiańska, dla nich i tak był to raj.

Choć mało spali, Caroline obudziła się wraz z pierwszym brzaskiem. W jaskini panowała niezwykła jasność, bo światło odbijało się od śniegu. Ogień wciąż płonął równo, Matt dokładał drewn regularnie, acz z bezpiecznej odległości; Caroline cieszyła się, że przynajmniej częściowo pokonał swoją słabość. Niewiele to jednak pomogło, powietrze w jaskini było mroźne. Otulona w futra i pledy Caroline nie narzekała na zimno - było jej ciepło jak w uchu.

Naturalnie miał w tym swój udział potężny, muskularny mężczyzna, ogrzewający ją własnym ciałem.

Jedną ręką obejmował ją w pasie, dłoń trzymając tuż pod piersiami, nogę gestem właściciela zarzucił jej na biodro. Leżała na boku, wtulona w niego plecami, tak blisko Matta jak skórka i miąższ w jabłku, dlatego pewnego wysiłku wymagało od niej odwrócenie się, by mogła dokładnie mu się przyjrzeć.

Spiąc, wyglądał jak mroczny anioł, który zawędrował na ziemię; masa kędzierzawych czarnych włosów spadała mu na czoło i za uszy, gęste długie rzęsy odcinały się od ogorzałych policzków niczym czarne półksiężyce, szlachetne rysy sprawiały wrażenie, jakby wyrzeźbił je mistrz dłuta.

Z drugiej zaś strony, doczesnej, niegolony zarost groził przekształceniem się w brodę i ukochany Caroline spał z otwartymi ustami. Żeby nie skłamać, chrapał.

Niezbyt głośne, lecz przenikliwe dźwięki, które dobywały się z klasycznych w kształcie ust, z całą pewnością nie pochodziły z nieba. Kiedy szczególnie głośne chrapnięcie zmaćło spokój poranka, Caroline z czułością i rozbawieniem podziękowała Bogu lub opatrzności lub kim tam była owa siła wyższa, że Matt, mimo całej swej męskiej urody i niezłomnych purytańskich zasad, nie jest aniołem.

Ponieważ kochała go takim, jaki był, z chrapaniem, bliznami, brodą i tak dalej.

Gdy przypomniała sobie rzeczy, które robił jej tej dzikiej, szalonej nocy, policzki jej poróżwiały. Na wspomnienie rzeczy, których ją nauczył, róż zmienił się w czerwień. A wspomnienie ich ostatniego, szóstego czy siódmego z kolei zbliżenia sprawiło, że załapała się palącym szkarłatem. Matt złapał ją wtedy za biodra i wciągnął na siebie, a ona pędziła na nim z zapamiętaniem, które będzie nawiedzać ją przez wiele następnych dni, gdy spojrzy mu w oczy.

Na myśl o spojrzeniu mu w oczy ogarnęła ją panika. Co mówi się do mężczyzny po takiej szalonej nocy? Teraz nie mieli przed sobą żadnych sekretów i Caroline zamknęła oczy, gdy pomyślała, że w twarzy Matta zobaczy odbicie jego nowej wiedzy o niej.

Za jego przewodnictwem odkryła w sobie skłonność do grzechu której istnienia nie podejrzewała. Na koniec nie potrzebowała wcale jego szeptanych do ucha zachęt, by pieścić, dotykać, ścisnąć i trzymać. Robiła to z własnej woli.

To, co z Mattem robili, w niczym nie przypominało koszmaru, który w poprzednim życiu był jej udziałem. Oni uprawiali miłość, tamte było ohydne. Po ostatniej nocy Simon Denker nie będzie dłużej rzucał cienia na jej życie. Teraz może pozostawić go za sobą i zająć się innymi sprawami. Matt ją od niego uwolnił.

Czy naprawdę zostanie jego żoną?

Na tę myśl o mało nie zachichotała niczym niemądra dziewczyna.

Powstrzymała ją świadomość, że na pewno obudziłaby Matta.

Nagle uznała, że nie będzie mogła spojrzeć mu w oczy naga, z wło samymi w nieładzie, ze znakami jego miłości na całym ciele. Postanowiła, że wstanie, umyje się i ubierze, zanim Matt się przebudzi. A poza tym natura ją wzywała, i to coraz bardziej nagłaco.

Wstanie okazało się jednak niełatwe; ciało Matta było ciężkie a musiała się spod niego wydostać, nie niepokojąc go. Najwyraźniej spał głęboko; Caroline udało się wysliznąć z objęć ukochanego, nie powodując najmniejszej zmiany w rytmie jego oddechu.

Stojąc nago obok splecionej pościeli, poczuła, że mróz przenika ją do kości. Złapała koszulę Matta i szybko się w nią ubrała, z rozbawieniem widząc, że rękawy sięgają daleko poza koniuszki jej palców a poły zakrywają kolana. Musiała wyglądać śmiesznie, ale któż bę

dzie ją oglądał? Miała zamiar pobieżnie się umyć, nawet gdyby groziło to zamrożeniem. Wsunęła nogi w buty Matta. Mogłaby w nich spać, tak były obszerne. Wzięła dzban, wciąż w połowie napełniony rumem, odsunęła kilka gałęzi i wyszła na zewnątrz.

Zrobiła tylko krok lub dwa. Miała wrażenie, że mróz zapiera jej dech w piersiach i kłuje w skórę. Wschodziło słońce, mgliste i blade, wiał łagodny wiatr. Chociaż śnieg wciąż padał gęsty, nie było już wirującej zamieci. Połyskliwy koc pokrył ziemię do wysokości kolan Caroline - cieszyła się, że Matt nosi takie ogromne buty - ale zawieja ustała. Jeśli nie tego, to następnego dnia na pewno będą mogli wracać do domu.

Jak Davey, John i reszta przyjmą nowinę? Co prawda wraz z chłopcami przekroczyła ważny most owego popołudnia w miasteczku, ale czy ich świeża sympatia wystarczy, by z radością przyjęli Caroline jako żonę ich ojca?

Załatwiwszy najważniejszą sprawę, wylała resztę rumu - z białego puchu uniósł się aromatyczny obłok i przypomniała sobie, jak mocny był to napój - po czym pośpiesznie napełniła dzban śniegiem. Szczękając zębami i dygocząc, wróciła do jaskini ze swoją zdobyczą.

- Do diaska, co ty wyprawiasz?

Zirytowana przekonała się, że Matt wcale nie śpi. Stał nagi i ani trochę tym nie zakłopotany, koło legowiska, z którego najwyraźniej dopiero co się podniósł, zaciśnięte w pięści dłonie oparł na wąskich biodrach. Caroline była tak zmarznięta, że ledwo mogła mówić, za to nic nie przeszkadzało jej patrzeć.

Z twarzą archanioła i wspaniałym ciałem Matt stanowił widok, od którego każdej kobiecie zabrakłoby tchu. Caroline, pogrążona w kontemplacji jego urody, nie zauważyła gniewu.

- Co cię opętało, żeby tak wyjść na mróz? - zapytał tonem o wiele bardziej rozdrażnionym, niż powinien przemawiać kochanek, po czym schylił się i spod przykrycia wyciągnął swoje futro.

Caroline, postawiwszy dzban koło ognia, żeby śnieg się roztopił, prostowała się właśnie, gdy Matt podszedł i otulił ją futrem; była mu wdzięczna za to nagłe ciepło. Zęby ciągle jej szczękały, skóra szczypała, na szczęście jednak nie przebywała na mrozie tak długo, by coś jej się stało.

- Po-potrzebujemy wody do-do my-mycia.

- I poszłaś po nią prawie naga? - zapytał, podnosząc głos; ostatnie słowo właściwie już wykrzyczał.

- Nie waż się krzyczeć, szanowny Ephraimie!

- Będę krzyczał, jeśli tak mi się spodoba. I nie mów do mnie „Ephraimie”.

- Będę, jeśli tak mi się spodoba. Prawdę mówiąc, lubię to imię.

- Och, naprawdę? -Tak.

- Jesteś dzisiaj okropnie pewna siebie, jak widzę. Niech ci się nie wydaje, że nie umiem radzić sobie z krnąbrnymi kobietami.

- Ho, ho, nie przestraszysz mnie! Choć w gębie jesteś mocny, to nigdy nie widziałam, żebyś dawał klapsa swoim synom!

- To dobrzy chłopcy i nie potrzebują takich kar. Ale nie myśl, że nie dam klapsa tobie, jeśli znowu postąpisz tak głupio, żeby prawie naga wychodzić na mróz po wodę, kiedy chcesz się umyć!

Tak przedstawiony, jej postępek istotnie nie wydawał się rozsądny.

- Były też... inne powody - odrzekła słabo.

Widząc jej wahanie, domyślił się, o co chodziło, i twarz nieco mu złagodniała.

- Następnym razem najpierw się ubierz. Nie słyszałaś nigdy o odmrożeniach?

-I kto mi mówi, żebym się ubrała! Popatrz na siebie, jesteś goły jak noworodek!

- Tak się składa, że wzięłaś moje ubranie.

- Ale nie całe.

- Wystarczy.

- Zostały ci spodnie, pończochy i...

- Caroline, czy naprawdę chcesz kłócić się ze mną całe rano? Na to pytanie odpowiedź była jedna:

-Nie.

- To dobrze. Bo moim zdaniem możemy robić wiele innych rzeczy. Uśmiechnął się, wolno i figlarnie, a Caroline poczuła, że wszystko jej się ściska w środku. Ujął ją pod brodę i uniósł twarz do pocałunku. Kiedy jego usta dotknęły jej ust, wspięła się na palce i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Tak jest o wiele lepiej. - Przesunął palcem po jej nosie. - A teraz może oddasz mi buty, bo też mam sprawę do załatwienia na zewnątrz.

-Aha.

- Właśnie.

Caroline przekonała się, że wspólne przebywanie w tak małym pomieszczeniu ma też kłopotliwe strony. Zarumieniona po same uszy, podała mu buty i futro, sama zaś wciągnęła jego pończochy - z grubej wełny, były o wiele cieplejsze niż jej bawełniane - i otuliła się indiańskim kocem.

Matt w butach i futrze wyszedł z jaskini. Wrócił szybko, po kilku minutach. Caroline miała czas, by zabrać dzban z roztopionym

i ogrzanym śniegiem od ogniska, ale nie zdążyła się już umyć. Kucając przy legowisku, zanurzała w wodzie kawałek oderwany od i tak zniszczonej już halki; podskoczyła jak przyłapana na jakimś nikczemnym uczynku, kiedy Matt wszedł do środka i ułożył na nowo gałęzie, które wcześniej odsunęła.

- Chyba się mnie nie wstydzisz? - zapytał, widząc na jej twarzy rumieniec.

- Chcę się umyć.

- Więc się myj.

Nie był doskonały, ten jej ukochany. Po prawdzie to daleko mu było do doskonałości. Jedną z jego wad był kompletny brak wrażliwości na subtelniejsze aspekty zachowania się dżentelmena. Jeśli jednak on może być jej nauczycielem w sztuce miłości, to ona może dać mu lekcje dobrych manier. To sprawiedliwa wymiana.

- To intymne zajęcie, potrzeba mi pewnej prywatności - wyjaśniła łagodnie. Nie była wcale zaskoczona, gdy spojrzał na nią zniecierpliwiony.

- Czy jest jakaś część twojego ciała, której jeszcze nie widziałem? Takiej odpowiedzi Caroline oczekiwała.

- Czy byłbyś taki dobry i zniknął stąd na chwilę? - Łagodność ustąpiła miejsca desperacji, która jednak poskutkowała.

Matt prychnął, jakby zirytowany kapryсами kobiet, ale odebrał koszulę od Caroline, całując ją w każdą pierś, po czym ubrał się błyskawicznie, wziął muszkiet i opuścił jaskinię.

Nie spuszczać czujnego wzroku z gałęzi zasłaniających wyjście, dziewczyna umyła się tak dokładnie, jak było to możliwe, biorąc pod uwagę przenikliwe zimno i spartańskie warunki. Gdzieś z zewnątrz dobiegał donośny głos Matta śpiewającego hymn; Caroline na chwilę znieruchomiała, by z czułym uśmiechem go posłuchać. Kiedy śpiew ucichł, wrócił jej rozsądek, odnalazła swoją odzież i zaczęła się ubierać. Wsuwając drugi but, zastygła nagle, bo w pobliżu rozległ się huk wystrzału.

Pośpieszyła do wyjścia i wyjrzała. Matt szedł w kierunku jaskini, w jednej ręce trzymając muszkiet, z którego wciąż unosił się dym, w drugiej

ustrzelonego królika. Na widok Caroline uśmiechnął się i podniósł zdobycz do góry.

- Śniadanie! - oznajmił, wchodząc do jaskini po nóż. Wrócił w zaskakująco szybkim czasie z królikiem oprawionym, wyczyszczonym i gotowym do pieczenia.

- Będziemy mieć ucztę - uśmiechnęła się Caroline.

Wzięła od niego mięso, nadziała na ostry patyk i umieściła nad ogniem.

Matt zdjął futro, umył ręce i resztą wody ochlapał twarz. Potem stanął za plecami dziewczyny i objął ją w pasie. Wpatrując się w soki, które już zaczęły kapać z sykiem w płomienie, zastanawiała się właśnie, czy nie powinna przenieść mięsa nad mniejszy ogień, kiedy Matt zaskoczył ją, przesuwając dłonie na jej piersi.

Instynktownie zeszywniała, lecz gdy pocałował ją za uchem, odprężyła się natychmiast. Zaraz też odwróciła się, objęła go za szyję i nagrodziła leniwym pocałunkiem.

Kiedy wszakże zaczął rozpinać jej suknię, zrobiła krok do tyłu.

- Co ty robisz?

- Rozbieram cię.

- Przecież dopiero się ubrałam!

- I wyglądasz ślicznie, ale ja wolę cię nagą.

I nagle pojęła, jak Matt zamierza spędzić resztę poranka. Rozpiąwszy jej suknię do talii, zsuwał ją teraz z ramion Caroline.

- Jest biały dzień!

Słyszając szczere oburzenie w jej głosie, przestał się uśmiechać.

- Tym lepiej - odparł, szybko rozebrał ją i siebie, po czym zaniósł dziewczynę na legowisko. Położył Caroline na plecach i pocałunkami stłumił wszelkie protesty, a potem dłońmi, ustami i całym ciałem pokazał jej, że dzień to bardzo dobra pora na to, o co mu chodziło. Kiedy o wiele później Caroline ocknęła się z drzemki, w nozdrza uderzył ją zapach przypalonego mięsa i przypomniała sobie o króliku. Z piskiem wyskoczyła z ramion ukochanego.

- Do diaska, co...? - Natychmiast czujny na potencjalne zagrożenie, Matt poderwał się, odsłaniając nagi tors.

- Przypalony! - jęknęła Caroline, ratując królika z pogrzebowego stosu.

- No to odkroimy to, co się spaliło, a resztę zjemy.

Zapomniawszy z przejęcia o swej nagości, Caroline uknęła i położyła mięso na płaskim kamieniu tuż przy wyjściu. Ku jej irytacji, Matt wybuchnął śmiechem. Wstał i podszedł ku niej.

- Jesteś nieustannym źródłem radości, moja malutka. Wracaj do mnie.

- Ale królik...

- Nie myśl o tym przeklętym króliku. Jesteś naga, zmarzniesz w tym chłódzie, a mamy dziś cały dzień na własne przyjemności. Ta-ka okazja nieprędko nam się trafi.

- Ale...

I choć dalej żałowała królika, Matt wziął ją na ręce i zaniósł na legowisko.

Minęło sporo czasu, nim znowu mogła pomyśleć o jedzeniu.

Stało się to dopiero wtedy, gdy wydłużone cienie drzew sięgnęły rzeki.

Caroline, otulona w futro i nic poza nim, Matt w indiańskim

pledzie, do którego zarzucenia go zmusiła, usiedli na posłaniu i zjedli resztki chleba, kiełbasy i jabłek, popijając to wodą z dzbana. Matt łyknął z drugiego dzbana tylko raz, nie więcej, a potem wyciągnęli się koło siebie. Caroline oparła głowę na jego ramieniu.

- Jak sądzisz, co ludzie powiedzą? - To pytanie dręczyło ją od jakiegoś już czasu niczym uparty owad, brzęcząc w głowie i zakłócając uczucie szczęścia.

- Na jaki temat? - Matt przesunął palcem od jednej satynowej piersi z truskawkowym czubkiem do drugiej.

- Nasz. Naszego małżeństwa.

- A co mają powiedzieć? Przecież to nie ich sprawa.

- Ale ja... no wiesz, w miasteczku raczej mnie nie lubią.

- Nie wychodzisz za mąż za miasteczko.

- To prawda. Tylko że...

- Hej, tam, w jaskini! Matt, czy to ty?

Oboje się poderwali, słysząc gromkie nawoływania. Caroline jęknęła i przykryła się pod sam nos, Matt zeszywniał.

- To Daniel, niechaj będzie przeklęta jego grzeszna dusza - rzekł do Caroline, po czym odkrzyknął do brata, że dobrze trafił.

42

Ubierz się. - Matt już był na nogach i wciągnął spodnie, podczas gdy Caroline, której wcale nie były potrzebne jego ponaglenia, rozglądała się, szukając koszuli. Matt pierwszy ją dostrzegł i podał jej ra-zem z halką i suknią. Caroline zaczęła pośpiesznie wkładać bieliznę, Matt narzucił koszulę.

- Matt! Ojej! - Po tym okrzyku nastąpiło stłumione przekleństwo.

Wyglądało na to, że Daniel miał trudności w dotarciu do jaskini, ale nie zamierzał rezygnować.

- Niech cię dunder świśnie, braciszku - mruknął Matt, usiłując jednocześnie wciągnąć buty i zapiąć guziki.

Caroline gorączkowo zawiązała halkę w pasie i sięgnęła po suknię, podczas gdy Matt, doprowadziwszy się już do jakiegoś takiego porządku, ruszył ku wyjściu, by powstrzymać brata.

- To ja, nie pomyliłeś się - oznajmił tonem według Caroline bardziej kwaśnym, niż zasługiwałyby wysiłki Daniela.

- Chwała niech będzie Panu! Bałem się, że uśmiercili cię Indianie albo zamieć, choć powinienem był od razu wiedzieć, że jesteś zbyt paskudny, żeby coś miało cię zabić.

Caroline, nie widząc twarzy Matta, nie potrafiła stwierdzić, czy zareagował na żartobliwy ton brata.

- Czy Caroline jest z tobą? - usłyszała głos Roberta.

Drgnęła zaskoczona, zastanawiając się nad liczebnością oddziału raptunkowego. Zapięła już suknię i teraz wciągała pośpiesznie pończochy. Na myśl, że będzie musiała opuścić ich miłosne gniazdko, by stanąć twarzą w twarz z plotkarską gromadką, skurczyła się cała. Mimo że nikt dokładnie nie wiedział, w jaki sposób ona i Matt spędzili noc, tamci bez wątplenia zaczęli snuć domysły i pewnie niewiele się po

mylą. Zapinając podwiązki i opuszczając suknię, Caroline czuła się jak najprawdziwsza Jezabel.

- Tak - odrzekł szorstko Matt, jakby ostrzegając braci przed dalszymi pytaniami. - Szybko nas wytropiliście.

- Podążaliśmy wzdłuż rzeki i zobaczyliśmy dym, to wszystko. Usuń się, bracie. Zimno jak w psiarni, chętnie ogrzejemy się trochę przy ognisku.

Matt, upewniwszy się, że Caroline doprowadziła się już do porządku, cofnął się w głąb jaskini. Pierwszy wszedł Daniel, za nim Robert. Obaj ubrani byli w długie futra, kapelusze z szerokimi rondami i buty do kolan, z których tupnięciami zaczęli otrzepywać śnieg.

Caroline zdążyła opatulić się kocem i wiedziała, że jest okryta tak szczelnie jak nigdy w życiu, nie potrafiła jednak nic poradzić na szkarłatne rumieńce, które zalały jej policzki, gdy Daniel i Robert, rozejrzawszy się po ich schronieniu, powitali ją skinieniami głowy.

Daniel unikał jej wzroku, w oczach Roberta malowało się rozbawienie.

- Nie ma wątpliwości, żeśmy martwili się i śpieszyli bez potrzeby - uznał Robert, dostrzegłszy drugi dzban z rumem, który Matt postawił niedawno przy ognisku. Zaraz też przykląkł, podniósł dzban i upił wielki łyk.

- Widzę, że macie tu wszelkie domowe wygody - zauważył Daniel, patrząc na legowisko w nieładzie. Robert szturchnął go w bok i podał mu rum.

Caroline nie byłaby bardziej zawstydzona, gdyby do sukni przypięli jej szkarłatny znak świadczący o cudzołóstwie.

- Caroline i ja pobieramy się - oznajmił nieoczekiwanie Matt, spoglądając na braci, których wymowne wyrazy twarzy świadczyły, że wszystkiego się domyślają.

- Pobieracie się? - powtórzył Daniel ze zdumieniem, wpatrując się w dziewczynę.

- Pobieracie się! To wspaniała nowina! - Robert zareagował z większą wylewnością. Podeszedł do Matta, poklepał go po ramieniu, po czym uśmiechnął się do Caroline. - Jesteś pewna, że chcesz go poślubić? Bo ja bym nie powiedział, że to ideał małżonka!

- Pilnuj języka, Rob - warknął Matt. Daniel w końcu otrząsnął się ze zdumienia i podeszedł do niego z wyciągniętą ręką.

- Życzę ci szczęścia, Matt - odezwał się spokojnym tonem, choć twarz mu pobleadła.

Patrząc, jak ściskają sobie ręce, Caroline poczuła ukłucie w sercu.

Wszystkich Mathiesonów łączyła tak głęboka miłość, że zadawała sobie pytanie, czy pomimo deklaracji Matta kiedykolwiek uda jej się pozbyć się wrażenia, że jest tylko intruzem, który przygląda im się z zewnątrz.

- Dziękuję, Dan. - Twarz Matta rozjaśniła się uśmiechem. Zerknął na Caroline z ukosa. - Lepiej się ożenić, niż spłonąć, a ja płonę już od ponad pół roku.

Słyszając to, zesztyniała z oburzenia, bracia zaś wymienili serdeczne i bardzo męskie spojrzenia.

- Przywieźliście medyka z Nowego Londynu? - zapytał Matt, zbierając rzeczy. Caroline uświadomiła sobie ze smutkiem, że ich izolacja od świata dobiegła końca.

Matt musiał myśleć podobnie, bo kiedy zbierał koce i skóry z legowiska, spojrzał jej czule w oczy. Świadomość wspólnego sekretu dodała Caroline otuchy. Cokolwiek się stanie, ona będzie miała Matta.

- Przywieźliśmy. To człek uczony, na całe szczęście zresztą, ponieważ po powrocie dowiedzieliśmy się, że zachorowało kilka innych osób, pomiędzy nimi Mary.

- Mary! - Caroline uniosła dłoń do ust, Matt się wyprostował. Daniel smutno kiwnął głową.

- Tak. Nie jest tak bardzo chora jak inni, ale przyrzekłem Jamesowi, że sprowadzę do niej Caroline tak szybko, jak tylko się da. Wezwał do niej medyka, ten jednak nie daje Mary szans na przeżycie.

- Najlepiej więc ruszajmy od razu w drogę. Macie konie? - Matt włożył kamizelkę i kapelusz, po czym sięgnął po futro, którym ku zaskoczeniu Caroline ją otulił.

- Ty je weź, mnie wystarczy koc - zaprotestowała.

- Kobieto, jeśli ciągle będziesz się kłócić, to czeka nas burzliwe pożycie małżeńskie. - Matt wepchnął jej ręce w rękawy, po czym zabrał się do zapinania okrycia. - Musisz wiedzieć, że zamierzam być panem w swoim własnym domu. Albo będziesz mi posłuszna, albo czekają cię straszne konsekwencje.

- Ho, ho! - mruknęła Caroline buntowniczo, choć pozwoliła okutać się w futro aż po samą brodę.

- Daj mu szkołę, Caroline. Dobrze mu zrobi, jeśli trochę spuści z tonu - odezwał się Robert wesoło.

- Obawiam się, że nie będzie z niej szczególnie uległa żona - zauważył Daniel, marszcząc gęste brwi.

Myśl ta najwyraźniej przyniosła mu niejaką pociechę, bo kiedy zasypywali śniegiem ognisko, sprawiał wrażenie mniej ponurego.

Przed jaskinią czekały cztery konie. Tylko jeden należał do Mathiesonów, trzy pożyczono, pomyślała Caroline. Zwierzęta niecierpliwie przebierały kopytami, z ich pysków unosiły się kłęby pary.

Śnieg sięgał dobrze ponad cholewki trzewików Caroline, z czego zdała sobie sprawę dopiero przy pierwszym kroku. Mężczyźni mieli długie do kolan buty, ona zaś zaciskała zęby, starając się nie zwracać uwagi na lodowate zimno. Matt zauważył to, podszedł i wziął ją na rękę.

- Sama mogę... - zaczęła, gdy ruszył z nią przez śnieg.

- Znowu to samo - westchnął ponuro, choć w oczach zamigotały mu żartobliwe błyski. Robert wybuchnął głośnym śmiechem, a Daniel z ociąganiem się uśmiechnął.

- Kocham cię - wyszeptała bezgłośnie, kiedy nikt nie mógł tego zauważyć. Jego odpowiedź bez słów sprawiła jej przyjemność; Matt mocniej ją do siebie przytulił. Caroline żałowała, że nie może pocałować szorstkiej szczęki, którą miała tak blisko ust. Była jednak zbyt zawstydzona, by uczynić to w obecności świadków.

W ostatniej chwili Matt włożył jej na głowę swój kapelusz. Posadził Caroline na siodle - nie zdążyła nawet zaprotestować. Otulił się kocem i razem z braćmi przytroczyli do siodeł rzeczy wyniesione z jaskini.

Obserwując, jak pracują niemal bez słów, z wprawą, która bierze się z długoletniej praktyki, Caroline uśmiechnęła się, kryjąc twarz w futrze łaskoczącym ją w usta i mocniej nasuwając ogromny kapelusz na czoło.

Posuwali się wolno, konie z trudem brnęły przez zaspy. Zrobiło się przenikliwie zimno. Dzień zmienił się w noc, ale wąski półksiężyc, którego promienie odbijały się od białego puchu, zaskakująco dobrze oświetlał drogę. Zerwał się wiatr, gdzieś, całkiem blisko, rozległo się wycie wilków. I to nie jednego, lecz całej watahy, pomyślała Caroline, czując przy tym dreszcz. Jechali gęsiego, Caroline przed sobą miała Daniela, z tyłu zaś Matta. Skoro ona mimo jego futra i kapelusza marzła, to jemu musiało być jeszcze zimniej. Nie mieli jednak innego wyjścia, tylko zacisnąć zęby i nie dać się. Najgorzej było, kiedy zatrzymywali się, by odpocząć i coś zjeść.

Dochodziło południe dnia następnego, gdy Robert dostrzegł unoszący się leniwie ponad koronami drzew dym.

- Udało nam się! - zawołał.

Myśl, że są blisko domu, rozproszyła nieco przygnębienie Caroline.

Gdyby to było możliwe, spięłaby konia do galopu, lecz w śniegu mogli posuwać się tylko noga za nogą.

Na widok domu pomiędzy drzewami zachwiała się na siodle. Była tak wyczerpaną, tak śmiertelnie znużoną, przemarzniętą, głodną i...

- Tatko! - Z wyjściowych drzwi wypadli John i Davey, a za nimi Thomas, gdy jeźdźcy pojawili się na polanie. - Tatko!

Chłopcy przedzierali się przez śnieg, jak to dzieci, nie dbając o to, że nie są odpowiednio ubrani i zaraz przemokną do pasa. Raleigh pędził za nimi niczym ogromny łaciaty królik i ujadał wniebogłosy. To radosne powitanie sprawiło, że Caroline uśmiechnęła się, choć pokręciła głową na myśl o tym, jak mokrzy będą chłopcy i pies.

- Tatko! ~

Matt wstrzymał konia, zeskoczył z siodła i objął synów, mocno ich do siebie przytulając. Odpowiedzieli mu tym samym.

- Czemu nie jesteście w szkole? - zapytał, stawiając ich na ziemi. Raleigh skakał wokół nich radośnie.

- Nie ma szkoły z powodu tej gorączki! - wyjaśnił John.

- To wspaniale, prawda? - dodał Davey. Caroline rozbawił ten radosny egoizm. Wszystko może przepaść, jeśli tylko on nie będzie musiał iść do szkoły.

- Wspaniale. Idźcie do domu, a my odprowadzimy konie. Caroline, zostań z dziećmi.

Matt posadził chłopców na siodle i ruszył w kierunku wejścia, reszta podążyła za nim. Przed drzwiami najpierw zsadził synów, później wyciągnął ręce po Caroline. Mruczając coś, zsunęła się w jego ramiona. Czowała, że jest pod dobrą opieką, odkąd powierzyła siebie Mat-towi. Nie postawił jej na śniegu, ale zaniósł, przytuloną do piersi, na ganek. Nagły błysk w jego błękitnych oczach był jedynym znakiem, jaki dostrzegła, zanim pochylił się i mocno pocałował ją w usta.

Później odwrócił się i bez słowa wsiadł na konia, zostawiając Caroline zarumienioną i spłonioną, by stawiała czoło zdumionym chłopcom i ich stryjowi.

Tatko cię pocałował! - zawołał Davey niemal oskarżająco.

- Czy on cię kocha, ciociu Caroline? - zapytał John.

Thomas, choć milczał, najwyraźniej z takim samym jak chłopcy zainteresowaniem czekał na jej odpowiedź.

Caroline zerknęła zdesperowana na ukochanego, który oddalał się w kierunku stodoły w otoczeniu braci, koni i psa, po czym kazała dzieciom wejść do domu.

Chwilę opierała się o drzwi. Tak była zmęczona, że ledwo trzymała się na nogach. Ciepło panujące w domu sprawiło jej ból; skrzywiła się, gdy zaczęły ją szczypać zmarznięte stopy i nos. Wszyscy uczestnicy wyprawy potrzebowali teraz jedzenia i wypoczynku. Caroline czuła przemożne pragnienie zaspokojenia głodu i zdecydowała, że będzie lepiej, jeśli Matt sam odpowie synom na ich pytania. Na buziach Da-veya i Johna malowały się wątpliwości i niedowierzanie.

- Masz kapelusz tatki! - zauważył Davey, gdy zdjęła nakrycie z głowy.

- I jego futro! - dodał zaszokowany John.

- Było bardzo zimno, a ja nie miałam żadnego okrycia. - Musiała sprawiać wrażenie zapędzonej w kozi róg, bo Thomas, który gapił się na nią tak samo ciekawie jak jego bratankowie, teraz się uśmiechnął.

- Ale dlaczego on cię pocałował? - nalegał Davey. - On całuje tylko mnie i Johna, i tylko wtedy, jak zrobimy sobie krzywdę albo jesteśmy naprawdę chorzy. Nikogo innego nigdy nie całuje. Prawda, John?

John kiwnął głową. Caroline westchnęła, otworzyła usta - i uznała, że brak jej odwagi, by o wszystkim im powiedzieć.

- Dajcie mi chwilkę, żebym złapała oddech, a potem porozmawiamy - odrzekła wymijająco, kierując się do kuchni.

Dół futra ciągnął się za nią po podłodze. Kiedy trochę się rozgrzała, zdjęła je. Millicent wstała ze swego przytulnego legowiska koło ognia, przeciągnęła się i miauknęła na powitanie. Na ogniu coś bulgotało - sądząc po zapachu, kasza kukurydziana - i Caroline poczuła, jak z głodu ściska jej się żołądek. Inni pewnie też są głodni, trzeba więc pomyśleć o posiłku. I jest jeszcze Mary, więc potem będzie musiała do niej pośpieszyć. Wszystkie te urywane myśli przelatowały jej przez głowę, gdy wieszła futro na haczyku.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła trzy pary oczu spoglądające ciekawie na jej obciętą spódnicę.

Caroline wzniosła oczy do nieba i ruszyła do swojej sypialni.

- Ciociu Caroline! - zaprotestował Davey, kiedy zamknęła im przed nosem drzwi.

- Zaraz wrócę - powiedziała - Ale najpierw muszę zmienić suknię.

Umycie się, przebranie i wyszczotkowanie włosów zajęło jej prawie kwadrans. Kiedy wyszła ze swej sypialni, zastała w kuchni Matta, Daniela i Roberta, którzy otrzepywali ze śniegu płaszcze i buty.

- Thom, ty gotujesz! - wykrzyknął Robert z pełnym zdumienia uznaniem w głosie.

- Musieliśmy coś jeść, nieprawdaż? Macie szczęście, że zrobiłem wszystkiego za dużo - odrzekł obronnym tonem. Caroline domyśliła się, że Thom obawia się docinków. Odkąd z nimi zamieszkała, przyzwyczaili się uważać, że zajęcia w rodzaju gotowania, tak przecież niezbędne, są poniżej ich męskiej godności.

- Tatku, dlaczego pocałowałeś ciocię Caroline? - Davey od razu przeszedł do sprawy, która go dręczyła. Matt zdjął z ramion koc i usiadł na zydlu.

- Chodź tu, John, i pomóż mi - polecił synowi. John najwyraźniej robił to już wcześniej: podszedł do ojca i stojąc odwrócony plecami, ujął go za nogę. Matt położył drugą nogę na pośladkach chłopca i pchnął go. But zsunął się bez trudu.

- Tatku, nie słuchasz mnie! - zawołał Davey.

John zdjął ojcu drugi but, Robert i Daniel zaś wyświadczyli sobie wzajemnie tę samą przysługę. Caroline odpędziła Thomasa od garnków i sama zajęła się gotowaniem, w samą porę zresztą, bo kasza, zbyt długo pozostawiona na ogniu, omal nie posklejała się w grudy.

- Ależ słucham, Davey - odrzekł Matt, rozpinając kamizelkę.

- No to dlaczego ją pocałowałeś?

- Bo się z nią ożenię, ty głuptasku - wyjaśnił mu żartobliwie, lecz chłopcy odebrali jego słowa w sposób wręcz dramatyczny. John z otwartą buzią gapił się na ojca, Davey, którego dolna warga zaczęła drżeć, wyglądał, jakby miał zaraz się rozplakać.

- Czy to znaczy, że ona będzie naszą matką? - zapytał John z przerażeniem.

- Ja nie chcę żadnej matki! -I Davey wybuchnął głośnym płaczem. Było gorzej, niż Caroline się spodziewała. Głęboko zraniła ją reakcja chłopców, starała się jednak o tym nie myśleć, lecz raczej spojrzeć na sprawę z ich punktu widzenia. W końcu mieli za sobą okropne doświadczenia, a poza tym na pewno uważali, że Matt należy tylko do nich. Myśl, że ojciec mógłby ponownie się ożenić, chyba nigdy nie przyszła im do głowy.

- Nigdy nie będę waszą matką - wtrąciła spokojnie, dalej mieszając kaszę, choć całą uwagę zwróconą miała na scenę rozgrywającą się za jej plecami. - Kiedy poślubię waszego ojca, nadal pozostanę waszą ciocią Caroline.

- Nie! - Davey z płaczem wybiegł z pokoju. John, jako starszy, lepiej nad sobą panował, zacisnął więc tylko usta.

- Lepiej pójdę za nim - powiedział i ruszył do drzwi. Za progiem jednak spokój go opuścił. Caroline skrzywiła się, gdy usłyszała, jak biegnie po schodach, po czym z tupotem wpada do swego pokoju.

- Doskonale to załatwiłeś - odezwał się Daniel ironicznie.

- Powinieneś być bardziej oględnie im o tym powiedzieć - dodał Robert.

- Biedne dzieciaki - mruknął Thomas. Matt obrzucił braci zniecierpliwionym spojrzeniem.

- Przejdzie im - oświadczył, po czym ruszył w ślad za synami.

- Proszę cię, nie wymuszaj na nich zgody - powiedziała Caroline, lecz jeśli nawet ją usłyszał, to nie dał nic po sobie poznać.

Po dziesięciu minutach, kiedy kasza gotowa była do podania, wrócili.

- Cieszymy się, że będziesz żoną naszego tatki, ciociu Caroline -oznajmił John ponuro, patrząc na nią z ledwo maskowanym gniewem. Wyraz jego twarzy był zaskakująco dorosły jak na tak młody wiek.

- Dziękuję ci, Johnie - odrzekła Caroline łagodnie.

W gardle ją ścisnęło na widok miny chłopca. Jakże pragnęła obu ich objąć i zapewnić, że wszystko będzie dobrze! Intuicja jednak podpowiadała jej, by się wstrzymała i dała im czas na przetrwanie nowiny. Sądziła, że przeciw chłopców wynika raczej z szoku niż z nie-chęci do niej, mijała

wszakże wrażenie, że wszystko, co osiągnęła w stosunkach z siostrzeńcami, teraz utraciła. Matt szturchnął Daveya w bok.

- Ja też - dodał malec, zmuszony ojcowskim autorytetem. Na jego buzi malował się bunt, warga dalej lekko drżała.

Caroline uśmiechnęła się do niego.

- Jedzenie gotowe - powiedziała, czując, że lepiej zmienić temat.

-Siadajmy do stołu.

Chłopcy, wyraźnie ucieszeni tym zwolnieniem z nieprzyjemnego obowiązku, natychmiast rzucili się w stronę krzeseł. Robert, Thomas i Daniel podążyli za nimi, Matt natomiast uśmiechnął się - raczej ponuro - do Caroline.

- Nie martw się, przyzwyczajają się do tej myśli - szepnął. Caroline potrząsnęła głową.

- Nie możesz im rozkazać, by zaaprobowali nasze małżeństwo -ostrzegła, on jednak tylko pogłaskał ją po policzku i także zajął miejsce przy stole. Po skończonym posiłku Caroline chciała bez zwłoki ruszać do Mary, lecz Matt nalegał, by najpierw odpoczęła. Powiedział, że jest szara ze zmęczenia, a on nie pozwoli, by doprowadziła się do choroby. Jego troska wzruszyła dziewczynę, stwierdziła też, że ma ochotę ulegać jego życzeniom, choć przyrzekła sobie, że gdy oboje przywykną już do myśli, że są zaręczeni, tak łatwo mu z nią nie pójdzie.

- Godzina czy dwie niewiele mogą zmienić, a ty padasz z nóg. Poza tym James na pewno już dawno sprowadził do niej medyka - tłumaczył Matt i Caroline musiała przyznać, że mówił rozsądnie. Była taka zmęczona, że powieki same jej opadały. Zasnęła natychmiast, gdy tylko się położyła, a Matt nie pozwolił jej budzić. Tak więc dopiero późnym popołudniem wyruszyli do domu Jamesa.

Pojechali saniami, którymi powoził Matt, świeżo ogolony i blady z braku snu. Dopilnował, by Caroline miała na sobie ciepłe futro i rozgrzane cegły pod stopami. Przytulona do jego boku, cieszyłaby się tą jazdą, gdyby nie powaga sytuacji.

Może jednak niepotrzebnie się martwi, bo Mary jest już na dobrej drodze do wyzdrowienia.

Miasteczko wydawało się niemal opustoszałe, panowała w nim dziwna cisza, którą Caroline przypisała otulającej je śnieżnej pokrywie.

Zachodzące słońce rzucało pomarańczową poświatę, malując wszystko, nawet zatokę, na ognisty kolor. W wielu domach paliło się światło, lecz zobaczyli tylko jednego przechodnia w czarnym stroju, samotnie śpieszącego drogą, przy której mieszkali James i Mary.

Kiedy Matt wstrzymał konia, otworzyły się drzwi i w progu stanął James widoczny na tle światła padającego z wnętrza domu. Matt uniósł rękę na powitanie, obszedł sanie i pomógł Caroline zejść. Przez cały ten czas James nie poruszył się, patrzył tylko na nich jak sparaliżowany.

Dopiero po wejściu na schody Caroline mogła mu się przyjrzeć. Był blady i wyczerpany, oczy miał czerwone od płaczu. Na jego twarzy malowała się taka rozpacz, że dziewczynie ścisnęło się serce.

Patrzył tylko na Matta.

- Umarła. Mary umarła - oznajmił łamiącym się głosem, a potem jego ciałem wstrząsnął straszny szloch.

Caroline krzyknęła, gdy Matt wyminął ją i wziął brata w objęcia.

44

Dwa dni później odbył się pogrzeb Mary. Nieustanne kapanie topniejącego śniegu wwierało się w mózg Caroline. Stała obok Matta, który ubrany w czerń, z kapeluszem w dłoni, pochylał głowę w odpowiedzi na wezwanie wielebnego Millera do modlitwy. - Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Caroline dołączyła swój głos do innych. James, stojący z drugiej strony Matta, sprawiał wrażenie oszołomionego, kilka razy głos mu się załamał w czasie odmawiania modlitwy, którą znał przecież jak własne nazwisko. Matt spoglądał na niego od czasu do czasu w trakcie nabożeństwa, odprawianego z większym niż zwykle pośpiechem, jako że tego dnia dwie inne ofiary zarazy czekały jeszcze na pochówek. Był równie przygnębiony jak James. Nie ulegało wątpliwości, że cierpienie jednego jest cierpieniem wszystkich Mathiesonów. Koło Jamesa stał Daniel, Robert i Thomas zaś za nim. Wszyscy byli bladzi i zrozpaczeni, zarówno współczując owdowiałemu bratu, jak i żałując kobiety, którą utracił. Sprawiali wrażenie, jakby trzymali straż przy Jamesie.

Och, i była jeszcze mała Hope! Łzy popłynęły Caroline po policzkach, gdy spojrzała na to biedne, pozbawione matki dziecko. Hope, zbyt mała, by zdawać sobie sprawę z tragedii, gaworzyła z zadowoleniem na rękach Jamesa i czasami dotykała ojcowskiego nosa lub ust. Pozwalał jej na to, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy, co robiła, choć nie chciał oddać dziecka nikomu, ani Caroline, ani żadnej z przyjaciółek Mary. Niebieskie oczy małej błyskały radością, buzię rozjaśniał uśmiech, bo Hope lubiła przebywać w towarzystwie innych ludzi, a tu było ich tak wielu. Jej wesołość łamała serca patrzącym.

U ich stóp w dole spoczywała już sosnowa trumna Mary. Teraz James powinien rzucić pierwszą garść ziemi i pogrzeb dobiegnie końca.

Zebrani czekali, aż to uczyni, on wszakże wpatrywał się pustym wzrokiem w grób, najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Matt pochylił się i nabrał garść ziemi, którą podał bratu. James spojrzął na swoją dłoń, a potem obrzucił Matta wzrokiem pełnym cierpienia, jakby ten sprawił mu straszny ból.

- Wrzucić to do środka - mruknął Matt.

Rysy Jamesa stężały. Poruszając ustami, posłuchał polecenia. Gruda ziemi z głuchym dudnieniem uderzyła w wieko trumny. Caroline zadrżała, James także.

- Niechaj stanie się wola Boga. Amen.

Kiedy wielebny zaintonował ostatnią modlitwę, Caroline przypadkiem napotkała jego spojrzenie, pełne takiej nienawiści, że aż się wzdrygnęła. Ściągnął usta, jakby chciał na nią splunąć. Zaskoczona, mimowolnie zrobiła krok do tyłu. Nabożeństwo skończyło się, Matt i Daniel wyprowadzali już Jamesa z cmentarza. Za nimi podążali Davey i John, smutni i poważni, aczkolwiek Caroline wątpiła, by Davey rozumiał dokładnie, że Mary złożono do grobu na zawsze i nigdy więcej już jej nie zobaczą. Zresztą tym lepiej, uznała, idąc za Robertem i Thomasem, którzy dyskretnie pilnowali chłopców. Straszliwa prawda przeciwko wiecznemu optymizmowi młodości.

Gromadka przyjaciół Mary i krewnych rozstępowała się przed Ma-thiesonami, mrużąc słowa pociechy. Ale Caroline, mijając ich, z zaskoczeniem dostrzegła, że ci, co przedtem spoglądali na nią z sympatią, teraz patrzą twardo i niechętnie. Mężczyźni nie kryli pogardy, kobiety, którym nigdy nie uczyniła najmniejszej krzywdy, zbierały spódnice i odwracały głowy.

Hanna Forrester płakała z chusteczką wdzięcznie przyłożoną do oczu, jak zwykle towarzyszyła jej Patience Smith, Hanna spojrziała na Matta, ten jednak jej nie zauważył, wówczas też przeniosła wzrok na Caroline.

Kiedy ta jej się ukloniła, Hanna odwróciła się do niej plecami, a Patience, niewolniczo naśladowując siostrę, uczyniła to samo.

Uprzytomniwszy sobie, że wszyscy ją bojkotują, Caroline poczuła falę gorąca. Czy ktoś jakimś cudem dowiedział się o owej nocy? Bo przecież wszyscy w miasteczku bez wątpienia uznaliby, że popełniła wielki grzech z Mattem.

- To ona, czarownica! Strzeż się, żeby na ciebie nie spojrzała. To te jej oczy, widzisz, jaki mają kolor? Jeśli na ciebie spojrzy, zapadniesz na gorączkę i umrzesz, jak biedna pani Mathieson, która przyjaźniła się z tą poczwara - szeptała jakaś kobieta do swej towarzyszki.

Zaskoczona Caroline odwróciła się w ich stronę, one jednak umknęły wzrokiem i w obronnym geście uniosły ręce.

Czy naprawdę wierzą, że jest czarownicą? Przerazona i upokorzona Caroline niemal biegiem podążyła za mężczyznami. Za plecami słyszała coraz głośniejszy i bardziej nieprzyjemny pomruk.

- Ona jest zła, dobrzy ludzie - syczał głos, który Caroline wydał się głosem pastora. - To nałożnica Ephraima Mathiesona, zna się na czarach. Może nawet nie jest siostrą tej pierwszej, która była jego żoną, lecz właśnie tamtą, co powstawszy z grobu, przyjęła nowe ciało, by wziąć pomstę na nas za to, żeśmy skazali ją na wieczne ognie piekielne. Rzuciła klątwę na nasze miasteczko i swą diabelską mocą sprowadziła śmierć na bogobojnych jego mieszkańców! Ale nas nie oszuka! Nie, to jej się nie uda!

W tłumie rozległy się gniewne pomruki. Coś miękkiego uderzyło Caroline między łopatki. Śnieżna kula! Okręciła się na pięcie i ujrzała, że wielu z żałobników śmieje się, zakrywając dłońmi usta, podczas gdy inni unikali jej wzroku. Nie potrafiła jednak rozpoznać sprawcy, zbyt też była zawstydzona, że publicznie ją upokorzono.

Nie krzyknęła, lecz podążyła za mężczyznami, którzy nieświadomi tego, co się zdarzyło, zmierzali do domu Jamesa.

Caroline uznała, że w obliczu jego żałoby nie ma prawa wspominać o tym, co ją spotkało, tak więc milczała, gotując dla wszystkich posiłek. Bracia na zmianę czuwali przy Jamesie w sypialni, którą jeszcze przed dwoma dniami dzielił z żoną.

- Jest w bardzo złym stanie - powiedział jej później Matt, kiedy James wreszcie zasnął i zaczęli zbierać się do odjazdu.

Daniel został z bratem, matka Mary zaś, która poprzedniego dnia przyjechała z Wethersfield, opiekowała się Hope. Ponieważ Mary była najstarszą córką, a w domu zostały młodsze dzieci, mogła poświęcić wnuczce tylko kilka dni. Po jej wyjeździe James będzie musiał zająć się Hope. Caroline postanowiła, że chętnie przejmie od niego ten obowiązek,

jeśli tylko ojciec dziecka jej na to pozwoli. Kochała tę małą dziewczynkę o słodkiej buzi i pożegnała ją uściskiem i pocałunkiem pełnym łez.

W drodze do domu chłopcy zachowywali nietypowe dla siebie milczenie. Caroline podejrzewała, że to skutek pogrzebu. Zazwyczaj buzie im się nie zamykały.

- Tatku, czy stryjek James też znajdzie sobie nową żonę? - odezwał się w pewnej chwili Davey, któremu pozwolono jechać pomiędzy Mattem a Caroline.

- Może kiedyś. To trudna sprawa, znalezienie sobie nowej żony -odparł Matt po chwili i pogładził synka po włosach.

Davey nic więcej nie powiedział, przytulił się tylko do ojca. Caroline domyśliła się, iż porównuje sytuację małej Hope z własną i Johna

i powolutku, małymi kroczkami zaczyna akceptować pomysł, że Matt się ożeni.

Tego wieczora, kiedy wszyscy poszli spać i w domu zapanowała cisza, Caroline usiadła przed paleniskiem w kuchni. Nie mogła spać, na myśl o biednej Mary, Hope i Jamesie do oczu napływały jej łzy. Świat to okrutne miejsce, skoro rozdzielił tych troje.

Za jej plecami coś skrzypnęło. Caroline podskoczyła i obejrzała się szybko. W progu stał Matt, jedną ręką opierając się o framugę. Twarz miał poważną, oczy podkrążone z wyczerpania, bo poprzednie noce spędził z Jamesem, pomagając mu radzić sobie z żalem, dnie zaś poświęcił na pracę i sprawy związane z pogrzebem. Dopiero teraz miał szansę porządnie się wyspać po raz pierwszy od dnia, gdy uratował ją z rąk Indian.

- Co ty tu robisz? - zapytała z lekką naganą.

- Usłyszałem, że ktoś jest na dole, i pomyślałem, że to chyba ty - odrzekł, podchodząc bliżej.

Był boso, miał na sobie jedynie spodnie. Nagi tors i ramiona wydawały się bardzo szerokie w półmroku panującym w kuchni. Spodnie opadały mu nisko na biodra, ponad nimi rysowały się twarde mięśnie brzucha.

- Musisz się wyspać - powiedziała Caroline, ujmując jego dłoń i przyciskając ją do ust.

- Ty też. - Z nieodgadnionym spojrzeniem pociągnął ją ku sobie i objął w talii.

Caroline zarzuciła mu rękę na szyję. Nagle ogarnęło ją wielkie zadowolenie, że przyszedł do niej, by podzielić się swym smutkiem; wspięła się na palce i ustami dotknęła jego warg.

Przycisnął ją mocniej do siebie i gorąco pocałował. Jedną dłonią zaczął unosić jej batystową koszulę nocną.

- Tatku! Tatku! - John biegł po schodach z takim pośpiechem, że o mało z nich nie spadł. Na dole zobaczył, że stoją spleceni w uścisku, choć słysząc go, przestali się całować, lecz widok ten wcale go nie powstrzymał. - Tatku! Ciociu Caroline! To Davey! Jest okropnie chory!

45

Przez następne dwa dni, kiedy Davey pozostawał na granicy życia i śmierci, Matt nie odstępował jego łóżka. Podobnie jak John, przerażony,

że brat może umrzeć. W końcu jednak Matt w obawie, by John też się nie zaraził, zakazał mu wchodzić do pokoju brata. Inni też na polecenie Matta trzymali się z daleka, z wyjątkiem Caroline, która pielęgnowała chłopca z takim poświęceniem, że nie zdobyłaby się na większe, gdyby był jej dzieckiem.

Medyk, uczony człowiek nazwiskiem Samuel Smith, przyszedł i poszedł, kręcąc głową z powątpiewaniem. Uczynił, co w jego mocy, a rezultat w takich wypadkach, jak oznajmił Mattowi i Caroline, zależy przede wszystkim od woli Boga. Matt trzymał Daveya za rękę, na zmianę odmawiając modlitwy i na kartach Biblii szukając pociechy w tej strasznej chwili. Caroline serce ścisnęło się na myśl, czym byłaby dla Matta utrata syna.

Jakaś jego część odeszłaby z Daveyem.

- Ciociu Caroline, nie pozwolisz Daveyowi umrzeć, prawda? Uratowałaś tatkę. - John, który nie chodził do szkoły i któremu zakazano wstępu do chorego brata, mógł tylko się zamartwiać.

Caroline miała dla niego wiele sympatii i współczucia. John bez większego zaangażowania grał w warcaby z Thomasem, choć takie rozrywki nie spotykały się z uznaniem purytan. Teraz jednakże stryjowie gotowi byli na wszystko, by oderwać myśli chłopca od chorego.

- Zrobię, co w mojej mocy - odparła taraz.

Stała przy palenisku, nalewając kleik dla Daveya, który nieustannie wymiotował.

Nie mogła się powstrzymać, by nie przesunąć dłonią po włosach chłopca. Ku jej zaskoczeniu John zerwał się na równe nogi i objął ją.

- Davey i ja... my cię kochamy, ciociu Caroline - powiedział zapalczywie, chowając głowę na jej piersi. - To będzie dobrze, jak poślubisz tatę, naprawdę.

- Dziękuję ci, Johnie, ja też was kocham. - Z garnuszkim w dłoni objęła go i ucałowała jedwabiste włosy chłopca. - Wszyscy czworo będziemy tacy szczęśliwi, zobaczysz.

A choć poważnie wątpiła, czy Davey przeżyje, za nic w świecie nie powiedziała tego Johnowi. Woląла raczej malować przed nim radosne perspektywy, dopóki jeszcze było to możliwe.

- Jeśli Davey nie umrze - odezwał się John ze smutkiem. Z opuszczoną głową wrócił na swoje krzesło.

- Musimy wszyscy modlić się za niego - odparła Caroline z całym spokojem, na jaki mogła się zdobyć. Thomas spojrzał na nią, unosząc pytająco brew. Pokręciła tylko głową.

Matt już modlił się przy łóżku syna. Caroline, wypróbowałszy wszystkie swoje umiejętności, od lodowatych prześcieradeł począwszy, a skończywszy na medykamentach, które jej jeszcze pozostały, teraz mogła tylko poić chłopca i obmywać jego płonące ciało. Los Daveya istotnie spoczywał w rękach Boga. Malec chorował od ponad dwóch dni.

Niemal wszystkie ofiary zarazy umierały trzeciego dnia.

Wskazówki zegara powoli zbliżały się ku północy. Nieprzytomny Davey leżał nieruchomo i Caroline kilka razy ze strachem myślała, czy już nie umarł. Matt nie wypuszczał z dłoni jego ręki. Caroline, siedząc po drugiej stronie łóżka, zamieniła z nim tylko kilka słów.

Bardzo się obawiała, że Davey nie doczeka świtu.

- Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego... - powtarzał słowa psalmu Matt, ściskając z niezwykłą czułością drobną piąstkę Daveya w swej wielkiej dłoni. Caroline ujęła chłopca za drugą rękę i przyłączyła się do modlitwy.

- „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne”... Miała nadzieję, że Matt podobnie jak ona czerpie ukojenie z tych słów. Davey chyba ich nie słyszał.

A potem ku jej zaskoczeniu chłopiec uniósł powieki i spojrzał najpierw na nią, a później na Matta.

- Tatko - powiedział, jakby poczuł ulgę na jego widok. - Jestem strasznie głodny, tatku.

I zaraz zamknął oczy, a jego ciało znieruchomiało.

- Davey, nie, proszę. Boże, nie... - Matt pochylił się nad synem ze łzami w oczach.

Caroline położyła dłoń na czole chłopca.

- Nie, Matt, on nie umarł! - wykrzyknęła radośnie, gdy potwierdziły się jej nadzieje. - I nie umrze! Gorączka spadła i Davey jest głodny! A ci, co są głodni, nie umierają!

Musiała minąć chwila, nim do Matta dotarły jej słowa. Zgarbił się na krześle i zamknął oczy. - Chwała niech będzie Panu! - westchnął.

Serce Caroline ścisnęło się boleśnie, gdy zobaczyła łzę, która spod gęstych czarnych rzęs stoczyła się na ogorzały policzek.

- Matt! Matt, mój kochany, nie słyszałeś, co mówiłam? Davey nie umrze!

- Wstrząśnięta do głębi widokiem płaczącego mężczyzny, podeszła i przytuliła go mocno.

- Słyszałem. - Objął ją, chowając głowę na jej piersiach, tak jak wcześniej w kuchni zrobił to John i równie niewinnie.

Caroline gładziła go po włosach, całowała, mruzczała pocieszająco to wszystko, co jak przypuszczała, kobiety mruczą swym ukochanym w chwilach napięcia.

- Boże, jak ja ciebie kocham - odezwał się dziwnym, drżącym głosem.

Teraz, gdy kryzys minął, opuściły go siły. Caroline widziała, że władzę nad nim przejmuje wyczerpanie, czuła na sobie ciężkie i bezwładne ciało Matta. Jeszcze chwila i biedak zaśnie na krześle, a ona albo będzie musiała tak stać przez całą noc, albo pozwoli mu upaść na podłogę.

Będzie o wiele, wiele lepiej, jeśli Matt położy się we własnym łóżku, tak więc zmusiła go, by wstał. Choć wcześniej wyprawił ją na kilkugodzinny wypoczynek, sam nie spał, odkąd Davey zachorował.

- Daveyowi nic nie grozi, a ty musisz się wyspać - oznajmiła mu zdecydowanie, kiedy się sprzeciwiał.

- Nie chcę zostawiać go samego - powtarzał z uporem, choć słał się na nogach.

- Nie będzie sam. Wrócę do niego, gdy tylko ciebie ułożę do snu.

- Nie jestem małym dzieckiem, nic mi nie dolega.

- Wiem, ale to mi sprawi wielką przyjemność. Poproszę Daniela, żeby został z Daveyem do mojego powrotu.

Mijając sypialnię Daniela, Caroline zapukała, po czym powtórzyła mu swoją prośbę. Popatrzył na nich, czule objętych, i w jego oczach pojawiła się rezygnacja, jakby nagle pojął, że tych dwoje na zawsze należy do siebie.

- Oczywiście, posiedzę z Daveyem - odrzekł cicho.

I ruszył w stronę pokoju chłopca. Caroline, zaprowadziwszy Matta do sypialni, zapaliła świecę, po czym pomogła mu się rozebrać, jakby był dzieckiem. Rozpięła mu koszulę i spodnie, ściągnęła pończochy. Kiedy się położył, otuliła go starannie. I wtedy wyciągnął do niej rękę.

- Zostań chwilę - mruknął, sięgając do jej piersi.

Caroline zrozumiała, że mimo wyczerpania pragnie jej, potrzebuje tego dającego życie aktu jako antidotum na anioła śmierci. Bez słowa zdjęła ubranie i wsunęła się pod pościel.

- Ta^ bardzo cię pragnę - mruknął, odnajdując jej usta, a potem udowodnił to dłońmi i wargami, aż palący się między nimi płomień wybuchnął i rozproszył ciemność, która tak blisko się podkradła.

46

Przyszli po nią o zmierzchu dnia następnego. Caroline była w pokoju Daveya, gdy usłyszała łomotanie do frontowych drzwi. Wydało jej się dziwne, że goście aż tak głośno dają znać o swoim przybyciu, mimo to idąc otworzyć, nie przeczuwała nawet, że może stać się coś złego.

Wieczera bulgotała na ogniu, a mężczyźni, po raz pierwszy od wielu dni uznawszy, że mogą oddalić się od domu, byli jeszcze na południowym polu, gdzie rąbali na opał drzewo, które przygniotło Matta. Przewleczone na skraj pola, leżało i schło przez całe lato, by w czasie surowej zimy stało się równie użyteczne jak wówczas, gdy jeszcze rosło.

Caroline spodziewała się, że domownicy niedługo wrócą i wtedy wszyscy wspólnie zasiądą do wieczerzy. Mimo że wciąż nosili żałobę po Mary, teraz, gdy życiu Daveya nic już nie groziło, posiłek miał być uroczysty. Przygotowała ulubione dania Mathesonów, upiekła placek z mąki kukurydzianej, jajek, miodu i mleka.

Tak więc niczego nie podejrzewając, otworzyła drzwi i zobaczyła przed sobą gromadę złożoną z kilkunastu mężczyzn i trochę mniejszej liczby kobiet. Wszyscy trzymali w rękach płonące pochodnie i coś do siebie mamrotali.

- Witajcie. Czego sobie życzycie? - powitała ich Caroline uprzejmie, mimo że była zaskoczona.

Na jej widok w tłumie zapadła nagle cisza. Millicent, zwabiona otwartymi drzwiami, porzuciła swoje legowisko przy ogniu i zaczęła się ocierać o nogi pani.

- To ona! Czarownica! - rozległo się piskliwe wołanie. Caroline, oślepiona migotającymi płomieniami pochodni, nie potrafiła rozpoznać żadnej twarzy z całą pewnością, choć wydało jej się,

że gdzieś w tyle dostrzega czarny strój wielebnego Millera, a w środku tłumu błyszczała łysina, całkiem podobna do łysiny Williamsa.

- Czarownica? - powtórzyła skonfundowana.

- Patrzcie, ma przy sobie swoją służkę! Strzeżcie się tego kota!

- Bierzcie ją! Moje dziecko przez nią umiera! - W kobiecym głosie brzmiała histeria.

- Bierzcie czarownicę!

Nagle przerażona, Caroline zrobiła krok do tyłu i położyła dłoń na klamce, gotowa zatrzaskać drzwi. Potknęła się przy tym o Millicent, która pisnęła i skoczyła w ciemność. Niektórzy z tłumu krzyknęli, inni rozpierzchli się na boki. Lecz ucieczka kotki dodała im odwagi, z tłumu wystąpiło kilku mężczyzn; złapali dziewczynę za ręce i wywlekli na podwórze.

Caroline krzyknęła.

- Ciociu Caroline! - John, który w kuchni dodawał słupki, przybiegł zobaczyć, co się dzieje. Twarz mu pobladła, dłonie same zacisnęły się w pięści. Caroline widziała, że choć dziecko jeszcze, gotów był rzucić się w jej obronie na napastników.

- Nie, John! - zawołała. - Biegnij! Sprowadź pomoc! Czyjaś dłoń zatkała jej usta.

- Łapcie chłopca! Łapcie chłopca!

Huknął strzał, Caroline poczuła, jak krew przestaje krążyć jej w żyłach.

- Niech cię dunder świśnie, Will, wybiłeś mi rękę i nie trafiłem!

- Zrobiłem to specjalnie, ty głupcze! Przecież nie chcemy skrzywdzić dzieciaka! Nie zrobił nam nic złego!

- Ale sprowadzi swojego przekłętego ojca i resztę, i poleje się krew!

- Zanim ich tu sprowadzi, my już skończymy to, po cośmy przyszli. Więc lepiej nie zwlekajmy.

Tak się sprzecząc, wlekli ją ze związanymi na plecach rękoma i opaską na oczach. Kopala i wierzgała, złapali ją więc pod pachy i za stopy, i ponieśli w las. Domyśliła się tego, słysząc szelest liści, odgłos ubrań ocierających się o twarde pnie i wycie nocnych drapieżników wychodzących na łów.

Caroline z przerażającą pewnością wiedziała już, że tłuszcza, która po nią przyszła, ma złe zamiary.

- Och, błagam - prosiła głosem zduszonym przez strach. - Błagam, przecież nie jestem czarownicą! Proszę, nie róbcie mi krzywdy! Wydawało jej się, że rozpoznaje głos jednego z niosących ją mężczyzn. Był to Peters, ojciec Lissie, którego uważała za porządnego człowieka.

- Panie Peters, błagam...

- Nie ma tu nikogo o takim nazwisku. Zamilknij, wiedźmo! Hej, zakneblujcie ją!

Ktoś wcisnął jej w usta wełniany szal, którym o mało się nie zadławiła.

- Lepiej się pośpieszmy!

- Racja.

- Podnieś pochodnię. Tu jest to drzewo?

- Tak, tu jest to, na którym wyryła słowa diabła! Strzeżcie się, by nikt nie dotknął tego pisma!

- Fiu, przecież pismo nie może zrobić ci krzywdy!

- A skąd możesz wiedzieć? Niewykluczone, że jest w nim zła moc. A poza tym po co ryzykować?

- Więc tu ją postawcie.

Postawili Caroline, która za plecami czuła szorstki pień drzewa. Kopała napastników, chciała uciec, lecz tamci szybko przywiązali ją do drzewa. U jej stóp układali jakiś stos.

- Spieszcie się!

- Prędzej!

- To słuszne, że skończy przywiązana do drzewa, które sama naznaczyła złem. Niech wraz ze swymi czarami idzie do diabła!

- Myślisz, że powinniśmy wyjąć knebel z jej ust, żeby mogła zmówić modlitwę?

- Czarownice się nie modlą!

- Może ogień oczyści jej duszę i diabeł nie zdąży jej zabrać! Gdyby tak miało się stać, nie odmawiałbym jej prawa do modlitwy!

Ogień! Caroline zmartwiała: zamierzają spalić ją na stosie!

- Chcesz się pomodlić, wiedźmo?

Skinęła głową. Kiedy usunięto knebel, przesunęła językiem po wyschniętych ustach.

- Dlaczego mi to robicie? - zapytała żałośnie.

Sznury, którymi ją związano, wrzynały jej się w ramiona i piersi. Wrywała się, lecz węzły trzymały mocno i Caroline wiedziała, że sama nie zdoła się uwolnić. Łzy zmoczyły opaskę i spłynęły po policzkach. Czy jej życie naprawdę tak się skończy? Przecież to nie może się zdarzyć, nie wtedy, gdy w kuchni wciąż gotuje się wieczerza, za chwilę wrócą głodni mężczyźni i...

- Mówiłem, że nie będzie chciała się modlić!
- Nie myśl sobie, że oszukasz nas łzami!
- To diabelska sztuczka, żebyśmy zaczęli wątpić! Dowody przeciwko niej są przecież niezbite!

- Przestańcie gadać i podpalcie wreszcie ten chrust! Jak tak dalej będzie, to spędzimy tu całą noc!
- Nie jestem czarownicą! Błagam was, musicie mi uwierzyć!
- Nie zważajcie na jej prośby! Wszyscy wiemy, że uprawia czarną magię, a na tym tu drzewie wyrzeźbione są jej zaklęcia!
- Kiedy wściekły pies biegał po miasteczku, odpędziła go samymi tylko oczami!
- Spojrzała na moją Faith i zaraz następnego dnia dziecko zachorowało!
- Nocami w ciele tego kota włóczy się po lesie, czyniąc zło!
- Podpalcie chrust!
- Kot jest jej pokrewnym duchem! Wygląda jak ona!
- Podpalcie chrust!
- To czarownica i siostra czarownicy!
- Nie, błagam, musicie mnie wysłuchać...
- Ach! - Z tłumu dobiegło pełne zadowolenia westchnienie, jakby potężny drapieżnik skosztował krwi swojej ofiary.
- Błagam!...

Caroline była bliska hysterii, słysząc trzaskanie ognia. Zapach rozgrzanej sosnowej żywicy uderzył ją w nozdrza, na stopach poczuła żar i wiedziała już, że to płonie chrust.

Ile czasu minie, nim płomień dosięgną jej sukni? A kiedy to się stanie, będzie po niej...

Wydała długi, przenikliwy i głośny krzyk; głowa opadła jej na pień.

Najpierw odezwał się jeden głos, potem dołączyły do niego następne:

- Spalić, spalić, spalić!
- Ojczy nasz, któryś jest w niebie... - Caroline wrywała się, próbując uwolnić się z więzów i uciec przed rosnącym z każdą chwilą żarem, przed cierpieniem, które za moment stanie się jej udziałem, przed straszną, nieuniknioną śmiercią.
- Spalić czarownicę, spalić ją!
- Święć się imię Twoje...

Ktoś zdjął jej opaskę, przyciskając głowę do szorstkiej kory. Teraz widziała płomień, które z radosnym trzaskaniem zbliżały się ku niej, by ją pochłonąć...

Tłum ogarnęła radość, ludzie kołysali się, skandując rytmicznie „spalić czarownicę!"; w mroku ich oczy połyskiwały niczym ślepiec dzikich bestii. Obserwowali jej przerażenie z prawdziwą uciechą.

Widok Caroline płonącej na stosie sprawi im przyjemność...

Płomienie sięgnęły jej stóp, dotarły do rąbka spódnicy. Granatowy samodiał zapalił się jak pochodnia. Od dymu zakłuło ją w płucach, przed oczyma zatańczył ogień i Caroline otworzyła usta, by wydać ostatni, pełen grozy krzyk.

W ciemności huknęły strzały. Tłum, wrzeszcząc i piszcząc, rozpierzchnął się między drzewa. Caroline nieświadoma była niczego poza otaczającymi ją zewsząd płomieniami. Nagle dostrzegła potężną postać z nożem w dłoni, która skoczyła w ogień, przecięła krepujące ją sznury i porwała na ręce. Potem rzucono ją na wilgotną ziemię i toczono tam i z powrotem, zrywając tłące się ubranie.

Przez cały ten czas nie przestała krzyczeć.

- Caroline! - Głos Matta wreszcie wdarł się do jej świadomości, jego twarz pokonała czerwoną mgłę przerażenia zasłaniającą jej oczy, jego ramiona tuliły ją mocno.

- Matt! - zawołała ze szlochem, po czym, drżąc i dygocząc, przywarła do jego piersi.

- Wszystko dobrze, moja malutka, jesteś bezpieczna - mówił śpiwnie, niosąc ją ścieżką, prowadzącą do domu.

Za nimi podążali Daniel, Thomas, Robert i John, trzech pierwszych uzbrojeni w muszkiety. Tłum zniknął, rozpluwając się między drzewami niczym cienie, i Caroline uświadomiła sobie, że nigdy nie pozna nazwisk większości ludzi, którzy pragnęli jej śmierci.

I wówczas dopiero pojęła w całej pełni, co uczynił Matt, aby ją uratować.

- Ogień - szepnęła głosem zachrypniętym od dymu - przeszedłeś przez ogień.

Dla niej pokonał swój największy strach.

Epilog

Miesiąc później wędrowny kaznodzieja udzielił ślubu Mattowi i Caroline we frontowym pokoju domu Jamesa. On ubrany był w surową purytańską czerń, ona miała na sobie jedną z angielskich sukien, tę z błękitnego jedwabiu, którą Matt lubił najbardziej. Głowę Caroline okrywał delikatny welon, należący kiedyś do jej matki, w dłoniach zaś trzymała modlitewnik Mary.

Dostała go od Jamesa, który powiedział, że zmarła na pewno by tego pragnęła. W tym dniu Caroline czuła bliskość przyjaciółki.

Podczas składania przysięgi towarzyszyli im James, Daniel, Robert, Thomas, John i Davey. Kiedy Matt wsunął jej na palec obrączkę, a Caroline uniosła twarz do pocałunku, rozległy się oklaski.

- Zrobione - odezwał się z niejaką ulgą, gdy bracia, klepiąc go po ramieniu, złożyli mu życzenia, a kaznodzieja, któremu zapłatę wręczył Daniel, pożegnał się z ukłonem.

Caroline, mając niezbite dowody głębokiej miłości męża, uśmiechnęła się czule.

- Czy teraz jesteś naszą mamą, ciociu Caroline? - zapytał Davey z zatroskaną miną.

- Tylko jeśli sami będziecie tego chcieli - odparła zdecydowanie.

- Chcemy - powiedział John i objął ją. Nie zważając na suknię, Caroline uklękła i oddała mu uścisk, a potem przytuliła też do siebie Daveya, który zarzucił jej ramiona na szyję.

- Kocham was obu - szepnęła.

Chłopcy byli zbyt mali, żeby uczynić takie wyznanie, przyjęli więc od niej po całusie i pobiegli bawić się z Hope, gdy tymczasem mężczyźni stroili sobie żarty z pana młodego.

Caroline, pozostawiona sama sobie, obserwowała swoją nową rodzinę. Przyglądając się pięciu wysokim, przystojnym mężczyznom - z których najwyższy i najprzystojniejszy był jej mąż - czuła, jak jej szczęście rozkwita.

Wiedziała, że jest kochana. Matt dowiódł tego owego wieczoru, wążąc się na rzecz, której najbardziej w świecie się obawiał, by ją uratować. A potem czule się nią opiekował, gdy dochodziła do siebie po wstrząsie.

Wezwany medyk orzekł, że oparzenia są powierzchowne i nie pozostawiają śladu. Istotnie, skóra dziewczyny była już tak samo gładka jak wcześniej. Pozostał jednak w jej duszy wstręt do Saybrook.

Matt opowiedział Caroline o czarownicach, które urządzały sabaty w lasach, i o tym, jak próbowały zwabić w swoje szeregi biedną, chorą na umyśle Elizabeth. Obejrzał dokładnie napisy na drzewie, do którego przywiązano Caroline, a które zauważyła tuż przed tym, gdy porwali ją Indianie, i wyjaśnił, że to alfabet złożony z celtyckich znaków zwanych runami. Alfabet czarownic.

Tak więc Caroline dowiedziała się, że tłum, który po nią przyszedł, nie był tak szalony, jak przypuszczała, ponieważ w Saybrook naprawdę były czarownice. Pomylili się tylko co do osoby.

Mimo to świadomość, że coś takiego może się powtórzyć, niepokoiła Mathiesonów. Zdecydowali więc, że wyjadą, i to wszyscy, nie tylko Matt i Caroline z chłopcami, ale też Daniel, Robert, Thomas i James z małą Hope. Farmę sprzedano - o ironio! - Petersowi za taką sumę, że na jej wspomnienie Caroline nie mogła opanować zdumienia. Sprzedano też inwentarz żywy oraz większość mebli. Teraz na podwórzu czekały trzy wozy załadowane resztą dobytku. Do ostatniego przywiązany był Raleigh, jako że mężczyźni jednogłośnie sprzeciwili się pozostawieniu go; Millicent zaś podróżować miała w koszyku na siedzeniu koło Caroline.

Postanowili wyruszyć na południe, do Maryland albo dalej, do miejsca, gdzie wszyscy będą mogli żyć w spokoju i gdzie przeszłość nie będzie ich niepokoić.

- Komu w drogę, temu czas - rzekł James.

Na pozór doszedł do siebie po utracie Mary, lecz Caroline wiedziała, że śmierć żony boleśnie zraniła jego duszę. Nie można jednak przyspieszyć procesu wyzdrowienia, sama dobrze to rozumiała. Być może i jego pora kiedyś nadejdzie.

Chłopcy z krzykiem wybiegli z domu, podnieceni na myśl o przygodzie. Dorośli podążyli za nimi krokiem bardziej statecznym, aczkolwiek Caroline wyczuwała, że i oni są podekscytowani. Tylko Matt został w tyle, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Mam dla ciebie ślubny prezent - odezwał się stłumionym głosem, wyciągając z kieszeni puzderko. Przez chwilę Caroline patrzyła mu w oczy.- Otwórz, proszę.

Otworzyła i aż tchu jej zabrakło, gdy jej oczom ukazała się brosza, niemal dokładna replika przynoszącego szczęście pawia jej ojca. -Tylko kamienie nie były fałszywe.

-Są prawdziwe - potwierdził jej przypuszczenia Matt, gdy bez słowa wpatrywała się w prezent. - I co, nic nie powiesz?

Caroline wyjęła broszę i uniosła ją pod światło. Kamienie rozjarzyły się rubinową czerwienią, szafirowym błękitem i szmaragdową zielenią.

- Skąd ją wzięłeś i jak zapłaciłeś? - zapytała, nie mogła sobie bowiem wyobrazić, że takie cudo wykonano w Saybrook, a poza tym kamienie musiały kosztować fortunę.

- Poleciałem Tobiasowi, żeby dokonał zakupu w Bostonie. A zapłaciłem Jakubem. Tobias bardzo chętnie przyjął go w zamian za broszkę.

Na myśl, że potężny byk został przehandlowany za tak delikatny klejnot, Caroline zaczęła chichotać. Mąż patrzył na nią, jakby postradała zmysły, potem jednak też się uśmiechnął.

- Niezwykle stosownie - oznajmiła, padając mu w ramiona.

- Masz rację - mruknął Matt i zamknął jej usta pocałunkiem.